

FLIS I STANKIEWICZ
Polska po wyborach
samorządowych

DON CORRADO POZAMIATAŁ
Z kardynałem Krajewskim
na ulicach Rzymu

RAPORT O 500+
Program narodu
programem partii

**NASZA
PREMIERA!**



Kraków 28 października 2018 nr 44 (3616) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Dawid Podsiadło Mam w duszy małe miasteczka

**W NUMERZE
KSIĄŻKI W TYGODNIKU**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480802

DZIKOŚĆ JEST W KAŻDYM Z NAS



NOWY JEEP® RENEGADE. BORN TO BE WILD.

Teraz w leasingu 4x4 za 444 zł netto miesięcznie*.

* Usługa leasingu jest skierowana wyłącznie do przedsiębiorców.

Rata netto na poziomie 444 zł została skalkulowana w ofercie Leasing 4x4 dla następujących parametrów: samochód Jeep® Renegade Longitude GSE T3 Turbo 120 KM M6 w cenie 81 300 zł z VAT; okres leasingu: 48 miesięcy; czynsz inicjalny: 40%; 47 rat netto: 443,94 zł; wykup: 35%. Podane warunki obowiązują przy skorzystaniu z ubezpieczenia GAP oferowanego przez FCA Leasing Polska Sp. z o.o. Wykup gwarantowany przez wybranych dealerów sieci FCA Poland S.A. Usługa leasingu skierowana jest wyłącznie do przedsiębiorców. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Przyznanie leasingu uzależnione jest od pozytywnej oceny zdolności finansowej potencjalnego leasingobiorcy. Szczegóły dotyczące oferty leasingowej i ubezpieczeniowej w salonach grupy FCA oraz na www.fcaleasing.pl. Jeep® jest zastrzeżonym znakiem handlowym firmy FCA US LLC. Jeep® Renegade – emisja CO₂ od 127 do 173 g/km, zużycie paliwa od 4,8 do 6,6 l/100 km (w cyklu mieszanym, specyfikacja B). Informacje o odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na stronie <http://jeep.mopar.eu/jeep/pl/pl/recykling>.

FCA LEASING
Polska

Jeep®
THERE'S ONLY ONE

KS. ADAM

Boniecki: Coś trzeba było zrobić

JAN PAWEŁ II MÓWIŁ MŁODYM LUDZIOM, ŻE SĄ NADZIEJĄ Kościoła i jego osobistą nadzieją. Lubił się z nimi spotykać. Ustanowił Światowe Dni Młodzieży. Papież Franciszek zwołał Synod Biskupów „Młodzi ludzie, wiara i rozeznanie powołania” po to, „byśmy – napisał – nie pozostawiali ich samych w rękach wielu handlarzy śmierci, którzy uciskają ich życie i przysyłają ich wizję”, „żeby nie przeważała logika samozachowania i samoodniesienia, doprowadzająca do tego, że ważne staje się to, co drugorzędne, a drugorzędne to, co ważne”. Papież chciał, żeby Synod nie był „patrzeniem biskupów z góry na młodych”, ale „próbą odkrycia, co młodzi mogą dać Kościołowi i czego dziadkowie (tak papież nazywa ojców synodalnych) mogą nauczyć się od swych wnuków”. I bardzo dobrze, bo coś trzeba było zrobić, skoro młodzi oddalają się od Kościoła, albo to może Kościół oddalił się od młodzieży, co wychodzi na jedno.



dale seksualne duchowieństwa”). Bo są niezdecydowani („Nie mam konkretnej religii, bo jestem otwarty i uważam, że nie ma jednej dobrej czy złej religii”, „Obecnie skłaniam się ku duchowości, ale nie jestem pewien. Wiem, że wszędzie mogę się modlić do mojego Boga. Wierzę w siłę wyższą, ale do tego nie jest mi potrzebny Kościół”). Bo choć są wierzący, nie praktykują („W zasadzie przestałem chodzić do kościoła, kiedy poszedłem do college'u i tak już zostało. Nigdy nie byłem superreligijny”, „Nie praktykuję żadnej religii”, „Nie mam czasu chodzić do kościoła”).

Pierwsza faza Synodu miała służyć rozeznaniu. Biskupi zdali sobie sprawę, że to, o czym niewątpliwie wcześniej słyszeli, jest rzeczywistością tragiczną: trzy miliony uchodźców z Iraku – wśród nich wielu ludzi młodych – daremnie oczekujących na deklarowaną pomoc katolików z USA (mówił o tym z goryczą kard. Louis Raphaël I Sako, chaldejski patriarcha Babilonu); liczba śmiertelnych ofiar narkotyków w Brazylii jest wyższa niż liczba poległych na wojnie w Iraku (kard. Sérgio da Rocha) i tym podobne problemy.

Teraz Synod, którego obradom przygląda się specjalny wysłannik „TP” Edward Augustyn (jego relacje dostępne są na naszej stronie internetowej, a w tym numerze także w dziale Obraz Tygodnia), pracuje w grupach językowych, zmierzając do opracowania dokumentu końcowego. Każdy artykuł będzie głosowany osobno i przyjęty, jeśli zyska dwie trzecie głosów. Co dziadkowie powiedzą wnukom? ©P

TP

„Tygodnik Powszechny” zaprasza na Conrad Festival



ZUZANNA KARDYS

Serce Festiwalu Conrada bije przy Wiślniej w Krakowie. Od 10 lat w naszej redakcji rodzą się idee kolejnych edycji tego literackiego wydarzenia i powstaje ich główny program. „Tygodnik” jest strategicznym partnerem Festiwalu, a nasza Fundacja współorganizuje go z Miastem Kraków i Krakowskim Biurem Festiwalowym. Wszystkie obszerne, bogato ilustrowane dodatki poświęcone tej imprezie znajdą Państwo bezpłatnie na stronie TygodnikPowszechny.pl oraz w aplikacji naszego pisma.

W tym roku, jak i w ubiegłych latach Centrum Festiwalowe znajduje się w Pałacu Czeczotki, na rogu ul. Wiślniej i św. Anny. Stoisko „TP” przygotowaliśmy z myślą o naszych Czytelnikach – będą niżsi na zakup „Tygodnika”, wydanie specjalne „Moc czytania”, tygodnikowe gadżety oraz książki – w prezencie! Pełny program festiwalu i imprez towarzyszących na conradfestival.pl



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

14 Program narodu
programem partii

MAREK RABIJ
I PRZEMYSŁAW
WILCZYŃSKI
Dwa i pół roku po
wprowadzeniu flagowego
punktu programu PiS
zostaliśmy z bezradnymi
zwykle krytykami oraz
z powtarzaną automatycznie
– wcale nie tylko przez
apologetów PiS – sentencją:
„500 plus wielkim sukcesem
rządu jest”. Czas na
bilans. Jaka jest prawda
o programie?
Odpowiedź w specjalnym
raporcie „Tygodnika”.

24 Zmarnowana
stuletnia okazja

ROZMOWA Z PAWŁEM
KOWAŁEM:
Trzeba się pożegnać
z wizją, że 11 listopada
będzie mocnym
państwowym
akcentem. Niestety,
ta okazja została
zmarnowana.

36 Don Corrado
pozamiał

EDWARD
AUGUSTYN
Z RZYMU
Konrad Krajewski,
papieński jałmużnik,
wychodzi do ludzi
na ulice. Poszliśmy
z nim na rzymski
dworzec.



TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

W małej Inguszetii ludzie odważyli się zażądać dymisji swojego przywódcy – **WOJCIECH JAGIELSKI** wyjaśnia, jak wygląda codzienna polityka na Kaukazie tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Synod o młodzieży

Doświadczenie Kościoła mocno zróżnicowanego to największa, jak dotąd, korzyść z Synodu. Czy w końcowym dokumencie uda się wyjść poza ogólne zdania o „wspieraniu”, „ubogacaniu” i „rozeznawaniu”? – korespondencje **EDWARDA AUGUSTYNA**, specjalnego wysłannika „TP” na Synod powszech.net/synod-mlodziez

➔ Karawana do marzeń

16 października 1978 roku, w dniu wyboru Karola Wojtyły na papieża, Wanda Rutkiewicz stanęła na szczycie świata. „Dobry Bóg tak chciał, że tego samego dnia weszliśmy tak wysoko” – powie Jan Paweł II pierwszej polskiej zdobywczyni Mount Everestu – **MAREK RABIJ** portretuje najsłynniejszą polską himalaistkę powszech.net/rutkiewicz



82 Psi umysł

ROZMOWA Z JOLANTĄ ANTAS, JĘZYKOZNAWCZYNIĄ:
Od moich psów nauczyłam się, jak ważna jest chwila – tu i teraz.
Ze trzeba być w niej zanurzonym – jak w zen. Pies powoduje,
że na spacerze człowiek zaczyna widzieć świat.

INFORMACJA
DLA CZYTELNIKÓW

Następne wydanie „Tygodnika” ukaże się w sprzedaży kioskowej już we wtorek 30 października. Wydania cyfrowe – tego samego dnia wieczorem.

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Po wyborach: zadyszka Kaczyńskiego
ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-12 Wiadomości / Komentarze

22 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

24 Zmarnowana stuletnia okazja
ROZMOWA Z PAWŁEM KOWAŁEM

28 Obywatel monotematyczny
MATEUSZ MAZZINI: *Wyborcy chcą dopasować swoje poglądy do partii. Gdy pojawia się niespójność – rezygnują z popierania*

32 Stadionowa walka klas
RAFAŁ WOŚ: *Kiedyś futbol i lewicowość wydawały się iść w parze. Dziś ziele między nimi przepaść. Co poszło nie tak?*

■ ■ WIARA

36 Don Corrado pozamiał
EDWARD AUGUSTYN

40 Mamy ten ogród uprawiać i go strzec
ROZMOWA Z ABP. WIKTOREM SKWORCEM, METROPOLITĄ KATOWICKIM: *Nie zwracamy uwagi, czym palimy w piecach. To powinno być ocenione w kategorii grzechu ciężkiego*

44 Władza przed Ewangelią
PIOTR SIKORA: *Rosyjska Cerkiew dla polityki gotowa jest poświęcić jedność eucharystyczną*

45 Ormianie przestają się bać
MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Żyjący dotąd w Turcji w ukryciu, wracają do religii przodków*

■ ■ ŚWIAT

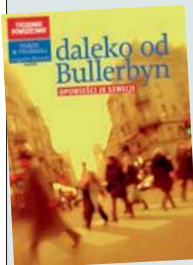
48 Zakarpacie niezgody
TADEUSZ IWAŃSKI: *Spór między Budapesztem i Kijowem narasta*

52 Czekając na desant
MARCIN ŻYŁA: *Somalijska diaspora w Kenii*



KSIĄŻKI W TYGODNIKU
Daleko od Bullerbyn,
czyli opowieści ze Szwecji

ELISABETH ÅSBRINK: Rolą dziennikarzy i historyków nie jest wskazywanie winnych czy ferowanie wyroków, tylko mówienie prawdy o przeszłości.



„Książki w Tygodniku” wydajemy przy wsparciu Fundacji TP dzięki darowiznom przekazany Fundacji za pomocą modułu FaniPay

na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

■ ■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER

47 SZYMON HOŁOWNIA

61 WOJCIECH BONOWICZ

80 JAN KLATA

81 PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: DAWID PODSIADŁO
Fotografia: JACEK KOŁODZIEJSKI
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

54 Być jak Budda i gwiazda rocka

ROBERT STEFANICKI: *Najpopularniejszy po Dalajlamie nauczyciel buddyzmu tybetańskiego na Zachodzie jest tyranem i seksoholikiem*

■ ■ HISTORIA

58 Hetmańska Ukraina

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI: *Pod koniec 1918 r. upadło państwo hetmana Skoropadskiego*

■ ■ NAUKA

62 Nowe życie mikrobow
ŁUKASZ SAKOWSKI

65 Pożegnanie z flarami
PIOTR STANKIEWICZ *o satelitach Iridium*

■ ■ KULTURA

66 Musiałem zdzićzeć ROZMOWA
Z DAWIDEM PODSIADŁĄ, POSENKARZEM:
Komunikuję się wyłącznie za pośrednictwem muzyki

70 Odpominaczki
MAGDALENA NOWICKA-FRANCAK: *Kobiety wychodzą z cienia historii pisanej na ich barkach. Literatura udziela im wysłuchania*

74 Statyści wojny
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Donbas”*

75 Warto zobaczyć w TV

76 Rozległe pola DARIUSZ KOŚCIŃSKI:
Liteński reżyser Eimuntas Nekrošius po latach wrócił do Polski

80 Poza fotografią LEKTOR *o książce „Tuż obok” Wojciecha Nowickiego*

■ ■ ZMYŚŁ

82 Psi umysł ROZMOWA Z JOLANTĄ ANTAS

■ ■ MEDAL ŚW. JERZEGO

86 Przywrócić nadzieję, zakończyć podziały
RELACJA Z GALI WRĘCZENIA NAGRÓD

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wł.: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński,
Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubieński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Noculi, Magdalena Nowicka-
Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf
Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-
Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam
Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotorecenzja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



OBRAZ
TYGODNIA

KACZYŃSKI ZŁAPAŁ ZADYSZKĘ

To miał być ostatni etap rozprawy z opozycją: PiS szło do wyborów samorządowych z marzeniami o wyniku przekraczającym 40 proc. Skończyło się dla niego znacznie gorzej, ale opozycja też nie ma powodów do świętowania.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

PATRZĄC CZYSTO ARYTMETYCZNIE, WYBORY to sukces PiS – partia zwyciężyła w głosowaniu do sejmików, które najbardziej przypomina wybory sejmowe (33 proc.). Cztery lata temu PiS nieznacznie wygrało wybory samorządowe z wynikiem wyraźnie gorszym (27 proc.). Ale czy ten wzrost to sukces? Przecież w PiS obowiązywał inny punkt odniesienia. W wyborach parlamentarnych w 2015 r. partia zdobyła prawie 38 proc. głosów. Ponieważ po objęciu władzy wpompowała w rodzinne budżety Polaków dziesiątki miliardów,

miała prawo oczekiwać większej wdzięczności. Sztabowców PiS uspiły stabilne, wysokie notowania przez większość kampanii. Zaważył finał, w którym PiS przeżywał spektakularne kłopoty – taśmy Morawieckiego, wniosek Ziobry do Trybunału Konstytucyjnego, który opozycja przedstawiła jako początek wychodzenia z UE, wreszcie zatrzymanie ustaw sądowych przez unijny Trybunał Sprawiedliwości.

Kiedy więc prezes Jarosław Kaczyński ogłasza sukces swej partii („kończymy wybory wynikiem, który dobrze wróży, jeśli chodzi

Wybory w gminie Konarzyny, gdzie wójt i większość radnych nie mieli kontrkandydatów, 21 października 2018 r.

o przyszłość”), robi dobrą minę do złej gry. PiS wygrało, ale w praktyce przegrało. Bo choć – na podstawie sondaży – zwyciężyło w 9 na 16 sejmików, to może się okazać, że z braku koalicjantów w części z nich nawet nie powącha władzy.

To dlatego, że bardzo dobry rezultat (ok. 14 proc.) osiągnęli ludowcy. I choć PSL jest pragmatyczne, to na razie trudno sobie wyobrazić, by po tak ostrych atakach ze strony PiS chciało tworzyć sejmikowe rodziny z tą partią, a nie z Platformą Obywatelską.

Takie rozwiązanie dałoby Schetynie nieco oddechu przed przyszłorocznymi wyborami.

W otoczeniu Schetyny od dłuższego czasu wskazywano plan minimum na wybory: właśnie zachowanie władzy w kilku sejmikach i zwycięstwo w dużych miastach. Rzeczywiście, w stolicach województw przedstawiciele Platformy i Nowoczesnej pobili konkurentów z PiS. Widać wyraźnie, że wielkomiejska publika potraktowała wybory jako plebiscyt oceniający ogólnopolskie rządy PiS. W tym sensie w Warszawie nie chodziło o głosowanie za Rafałem Trzaskowskim, lecz o pokazanie PiS czerwonej kartki. To ważny wniosek – trzy lata rządów Jarosława Kaczyńskiego doprowadziły do tego, że PiS stracił elementarne szanse na wygrywanie w dużych miastach.

Jednak oceniając na chłodno debiut Koalicji Obywatelskiej – czyli wspólnego projektu PO i Nowoczesnej – przyznać trzeba, że współpraca obu ugrupowań liberalnych nie doprowadziła do żadnej zasadniczej zmiany na scenie politycznej. KO nawet nie obroniła stanu posiadania Platformy i Nowoczesnej z 2015 r. Startując wówczas oddzielnie, partie zdobyły niemal 32 proc. Dzisiejsze sondażowe 27 proc. gwarantuje Schetynie trwanie, ale nie daje odpowiedzi na pytanie, czy projekt KO jest perspektywiczny i czy daje szanse na walkę o władzę z PiS za rok.

Rozpamiętując dobry samorządowy wynik PSL, należy pamiętać jeszcze o jednym. Historia pokazuje, że pewna część wyborców samorządowych PSL przepoczwarza się w wyborach sejmowych w zwolenników PiS. A zatem wyniki wyborów samorządowych odebrały PiS pewność wygranej za rok, ale jej nie przekreśliły. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Na ile starczy mobilizacji

PRZESZŁOŚĆ POLSKĄ nie przeszło tsunami. Żadnego triumfalnego marszu przez samorządy na miarę Fideszu nie było. W ilu województwach z tych 9, gdzie obecnie wygrywa wybory do sejmików, PiS przejmie faktycznie władzę, zależy od sytuacji ugrupowań balansujących na granicy progów wyborczych. SLD znów osłabło i widać, że nawet jeśli w przyszłym roku nie powtórzy błędu z 2015 r. (czyli nie wystartuje w koalicji, która ma wyższy próg wyborczy), może mu to nie pomóc. Kukiz '15 nie podzielił wprawdzie losu Ruchu Palikota, który w wyborach samorządowych przed czterema laty przestał istnieć, ale jako jedyny potencjalny sojusznik PiS nie wygląda zbyt mocno. Jeśli potwierdzą się wyniki sondaży, warto natomiast zauważyć istotny wzrost poparcia PSL w miastach. Być może ta partia zacznie rosnąć po stronie konserwatywnego skrzydła PO. Gdyby miało się okazać, że PSL – z twarzą Kosiniaka-Kamysza, a nie Pawlaka – jest atrakcyjny dla umiarkowanego elektoratu i przekształca się w partię ludową tak jak w Hiszpanii, zostawiając PO w roli Ciudadanos, byłaby to istotna zmiana.

W poprzednich wyborach samorządowych widać było, że narasta fala poparcia dla PiS. Teraz widać, że jest już po apogeum tego poparcia. PiS musi zacząć walczyć, tylko czy jest w stanie? Jeśli próbuje się do tego zabrać tak jak w Łodzi czy w Warszawie, kończy się to mocnymi wynikami Rafała Trzaskowskiego czy Hanny Zdanowskiej: podobnie jak w 2007 r. PiS wywołał mobilizację swoich przeciwników, zresztą nie tylko w dużych miastach, ale także w gminach Polski północno-zachodniej. Pamiętajmy jednak, że wyborcy niechętni PiS głosowali teraz „wypuszczeni” przez trzy lata. Czy ta mobilizacja powtórzy się za rok?

© JAROSŁAW FLIS



BYĆ ALBO NIE BYĆ. Ubiegającego się o reelekcję burmistrza Działoszyna (woj. łódzkie) Rafała Draba wykluczono z wyborów, bo – jak doniósł TVN24 – „twierdził, że jest z PiS-u”, a nie był (odebrano mu legitymację). Do odwrotnej sytuacji doszło w stolicy: Patryk Jaki twierdził, że nie jest z PiS-u, a był. PR-owcy partii uważają, że obaj kandydaci popełnili błąd: należy zawsze twierdzić, że się jest w PiS, i rzeczywiście w nim być. Ale i ta strategia nie wszędzie wypaliła. © P. PW

W SKRÓCIE

WIADOMOŚCI SMOGOWE.

Głosowanie głosowaniem, ale wyniki, które powinny robić prawdziwe wrażenie, oznaczają przekroczone o kilkaset procent normy pyłu zawieszonego. Pomimo gigantycznego smogu krakowskie kuratorium zorganizowało marsz dzieci i młodzieży z okazji stulecia niepodległości – „widowisko dumy i radości”, jak powiedziała pani kurator, którą w trakcie tegoż widowiska widać było dość niewyraźnie.

WIADOMOŚCI LEKARSKIE.

Niewyraźnie brzmią też zapewnienia Jarosława Kaczyńskiego w Polsce, iż „jest na sto procent przekonany, że Morawiecki to patriota, człowiek uczciwy i empatyczny, który chce ludziom pomóc i robi to skutecznie”. Na ostatniej z ujawnionych taśm obecny premier mówi zgola nieempatycznie o wypadku Roberta Kubicy, że „na szczęście złamał rękę raz, drugi”.

WIADOMOŚCI SPORTOWE.

Empatią wobec premiera wykazał się PKN Orlen: dzień po ujawnieniu informacji o feralnej taśmie prezes koncernu spotkał się z Kubicą, by porozmawiać o „perspektywie i potencjale rozwoju sportów motorowych”, a konkretnie o wielomilionowym wsparciu Orlenu dla zespołu Williams, mającym umożliwić polskiemu kierowcy powrót do ścigania się w Formule 1.

WIADOMOŚCI SPRAWDZONE.

À propos perspektywy: „Dzisiaj widzę, który najpierw obejrzy »Fakty«, a potem »Wiadomości«, odbija się od ściany do ściany. Świat nie wygląda ani tak, jak pokazuje go TVN, ani tak, jakim go widać w TVP” – powiedział Bogdan Rymanowski w rozmowie z Robertem Mazurkiem. Dodajmy, że świat wygląda też inaczej niż na okładce „Newsweeka”, gdzie umieszczono podobizny Patryka Jakiego i Rafała Trzaskowskiego z tytułem „Teraz dogrywka”.

WIADOMOŚCI WĘDKARSKIE.

Nie à propos wyborów: w jeziorze Rybnickim dał się złapać gigantyczny sum, który po zważeniu i zmierzeniu (102 kg i 260 cm) wrócił do wody. Z miesiąca na miesiąc drożeją karpie: susza spowodowała, że części stawów hodowcy w tym roku w ogóle nie zarybili.

Raport NIK: samorząd w depresji

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



POMOC OSOBOM W KRYZYSIE JEST NIEWYSTarczająca i nieskoordynowana – wynika z raportu NIK na temat depresji. I to w miejscu, w którym powinna ona być najszybsza i najsukuteczniejsza: w środowisku lokalnym.

Na sześć sprawdzonych w latach 2015-17 przez NIK samorządów tylko trzy leczyły zaburzenia depresyjne w ramach kompleksowych programów zdrowotnych. A tylko w jednym (Małopolska) osiągnięto założone cele. Urzędnicy Izby zauważają, że niemal wszystkie ruchy samorządów w tej dziedzinie prowadzono poza programami. „NIK zwraca uwagę – czytamy w podsumowaniu raportu – że działania

w zakresie profilaktyki i leczenia depresji nie były dostosowane do zapotrzebowania, lecz możliwości finansowych. Zainteresowanie udziałem w realizowanych formach wsparcia było wyższe od oferowanej pomocy”.

Tymczasem – jak wskazują statystyki – u 3 proc. Polaków w wieku produkcyjnym występują objawy depresji. Problem narasta z wiekiem: objawy dotyczą 5 proc. osób starszych niż 50 lat. Te dane sytuują Polskę wśród krajów o największym obciążeniu zaburzeniami depresyjnymi. Według – zaniżonych zapewne – oficjalnych statystyk policyjnych w ubiegłym roku odebrało sobie życie 5276 Polaków. ©



ALVARO BARRIENTOS / AP / EAST NEWS

Hiszpański Nobel dla Wielickiego

TAK ZWYKŁO się określać Nagrodę Księżnej Asturii (wcześniej: Księcia Asturii), którą dotąd wyróżniono czterech Polaków: Krzysztofa Pendereckiego, Ryszarda Kapuścińskiego, Zygmunta Baumana i Adama Zagajewskiego. Krzysztof Wielicki odebrał ją w miniony piątek w Oviedo z rąk króla Filipa VI.

Hiszpania jest obok Polski jedynym krajem Europy, w którym zmagania himalaistów cieszą się tak dużym zainteresowaniem. Wielicki odebrał nagrodę wraz z Reinholdem Messnerem (na zdjęciu z lewej), pierwszym zdobywcą wszystkich 14 ośmiotysięczników (Wielicki był piątym), który 40 lat temu wraz z Peterem Habelerem wszedł na Mount Everest bez wspomaganie butlą z tlenem. Od pierwszego zimowego wejścia na najwyższy szczyt Ziemi zaczęła się także droga Krzysztofa Wielickiego – prowadziła m.in. przez Lhotse, na które w Sylwestra 1988 r. wszedł samotnie w kołnierzu usztywniającym złamany kilka miesięcy wcześniej kręgosłup. Kontynuuje ją do dziś próbując – już jako kierownik wypraw – doprowadzić do zdobycia zimą K2. Choć w styczniu ukończy 69 lat, jest wręcz nadaktywny, rzadko zmienia górskie ubrania na galowy garnitur. „Przyjmuję tę nagrodę nie osobiście, ale w imieniu całej grupy, która budowała złotą dekadę polskiego himalaizmu”, mówił. Obaj wraz z Messnerem to – za królewską laudacją – „specjaliści w samotności, szybkości i chłodzie”. ©



Straszenie przestaje działać

ANTYUCHODźCZY SPOT Patryka Jakiego, w którym obiecywał on samorząd „bezpieczny” (czytaj: broniący Polaków przed imigrantami), nie zapobiegł jego widowskiej klęsce w warszawskich wyborach. To świetna wiadomość: pierwszy raz od 2015 r. rozpętanie przez środowisko związane z PiS-em lęku przed uchodźcami zaszkodziło politycznie. Jest za wcześnie, by stwierdzić, czy zarządzanie strachem – polegające na tworzeniu poczucia zagrożenia i przedstawianiu własnej partii jako jedynej, która zapewni bezpieczeństwo – na dobre przestaje być skuteczne. Ale masowa krytyka spotu, także ze strony sympatyków prawicy, musi dać do myślenia stra-

tegom PiS-u. Nawet najbardziej ksenofobicznie nastawiony margines wyborców jeszcze bardziej od uchodźców nie lubi odkrywać, że jest manipulowany. Nawet ci, którzy dotąd wierzyli w „spisek Merkel i Tuska”, słysząc coraz częściej na ulicach ukraiński i rosyjski odkrywają, że największą imigrację sprowadził do Polski PiS – i że wszystkim wyszło to na dobre.

I jeszcze paradoks: Jaki zaatakował akurat ten wycinek polityki migracyjnej, który świetnie się sprawdza. Coraz więcej polskich miast wprowadza własne strategie integracji cudzoziemców. Opór rządu powoduje, że nie mogą same przyjmować uchodźców, ale to właśnie lokalni politycy przekonują się pierwsi, że w kwestii migrantów i uchodźców ostatecznie wygrywa się pragmatyzmem – a nie grając na emocjach. ©

© MARCIN ŻYŁA

Saudowie przyznają: Khashoggi nie żyje

TRZY TYGODNIE po tym, jak Jamal Khashoggi wszedł do konsulatu Arabii Saudyjskiej w Stambule i zaginął, władze w Rijadzie przyznały, że ten opozycyjny saudyjski dziennikarz nie żyje. Według ostatniej wersji (bo wcześniej Rijad wszystkiemu zaprzeczał) jego śmierć nie była zamierzona: miał wdać się w kłótnię z „wieloma osobami będącymi w konsulacie” i doszło do bójki, w której zginął. Rijad twierdzi, że zatrzymano 18 osób i zdymisjonowano wicedyrektora wywiadu oraz doradcę dworu (odpowiedzialnego za kontrolę nad państwowymi mediami); mieli tuszować sprawę. W opinii obserwatorów komunikat sformułowano tak, by wina za śmierć Khashoggiego nie obciążała następcy tronu księcia Mohammeda bin Salmana, który rządzi krajem z woli starzejącego się króla: Salaman miał o niczym nie wiedzieć.

Tymczasem media w Turcji i USA twierdzą, opierając się na przeciekach, że zabójstwo Khashoggiego zaplanowano: przed śmiercią był torturowany, zabili go przysłani specjalnie agenci, a poćwiartowane zwłoki wywieziono pocztą dyplomatyczną. Khashoggi, który żył na emigracji w USA, miał być traktowany przez Salmana jako osobisty wróg, gdyż jego krytyczne teksty w „Washington Post” psuły wizerunek księcia jako reformatora Arabii Saudyjskiej.

Sprawa może mieć skutki polityczne. Nie dając wiary saudyjskim wyjaśnieniom, coraz więcej polityków, głównie europejskich, sugeruje rewizję relacji z Rijadem – dotąd partnerem strategicznym Zachodu jako gwarantem stabilności w Zatoce Perskiej, wrogiem Iranu, dostawcą ropy i importem broni. © WP / AFP, NZZ, FAZ

LICZBA TYGODNIA

1400

– tyle ton śmieci sprowadzonych nielegalnie do Polski odesłano dotychczas do krajów pochodzenia, głównie do Wielkiej Brytanii
– podał Główny Inspektorat Ochrony Środowiska.



BENJAMIN FURST / AFP / EAST NEWS

BREXIT: NADZIEJA UMIERA OSTATNIA. Pół miliona ludzi demonstrowało w sobotę 20 października w Londynie przeciw wyjściu Wielkiej Brytanii z UE. Domagali się referendum, w którym Brytyjczycy mieliby zdecydować, czy akceptują finalną umowę brexitową z Unią. Premier Theresa May odrzuca jednak ten postulat. Wielka Brytania ma opuścić Unię już w marcu 2019 r., tymczasem negocjacje z Brukselą wciąż trwają. Scenariusz, w którym kraj opuściłby Unię bez żadnej z nią umowy, uderzyłby w wiele sfer życia, zwłaszcza w gospodarkę. Dlatego, aby zyskać na czasie i znaleźć trwałą ugodę, Unia sugeruje wydłużenie planowanego okresu przejściowego po brexicie: zamiast do końca 2020 r., mógłby on trwać rok dłużej. © WP / DPA

Rzym na kursie kolizyjnym

PAWEŁ BRAVO

KOMISJA EUROPEJSKA JEST „POWAŻNIE zaniepokojona” projektem budżetu na 2019 r., jaki w Brukseli przedłożył włoski rząd – tej treści pismo komisarz ds. ekonomicznych Pierre Moscovici wysłał do Rzymu po ubiegłotygodniowym szczycie Unii. Na szczycie wszyscy skupiali się na prawie beznadziejnej sytuacji wokół brexitu i w tym kontekście włoskie problemy z deficytem mogą wydać się drugorzędne. Przewodniczący Juncker żartował nawet, że „byliśmy uprzejmi i pozytywnie nastawieni, bo Włochy to Włochy” (była to aluzja do odpowiedzi udzielonej kiedyś przez niego na pytanie, czemu Komisja traktuje Francję pobłażliwie, gdy idzie o rygory fiskalne).

Ale otwarty bunt w trzeciej gospodarce strefy euro może zagrozić stabilności w „twardym jądrze” Unii, nawet jeśli wyjdzie ono wzmocnione z procesu rozwojowego z Londynem. Włosi otwarcie zlekceważyli nieoficjalne ostrzeżenia

ślane z Brukseli na etapie przygotowania budżetu i skonstruowali go tak, jak zapowiadali: z deficytem 2,7 proc., pozwalającym sfinansować – obiecanie przed wyborami – „rozbujać” gospodarkę przez konsumpcję, pewną formę dochodu obywatelskiego i obniżenie wieku emerytalnego.

Hasło nieulegania „dyktatowi unijnej biurokracji” nadal przynosi zysk w sondażach, więc rządząca Liga i jej mocny człowiek Matteo Salvini idą na czołowe zderzenie. Ale może się okazać, że do zderzenia dojdzie głównie z rynkami, które po obniżce ratingu kredytowego Włoch, jakiej dokonała właśnie agencja Moody's, zwiększą koszt pożyczania im pieniędzy.

Z drugiej strony również Bruksela nie może otwarcie ustąpić Włochom w tej sprawie, bo to oznaczałoby koniec obowiązywania – i tak kruchych – reguł wspólnej polityki budżetowej. © WP

Izrael: nieudany pokaz siły

KAROLINA
PRZEWROCKA-
ADERET Z TEL AWIWU



TEN PROCES MIAŁ BYĆ POKAZOWY, a stał się porażką rządu Netanahu: oto 22-letnia Amerykanka Lara Alqasem, oskarżona o zaangażowanie na rzecz ruchu wzywającego do bojkotu Izraela (BDS), dzięki wyrokowi Sądu Najwyższego w Jerozolimie otrzymała prawo wjazdu do kraju. Historia tej studentki, zatrzymanej na ponad dwa tygodnie na lotnisku Ben Guriona (mimo uzyskanej wcześniej wizy), odbiła się echem w świecie. W wyroku sędziowie stwierdzili, że unieważnienie wizy z powodu politycznych poglądów Lary Alqasem byłoby ruchem zagrażającym filarom demokracji. Uznali też, że jej dawna aktywność w ruchu bojkotowym była niewielka, a jej pragnienie studiowania na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie jest szczere.

Niezależna decyzja sądu zaskoczyła rząd, który liczył, że proces studentki pokaże siłę Izraela w walce z ruchem BDS. Ale w rezultacie go ośmieszyła – wytoczył on wielką armatę (śledztwo objęło m.in. wpisy w mediach społecznościowych) przeciw niewłaściwej, bo mało szkodliwej osobie. Członkowie rządu zarzucili sędziom działanie na niekorzyść kraju.

Walka z ruchem BDS jest jedną z bolączek izraelskiego rządu. W Knesecie pojawiła się propozycja zaostrzenia prawa antybojkotowego: za udział w BDS miałyby grozić do 7 lat więzienia. Już teraz Izrael blokuje wjazd osobom związanym z tym ruchem. ©

Krym: żałoba ponad podziałami

MASAKRA W SZKOLE w mieście Kercz na okupowanym Krymie na chwilę zawiesiła różnice między społecznościami rosyjską oraz krymskotatarską i ukraińską. Przynajmniej tam „na dole”: wśród ofiar (20 zabitych i 50 rannych) są przedstawiciele wszystkich tych grup. „Ból naszych sąsiadów na Krymie – to nasz ból. (...) W takiej sytuacji jest ważne, aby nie przekraczać »czerwonych linii«, aby tragedii zwykłych ludzi nie zamieniać w polityczne spekulacje” – czytamy w kondolencjach dla rodzin ofiar na tatarskiej stronie „Krymska Solidarność”.

W środę, 17 października, 18-letni uczeń – podobno skonfliktowany z nauczycielami – przyniósł do miejscowego technikum karabin i ładunki wybuchowe (broń kupił legalnie, a ładunki sporządził z także legalnie kupionej amunicji). Strzelał systematycznie, chodząc od klasy do klasy. Zabił 15 uczniów i 5 nauczycieli.

Głos zabrał też prezydent Putin: stwierdził, że winna jest globalizacja (bo „wszystko zaczęło się od tragicznych wydarzeń w szkołach w USA”) i internet (bo dostarcza młodym fałszywych wzorców). Tymczasem dziennikarze, którzy analizowali profil zabójcy na portalu VKontakte („rosyjskim Facebooku”), ustalili, że w 2014 r. – gdy zaczęła się rosyjska agresja na Krymie i w Donbasie – nastolatek zamieszczał wpisy chwające Putina. Później zaprzestał takich aktywności. Jego znajomi twierdzą, że był coraz bardziej wycofany.

© WP / KRYMSKA SOLIDARNOŚĆ, FAZ



CC-BY-SA-4.0

Europa seksizmu

SKALA PRZEMOCY WOBEC KOBIET w europejskich parlamentach jest olbrzymia – to wniosek ze wspólnych badań Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy i Unii Międzyparlamentarnej. Aż 85 proc. kobiet doświadczyło przemocy psychicznej, 47 proc. – gróźb przemocy fizycznej. Jedna czwarta ankietowanych padła ofiarą przemocy seksualnej, a prawie 15 proc. – fizycznej. 68 proc. spotkały komentarze dotyczące ich wyglądu fizycznego lub stereotypów związanych z płcią; ponad połowę – seksistowskie zachowania w mediach społecznościowych. Na potrzeby badań rozmawiano z kobietami z 45 państw europejskich, posłankami i pracowniczkami parlamentów. © EB

W SKRÓCIE

MANIPULACJA. „Wszelkie komunikaty o migrantach nasyczone pogardą i strachem bez wykazania realnego zagrożenia, podane z nieczułością na tragedię kogokolwiek są niezrozumiałe, trącą manipulacją. Katolicy powinni bronić się przed tym, zwłaszcza gdy dzieje się to rzekomo w celu obrony wartości chrześcijańskich” – powiedział bp Krzysztof Zadarko, komentując spot wyborczy PiS, który przekonywał, że jeśli politycy PO przejmą władzę, napadą na tle seksualnym i akty agresji będą codziennością. „Nie życzę żadnemu z członków partii rządzącej, żeby stał się uchodźcą i był tak traktowany w potrzebie, jak oni traktują uchodźców” – mówił o spocie z kolei bp Tadeusz Pieronek.

PAŃSTWO PRAWA. W obliczu kwestionowania wartości, jakie stały u podstaw mozołnie odbudowywanego po 1989 r. państwa prawa, oczekiwany jest głos Kościoła. Paradoksalnie, mimo jego dzisiejszej krytyki, to oczekiwanie jest wyrazem zaufania do instytucji, która potrafiłaby to wzburzone morze uspokoić – zauważyła była premier Hanna Suchocka podczas konferencji „Podzwonne dla rozdziału Kościoła i państwa?”, która odbyła się w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Jej uczestnicy zastanawiali się m.in., na jakich zasadach i w jakich granicach Kościół powinien brać udział w debacie politycznej.

ZAPROSZENIE. „Na pewno odpowiem, jeżeli dotrze za prośbienie oficjalne i jeśli będę mógł pojechać” – powiedział Franciszek prezydentowi Korei Południowej Mun Jae-inowi, który przekazał papieżowi ustne zaproszenie od prezydenta Korei Północnej Kim Dzong Una.

SPONSORING. Od początku rządów PiS z budżetów ministerstw trafiło do instytucji prowadzonych przez o. Tadeusza Rydyka ponad 15 mln zł – wyliczył poseł PO Mariusz Witeczak, który cyklicznie wysyła zapytania poselskie do wszystkich resortów i Kancelarii Premiera. W przyszłości redemptorysta z Torunia ma otrzymać także 70 mln zł na budowę Muzeum „Pamięć i Tożsamość”.



Czy straszenie uchodźcami przestało się politykom opłacać? **MARCIN ŻYŁA**

opowie o tym Agnieszka Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM

w czwartek 25 października o godz. 16.00

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin

94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Choleryk i ewangelia

NAGRODĘ „VERITATIS SPLENDOR” otrzymał ks. Mieczysław Puzewicz, współzałożyciel Centrum Wolontariatu w Lublinie. Województwo Małopolskie przyznaje ją ludziom, którzy walczą ze stereotypami i działają dla dobra innych. Zasługi ks. Puzewicza długo można wyliczać: to angażowanie młodych do niełatwego zadania nieodpłatnej pomocy innym, praca wśród więźniów, towarzyszenie chorym i umierającym, pomoc dla bezdomnych („trzeba ludziom dać kalorie przed nocą, żeby ich wzmocnić i by organizm miał siłę zmierzyć się z zimnem” – tłumaczył), mieszkańców bloków socjalnych, powodzi i uchodźców.

ANDRZEJ BANAS / POLSKA PRESS / EAST NEWS



Współpracownicy opisują go jako choleryka wrażliwego na potrzeby innych.

Ks. Puzewicz parł się dziennikarstwem, m.in. jako dyrektor Radia Er; przez wiele lat był rzecznikiem abp. Życińskiego. Jest też duszpasterzem. Oto, jak na swoim blogu itinerarium.pl skomentował ewangelię z zeszłej niedzieli (Mk 10, 35-45): „Jest pokusa, aby ją potraktować jako skierowaną do apostołów kłócących się o ministerialne stołki. Popatrzmy jednak, kto zmywa naczynia u nas w domu, kto szoruje klozet, sprząta po psie i nie waha się podmywać sparaliżowaną babcię. Jeśli tam siebie odnajdziemy, dobrze słuchaliśmy tej ewangelii i więcej jeszcze – zamieniliśmy ją w dzieło. Mnie samemu ta ewangelia jasno pokazuje, gdzie jest moje miejsce. Tam, gdzie mogę służyć swoim czasem, słowem, siłą i prostą obecnością”.

© P MaM



ABACA / PAP

Sami biskupi nie zmieniają świata

TRZEBA PRZYZNAĆ: papież dał biskupom popalić. Od trzech tygodni codziennie, także w soboty, zaczynają pracę o 9, a kończą po 19. Co prawda z przerwą na obiad i sjęstę, ale i tak 7 godzin się ueziera. Absencja niemal zerowa, szef cały czas patrzy. To chyba największe zaskoczenie: Franciszek bierze udział we wszystkich modlitwach i sesjach (jedynie gdy przyjmował jakąś ważną osobistość, wychodził przed zakończeniem obrad). Przykład mobilizuje. Papież ma 82 lata, porusza się z trudem, zaliczył nawet niegroźny upadek, gdy noga zaplątała mu się w sutannę. Biskupi są młodszy, niektórzy nawet o 30 lat.

Co z tej pracy wyniknie, dowiemy się niedługo. Przedyskutowano wszystkie możliwe problemy – ale chyba nikt się nie spodziewał, że synod zakończy wojny, zlikwiduje głód, zmniejszy przestępczość i narko-

manię, zatrzyma migracje lub przynajmniej demoralizację. Biskupi nie zmieniają świata.

Mogą go zmienić ci, którym synod jest poświęcony – młodzi. I o to jest cała walka.

Biskupi mogą zmienić Kościół: przywrócić mu wiarygodność (na autorytet trzeba popracować dłużej); zrobić w nim miejsce dla młodzieży (nie jako „przedmiotu duszpasterskiej troski”, ale równoprawnego podmiotu); sprawić, by stał się domem (a nie urzędem czy firmą); znaleźć nowe formy komunikacji (by przebić się z Ewangelią przez chmury tagów, tweetów, postów i snapów); zmienić język (by nie mówić do młodzieży o „rozpoznawaniu duchów”); zacząć rozmawiać z młodymi o ich problemach.

Biskupi mogą zmienić Kościół. Od nich zależy, w jakiej formie te postulaty trafią do końcowego dokumentu. Czy zostanie on przyjęty w sobotnim głosowaniu. I czy potem nie pokryje się kurzem na półkach sekretariatów i referatów ds. młodzieży.

© P EDWARD AUGUSTYN z Rzymu

Ekologiczno-religijna burza mózgów

ARTUR SPORNIAK



NA DWA DNI KRAKÓW STAŁ SIĘ ŚWIATOWYM centrum religijnego myślenia o ekologii. Uniwersytet Papieski Jana Pawła II wraz z Światowym Ruchem Katolików na Rzecz Środowiska w Rzymie zorganizował konferencję „Creatio continua”. Nad sposobami na kryzys ekologiczny zastanawiali się m.in. propagator ekonomii komunii Luigino Bruni; watykański „minister środowiska” Joshtrom Kureethadam; twórca idei „Blue Labour” –

konserwatywnej wersji socjalizmu – Maurice Glasman; oraz John Milbank – twórca radykalnej ortodoksji, teologicznego ruchu, który w polemice z nowożytnością i z wykorzystaniem postmodernizmu próbuje przywrócić teologii zdolność syntetycznego myślenia o Bogu, świecie i człowieku. Nowe inspiracje dla ekologicznej odpowiedzialności może przynieść także inny nowy paradygmat w teologii – teologia ewolucyjna.

© P

W SKRÓCIE

SALONY. Ponad stu małopolskich artystów zaprezentowało swoje prace podczas Krakowskiego Salonu Sztuki. Celem imprezy była m.in. integracja środowiska. Udało się – twórcy, którzy nie przeszli przez eliminacyjne sito, zorganizowali w pobliskim barze Salon Odrzuconych. Grand Prix imprezy zgarnął „Batwan”.

MASZYN. Niepocieszony jest też Banksy. Autor obrazu, który podczas licytacji w domu aukcyjnym uległ częściowemu samozniszczeniu, opublikował w sieci filmik z przygotowań do przedsięwzięcia. Na nagraniu prezentuje prace nad ramą, w tym montaż niszcarki do dokumentów, która poszatowała „Dziewczynkę” – wbrew planom Banksy’ego oszczędzając balonik. „Na próbach działało za każdym razem” – usprawiedliwia się artysta.

SATELITY. Popularniejsza od „Dziewczynki z balonikiem” będzie z pewnością kosmiczna rzeźba, którą wyniesie na orbitę rakieta Falcon 9. „Orbitalny reflektor” amerykańskiego artysty Trevora Paglena ma być widoczny na listopadowym niebie gołym okiem, co może uczynić go najpowszechniej oglądanym dziełem sztuki na świecie.



NEVADA MUSEUM OF ART

ŁĄDOWANIE. W jednym ze szczecińskich kin, na pierwszym w Polsce ekranie sferycznym, obejrzymy natomiast lądowanie na Księżycu. Zamieszczonych nad głowami widzów osiem projektorów zapewnia efekt 3D bez konieczności zakładania okularów. Oprócz kosmosu w kinie można zwiedzać tąkę.

ZIEMIA. Tych, którzy wolą bardziej bezpośredni kontakt ze sztuką, ucieszy wystawa grafik Dalego w Grudziądzu i prezentowany w Mysłowicach zbiór litografii Chagalla.



FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA GAZETA

MIŚ USZATEK, Colargol oraz zdobywca Oscara „Piotruś i wilk” – to tylko kilka eksponatów łódzkiego Muzeum Animacji Se-ma-for, które w minionym tygodniu zajął komornik. Ministerstwo Kultury planuje odkupić zbiory i umieścić je w Narodowym Centrum Kultury Filmowej lub Muzeum Kinematografii. Ostatnie przygody Uszatka z komornikiem śledziliśmy w 2008 r., gdy powoływano Muzeum – Miś był wówczas przedmiotem sporu o prawa majątkowe. ©P

Dalekie echa jądra

POD NASZYMI NOGAMI znajduje się solidna ziemia, a pod nią jeszcze solidniejsza Ziemia. Na głębokości ok. 2900 km chlupocze jednak ocean roztopionego żelaza. W 1936 r. duńska geofizyk Inge Lehmann odkryła, że fale sejsmiczne wędrujące przez jądro – a więc np. wykrywane w Polsce ślady po trzęsieniu ziemi na Pacyfiku – wydają się nieco przyspieszać w samym środku planety.

To sygnał jądra wewnętrznego, które jest zestalone. Parę dni temu opisano nową me-

todę jego badania: subtelne echo powstające, gdy delikatne wibracje jądra wewnętrznego odbijają się od kolejnych warstw naszej planety. Jedną z takich fal ma oznaczenie kodowe „PKIKPPKIKP”, a więc: powierzchnia-jądro zewnętrzne-jądro wewnętrzne-zewnętrzne-powierzchnia-zewnętrzne-powierzchnia (!). Koniecznie narysuj na kartce trzy współśrodkowe okręgi i odkoduj zapis. To trochę jak wykrywanie na podstawie dźwięku, jaki wydaje garnek po uderzeniu w niego młotkiem, czy w pływającym w zupie klopsiku znajduje się chrząstka. Da się? Da się. Bo nauka jest super. ©P ŁŁ

Coetzee w Katowicach

NOBLISTA OTRZYMAŁ tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego. Uroczystość nadania odbyła się w poniedziałek w Katowicach. Wielki pisarz, słynący ze skrytości i niechęci do publicznych spotkań (dość powiedzieć, że żadnej z Nagród Bookera nie odebrał osobiście), przyjechał do Polski już po raz trzeci. W 2006 r. szukał swoich polskich korzeni w wielkopolskiej wsi Czarnylas. W 2012 r. również odbierał tytuł doktora *honoris causa*, wtedy na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

©P MS



TIZIANA FABI / AFP / EAST NEWS

 **Kraków**

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

22–28.10.2018
pałac czeczotka

p o p

CONRAD FESTIVAL

**międzynarodowy
festiwal literacki**



www.conradfestival.com

znajdź nas: **#conradfestival**

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Organizatorzy:



Partner dla Krakowa:



Wsparcie:



dofinansowane
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego





PROGRAM NARODU PROGRAMEM PARTII

Dwa i pół roku po wprowadzeniu flagowego pomysłu PiS
czas na bilans. Jaka jest prawda o 500 plus?

MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Białystok, wrzesień 2016 r.

JEDEN Z CZOŁOWYCH POLSKICH EKONOMISTÓW, sam siebie nazywający liberałem starej daty, prosił o rozmowę zbywa grzeczną, acz kategorię odmową. – Przepraszam, ale znajomi mają już do mnie pretensje, że za bardzo chwalię ten projekt. A ja po prostu nie mam go za co krytykować – mówi.

O 500 plus nie rozmawialiby też najchętniej politycy opozycji. Ale muszą. Efektem jest czteroletnia historia prób wydostania się z PR-owego potrzasku, jakim z ich punktu widzenia musi być wprowadzony przez PiS Program. Od frontalnej jego krytyki na początku, przez prognozowanie

budżetowej katastrofy i zapowiedzi jego zniesienia bądź okrojania, aż po obietnicę rozbudowy: Grzegorz Schetyna ogłosił, że 500 plus należy się wszystkim od pierwszego dziecka.

Podobne reakcje to dowód na siłę mitu 500 plus. Programu, który uchodzi za „nie do ruszenia” na lata i za instrument bez słabych punktów. Ten mit wykluczył dyskusję o bilansie Programu, a tym samym uniemożliwił jego poważną krytykę. Bo trudno serio traktować doniesienia medialne o „hordach beneficjentów” zaśmiecających wybrzeże albo rytualne narzekania, że PiS „kupiło sobie wyborców”. Jasne,

że „kupiło”, ale czym polityczna moneta 500 plus różni się np. od programu budowy autostrad, którym słusznie chwaliła się Platforma?

Dwa i pół roku po wprowadzeniu Programu zostaliśmy więc z bezradnymi zwykłe krytykami i z powtarzaną automatycznie – wcale nie tylko przez apologetów PiS – sentencją: „500 plus wielkim sukcesem rządu jest”.

Bieda plus

Trzeba przyznać: istnieje przynajmniej jedna sfera, do której ta sentencja pasuje. Bartosz Marczuk, dziś wiceminister ➔

→ rodziny, pracy i polityki społecznej, a także operacyjny „mózg” Programu, jeszcze jako publicysta napisał dla tygodnika „Wprost” artykuł: „Nędza ma twarz dziecka”. Przypomniał w nim, że choć za najbardziej dotknięte w III RP ubóstwem grupy uważa się emerytów i rolników, tak naprawdę zjawisko to uderzyło przede wszystkim w dzieci. Tekst powstał w kwietniu 2015 r., ale Marczuk mógł go napisać równie dobrze 10 albo 15 lat wcześniej.

– Bieda wśród dzieci to największy wstyd polskiej polityki po 1989 r. A redukcja skrajnego ubóstwa w tej grupie, głównie za sprawą Programu Rodzina 500 plus, jest sukcesem na skalę światową – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” wiceminister.

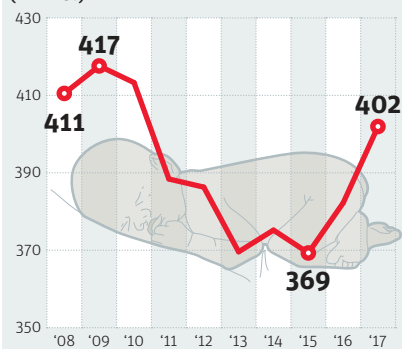
Przed dekadą w skrajnej nędzy (czyli poniżej poziomu gwarantującego podtrzymanie „funkcji życiowych człowieka i sprawności psychofizycznej”) żyło w Polsce 600 tys. dzieci, a w latach 2011–14 liczba ta oscylowała nawet wokół 700 tys. Rok 2016 (a więc pierwszy, w którym – od kwietnia – obowiązywał Program) to już spadek do 400, kolejny zaś – do 325 tys. Oznacza to, że w ciągu trzech lat udało się zmniejszyć liczbę dotkniętych skrajną biedą dzieci o ponad połowę.

Wrażenie robią też spadki biedy w rodzinach z dziećmi (tu statystyki wychwytyują dochód na osobę w gospodarstwie) – tym większe, im większa ich liczba znajduje się pod opieką dorosłych. I tak: w gospodarstwach prowadzonych przez pary z jednym dzieckiem zasięg ubóstwa skrajnego spadł przez trzy lata (2014–17) z 2,7 do 1,3 proc., a w gospodarstwach z dwójką – z 4,5 do 2,2 proc. Stan portfeli rodzin z trójką, a także czwórką lub większą liczbą potomstwa poprawił się tak radykalnie, że GUS przestał podawać dane dotyczące tych grup: życie poniżej minimum egzystencji stało się tam zjawiskiem śladowym.

Prof. Ryszard Szarfenberg, badacz zjawiska ubóstwa z Instytutu Polityki Społecznej UW, zwraca też uwagę na zjawisko, które pojawiło się dopiero niedawno: – W 2017 r. radykalnie, bo o ponad połowę, spadła bieda skrajna w gospodarstwach z samotnymi rodzicami, o których mówiło się w czasie wprowadzania 500 plus, że są przez ten mechanizm dyskryminowani, mając na myśli głównie samotne matki z jednym dzieckiem. Okazuje się, że ta grupa zyskuje ostatnio statystycznie najbardziej.

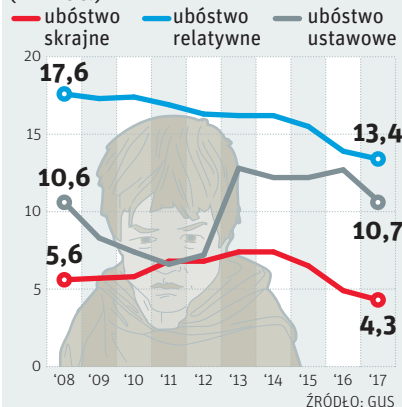
LICZBA URODZEŃ

(W TYS.)



ZASIĘG UBÓSTWA W POLSCE

(W PROC.)



Gdyby język liczb przenieść na codzienność, można by opowiadać o pierwszych w życiu wielu dzieci wakacjach, porządnym przyborach szkolnych czy korepetycjach. „Proszę sobie to wyobrazić: przychodzi do pana dziecko i mówi, że chce jechać na wakacje albo wycieczkę. A pan mówi, że nie ma pieniędzy. Kto nie zobaczył oczu dziecka w takiej sytuacji, nie zrozumie, ile mogą znaczyć te pieniądze” – mówił rok temu „Tygodnikowi” Witold Miarka, ojciec czworga dzieci, szef wadowickiego koła Związku Dużych Rodzin 3Plus.

A Bartosz Marczuk dodaje zgłaszane przez samorządowców mniej oczywiste sygnały zmian: – Np. zniknięcie z rynku ponad dwudziestu firm pożyczkowych albo historie ze szkół, gdzie na wywiadówki zaczęli przychodzić rodzice, którzy wcześniej tego nie robili, bo zalegali z jakimiś opłatami – mówi wiceminister. – Jeden z wójtów opowiadał mi, że w pierwszym okresie obowiązywania świadczenia zaobserwował w gminie nagły wzrost ilości śmieci wielkogabarytowych, bo ludzie zaczęli pozbywać się starych mebli...

Wymowy podobnych obrazów nie osłabiają przypadki marnotrawstwa czy patologii. Nieodłącznego, choć – wszystko na to wskazuje – marginalnego w stosunku do alarmistycznych prognoz sprzed trzech lat zjawiska towarzyszącego Programowi. MRPiPS rejestruje miesięcznie ok. 2 tys. przypadków, w których urzędnicy muszą odebrać rodzinie świadczenie w gotówce, w zamian przyznając – zgodnie z obostrzeniami w przepisach – pomoc rzeczową bądź w formie usług.

Wymowy tej nie osłabi też oczywista dla ekonomistów prawda: spadek skali biedy to również wypadkowa innych niż 500 plus czynników, na czele z dobrą koniunkturą (nieprzypadkowo zniżki wskaźników skrajnego ubóstwa widoczne są już w statystykach z 2015 r.). – Można się tylko z tego zbiegu pozytywnych okoliczności cieszyć – mówi prof. Szarfenberg. – Bo nawet jeśli, bez większego związku z działaniami rządu, poprawiła się sytuacja rodzin na rynku pracy, to ewidentnie nałożył się na to pozytywny wpływ Programu 500 plus.

Demografia minus

Znacznie mniej jednoznaczny jest wpływ Programu na demografię. To o tyle ciekawe, że właśnie wzrost dzietności był głównym – deklarowanym przez idącą do władzy partię Jarosława Kaczyńskiego – celem świadczenia.

Jaka jest rzeczywistość? Ministerstwo rodziny broni tezy o demograficznym skoku: – GUS opublikował kilka lat temu prognozę dla 2017 r.: w wersji pesymistycznej, realistycznej, optymistycznej i skrajnie optymistycznej. W rządzie założyliśmy, że sprawdzi się ta ostatnia, czyli że w roku tym urodzi się 380 tys. dzieci. Na świat przyszło 402 tysiące – mówi Bartosz Marczuk.

Tyle że gdy wynik ten przykładać nie do – z natury abstrakcyjnych – prognoz GUS, lecz do statystyk z lat ubiegłych, wzrost okaże się znacznie skromniejszy. W 2015 r. – a więc w ostatnim, w którym nie obowiązywał jeszcze Program 500 plus – urodziło się w Polsce niemal 370 tys. dzieci. W roku kolejnym (wtedy Program działał od kwietnia, ale trudno uznać, że zdążył wpłynąć na zachowania) na świat przyszło ich ponad 382 tys. Zatem 402 tysiące dzieci z następnych 12 miesięcy to wzrost o niecałe 20 tys., a więc o nieco ponad 5 proc. Co więcej: wstępne dane z bieżącego roku mówią o 194 tys. urodzeń

w pierwszym półroczu, co sugeruje wynik bardziej zbliżony do 2016 r. niż do rekordowego 2017.

– Skupianie się jedynie na corocznej liczbie urodzeń, a już tym bardziej comiesięczne przyglądanie się jej uważam za zwracanie głowy – mówi prof. Irena Kotowska z Instytutu Statystyki i Demografii warszawskiej SGH. – Widać coraz wyraźniej, że wzrost urodzeń był krótkotrwały i będzie się wyczerpywał. Wynika to stąd, że kobiety urodzone w fali wyżu demograficznego z przełomu lat 70. i 80. osiągną stopniowo wiek 40 lat, a kolejne roczniki kobiet będących w wieku 25-39 lat, a więc najważniejszych dla ogólnej liczby urodzeń, będą mniej liczne. Innymi słowy: nawet jeśli te kobiety będą częściej rodzić, to ogólna liczba urodzeń będzie spadać, bo potencjalnych matek będzie coraz mniej.

Prof. Kotowska radzi więc, by zamiast ekscytować się informacjami o tym, ile dzieci przyszło na świat, odwoływać się do bardziej miarodajnego wskaźnika, jakim jest współczynnik dzietności – ten pokazuje, ile dzieci rodzi się w przeliczeniu na kobietę w wieku rozrodczym. I choć również on w ostatnich latach nieznacznie wzrósł (1,29 w roku 2015, 1,36 w kolejnym i 1,45 w ubiegłym), to żaden demograf nie jest w stanie ocenić, z czego nadwyżka wynika.

– Nie wiemy, jak duży efekt można przypisać odkładaniu decyzji prokreacyjnych na czas lepszej sytuacji gospodarczej, która przecież nastąpiła, a jak wiele zależało od

Politycznie przyszłość 500 plus jest niezagrażona.

Ekonomicznie
już niekoniecznie.

różnych, wprowadzanych w ostatnich latach i za dwóch różnych rządów instrumentów wspierających rodziny, z których tylko jednym jest 500 plus – mówi prof. Kotowska.

– Jedno jest pewne: wzrosty statystyk dotyczących demografii korelują z wprowadzeniem przez nas Programu – ripostuje Bartosz Marcuk. Choć przyznaje: – Rzeczywiście nie da się bardzo precyzyjnie określić, w jakim stopniu świadczenie to wpłynęło na dzietność. Tak samo jednak nasi krytycy nie są w stanie powiedzieć, jak duży był wpływ innych czynników.

Ale to politycy partii rządzącej już w 2017 r. – gdy pojawiły się nieznaczne wzrosty, a specjaliści apelowali o ostrożność w diagnozach – pospieszili z odtrąbieniem sukcesu. Premier Beata Szydło już w pierwszej połowie 2017 r. mówiła, że „baby boom zaczyna być faktem”, a Jarosław Sellin ogłaszał, że „Polska przestaje się wydłubiać”.

Półtora roku po tych wypowiedziach o baby boomie jakby ciszej. Nic dziwnego: polskie „rekordowe” 1,45 dzieci na kobietę sytuuje nas na szarym końcu wśród krajów Unii, i wyraźnie poniżej europejskiej średniej (nie mówiąc już o przepaści dzielącej nas od poziomu 2,1, który demografowie uznają za gwarantujący tzw. zastępowalność pokoleń). W czasie, gdy politycy polscy oraz część mediów ogłaszali „demograficzny sukces”, Francuzi bili na alarm. Ich współczynnik dzietności zaczął spadać. Z 2,01 dziecka na kobietę – do poziomu 1,92...

Prawda o naszej dzietności w dobie 500 plus jest więc następująca: zamiast baby boomu mamy zapis demograficznych drgań, których specjaliści nie mogą jednoznacznie przypisać Programowi.

Praca minus

W dodatku już pierwsze dwa lata wypłat pokazały, jakie ryzyko niesie ze sobą radykalna inwestycja w dzietność. Chodzi o wychwyconą w 2016 r. przez badaczki Instytutu Badań Strukturalnych (przy współpracy OECD) grupę kobiet, które za sprawą 500 plus zrezygnowały z pracy bądź starań o nią. Iga Magda (IBS i SGH), Aneta Kiełczewska (IBS), a także Nicola Bandt (OECD) przyjrzały się ruchom na rynku pracy między III kwartałem 2016 a II kwartałem 2017 r. Wniosek: między 91 a 103 tys. kobiet zmieniło swój rynkowy status tylko za sprawą wprowadzenia Programu. Efekt dotyczył przede

Szwecja na Targach Książki w Krakowie

WYBRANE PUNKTY PROGRAMU GOŚCIA HONOROWEGO 22. MIĘDZYNARODOWYCH TARGÓW KSIĄŻKI W KRAKOWIE

Czwartek, 25 października

10.00–12.00, Sala Lwów B

Helena Gomér, dyrektorka biblioteki w Södertälje pod Sztokholmem wygłosi wykład „Biblioteki mają znaczenie”

Piątek, 26 października

10.00–11.30, Sala Budapeszt AB

Czytelnictwo. Nadzieja w dzieciach? Spotkanie na temat wspierania czytelnictwa.

17.00–18.30,

Sala Budapeszt AB

Spotkanie z Martinem Widmarkiem.

Sobota, 27 października

11.00–12.30, Sala Budapeszt B

Spotkanie z Hermanem Lindqvistem, historykiem i dziennikarzem, autorem książki „Wazowie. Historia burzliwa i brutalna”

13.00–14.30, Sala Budapeszt B

Spotkanie z Thomasem Eriksonem, autorem przewodnika po ludzkich charakterach „Otoczeni przez idiotów”

15.00–16.30, Sala Budapeszt B

Spotkanie z autorami reportaży: Elisabeth Åsbrink i Niklasem Orreniusem.

17.00–18.30, Salonik Literacki, Hala „Wisła”

Blogerzy o Szwecji: Paulina Górszczak (Marchewkowa Skandynawia), Aldona i Adam Hartwiński (PoFIKAsz. O Szwecji po polsku) i Natalia Kołaczek (Szwecjoblog) z Michałem Cessanisem

Niedziela, 28 października

12.30–13.00,

Stoisko Szwecji D33, Hala Wisła

Cudowna podróż: nauka języka szwedzkiego dla dzieci i dorosłych (lekcje zaplanowano także w sobotę)

13.00–14.30,

Stoisko Szwecji D33, Hala Wisła

Spotkanie na temat promocji literatury szwedzkiej w Polsce i literatury polskiej w Szwecji

www.szwecja-targiaksiazki.pl

→ wszystkim kobiet gorzej wykształconych i mieszkających w mniejszych miejscowościach.

Co na to ministerstwo? – Uważam te badania za wiarygodne, ale muszą być interpretowane w kontekście – mówi Bartosz Marczuk. – W Polsce pracuje ponad 7 milionów kobiet, mówimy zatem o nieco ponad procencie w stosunku do całości. Po drugie: nie wiemy, czy rezygnacja z pracy ma charakter tymczasowy, czy trwały. Ponadto warto zadać pytanie: czy rezygnację z pracy zarobkowej niewielkiej części kobiet na pewno można uznać za stratę dla wspólnoty w sytuacji, gdy kobiety te zajmują się lepiej swoimi dziećmi? Zwłaszcza że wskaźnik zatrudnienia kobiet nie jest wcale w Polsce niski. Choć ten obejmujący całą populację kobiet jest rzeczywiście poniżej unijnej średniej, to już w grupie pań między 25. a 40. rokiem życia tę średnią przewyższa! Nie bałbym się więc wyników badań IBS, tym bardziej że w jakiejś mierze dotyczą dobrze wykształconych kobiet, które nie będą raczej miały problemów z powrotem na rynek pracy.

Poproszona o odniesienie się do tej interpretacji Iga Magda z IBS proponuje nieco inną perspektywę: najlepsza sytuacja gospodarcza po 1989 r. to doskonała okazja dla rządu, by przynajmniej część z 1,8 mln nieaktywnych zawodowo kobiet pomiędzy 20. a 49. rokiem życia zachęcić do pracy zarobkowej: – Nie chodzi wcale o podważanie czy krytykę Programu 500 plus, ale o dyskusję, jak zneutralizować uboczne skutki tego świadczenia – mówi „Tygodnikowi” badaczka. – A o dyskusję trudno, gdy ministerstwo „wie lepiej” i nie jest specjalnie zainteresowane monitorowaniem skutków 500 plus. Nie wiemy, jak duży odsetek zdeaktywowanych kobiet odszedł z rynku pracy trwale. Wyniki naszych badań pokazują, że rezygnacja z aktywności nie dotyczy wyłącznie matek małych dzieci, ale też tych przedszkolnych i szkolnych. Można domniemywać, że te panie nie wrócą szybko na rynek pracy.

W tym akurat punkcie specjaliści – i ministerialni, i niezależni – są zgodni: jedną z największych barier polskiej dzietności jest trudność łączenia dwóch sfer życia.

– Praca staje się coraz bardziej wymagająca, wzrasta więc napięcie pomiędzy aktywnością zawodową a rodzinną – zauważa prof. Kotowska. – Zwłaszcza że współczesny rodzic też jest bardziej zaangażowany w ojcostwo czy macierzyństwo.

To dlatego narzędzia, po które sięga państwo, muszą dziś wykraczać daleko poza transfery finansowe. I wykraczają. Nawet jeśli nadal brakuje żłobków i przedszkoli, to przez ostatnie lata dokonał się wyraźny postęp. Co ciekawe: niewielu w kraju trawionym przez polityczną awanturę chciałoby się tym chwalić, postęp jest efektem polityki gabinetu PO-PSL, który zaczął proces upowszechniania opieki przedszkolnej, kontynuowany (minister Marczuk nazywa to nawet „dobrą kontynuacją”) przez nową ekipę. Ale też PiS-u, który trzykrotnie zwiększył nakłady na opiekę żłobkową.

Barierą pozostaje kosztowny rynek pracy, na którym trudno się odnaleźć szukającej elastycznego zatrudnienia matkę małego dziecka.

– Barierą jest też nie do końca spójna polityka państwa, co widać również na

REKLAMA

ZBIGNIEW PREISNER I PRZYJACIELE

„STARE I NOWE KOŁĘDY”

zaśpiewają:

**Beata Rybotycka, Edyta Krzemień,
Joanna Pocica, Maciej Balcar,
Zbigniew Preisner,
Zespół Jana Karpiela Bułecki**

10 stycznia 2019 – ICE Kraków Congress Centre
14 stycznia 2019 – Narodowe Forum Muzyki Wrocław
15 stycznia 2019 – Torwar Warszawa
16 stycznia 2019 – Filharmonia Bałtycka Gdańsk
19 stycznia 2019 – Sala Ziemi Poznań

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl

Prestige
10^{let}
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

15
Classic

wprost

Multikino

DO RZECZY

empik

T3

pap

WP

STRÖER

trojmiasto.pl

VIXON

cgm.pl

PRESS
SERVICE

przykładzie 500 plus – dodaje Iga Magda. – Rząd nie zdecydował się wprowadzić mechanizmu „złotówka za złotówkę” w przypadku progu dochodowego na pierwsze dziecko. Mechanizm sprawiłby, że rodzice, których dochód przekracza ten próg o 200 zł, dostaliby od państwa 300. Teraz w takiej sytuacji nie dostają nic, w efekcie czego nie opłaca się im podjąć pracy nawet na część etatu, bo tracą świadczenie na pierwsze dziecko.

W efekcie to kobiety – głównie z mniejszych miejscowości – mogą wyrosnąć na główną ofiarę 500 plus: – Np. wpaść w przyszość w pułapkę niskich dochodów, zwłaszcza w sytuacji, gdy zdecydowały się przerwać aktywność zawodową, a później rozstały się z mężem czy partnerem, co w dzisiejszych czasach zdarza się przecież często – zwraca uwagę prof. Kotowska.

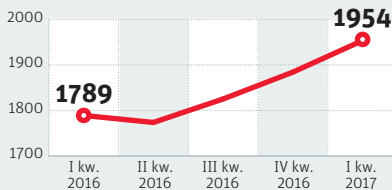
O tym, czy Program dla części kobiet stanie się taką pułapką, zdecydują dalsze decyzje rządzących. Dane demograficzne z krajów, które od lat prowadzą hojną politykę prorodziną, choćby Norwegii czy Finlandii, pokazują, że osoby chcące wrócić na rynek pracy po kilkuletniej przerwie na wychowanie dzieci nie mają z tym problemów – dzięki aktywnemu wsparciu państwa. Podobny program osłonowy, w skład którego mogłyby wejść np. ulgi podatkowe dla firm zatrudniających rodziców wracających na rynek pracy czy szkolenia ułatwiające nadrobienie kompetencyjnych zaległości, mogłyby towarzyszyć Programowi 500 plus. Na razie go nie ma.

Portfel plus

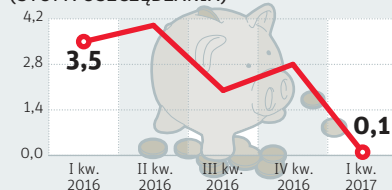
Nie od rzeczy jest pytanie o bilans 500 plus w kontekście innych działań rządu, które dokręciły Polakom fiskalną śrubę. Program wystartował niemal jednocześnie z podatkiem bankowym, który teoretycznie miał uderzyć po kieszeni tylko ich akcjonariuszy, ale z góry było wiadomo, że poeci od bankowych regulaminów znajdą sposób na przerzucenie tej daniny na klientów. Potem pojawiło się m.in. zniesienie górnego limitu składek na ZUS, niekorzystne zmiany w zasadach opodatkowania płatnych zajęć dodatkowych w szkołach i przedszkolach oraz podwyżka kilku akcyz. Akurat te zmiany odczuły w budżetach głównie dobrze sytuowane rodziny. Niespełniona obietnica z kampanii wyborczej o cofnięciu „tymczasowej” podwyżki stawek VAT-u, wpro-

OSZCZĘDNOŚCI GOSPODARSTW DOMOWYCH

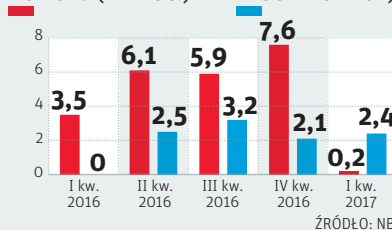
OGÓŁEM W MLD ZŁ



ODSETEK DOCHODU GOSPODARSTWA
DOMOWEGO OSZCZĘDZANY MIESIĘCZNIE
(STOPA OSZCZĘDZANIA)



REALNY WZROST
DOCHODÓW ROK
DO ROKU (W PROC.)



ŹRÓDŁO: NBP

LECH MAZURCZYK

wadzonej jeszcze przez Platformę, kosztowała natomiast solidarnie wszystkich podatników. Poza tym do bieżącej obsługi Programu w 2017 r. samorządy musiały zwiększyć o 5,2 tys. etatów zatrudnienie w administracji. Można się spierać, w jakim stopniu powyższe kroki były uwarunkowane realizacją 500 plus. Pewne jest, że je wykonano. W efekcie – jak szacują ekonomiści Forum Obywatelskiego Rozwoju – dodatkowe obciążenia z tytułu wprowadzenia Programu wyniosły w ub. roku 51,58 zł miesięcznie na obywatela. W przypadku przeciętnej rodziny, złożonej z dwóch dorosłych i dwójki dzieci, czysty zysk z istnienia 500 plus oscylowałby zatem na poziomie 294 zł miesięcznie. Ci, którzy z niego nie korzystają, są oczywiście pod kreską.

24 miliardy 479 mln zł, które MRPiPS zarezerwowało w tym roku na 500 plus, to blisko 6,2 proc. wydatków budżetu. Ważniejszą pozycją są dziś w nim tylko świadczenia na system ubezpieczeń społecznych (85,2 mld zł), obronę narodową (33,3 mld zł) i obsługę długu publicznego (30,7 mld zł). Pytanie o proporcje skrojo-

nego w taki sposób budżetu jest kuszące, miało jednak sens przed startem Programu. Dziś można postawić tezę, że sam próg 500 zł na dziecko i warunki brzegowe dostępu do 500 plus zakreślono w sposób, który stanowi rozsądny kompromis między efektywnością a kosztem.

– Od kilku lat deficyt budżetowy utrzymuje się na mniej więcej tym samym poziomie – podkreśla cytowany na początku ekonomista, odmawiający rozmowy pod nazwiskiem na temat 500 plus. – Można zatem powiedzieć, że rząd nie wydaje więcej, tylko inaczej.

Budżet plus

Na razie wypłaty z Programu wydają się niezagrażone. Budżetowi przybył wprawdzie poważny wydatek, lecz po stronie przychodów jest również na plusie. Wpływy z najważniejszego źródła finansowania państwa, czyli z podatku VAT, wzrosły z 126,6 mld zł w 2016 r. do 166 mld zł w tegorocznej prognozie budżetowej. Pod tym względem 500 plus jest zresztą programem specyficznym, bo w części finansuje sam siebie: budżetowe pieniądze stymulują popyt na towary i usługi, który zasila ponownie budżet. Ostrożne szacunki badaczy zakładają, że około 85 proc. wypłat z 500 plus Polacy wydają na produkty i usługi objęte VAT-em. W skali jednego roku kalendarzowego daje to ok. 20,8 mld zł. Biorąc pod uwagę uśrednioną stawkę podatku VAT na poziomie 18 proc., i to, że w koszyku zakupów za pieniądze z Programu przeważają produkty objęte najwyższą, 23-procentową kwotą, można założyć, że ok. 18 proc. z owych 20,8 mld zł trafia z powrotem do budżetu. W skali roku dawałoby to ok. 3,75 mld zł, czyli 15,3 proc. rocznej wartości całego Programu.

Kiedy ruszały wypłaty, politycy i ekonomiści obawiali się, że impuls stymulujący dla gospodarki będzie słabszy, niż zakłada rząd, bo znaczna część 500 plus wypłynie poza kraj, wydana na wczasy lub zakupy w zagranicznych sklepach internetowych albo trafi do szarej strefy, przeznaczona na zakup papierosów i alkoholu z nielegalnych źródeł. – Dziś wiemy, że tak się nie stało – komentuje prof. Marek Kośny, ekonomista z Uniwersytetu Wrocławskiego, badający zmiany konsumpcji polskich gospodarstw domowych. Przeciwnie: większość tych pieniędzy trafia na rynki lokalne, do sklepów i punktów usługowych w pobliżu miejsc

→ zamieszkania odbiorców Programu. Nie trafione okazały się również obawy, że 500 Plus będzie marnotrawione i nie owocuje poprawą warunków bytowych.

Rodziny korzystające z dopłat przeznaczają je głównie na bieżącą konsumpcję i spłatę stałych zobowiązań. Z niedawnej ankiety „Finansowy Barometr ING” wynika, że dzięki Programowi rodzice mogli kupić odzież (31 proc.), obuwanie (29 proc.), a także wyjechać na wakacje (22 proc.). 17 proc. badanych sfinansowało wycieczki i wyjazdy szkolne dla dzieci. Badacze nie znaleźli za to dowodów na choćby śladowy wpływ 500 plus na wzrost konsumpcji kultury.

Bardziej szczegółowe badania na zlecenie Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP w pierwszych miesiącach funkcjonowania Programu wykazały z kolei wyraźny skok wydatków na remonty, zakup urządzeń domowych i wyposażenia mieszkań, odzież, turystykę zorganizowaną, a także na spłatę zobowiązań i nowe lokaty.

Czym wytłumaczyć tę różnicę? Jak uważa prof. Kośny, początkowo wypłaty często trafiały do odbiorców w jednej transzy za kilka miesięcy wstecz, co mogło zachęcać do oszczędności i innych wydatków o charakterze inwestycyjnym. W kolejnych miesiącach badanie pokazało wyhamowanie tempa wzrostu oszczędności i inwestycji; górę wzięły pilne bieżące wydatki.

– Nie zapominajmy, że średnią pensję, która dziś przekracza już 3,4 tys. zł na rękę, większość pracujących Polaków zna jedynie z biuletynów statystycznych, bo rzeczywiste dochody większości Polaków są znacznie niższe – podkreśla prof. Kośny.

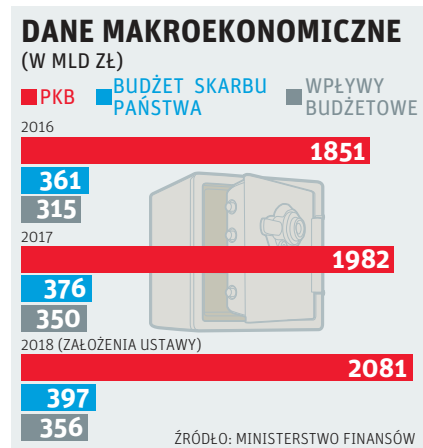
Przyszłość minus

No dobrze, ale co dalej? Politycznie przyszłość 500 plus jest niezagrażona. Ekonomicznie – już niekoniecznie.

Rządowi PiS-u od początku kadencji sprzyja koniunktura, która w tym roku ma rozpędzić wzrost PKB do 5 proc., ale w przyszłym roku, jak prognozuje NBP, gospodarka Polski urośnie już tylko o 3,8 proc., a rok później zwolni do 3,5 proc. To wciąż dużo, jak na kraj wysoko rozwinięty, w końcu strefa euro w tym samym czasie ma doświadczyć hamowania z 2,1 do 1,7 proc. Ale czy w obliczu spowolnienia realne są założenia wieloletniego planu finansowego, w którym rząd zapisał dalszy wzrost wpływów z podatków do

21,5 proc. PKB w tym roku i do 21,6 proc. PKB w przyszłym?

– To ambitny cel – mówi Karol Pogorzański, starszy ekonomista ING Banku – bo jeśli rząd z jednej strony zapowiada zachowanie dotychczasowych progów i stawek podatkowych, a z drugiej mówi o wzroście dochodów z tego źródła, to znaczy, że liczy na kolejne efekty uszczelniające system podatkowy. Tyle że łatwe do usunięcia luki w systemie już zostały załatwane.



Resort finansów szacuje, że w latach 2018-19 uszczelnianie przyniesie dodatkowo ok. 16,6 miliardów zł (w tym roku 10,7 mld zł, a w przyszłym ok. 6 mld zł). A to mniej więcej tyle samo, ile udało się wycisnąć z uszczelnionego systemu w latach 2016-17! Dla przeciwników nadmiernego fiskalizmu PiS ma argument, że relacja podatków i składek na ubezpieczenie społeczne w stosunku do PKB oscyluje w Polsce na poziomie 35 proc., podczas gdy średnia unijna wynosi 40 proc. Mówiąc dosadniej: w Unii Europejskiej to nie Polska najmocniej dokręca śrubę podatnikom.

Problem w tym, że taka odpowiedź na pytanie o przyszłość 500 plus będzie ucieczką od tematu, bo w czasie głębokiej recesji nawet szczelny system podatkowy nie zapewni wpływów na dotychczasowym poziomie.

Do tej pory Polsce udawało się unikać tego typu turbulencji, nawet gdy dookoła szalały kryzysy. Teraz na horyzoncie widnieją jednak zagrożenia o skali wcześniej nieznanej: widmo wojny celnej USA z Chinami, napięte relacje gospodarcze Europy ze Stanami i wreszcie wstrząsy w samej UE. Listę zagrożeń trzeba uzu-

pełnić o te krajowej proveniencji: wahania kursu złotego podnoszące koszt obsługi długu publicznego, realne ryzyko załamania systemu ubezpieczeń czy fakt, że w wielu miejscach faktycznie brakuje rąk do pracy.

Pytania plus

„500 plus jest nie do ruszenia” – powtarzają tymczasem politycy od PiS-u po partię Razem. Tak rzadki przypadek ponadpartyjnego konsensusu ma oczywiście korzenie w lekturze sondaży, w których Polacy wciąż mówią o Programie z uznaniem. W gruncie rzeczy przekonanie o nienaruszalności kształtu 500 plus jest jednak kolejnym mitem na ten temat – bo kiedy dyskutować nad jego kształtem, jeśli nie teraz, gdy można oceniać pierwsze efekty?

Może lepszym rozwiązaniem, zważywszy na dotychczasowe wyniki, byłoby np. włączenie go w system pomocy społecznej, na który w tegorocznym budżecie znalazło się tylko 3,85 mld zł? Już dziś urzędnicy mówią z uznaniem, że dzięki 500 plus obecność państwa w sferze społecznej przestaje się kojarzyć wyłącznie z interwencjami w najbardziej krytyczne przypadki.

Prof. Kośny: – Ten Program to wyraźna zmiana postawy państwa, które nie pomaga już tylko nieradzącym sobie, lecz systemowo wspiera wszystkie rodziny. Warto przemysleć przemodelowanie go na taki, w którym pieniądze dostaje się na każde dziecko, ale np. 200 zł na pierwsze, 400 zł na drugie i po 600 zł na trzecie i kolejne. Wstępne obliczenia wskazują, że takie 500 Plus kosztowałoby ok. 26 mld zł rocznie, czyli niewiele więcej – podkreśla ekonomista.

Kolejna kwestia to forma samych wypłat. Dla części beneficjentów 500 plus stanowi ważny dodatek do comiesięcznego budżetu, ale niektórzy pieniądze wolą odkładać lub inwestować, w czym mogłaby im pomóc wypłata w jednej dużej transzy, np. pod koniec roku.

Pytań o przyszłość 500 plus jest więcej, ale by je sensownie formułować, nie można uważać Programu ani za polityczny bakszysz – czego chce opozycja – ani za darowanego konia, któremu nie wypada zaglądać w zęby – jak chciałoby PiS. W gruncie rzeczy są to bowiem nasze pieniądze.

Nie wolno nas nimi szantażować.

©© MAREK RABIJ
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Miasto Świętych

*Patrzę stąd na Kraków, na ten
Kraków, w którym każdy kamień
i każda cegła jest mi droga...
Patrzę stąd na Polskę.*

Jan Paweł II, 1979

PAWEŁ

Śpiewak: *Harfy na wierzbach*



NA WARSZAWSKIM CMENTARZU ŻYDOWSKIM zachował się grobowiec Bera Sonnenberga, bogacza i kupca, syna Szmula Zbytkowera. Zbudowany w planie prostokąta, na obu ścianach ma płaskorzeźby o wielce symbolicznym znaczeniu. Od jednej strony widoczna jest wieża Babel (jak z obrazu Bruegla), wody, po których

płyną zagłowie, jeden z nich tonie i wypadają z niego worki z towarami. Dalej widać jakby gęsty las, a na drzewach rozwieszone są instrumenty: skrzypce, bębni, róg. Wypisane są słowa 137 Psalmu: „na wierzbach zawiesiliśmy harfy nasze”.

Na drugiej ścianie jest panorama Pragi, a centralne miejsce zajmuje cmentarz żydowski na Bródnie z dużym grobowcem, prawdopodobnie ojca Bera. Nie widziałem nigdzie ohelu o takiej intensywności przedstawień i symboli. Nie bardzo wiemy, co znaczą. Pewne jest tylko, że słowa Psalmu odnoszą się do sytuacji wygnania, która powraca w losie żydowskim. Przypomniałem sobie o tym miejscu, czytając opowieści o historii wygnania Hebrajczyków do Babilonu.

Motyw ze słynnego Psalmu powtarzał się w naściennych malowidłach w wielu synagogach, powracał też w midraszach. W jednym z nich czytamy: Nabuchodonozor pędził związanych jeńców żydowskich. Chciał, by jak najszybciej opuścili swoją ziemię. Czynił tak, bo umyślił sobie, że Bóg czeka, by się pokajali jeszcze na swej ziemi. Gdyby tak się stało, zostaliby uwolnieni, a nas by Adonaj zabił. Nabuchodonozor uspokoił się, gdy wygnańcy znaleźli się już nad rzekami Babilonu.

Gdy już mogli chwilę odpocząć, z trudem przelknąć jedzenie od dozorców, Lewici usłyszeli nakaz, by zagrali im wesołe piosenki na instrumentach pochodzących z ich Świątyni. Izraelici nie wiedzieli, co robić. Nie był to z pewnością czas wesela i zabawy. Nie chcieli grać przed nikim na instrumentach dedykowanych Bogu Jedynemu. Chwilę zastanawiali się, co zrobić. Postanowili powiesić instrumenty na wierzbach (czy topolach, jak czytamy w innych przekładach), a sami odgryźli sobie kciuki. Nie mogli już grać: „Nad rzekami Babilonu / tam myśmy siedzieli i płakali, / kiedyśmy wspominali Syjon. / Na topolach tamtej krainy / zawiesiliśmy nasze harfy. / Bo tam żądali od nas / pieśni ci, którzy nas uprowadzili, / pieśni radości ci, którzy nas uciskali: / Zaśpiewajcie nam / jakąś z pieśni syjońskich! / Jakże możemy śpiewać pieśń Pańską / w obcej krainie? / Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, / niech uschnie moja prawica! / Niech język mi przyschnie do podniebienia, / jeśli nie będę pamiętał o tobie, / jeśli nie postawię Jeruzalem / ponad największą moją radość”.

Babilończykom tłumaczyli: Patrzcie na nasze ręce, kiedyś mocne jak żelazo. Nie mają palców, więc nie mogą grać. Lamentacyjny midrasz się kończy, a Psalm zamyka nadzieją zemsty. Autorstwo przypisuje się Jeremiaszowi, a czytany jest w święto Tisza B'Aw, w rocznicę zburzenia Świątyni Jerozolimskich. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *A nam się pomyliło*



W TRYDENCKIM KATECHIZMIE RZYMSKIM czytamy: „Najprzód więc Chrześcianom to podać trzeba, jako wielka jest tego Sakramentu [święceń] zacność i wysokość. Bo kiedy Biskupi i Kapłani są jakoby nie-

jacy tłómacze i posłowie Boscy (...) i noszą tegoż P. Boga osobę na ziemi, tedy jawna rzecz jest, że taki jest ich urząd, nad który żaden wyższy wymyślony być nie może. Przeto słusznie nie tylko Aniołami, ale też i Bogami są nazywani, iż moc i władzę Boga nieśmiertelnego między nami na sobie mają. Ale acz wielka powaga zawsze ich była, wszakże nowego Zakonu Kapłani, nad wszystkich innych godnością celują; albowiem ta moc, którą mają Ciało i Krew Pana naszego poświęcać i ofiarować, także i grzechy odpuszczać, wszystek także rozum ludzki przewyższa i nic jej na ziemi równego i podobnego znaleźć być może”. Po wiekach możemy powiedzieć: No i udało się aż nadto dobrze. Tak wysoko wywindowaliśmy ten „urząd”, że zejść z tych wyżyn nijak nie umiemy i nie chcemy.

To, co dzisiaj przeżywamy w związku z klerykalizmem i pedofilią, spróbujmy zobaczyć na tle Księgi Hioba. Znajdziemy tam opowiadanie o tym, jak to Najwyższy, nakłoniony przez szatana, badał, czy rzeczywiście Hiob jest bezgranicznie wielkoduszny i hojny względem Boga, czy też trzyma się Boga ze względu na korzyści – dostatku, szacunku otoczenia, rodziny, przyjaciół i obietnicy długiego życia.

Te dobra w czasach Hioba uważano za Boże błogosławieństwo. Dzisiaj dzieje się coś podobnego, ale, o ile Hiob był człowiekiem sprawiedliwym, my z całą pewnością tacy nie jesteśmy. Uważaliśmy i nadal uważamy, że za służbę „przy Pańskich ołtarzach” należy nam się nie tylko zapłata, ale i przywileje, a przede wszystkim z urzędu – „cześć i posłuszeństwo”. Jeśli dzisiaj nas, starszych Kościoła, Kościół strąca z owych katechizmowych wysokości, odziera z owej anielskości i boskości, to zamiast się buntować przeciwko tym zabiegom, owszem bolesnym, lepiej im się poddać. Nawet jeśli do tego procesu szatan dołożył swoje, musimy pamiętać, że i on – wskazuje na to los Hioba – pracuje dla Boga.

Abp Stanisław Gądecki mówił podczas mszy krzyżma: „Chrystus »ponieważ trwa na wieki, ma kapłaństwo nieprzemijające«. (...) To ułatwia zrozumienie tego, dlaczego nikt nie jest ani nie może być dziedzicem Chrystusa ani też Jego następcą. On jest jedynym Kapłanem Nowego Przymierza. (...) Kapłan nie jest więc pośrednikiem pomiędzy Bogiem a wspólnotą, lecz tylko sługą Chrystusa, który jest jedynym Pośrednikiem. Władza, której sakrament udziela biskupowi i prezbiterowi – aby nauczał, usłuszał i zarządzał ludem Bożym »in persona Christi capitis« – ma na celu jedynie głoszenie zbawienia dokonanego przez Chrystusa i tworzenie wspólnoty. To jest prawdziwa wielkość, a zarazem prawdziwa odpowiedzialność kapłana”. I małość, i wielkość. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Miara młodych

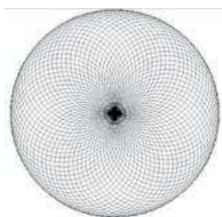
*Błąd nie ma korzenia.
Jest we mgle,
w której nie widać Ojca.*

EWANGELIA PRAWDY



*„Jak to jest ostatecznie?”
– Niestety, tylko głupiec
to wie ostatecznie.*

HENRYK ELZENBERG



ZWYKLE NIE KOMENTUJĘ niedzielnych czytań – uznając to za przywilej Czcigodnego Sąsiada z „lewej” strony. Tym razem jednak pozwolę sobie zrobić wyjątek, z racji że Ewangelia poprzedniej niedzieli (28 niedziela zwykła „B”) była po prostu Bożym „przeczytaniem” tego, co – jak ufam – dzieje się z Kościołem na rzymskim Synodzie Biskupów (zob. Mk 10, 17-30).

Oto do Jezusa przychodzi bogaty młodzieniec; pyta, co czynić, by otrzymać życie wieczne. Jezus patrzy z miłością i zaprasza do radykalnego pójścia za Sobą: „Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim. Potem przyjdź, i chodź za Mną”. Młody rozmówca – choć ze smutkiem – odrzuca Jezusowe zaproszenie, ponieważ „miał wiele posiadłości”.

Kiedy odchodzi, Jezus mówi do swoich Apostołów: „Jakże trudno jest bogatemu wejść do Królestwa Bożego”. I wtedy... uczniowie wpadają w zdumienie (w. 24), a potem w przerażenie (w. 26). Najwyraźniej dylemat, z którymi przyszedł do Jezusa młody człowiek, okazał się również ich problemem. Radykalizm Jezusowej oferty stał się poważnym wyzwaniem.

Tak więc spotkanie Jezusa z młodym człowiekiem przełożyło się na diagnozę wiary Dwunastu. Oni nie odeszli. Czy to oznacza, że okazali się lepsi? Bardziej radykalni?

Nie. Ich „zdumienie” i „niedowierzenie” słowu Jezusa pokazuje, że wcale tak ostro jak On nie widzą napięcia między pieniądzem a Królestwem Boga. „Czy bogactwo – myśląc sobie zapewne – nie może być uznane za znak Bożego błogosławieństwa?”. Z kolei

„przerażenie” powtórzoną przez Jezusa przestrogą (dodatkowo wzmocnioną obrazem wielbłąda przeciskającego się przez ucho igielne) pokazuje raczej to, że nie wyobrażają sobie na ten moment życia bez tego poczucia bezpieczeństwa, jakie daje człowiekowi jakiś „grosz przy duszy”.

Są przy Jezusie – to prawda. Nie odeszli. Ale to bycie przy Nim kryje w ich przypadku dwuznaczność – pójście w życiu na kompromis. Nie mają w sobie tego radykalizmu, który bogatemu młodzieńcowi kazał odejść. To on – nie oni – myślał radykalnie: „Albo – albo”. Albo zostaję (ale wtedy sprzedaję i rozdaję wszystko!), albo – skoro mnie nie stać na taką decyzję – odchodzę. Nie będę udawał. To jest zasada młodości: bycie autentycznym. I to jest też miara przykładana przez młodych dorosłym: bycie autentycznym.

Pytania więc, z którymi młodzi przychodzą do Jezusa, są tak naprawdę pytaniami całego Kościoła, i każdego z nas w Kościele. Dostarczają nam diagnozy nas samych – indywidualnie i wspólnotowo.

Ich pytania są nam znane, ale radykalizm, z którym je stawiają, poddaje nas naraz mocnemu egzaminowi. W przeciwieństwie do nich potrafimy bowiem nie tylko żyć w rozkroku – m.in. między Panem a mamoną – potrafimy nasze postawy również uzasadnić i obronić; uznać za normę („normalność”) i dyktat tzw. życia.

Młodzi – nie! Właśnie dlatego m.in. mogą być słusznie uznani za „proroków” w Kościele. Ich proroctwo jest ważne. Woła o prawdę. A tak właśnie definiował *munus propheticum* Jan Paweł II – jako „rzetelny stosunek do prawdy”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (28 X – 4 XI)

30. niedziela zwykła: Jr 31, 7-9;
Ps 126; Hbr 5, 1-6; Mk 10, 46b-52;
Poniedziałek: Ef 4, 32 – 5, 8; Ps 1; Łk 13, 10-17;
Wtorek: Ef 5, 21-33; Ps 128; Łk 13, 18-21;
Środa: Ef 6, 1-9; Ps 145; Łk 13, 22-30;
Czwartek: Uroczystość Wszystkich Świętych:
Ap 7, 2-4, 9-14; Ps 24; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a;

Piątek: Hi 19, 1, 23-27a;
Ps 27; 1 Kor 15, 20-24a, 25-28;
Łk 23, 44-46, 50, 52-53; 24, 1-6a;
Sobota: Flp 1, 18b-26;
Ps 42; Łk 14, 1, 7-11;
31. niedziela zwykła: Pwt 6, 2-6;
Ps 18; Hbr 7, 23-28; Mk 12, 28b-34.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ



ZMARNOWANA STULETNIA OKAZJA

PAWEŁ KOWAL, POLITOLOG:

Trzeba się pożegnać z wizją,
że 11 listopada będzie mocnym państwowym akcentem.



FILIP CÍWIK / NEWSWEEK POLAND / NAOPO IMAGES

PAWEŁ KOWAL (ur. 1975) jest historykiem i politologiem. Był wiceszefem MSZ i europarlamentarzystą, należał do PiS i PJN/Polski Razem. Był jednym z najbliższych współpracowników Lecha Kaczyńskiego i współtwórcą Muzeum Powstania Warszawskiego. Ekspert ds. polityki wschodniej.

Miałem to szczęście, że moje 10 lat w polityce nie było nudne. Uczestniczyłem w kilku dużych rzeczach, które na pewno w jakiś sposób znajdą się w historii: Muzeum Powstania Warszawskiego, polityka wschodnia Lecha Kaczyńskiego – a polityka wschodnia to jednak mocny punkt w historii III RP – później cała sprawa smoleńska, w tym także nocna wyprawa do Smoleńska po wypadku i rozmowa z Władimirem Putinem.

Wyobraźmy sobie, że ktoś z rządzących zwraca się do Pana z prośbą o zorganizowanie obchodów 11 listopada. Ale takich, które połączą podzielone społeczeństwo. Podjąłby się Pan takiego wyzwania?

Gdy usłyszałem, że rząd przymierza się do zorganizowania obchodów, to miałem taki odruch, żeby zadzwonić do dawnych znajomych „muzealników” i powiedzieć: polityką się już nie zajmujemy, ale może zrobimy to razem? W moim środowisku jest wiele osób, które mają do tego dryg, wyobraźnię i doświadczenie. Oni mogliby takie obchody zorganizować. Ale potem, jak zobaczyłem, w którą stronę zmierza choćby wizja prezydenta, zrozumiałem, że to będą obchody partyjne, takie pisowsko-piłsudczykowskie.

Czyli jakie?

Próba budowania u ludzi skojarzeń, że „to my, obóz władzy” jesteśmy dziedzicami Piłsudskiego, my jesteśmy sanacją. I to się potwierdziło. Ta pierwsza iskra jednak we mnie osłabła. A potem Sejm zaczął świętować urodziny Marszałka, co wydało mi się kuriozalne. W naszej tradycji to się jednak nie zdarza. Jeśli już, to w kontekście Piłsudskiego pewne polityczne znaczenie miały imieniny.

To wszystko oznacza, że 11 listopada będzie próba przedstawienia niepodległości jako dzieła jednej osoby. Bo i obóz władzy

jest dziś skoncentrowany na budowaniu wszystkiego wokół charyzmy swojego lidera. Będą więc stale budowane mosty między tymi dwiema postaciami. Jako badacz, już zdystansowany historyk, rozumiem to, ale to nie zbuduje jedności społecznej. Nagle w tej narracji okazuje się, że PO jest tą endecją, czyli niejako „gorszą Polską” z czasów sanacji.

Tylko czy w obecnych warunkach można liczyć na coś innego?

Popatrzmy, jak do tej rocznicy przygotowały się kraje bałtyckie. Oni to dobrze rozegrali. A my? U nas nie powstanie żadne nowe muzeum, żadna wielka wystawa sztuki, żadna nowa wielka idea czy chociaż fundusz stypendialny. Ba: nie będzie nawet jednego symbolicznego wydarzenia, gdzie się wszyscy zgromadzą. Do tego politycy obozu rządzącego zaczęli ścigać się w konkurencyjnych projektach, jak 550-lecie parlamentaryzmu, które zresztą przeprowadzono kuriozalnie, w namiocie. Myślę, że trzeba się pożegnać z wizją, że rocznica odzyskania niepodległości będzie jakimś mocnym akcentem. Można za to już, niestety, bez ryzyka błędu powiedzieć, że ta okazja została zmarnowana.

Będziemy tego żałować?

Bez przesady. To tylko potencjalny zysk, który utraciliśmy jako wspólnota. Zdarzy się jeszcze jakaś okoliczność, żeby to nadrobić. Ale to klasyczna zmarnowana okazja. Środki zostały rozproszone, zabrakło wielkiej idei, podkreślenia, że to był wielki czyn. Mogliśmy coś zrobić, coś ugrać, ale tak nie będzie.

Dlaczego?

Ci, którzy są głównym dysponentem tej rocznicy, potraktowali ją jako partyjne wydarzenie. A ponieważ nie są zbyt efektywni w tego rodzaju projektach, to nie zbudowali niczego wokół. Inne siły społeczne czy opozycja? Nikt chyba nie miał wyobraźni, by zrobić coś na skalę państwową. Nie będzie więc niczego, czego nie obserwujemy co roku na 11 listopada. Chyba że któryś z polityków powie coś kontrowersyjnego. Publicyści podyskutują przez dwa dni i tyle, po wszystkim.

Mógł powstać nowy uniwersytet, wielka instytucja promująca Polskę za granicą, przykładowo Instytut Historyczny promujący Polskę w Kijowie, Moskwie, Paryżu, USA. Mógł powstać wielki projekt architektury symbolicznej, może nie ➔

RAFAŁ ZYCHAL: Niedawno Janusz Piechociński mówił „Tygodnikowi”, że dziękuje Bogu i wyborcom, że nie jest już w polityce. Pan też nie tęskni?

PAWEŁ KOWAL: Gdy się ma czterdzieści parę lat, to nie patrzy się na życie w tak ostatecznych kategoriach. Dziękuję Opatrzności za to, że wiele ciekawego mnie spotkało poza polityką. Polityka to etap w moim życiu, który się skończył.

Często bywał Pan wtedy osobą do zadań specjalnych, jak choćby 10 kwietnia w Smoleńsku. Jak wspomina się takie wydarzenia?

→ łuk triumfalny, ale coś w tym stylu. Ostatnia szansa, że prymas czy kard. Nycz albo ktoś z duchownych, jak to zawsze było w historii, wykona gest, do którego wszyscy będą musieli się przyłączyć.

A nie obawia się Pan, że zaplanowane na 10 listopada odsłonięcie pomnika Lecha Kaczyńskiego sprawi, że te uroczystości zleją się w jedno? Że będą kolejną odsłoną polsko-polskiego sporu, ze stratą zarówno dla pamięci o prezydencie, jak i o stuleciu niepodległości?

Współpracowałem blisko z Lechem Kaczyńskim, czuję związek z tamtym czasem, ale teraz przeżywam jego dziedzictwo w ciszy. Obóz władzy tak rozgrywa pamięć o nim, żeby było to dziedzictwo jednej siły politycznej, nie państwa. To już trochę inna historia.

Oczywiście, nie było żadnego problemu, by pokazać go jako polityka, któremu nawet oponenci przyznają, że na kilku polach zrobił dużo. Dbał o kwestie wschodnie, o prawa pracownicze i wreszcie – o uhonorowanie bohaterów współczesnej Polski, niezależnie od ich późniejszych dróg politycznych. To byłby taki papierak lakmusowy. W normalnych warunkach, przynajmniej na tych polach, można zbudować kompromis wokół zdania, że to była dobra prezydentura.

Ale warunki nie są normalne?

W chwili, gdy po stronie władzy pojawił się nacisk i przekaz, że Lech Kaczyński jest „tylko nasz”, to inne osoby, które również z nim współpracowały, w naturalny sposób ustawiają się z boku. Początkowo z pewną nieśmiałością, a potem z niechęcią. A ludziom, którzy pamiętają, jak było, zostaje gdzieś tam sobie samemu to przeżywać.

Panu też?

Kto zna współczesną historię, wie, że byłem jednym z jego najbliższych współpracowników. I nie tylko ja. Stałe pomijanie tej grupy współpracowników, którzy dzisiaj nie są w obozie władzy, jest już elementem dzisiejszej polityki. To, jak dziś jest pokazywane środowisko Lecha Kaczyńskiego, nie odpowiada rzeczywistości. Są tacy, którzy tego żałują, inni pewnie się cieszą. Ale znów, gdy patrzę jako historyk i obserwator – to naturalne dla wielu środowisk, powstaje na naszych oczach nowa mitologia. Jedna rzecz to rozumieć,

Mateusz Morawiecki
jest trochę jak Edward Gierek:
niby z wewnątrz partii
rządzącej, ale jednak
z inną historią.

jak mawiała moja mistrzyni Krystyna Kersten – rozumiem intencje obozu władzy. Druga sprawa to się zgadzać – mam inną wizję tych spraw.

Ale tak prowadzona polityka może łatwo się obrócić przeciwko jej dzisiejszym beneficjentom. Wahadło kiedyś się wychylił w drugą stronę, a dzisiejsi rywale chętnie sięgną po podobne narzędzia.

Tym, którzy to robią, wcale nie zależy na historii, tylko na tu i teraz. To jest po prostu część dzisiejszej polityki. Jako człowiek się z tym nie zgadzam, ale jako badacz to rozumiem. I to nie jest tak, że jestem na to wszystko impregnowany. Pamiętam momenty, kiedy było mi przykro. Ale są inne czasy, każdy poszedł swoją drogą.

Zaczyna się wyborczy maraton. To będzie pierwszy taki sprawdzian od lat. Nie brakuje głosów, że może on poważnie przemodelować naszą politykę. Też Pan tak myśli?

Zupełnie nowego rozdania się nie spodziewam. Największe partie już zdążyły zbudować solidne fundamenty, zwłaszcza finansowe. Nie przewiduję więc, że nagle pojawi się nowa siła, która wykończy PiS czy PO.

Może pana zaskoczę, ale uważam, że jeśli ktoś dziś chce się zajmować polityką, to musi wykazać się minimalną dozą realizmu i wybrać. Ostatnie lata pokazały, że nowe twarze nie dały rady. Przychodzi jednak czas realizmu – jeśli komuś nie podoba się PiS, stawia na PO. A Platforma zapewne będzie się starała poszerzyć swój krąg oddziaływania i chyba będzie to naturalna sytuacja. PO będzie musiała rozmawiać znacznie poważniej z centrum, czyli klasą średnią, w którą uderzają reformy PiS. W tym sensie PO nie odklei się od konserwatywnego podejścia. Grzegorz Schetyna będzie pewnie musiał się sprawdzić jako lider, który łączy wiele nurtów.

Po prostu władza jest bardzo rewolucyjna w formie, a czasem nawet treści,

i konserwatyści, konserwatywni liberałowie będą intuicyjnie zwracać się ku innym siłom politycznym.

Mam wrażenie, że zamazały się różnice między poszczególnymi kampaniami. Nieistotne, czy wybieramy samorządowców, czy prezydenta. Mamy jedną, centralną kampanię podzieloną na etapy.

Owszem, także dlatego, że obóz rządowy potraktował te wybory jako sprawdzian, który ma potwierdzić jego dominację. Intuicyjnie scentralizowali więc kampanię wokół premiera Morawieckiego. A on sam okazał się być inny, niż myślała każda ze stron – dla osób z zewnątrz miał być bardziej liberalny, proeuropejski, a okazał się ostry w retoryce. Szybko zrozumiał, że jeśli chce coś znaczyć w PiS, to nie może odgrywać roli, którą mu przypisano, ale tę, którą chce.

A kim chce być?

Na razie chce odegrać rolę najostrzejszego, co widać w jego wystąpieniach. Inną sprawą jest to, że rozmija się ona z jego własną historią. W każdej wypowiedzi krytykuje Tuska i PO, a był człowiekiem bliskim im przez lata, prawie do wyborów. Jest ciekawym fenomenem politycznym. Nie chciał odegrać roli napisanej dla niego, ma swoją wizję. Historia pokaże, czy okaże się ona dla niego dobra. Nie lubię historycznych porównań, bo one w Polsce zawsze są traktowane jak obelga, ale Morawiecki jest trochę kimś takim jak kiedyś Edward Gierek: niby z wewnątrz partii rządzącej, ale jednak z inną historią.

Dlaczego?

Jest kimś zewnętrznym. Nie tkwi korzeniami w tym środowisku, ma inne osobiste plany, jest bardzo skoncentrowany na ich realizacji. Bardziej chce być Eugeniuszem Kwiatkowskim niż Piłsudskim, chce włączać do pisowskiej polityki elementy narodowe nie na zasadzie instrumentalizacji – wiele wskazuje na to, że odczuwa do nich sympatię. Między nim a PiS jest taka różnica jak pomiędzy sanacją z końca lat 20. a sanacją późną. Z tej dysharmonii między premierem a obozem władzy coś może wyniknąć, ale wciąż nie wiemy co, bo on nadal jest na początku drogi.

Zamieszanie wokół ustawy o IPN ucichło. Ale to nie oznacza, że

problem udało się rozwiązać. Zwłaszcza na linii Polska–Ukraina. To cisza przed kolejną burzą?

Lubię wracać do przykładu Litwy. Tak krytykowano Lecha Kaczyńskiego za popieranie inwestycji w Możejkach, mówiono, że z nimi nie da się dogadać. Ile było deklaracji, że jeśli nie zmienią zdania w kwestii polskich nazwisk, to nawet szef MSZ nie pojedzie do Wilna. A jak pojawiły się problemy wokół inwestycji, to gospodarka zaczęła decydować o tempie tych relacji. I one dziś są dobre, mimo że Litwini realnie w niczym nie ustąpili. Gdy na poziomie politycznym widać, że jest interes, dostosowuje się do niego inne elementy.

Na Ukrainie takiej strategicznej inwestycji nie mamy.

Ale mamy ukraińskich pracowników, którzy w istocie są częścią naszego sukcesu gospodarczego. W pewnym momencie rząd się zorientował, że łada moment oni odpłyną do Niemiec i nasz rynek pracy będzie w tarapatach. Dziś więc cała burza jest w pewnym sensie nieaktualna – rząd zrezygnował z awantury historycznej pod wpływem faktów. Pragmatyka to rozwiązała. Na poziomie politycznym nasze stosunki są gorsze. Ukraińcy nie zmienili podejścia i w przeciwieństwie do Litwy nic nie zyskaliśmy. A za chwilę stracimy.

Bo jeśli ktoś przyjechał tu z Żytomierza, jeździ na taksówce i co chwilę się go wyzywa od banderowców, to dlaczego ma tu zostać? Znów zmarnowaliśmy szansę. Przez dwa lata gościom, którzy przyjechali do nas pracować, urządziliśmy polityczno-historyczny magiel zamiast gościny. Politycznie wszystko można naprawić, ale atmosferę społeczną skwaszono na lata.

W tej sprawie jest też wątek Smarzowskiego, który „Wołyńiem” został niejako wykreowany na proroka obozu rządowego, chwalono nie tylko film, ale także wynoszono pod niebiosa reżysera, przykładem może być ks. Isakowicz-Zaleski. Tylko właśnie spłatał im psikusa. Bo jeszcze w ubiegłym roku jego film był ikoniczny. A dziś? On ma swoją metodę pracy, do tego sięga po tematy nośne społecznie i takim tematem jest też rzeź wołyńska. I tak poniekąd wpisał się w narastającą antyukraińską fobię. Tylko teraz już nie można robić z niego proroka, bo nakręcił „Kler”. Co więcej: nie wiadomo, co zrobi za rok. Według tej samej metodologii może zrobić film o każdej grupie społecznej, także o „dobrej zmianie”.

W kwestii rozpadu UE

PiS obstawia jako najbardziej prawdopodobny scenariusz, który jest mało prawdopodobny.

Patrząc jeszcze szerzej na świat, wiele wskazuje na to, że idą niespokojne czasy. Mamy się czego bać?

One już są. Jeśli dojdzie do zaostrzenia konfliktu handlowego między USA i Chinami, to wzrośnie zagrożenie wojną. To wie każdy ekspert. Zaczyna się niewinnie – każdy mówi o patriotyzmie gospodarczym, potem pojawia się nacjonalizm, który zwykle na końcu prowadzi do jakiejś wojny. Jeśli dojdzie do wojny handlowej, jej skutki odczujemy błyskawicznie i to w bardzo nieoczekiwanych miejscach.

Polska chce zacieśniać stosunki z USA, ale Trump stawia na izolacjonizm.

Patrząc strategicznie, to tak. A jeśli wygra kolejne wybory, to taka będzie realna trajektoria polityki USA. Trump już dziś prowadzi politykę amerykańskiego nacjonalizmu. I choć potrafi powiedzieć Polsce wiele miłych słów, to jego celem nie jest dobrostan Polski. O tym trzeba pamiętać.

A Polska jednocześnie idzie na wojenną ścieżkę z Unią...

Moim zdaniem PiS obstawia jako najbardziej prawdopodobny scenariusz, który jest mało prawdopodobny. Unia wcale się tak szybko nie rozpadnie. Będzie przechodzić daleko idące zmiany, ale one nie będą tak szybkie i głębokie. I my możemy na tym naprawdę sporo stracić. Dla mnie to błąd w diagnozie.

A może po prostu tej diagnozy nie ma?

Nie, jest. Bezład jest możliwy na poziomie rządowym i on się pojawia – tam nie wszyscy mają bezpośredni kontakt z ośrodkiem decyzyjnym, czyli z Nowogrodzką. Ale już decyzja, jak postępować z Komisją Europejską, zapadła właśnie w centrali PiS. I nie jest przypadkowa. Z własnego doświadczenia wiem, że takie ruchy są podbudowane intelektualnie, jest jakaś diagnoza, moim zdaniem błędna. Ale to absolutnie nie jest kwestia przypadku.

Niełatwo Pana złapać na rozmowę. Co dziś robi Paweł Kowal? Świat akademicki pochłonął bez reszty?

Poniekąd tak. Żeby żyć aktywnie naukowo, trzeba realizować kilka projektów. Mam zajęcia ze studentami, głównie na Uniwersytecie Warszawskim. Prowadzę duży projekt badawczy w College of Europe w Natolinie. Doradzam też przy kilku projektach muzealnych, przykładowo Muzeum Vincenza na Huculszczyźnie. To, co ludzie biorą za moje zaangażowanie polityczne, czyli komentarze medialne, to już wszystko. No, czasem jak coś mnie wkurzy, napiszę tweeta.

A może dzisiejsza polityka jest na tyle inna, że już nie ma w niej miejsca dla takich osób jak Pan?

Mamy jedno życie i ważne, by w nim dokonać kilku rzeczy. Tak było z prowadzeniem knajpy, bardzo dużo się wtedy nauczyłem. Ciekawie budowało się Muzeum Powstania Warszawskiego, wtedy nauczyłem się równie dużo. Wreszcie, ciekawie było na szczytach władzy. Ale to nie było ani coś lepszego, ani gorszego. Po prostu kolejne doświadczenie. Teraz idę dalej.

© Rozmawiał RAFAŁ ZYCHAL

Z głębokim bólem i żalem zegnamy wspaniałego Człowieka i Przyjaciela,

Piotra Pawłowskiego

twórcę Fundacji Integracja i Stowarzyszenia Przyjaciół Integracji

Żonie Ewie, Rodzicom oraz wszystkim Bliskim
składamy wyrazy współczucia

SŁAWOMIR PIECHOTA – POSEŁ NA SEJM RP
JAROSŁAW DUDA – SENATOR RP

Obywatel monotematyczny

MATEUSZ MAZZINI

Wyborcy chcą idealnie dopasować swoje poglądy do partii. Gdy pojawia się choćby jedna niespójność – rezygnują z popierania.

GDY 23 MARCA, W TZW. CZARNY PIĄTEK dziesiątki tysięcy Polaków wyszły na ulice, protestując przeciwko zaostrzeniu ustawy aborcyjnej, wśród uczestników manifestacji dostrzec można było przedstawicieli co najmniej kilku grup społecznych. Dominowały oczywiście osoby młode i w średnim wieku, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, nie zabrakło jednak i osób starszych, matek z małymi dziećmi, uczniów czy studentów. Łączyła ich nie tylko idea sprzeciwu wobec proponowanych zmian w ustawie, ale i przekonanie, że tej konkretnej sprawie warto poświęcić czas i energię, maszerując we wcale nie najprzyjemniejszej pogodzie.

Podobnie było w lipcu ubiegłego roku, gdy przez Polskę przeleżała się fala protestów w obronie niezależności władzy sądowniczej. Wiele politycznych komentarzów uznało je za przełomowy moment dla polskiego społeczeństwa. Dzięki relatywnie znacznemu udziałowi młodych, dotychczas krytycznych tak samo wobec PiS, jak i pozostałych partyjnych przedstawicieli postsolidarnościowego porządku, uwierzono, że w Polsce rodzi się opozycja prawdziwie społeczna.

Obywatele mieli wreszcie dość niszczenia trójpodziału władzy i państwa prawa, jakie w przyspieszonym tempie od 2015 r. fundowała im partia Jarosława Kaczyńskiego. W oczach wielu występujących wówczas pod Sejmem polityków Platformy Obywatelskiej, PSL, Nowoczesnej czy nawet SLD paliły się iskierki nadziei. Uznali, że krytyczną sytuację w sondażach uda się wreszcie odwrócić. Lipiec 2017 r. miał być nowym Sierpniem '80, a hasła „Wolne sądy” i „Nie podpisuj” – nowym wcieleniem okrzyków „Nie ma wolności bez Solidarności”.

Gdy niemal równo rok później PiS wziął się za demontaż Sądu Najwyższego, pro-

testujących było już znacznie mniej. Sytuacja w sondażach też niespecjalnie uległa zmianie – poparcie dla partii rządzącej oscyluje wokół wyniku wyborczego z 2015 r., raz na jakiś czas przekraczając nawet barierę 40 proc. Partiom opozycyjnym słupki też nie drgnęły, co najwyżej pozamieniały się miejscami, z dala za prowadzącą dwójką PiS-PO. Pomimo sporadycznych, choć ważnych wybuchów obywatelskiej złości, polska scena polityczna jest w dużej mierze w tym samym miejscu, w którym była, gdy rząd Beaty Szydło obejmował władzę.

Raz a dobrze

Brak bezpośredniego przełożenia protestów społecznych na uczestnictwo w wyborach i zmianę rządzących tłumaczy niejedna teoria socjologiczna, politologiczna czy psychologiczna. Absencję wyborczą wyjaśnia się zaściankową kulturą polityczną, niskim kapitałem społecznym, kryzysem demokracji liberalnej, brakiem zakorzenienia tradycji wyborów. Zdecydowana większość tych teorii przyjmuje jednak za swój punkt wyjścia instytucje, a nie społeczne jednostki. Przywykliśmy do narracji o erozji demokracji jako systemu, o kryzysie partii politycznych. Raz po raz na listach bestsellerów pojawiają się książki o kasandrycznych tytułach, tłumaczące, dlaczego należy pożegnać się ze światem, w którym demokracja była jedynym akceptowalnym rozwiązaniem.

David Runciman, rektor wydziału politologii w Cambridge, pisząc swoją wersję politycznego końca świata, zatytułowaną „Jak kończy się demokracja”, stawia tezę, że obecnego wzrostu popularności antydemokratów nie należy porównywać z rozwojem faszyzmu czy nazizmu, ponieważ demokracja liberalna skończy się w sposób unikatowy. Przyczyną tego będzie sze-



reg zjawisk, od rozwoju technologii, przez przeniesienie aktywności politycznej do mediów społecznościowych, skończywszy na zmianach klimatycznych. Możliwe. Ale co, jeśli przyczyna jest dużo bardziej przyziemna i nie znajduje się w instytucjach czy abstrakcyjnych conceptach, ale po prostu w ludziach?

Jeśli setki tysięcy osób w Polsce są w stanie wychodzić na ulicę, domagając się np. pozostawienia obecnej wersji przepisów o aborcji, co więcej: jeśli blisko siedmiu na dziesięciu Polaków deklaruje taką postawę w badaniach społecznych, przeprowadzonych bez kontekstu czarnych marszy, to dlaczego Partia Razem, która praktycznie jako jedyna siła polityczna konsekwentnie wpisuje prawo do aborcji do swoich postulatów programowych, wciąż balansuje na granicy progu wyborczego?

Dlaczego jeśli (zgodnie z wynikami lipcowego sondażu przeprowadzonego na zlecenie Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia) jedynie 24,8 proc. Polaków popiera zmiany w sądownictwie, nie przekłada się to ani na spadek poparcia dla PiS, ani wzrost wyników opozycji?

Czarny piątek we Wrocławiu, marzec 2018 r.



KRZYSZTOF CWIK / AGENCJA GAZETA

Pierwsza, intuicyjna odpowiedź brzmi: Partia Razem to nie tylko aborcja, a PO to nie tylko obrona sędziów. Każda partia ma przecież, przynajmniej w teorii, stanowisko we wszystkich najważniejszych kwestiach związanych z rządzeniem państwem. Wyborcy mogą zatem popierać ją w jednej kwestii, ale sprzeciwiać się jej polityce we wszystkich innych. Realizacja jednego, wybranego postulatu społecznego nie musi zapewniać poparcia w wyborach.

Głosujący są dziś zdecydowanie bardziej wybredni niż kiedykolwiek w historii wyborów powszechnych. Problem pełnej lub częściowej identyfikacji z postulatami polityków istniał zawsze, jednak dawniej wyborcy dużo chętniej przymykali oko lub ignorowali te części programu, które im nie odpowiadały, pod warunkiem, że zgadzali się z linią partii na płaszczyźnie fundamentalnej.

Dzisiaj wyborcy poszukują idealnego dopasowania swoich poglądów z partią polityczną. Gdy pojawia się choćby jedna drobna niespójność – rezygnują z popierania jej.

Prof. Juan Pablo Luna, chilijski politolog, nazywa to zjawisko rozwojem „obywatela monotematycznego”. Ktoś taki jest gotów na poświęcenia dużo większe niż wrzucenie głosu do urny, ale tylko dla jednej, wybranej kwestii. Na polskim gruncie najłatwiej widać to na przykładzie właśnie czarnych protestów. Setki tysięcy ludzi wyjdą na ulicę, domagając się prawa do aborcji, ale na partię polityczną popierającą ten postulat zgłasza już tylko ich znikomy procent. Według Luny wynika to również z faktu, że wieloma kwestiami, w których partie zajmują stanowisko, ludzie zwyczajnie się nie interesują. Posuwając ten tok myślenia krok dalej, można założyć, że gdyby w Polsce powstała partia, której jedynym postulatem byłoby złagodzenie prawa aborcyjnego, z miejsca mogłaby stać się największą siłą opozycji, a może nawet całej sceny politycznej.

A co mnie to obchodzi

Dlaczego jednak wyborcy przestali się interesować całością postulatów partii, a jednocześnie najmniejsza nawet niezgodność z nimi odpycha ich coraz dalej

od urn? Badacze zjawiska współczesnego populizmu wskazują m.in. na demitologizację zawodu polityka. Osoby zawodowo zajmujące się rządzeniem przestały się jawić jako kasta wybrańców obdarzonych talentami czy lepszym rozumieniem procesów społecznych. Rozwój technologii, powszechny dostęp do informacji spowodowały, że polityk nie jest dziś w żaden sposób wyjątkowy. Co więcej: sukcesy ruchów takich jak Kukiz '15, które na swoje listy wpuszczają niemal wszystkich chętnych, nie prowadząc żadnej selekcji, dodatkowo potęgują wrażenie, że politykiem może być każdy. Skoro każdy, to ja też – przecież gadające głowy w telewizji nie są mądrzejsze ode mnie. A skoro nie są, dlaczego miałbym powierzać im losy mojej emerytury czy podatków?

Obywateli monotematycznych przybywa. Ich rzesze zasilają ci, którzy przestali wierzyć, że postulaty partii zostaną zrealizowane. W Stanach Zjednoczonych w latach 50. rozkwitła teoria tzw. wyborcy-racjonalnego ignoranta. Zakładała ona, że przeciętny obywatel nie jest w stanie zrozumieć i wyrobić sobie zdania w kwestii wszystkich spraw, którymi zajmuje się rząd. Dlatego powinien głosować na podstawie wyboru w kilku płaszczyznach, które względnie pojmuję, jednocześnie ufając, że we wszystkich pozostałych władza jakoś sobie poradzi. Dziś racjonalnego ignoranta zastępuje obywatel monotematyczny, który owszem, ma wyrobione zdanie nadal tylko w kilku sprawach, ale nie wierzy też, że działalność polityków w pozostałych nie przyniesie katastrofy.

Swoją rolę w tym postępująca fragmentaryzacja świata, coraz głębsze tkwienie w bańkach informacyjnych. Nie jest to zjawisko nowe, ale współczesny obieg informacji tylko je pogłębia. W sposób coraz bardziej rozszepcony myślimy o problemach krajowych, kontynentalnych i globalnych czy o swoim losie w kontekście sytuacji całego kraju. Ponad 2 miliony Polaków korzystają dziś np. wyłącznie z prywatnej służby zdrowia, a liczba ta będzie stale rosła. Osobom takim trudno jest emocjonalnie czy intelektualnie zaangażować się w debatę o publicznym systemie opieki zdrowotnej, bo problemów tego systemu zwyczajnie nie odczuwają. Podobnie jest z edukacją, gdzie rekordowo ➔

→ wysoka liczba rodziców postanowiła w tym roku uchronić swoje dzieci przed chaosem reformy, umieszczając je w placówkach prywatnych.

Czym innym jest pytanie o poparcie dla członkostwa Polski w Unii Europejskiej w dużych miastach, gdzie odbierane jest ono na płaszczyznach ideologicznych lub odnosi się do wolności decydowania o sobie, np. swobody podróżowania, a czym innym w małych miastach i na wsiach, gdzie swoboda ta często spowodowała exodus młodych ludzi i pęknięcie struktur rodzinnych. Fragmentaryzacja perspektywy sprawia, że coraz mniej interesujemy się sprawami, które z naszego punktu widzenia wydają się abstrakcyjne.

Referendum zamiast wyborów

Postępujący podział polityki na segmenty sprzyja antyliberalnym populistom. Skoro bowiem obywatele wypowiadają się co najwyżej na pojedyncze tematy, jaki sens jest przeprowadzać wybory powszechne, w których trzeba zająć stanowiska wobec wielu kwestii naraz? Spokojnie można je zastąpić referendum, najlepiej z jednym, zbanalizowanym pytaniem.

Od dyskredytowania wyborów z kolei tylko krok do delegitymizacji instytucji demokratycznych. Po co nam szereg ministerstw, urzędów i ciał legislacyjnych, skoro obywatele chcą, by rządzący reagovali na ich postulaty, a nie tworzyli im rzeczywistość? Doskonale wpisuje się to w narrację o „zwalczaniu elit”, „rozbijaniu kast”, „przywracaniu władzy ludziom”. To dzięki populistom władza wróciła w ręce

Skoro obywatele
wypowiadają się co najwyżej
na pojedyncze tematy,
jaki sens jest
przeprowadzać wybory,
w których trzeba zająć
stanowisko
wobec wielu kwestii?

szarego człowieka, nie dzięki wybieranym w wyborach liberalom, konserwatystom, socjalistom czy innym tradycyjnym formacjom ideowym.

Problem w tym, że populiści tylko sporadycznie potrafią trafnie odpowiadać na potrzeby obywateli, za to władzę sprawować chcą cały czas. I to właśnie w momentach, gdy nikt im nie patrzy na ręce, będą wprowadzać zmiany najbardziej szkodliwe. Widzieliśmy to nie raz w wykonaniu samego Jarosława Kaczyńskiego, który rzucał społeczeństwu kontrowersyjną, polaryzującą reformę, by stworzyć konflikt, w cieniu którego działały się realne zmiany ustrojowe. Będąc obywatelami monotematycznymi, sami pozbawiamy się możliwości popatrzenia na całość do robku rządzących z lotu ptaka.

Wychodzimy z bańki

Jak zatem zmienić ten stan rzeczy? Odpowiedzi wydają się trywialne. Wyjście z własnej informacyjnej enklawy, roz-

mowa z ludźmi spoza naszych kręgów społecznych, przeprogramowanie się z jednostki na członka społeczeństwa – tyleż oczywiste, co trudne do wcielenia w życie, zwłaszcza na masową skalę. Nie jest to jednak niewykonalne. Wbrew pozorom jest jeszcze kilka zjawisk czy płaszczyzn, które jednakowo dotyczą nas wszystkich. Jak chociażby zmiany klimatyczne. Kolejne fale upałów, huragany czy powodzie nie będą specjalnie zainteresowane naszą orientacją ideologiczną czy stopniem zaangażowania w politykę.

Dlatego powinniśmy wymagać zarówno od polityków, jak i liderów ruchów społecznych, by właśnie kwestie polityczne uniwersalne wypychali na czoło swoich działań. Zmiana ta powoli następuje – tegoroczna kampania samorządowa była pierwszą w historii Polski, w której wszyscy liczący się kandydaci musieli zająć stanowisko w kwestii ochrony środowiska. To dobry początek, choć wciąż debata jest za wąska. Zamiast mówić o warszawskim czy krakowskim smogu, politycy powinni przedstawiać problem degradacji środowiska co najmniej w skali kraju. Imigracja powinna być tematem nie tylko dla dużych miast czy ściany wschodniej, ale dla wszystkich, rąk do pracy brakuje bowiem w wielu sektorach niemal w całym kraju. Jeśli sami nie przełamujemy tendencji do dzielenia polityki na silosy, damy politykom narzędzie do niekontrolowanej manipulacji naszym życiem. Czas wziąć się do roboty – polityka naprawdę lepiej brzmi w stereo.

© MATEUSZ MAZZINI

W Sądzie Rejonowym w Janowie Lubelskim w I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 194/17, toczy się sprawa z wniosku Stanisława Łukasika, z udziałem Krzysztofa Augustynka, Stanisława Augustynka, Jana Augustynka, Sławomira Ciupaka, Jana Fiedura, Adama Jana Kozła (Kozioł), Bronisława Michałka, Jana Sykuły, Genowefy Szuby, Joanny Szwałek, Stanisława Woźnicy, Genowefy Woźnicy, Marii Zaręby, Edwarda Łukasika, Genowefy Łukasik, Ewy Kaproń, Teresy Startek, Anny Baran, Justyny Szymańskiej, Krystyny Łukasik, Krystyny Wolanin, Mariana Zbigniewa Sykuły, Wiesława Sykuły, Anny Ligaj, Jana Omiotka i Anny Kowalik, o stwierdzenie zasiedzenia udziału w 279/1115 części w nieruchomości położonej w Branwi Ordynackiej, gm. Dzwola, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka o nr. 349, o powierzchni 11,1500 ha, objętej księgą wieczystą nr ZA1J/00020468/7, prowadzoną w Sądzie Rejonowym w Janowie Lubelskim, IV Wydział Ksiąg Wieczystych.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, w tym spadkobierców Kazimierza Sykuły, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Janowie Lubelskim i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Sąd Rejonowy w Cieszyźnie, Wydział I Cywilny, prowadzi pod sygn. akt I Ns 837/18 postępowanie z wniosku Ryszarda Smolenia i Krystyny Gawel-Balcer o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości zabudowanej budynkiem mieszkalnym położonej w Wiśle przy ul. Jarzębata 1, oznaczonej jako działka 3916/21, dla której nie została założona księga wieczysta, a która objęta jest wykazem hipotecznym LWH 1321 gm. kat. Wisła, w którym jako właściciele wpisani są Aleksander i Jadwiga Kośmiccy. Wartość nieruchomości podano na 250.000,00 zł.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w ciągu 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia, nie później niż do 1 lutego 2019 r., zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili prawo do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie.

40 LAT TEMU KARDYNAŁ KAROL WOJTYŁA ZOSTAŁ WYBRANY PAPIEŻEM

Dał nam siłę

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

HISTORIA

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Kraków 16 października 2018 nr 1 cena 12,90 zł (w tym 8% VAT)

JUŻ W SPRZEDAŻY!
Premiera nowego tytułu
„Tygodnik Powszechny
Historia”
„Dał nam siłę”
– na 40. rocznicę wyboru
Karola Wojtyły na papieża

„Tygodnik Powszechny
Historia”
– w dobrych punktach z prasą
i salonach prasowych

- Po 33 dniach pontyfikatu umiera Jan Paweł I. Kardynałowie, ponownie zebrani na konklawe, wybierają na papieża metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. Jak do tego doszło i jak zareagował świat?
- Akt pokuty za grzechy Kościoła, nowe otwarcie w dialogu z innymi religiami, wyczerpanie na biedę, pielgrzymki, próba budowy nowego feminizmu: 27 lat tego pontyfikatu nieodwracalnie zmienia Kościół
- Już za życia mówiono o nim „Jan Paweł Wielki”. Co ze spuścizny papieża przetrwało do dziś?

Wśród autorów:

**ks. Adam Boniecki, abp Grzegorz Ryś,
Marek Zając, Katarzyna Wiśniewska,
Anna Turowiczowa, Agnieszka Sabor,
Józefa Hennelowa, Józef Majewski,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk**

Stadionowa walka klas

RAFAŁ WOŚ

Kiedyś futbol i lewicowość wydawały się iść w parze. Dziś ziele między nimi przepaść. Co poszło nie tak?

CZĘSTOCHOWA. PIŁKARSKI KLUB RAKÓW po dwóch dekadach puka do drzwi ekstraklasy. Ale wokół murawy od lat toczy się tu inny dramatyczny „mecze”. Po jednej stronie stoją klub i kibice, żądając od prezydenta Krzysztofa Matyjaszczyka (SLD), żeby przestał się ociążać z remontem należącego do miasta stadionu. Ratusz odpowiada hardo, że środki na rozwój sportu, owszem, ma. Ale uruchomi je tylko pod warunkiem, że klub powstrzyma „chuligańskie i wszelkie inne niewłaściwe zachowania kibiców”.

Stadion to tylko pretekst. Tak naprawdę idzie o coś głębszego. Dla kibiców prezydent jest kołtunem, który najchętniej zamieniłby futbol w zabawkę dla zamożnych i zadowolonych z siebie mieszczan. Polityk nie ukrywa, że widzi w kibicach Rakowa uosobienie ksenofobicznego prawactwa, urągającego wizji nowoczesnej Częstochowy. Krótko mówiąc: obustronne i głębokie kulturowe obrzydzenie.

W tym miejscu konflikt przestaje być tylko lokalny. I zaczyna mówić wiele o polskim społeczeństwie.

Ucieczka z piekieł

Cofnijmy się o sto lat. Jest rok 1913 i PPS-owiec Stanisław Posner pisze tak: „Szary dzień roboczy zbliża się ku końcowi. Stają maszyny, robotnicy tłumnie opuszczają zabudowania fabryczne. Robotnik miejski w pięćdziesiątym roku życia jest już zgrzybiałym starcem. Warunki pracy robotniczej wyczerpują organizm człowieka, zabijając w nim wszelką inicjatywę, wszelkie pragnienie pełniejszego życia”. Jak go ratować z tych piekieł dantejskich? „Sportem” – radzi Posner. „Futbol emancypuje. Robotnik grający w piłkę może przecież dorównać swemu dyrektorowi. A nawet go na boisku przewyższyć” – wtóruje lekarz i społecznik Józef Zieliński, pierwszy wizerunek doktora Judyma.

W miejscach takich jak Częstochowa podobne argumenty trafiały na podatny grunt. Sto lat temu przedmieście Raków

to była czerwona twierdza. Czerwona jak cegła na budowę huty i robotniczych bloków. I czerwona politycznie. W 1921 r. partyjne komórki PPS stworzyły tu Raciów (potem RKS Raków). Limanowskiego, Perła, Okrzei: nazwy ulic otaczających stadion do dziś nie pozostawiają wątpliwości, z jakiej tradycji wyrasta tutejsza piłka.

Oczywiście przesadą byłoby twierdzić, że kluby robotnicze to samotni pionierzy naszego masowego sportu. Obok działały wszak mieszczańskie touring cluby czy patriotyczne organizacje strzelecko-gimnastyczne. Ale pomijanie czerwonych korzeni polskiej piłki byłoby fałszerstwem nie mniejszym. Robotniczy KS Marymont czy Skra (Sportowy Klub Akademicko Robotniczy) w Warszawie. Gdyński Bałtyk, łódzki Widzew albo pruszkowski Znicz. Zmiecione przez wojnę kluby kresowe (RKS Lwów) i socjalistyczne związki mniejszości żydowskiej, Gwiazda-Stern albo Jutrznia. Wszystko to niezbita dowody, że kiedyś lewica uważała sport (a szczególnie futbol) za coś swojego. A dziś?

Sport nie istnieje

Dziś ludzie lewicy patrzą na piłkę z mieszkanką obojętności (ot, kolejna komercyjna rozrywka) i wrogości. Próżno szukać zainteresowania futbolem wśród intelektualistów. Czy słyszeli Państwo o książce Jana Sowy i Krzysztofa Wolańskiego „Sport nie istnieje”? A o spektaklu „Kibice”, wystawionym przez Teatr Żydowski w Warszawie? A może prenumerujecie magazyn „Kopalnia”? Jeśli tak, to gratulacje: należycie do elity. Zapytajcie jednak o piłkę przeciętną osobę o lewicowej autoidentyfikacji, zwłaszcza po jakimś stadionowym ekscesie. „A co, mamy bronić gangsterów w stylu »Miśka«”? – pytają. Dla tych, co nie wiedzą: „Miśka” to oskarżany o handel narkotykami przywódca pseudokibiców krakowskiej Wisły.

Do pewnego stopnia oburzenie jest zrozumiałe. Lewica wie, że w meczu o futbol wynik jest od dawna niekorzystny. Stadio-

nowe „młyny”? Utracone. Może już nie na rzecz skrajnej prawicy, bo symbolikę skinheadowską wyparły patriotyczno-narodowe emblematy Polski walczącej i żołnierzy wyklętych. Na tyle często jednak okraszane niechęcią do obcych albo np. homofobią, że człowiek lewicy nie poczuje się tam jak u siebie.

Nietrudno oczywiście wytłumaczyć, dlaczego w kraju takim jak Polska nie ma odpowiednika AS Livorno Calcio, którego kibice odwołują się do symboliki sierpa i młota. Ale brak namiastki antyfaszystowskiego FC St. Pauli już trochę dziwi. Kibice hamburskich „brązowo-białych” to spadkobiercy subkultury punkowej, która przecież i u nas na przełomie lat 80. i 90. była mocna. Dziś jednak – nie licząc próby wejścia punkowców na trybuny Polonii Warszawa kilka lat temu – takich przypadków brak. Nie mamy nawet odpowiednika madryckiego Rayo Vallecano – klubu, którego kibice spotykają się na blokadach eksmisji i protestują przeciw gentryfikacji swojej robotniczej dzielnicy, na stadionie zaś łączą sprzeciw wobec homofobii z niezgodą na komercjalizację futbolu.

W Polsce szczytem tego typu klimatów jest założony trzy lata temu na warszawskiej Pradze Alternatywny Klub Sportowy ZŁY (męska drużyna gra w B klasie, kobieca w III lidze). Próba tyleż sympatyczna, co niszowa. Licząc zainteresowanie po nowemu: 7,6 tys. polubień na Facebooku, gdy Legia ma koło miliona lajków.

Kibic nie rządzi

Nie chodzi jednak tylko o brak lewicy skrajnej albo antysystemowej. Na piłkarskiej mapie Polski nie znajdziecie nawet twierdzy socjaldemokracji. To odróżnia nas mocno od reszty Europy. Gdy w latach 90. bankrutował zasłużony Rapid Wiedeń (powstał w roku 1889 jako Pierwszy Wiedeński Klub Robotniczy), wyratował go powiązany z socjaldemokracją bank. Podobne łączności (działacze i lokalni politycy to często ci sami ludzie) widać w Niemczech (Werder Brema), Norwegii (Vålerenga Oslo), Danii (Frem Kopenhaga) czy na Cyprze (Omonia Nikozja). Nie mówiąc już o izraelskim związku sportowym Hapoel (Robotnik), podwieszonym pod tamtejsze potężne związki zawodowe.

U nas nic takiego nie istniało, nawet gdy SLD był lewicą na miarę naszych potrzeb i możliwości. Jeśli już w piłce pojawiał się działacz z postkomunistyczną kartą w życiorysie, to raczej jako sprawny, ale bezide-



KUBA ATYS / AGENCJA GAZETA

Kibice Alternatywnego Klubu Sportowego ZŁY, Warszawa, czerwiec 2017 r.

owy biznesmen. Jak Janusz Romanowski, obracający pieniędzmi inwestorów zagranicznych w Legii, a potem Polonii.

W Polsce brak też innej reduty lewicowych wartości: poza wspomnianym AKS ZŁY w zasadzie nie ma prób demokratycznego zarządzania klubami przez fanów. Takie modele znamy z Europy Południowej czy Ameryki Łacińskiej pod nazwą *socios* (Real i Barcelona to sztandarowe przykłady), od lat stanowią też o stabilności Bundesligi, gdzie prawo zabrania przekształcania klubów w nastawione jedynie na zysk sportowe spółki akcyjne.

Owszem: w naszej potransformacyjnej historii jedynymi środowiskami gotowymi na poważnie wziąć odpowiedzialność za klub również po końcowym gwizdku sędziego były... stowarzyszenia kibicowskie. Tyle że zazwyczaj zakładane przez ultrasów. Najbardziej udany przykład takiego „supporteryzmu” to Bydgoszcz. W połowie poprzedniej dekady powstał pomysł połączenia Zawiszy z kontrolowanym przez dużą spółkę giełdową Kujawiakiem Włocławek. Fani się zbuntowali i założyli własnego, „prawdziwego” Zawiszę, kibicując mu, choć grał w niższej klasie. Spór zakończył się rychło moralnym sukcesem kiboli: prezes „nowego” Zawiszy popadł w konflikt z prawem, a klub wycofano z rozgrywek.

Podobne historie – przywołujące na myśl inicjatywy grup kibicowskich wielu angielskich klubów – mieliśmy jeszcze w paru innych miejscach, od Łęcznej po

Łódź. Napędzane entuzjazmem projekty szybko dochodziły jednak do naturalnych ograniczeń (brak pieniędzy i umiejętności menedżerskich). W efekcie sprawnych *socios* w Polsce jak nie było, tak nie ma.

Strategiczny błąd

I tak wracamy do punktu wyjścia. W którym ludzie o lewicowej autoidentyfikacji chętnie obejrzą w telewizji mecz Ligi Mistrzów, ale na stadionie Lecha, Legii czy wspomnianego Rakowa najpewniej w ogóle się nie pojawią. Jaka jest tego przyczyna? Czy zmieniły się polskie stadiony? Inna jest dziś piłka? A może sedno sprawy tkwi w samej współczesnej lewicy?

Zacznijmy od futbolu, bo zmienił się bez wątpienia. Wejście w epokę telewizyjną uczyniło z piłki maszynkę do robienia dużych pieniędzy. Polska wskoczyła do tego świata bez rozgrzewki. Szok nie był mniejszy niż na innych transformacyjnych frontach. Jeszcze w latach 80. Solidarność protestowała przeciwko astronomicznym (jak się wtedy wydawało) zarobkom udających amatorów piłkarzy przyzakładowych drużyn. Już wkrótce w tych zakładach nie było grosza na nic. Nastąpił czas biznesmenów w białych skarpetkach. Takich, co nawet bez walizki pieniędzy, za samą tylko obietnicę gospodarskiej troski brali sobie kluby na własność. „Popełniliśmy wtedy strategiczny błąd” – uważa polityk Rafał Chwedoruk, autor wielu publikacji o polityczno-społecznym wymiarze polskiego sportu.

Ten błąd był strukturalny. Polegał na tym, że ze wszystkich dostępnych w kapitalistycznym świecie opcji organizacji profesjonalnego sportu wybraliśmy najbardziej wolnorynkową. Zainportowane z thatcherowskiej Wielkiej Brytanii sportowe spółki akcyjne, których głównym celem było generowanie zysku.

Anemia niskiego poziomu, rak korupcji i maniacko-depresyjne ruchy właścicieli przenoszących kluby z miasta do miasta, to konsekwencje logiki „wygrywaj albo gin”, w którą polska piłka została wrzucona. Zyski były niemal automatycznie wyprowadzane z klubów (gdy w 2001 r. Emmanuel Olisadebe odchodził do Panathinaikosu Ateny za 3,3 mln euro, Polonia zobaczyła z tej sumy ponoć tylko końcówkę). Gdy z kolei pojawiały się straty, kluby zgłaszały się po pomoc do lokalnego samorządu. Zwłaszcza w mniejszych miejscowościach ten szantaż działał na lokalnych polityków. Prywatyzacja zysków i uspołecznienie strat – oto jak polska piłka stała się prymusem neoliberalizmu.

Rodzi się kibol

Wszystkie te przemiany nie pozostały bez wpływu na kibiców. Końcówka PRL-u to czas demograficznego boomu. Blokowska i trzy razy „anty”: antymilicyjna subkultura gitowców, antysystemowe podniecenie końca lat 80. A do tego antykomunizm. Te trendy spotkały się z zapoczątkowaną w latach 70. modą na wyjazdy do innych miast za swoją drużyną. A także ➔

→ z początkiem kultu klubowych barw (kto miał pierwsze klubowe szaliki, do dziś spierają się fani Legii, ŁKS-u i Polonii Bytom). Z polityczno-społecznego tygla wykipiał nowy typ polskiego kibica.

Czy agresja i przemoc to jego znaki rozpoznawcze? Na pierwszy rzut oka tak. Renomowany historyk futbolu Andrzej Górzewski uważa, że słabnącej władzy ludowej na rękę było przekierowanie energii młodych z politykowania na kibicowskie ustawki. Tę tezę łatwo jednak obalić. „Mecz pod względem sportowym znakomity. Niestety popsuły go burdy i awantury toczące się nie tylko na trybunach, ale i na boisku. Jak zwykle ochrona policji konnej. Sędzia nie panował nad sytuacją. W efekcie po meczu wybito szyby w autobusie graczy Wisły i okaleczono przy okazji Reymana” – to prasowa relacja z kluczowego dla tytułu Mistrza Polski 1929 meczu Wisła Kraków kontra 1. FC Katowice.

Może więc stadionowe zadymiarstwo nie zaczęło się wcale na przełomie lat 80. i 90.? Może raczej dopiero wtedy zaczęliśmy się nim interesować? „My” to znaczy kontrolujące medialny przekaz elity. Dokładnie to samo zdarzyło się przecież w latach 80. w thatcherowskiej Anglii. Stacje telewizyjne i inwestorzy dostrzegli wówczas w piłce rynkowy potencjał. Miało być widowisko, więc potrzebni byli aktorzy. Z piłkarzami jakoś poszło – można ich przecież ubrać i uczesać. Ale co zrobić z zaniechanymi stadionami? Z przedstawicielami klasy robotniczej, stłocznymi na legendarnych „stojących trybunach”?

Z pomocą pospieszyli socjologowie, tworząc podejście znane jako nowa ekonomia futbolu. Głosiło ono, że świat przeżywa kolejną falę rozwoju, która obejmuje także sport. Nowoczesne stadiony, wysoki poziom bezpieczeństwa i zamożniejsza publiczność to elementy koniecznego postępu. Podklasy były więc ze stadionów przepędzane (głównie przy pomocy podwyżek cen). Co oczywiście nie spotkało się z przychylną reakcją kibiców, czujących, że odbierany jest im kolejny kawałek ich dziedzictwa. Reakcją była często bezładna i pełna agresji samoobrona. Która utwierdzała w modernizatorach poczucie słuszności ich misji. Tak nakręcała się spirala.

Czy ten rozwój jest na zawsze?

Stadionowa „walka klas” została (na fali niemal powszechnej fascynacji thatcheryzmem) zaimportowana do Polski. U nas kulminacją „nowej ekonomii futbolu”

było Euro 2012, a zwłaszcza modernizacja stadionów i zaostreżenie rygorów bezpieczeństwa. Z błogosławieństwem nieobojętnego piłce premiera Tuska wymiatano ze stadionów „stare”.

Modernizatorzy nie docenili jednak przeciwnika. Myśleli, że mają do czynienia z bezładną masą, której jedyną bronią jest agresja. Tymczasem w wielu miejscach kibole potrafili się zorganizować. Wspomniany już Rafał Chwedoruk nazywa to nawet „ruchem społecznym”. Świadomym swych celów i zdolnym do wywierania wpływu nawet na świat politycznych decydentów.

Dobrym przykładem był wielomiesięczny „strajk” kiboli Legii przeciwko decyzjom (podwyżki cen biletów i zaostreżenie stadionowych rygorów) nowych właścicieli klubu. Stosunek do tamtego protestu przypominał schematy, według których przez lata oceniano w Polsce protesty związkowe. „Partykularyzm i warcholstwo” – oceniały wyrażające punkt widzenia elit media głównego nurtu. Niewielu umiało dostrzec polityczny pragmatyzm kibicowskich stowarzyszeń, które szybko zakopały topór wojenny ze zniechęconymi PiS-owskimi szeryfami.

Lech Kaczyński i Zbigniew Ziobro nigdy nie byli – delikatnie mówiąc – ulubieńcami żylety. Teraz zaś stali się cennym sojusznikiem w starciu z oświeconą ambicją modernizacji PO oraz pragnieniem sterylnej, nowoczesnej piłki, forsowanym przez prywatne stacje telewizyjne. Sojusz zadziałał nie tylko w stolicy. W Częstochowie przed wyborami samorządowymi kibice puścili oko do PiS-owskiego kandydata na prezydenta i prędko dostali zapewnienie, że on stadion rozbuduje. Aby nie zostać na spalonym, urzędujący wódcarz miasta musiał zrobić to samo. Cel został osiągnięty. A w jakiej konstelacji? To ma znaczenie drugorzędne. „Świat polityki jest nam obcy i niespecjalnie przez nas poważany” – pisali swego czasu kibice Legii w głośnie liście do burmistrza Mokotowa. W tym temacie raczej nic się nie zmieniło.

Polityczna lewica w tamtych sporach nie uczestniczyła. Gdy już musiała się wypowiedzieć, stawiała raczej po stronie modernizatorów. Był to zresztą odprysk szerszego zjawiska: porzucenia przez lewicę tradycyjnych sojuszników z klas pracujących. Już wcześniej zmienili się również sami „porzuceni”. Wielka smuta transformacji doprowadziła do załamania się frekwencji na stadionach. Im mniej było

na nich „normalsów”, tym bardziej rośli w siłę „ultrasi”, nierzadko żyjący za pan brat z przestępczym półświatkiem.

Młodzi intuicyjnie szukali na stadionach wspólnoty i znajdowali ją we wspólnotowości najprostszej: kulcie rodziny, narodu i małej ojczyzny. „Kibicowanie jest z natury konserwatywne, atawistyczne i predemokratyczne. Nakierowane na kult dawnych zwycięstw. Nawet tych wyimaginowanych” – pisał już w latach 90. włoski socjolog futbolu Antonio Rovesi.

Lewica nie chciała albo nie umiała wyciągnąć z tego wniosków. Z jej akceptacją konsumpcyjnej, liberalnej globalizacji i pochwałą konformistycznego indywidualizmu klasy średniej, skupiona na opowiadaniu historii nowych wykluczonych (np. mniejszości seksualnych), nie miała kibicom wiele do zaproponowania. Przez lata oddawała więc sport walkowerem. A gdy po kryzysie 2008 r. po lewej stronie zaczęto budować nowe polityczne opowieści: tę o niesprawiedliwej transformacji oraz o tym, że lewica to nie tylko zabawka dla dobrze zarabiającej klasy średniej, było za późno. Po stronie kibicowskiej nie było już zbyt wielu, którzy chcieliby słuchać.

Co dalej? Większość powie, że co pękło, to się już nie skleci. Bo jak można rozmawiać z ludźmi odpowiedzialnymi za wywieszanie na stadionie transparentów w stylu „Janusz Waluś naszym wzorem” albo z bandziorami od „Miśka”? Niby racja, ale jakieś to wszystko zbyt proste, zbyt samozadowolone i zbyt pozamykane.

Jeszcze parę lat temu na lewicy i wśród liberałów sporo mówiło się o potrzebie wyjścia z inteligencko-mieszczańskiej bańki. W międzyczasie bańka zamieniła się w twierdzę. Pełną poczucia moralnej wyższości i pretensji do świata redukę Polski „fajnej i uśmiechniętej”, obleganą przez hordy „bezrozumnych i groźnych barbarzyńców”. Zabarykadowanym w reducie nie tylko to nie służy – to ich niszczy. Uśmiech na twarzy „fajnego Polaka” zmienił się w grymas niechęci wobec inności: kibola, dresiarza, stadionowego Janusza. Wiem, że to nie jest ta ksenofobia, o której „uśmiechnięta Polska” lubi rozmawiać. Ale to też jest ksenofobia. I tak samo jak ksenofobia wobec „czarnucha” albo „ciapatego”, nie wyleczy się jej w facebookowej bańce, w klasowo posortowanym miejscu pracy czy na strzeżonym osiedlu. To się leczy w przestrzeni publicznej.

To co, widzimy się na stadionie?

ANNA

Dziewit-Meller: Wszystkie dopływy Nilu



SZANOWNY PANIE,

wysłałam z kina, po seansie Pana ostatniego filmu, czyli „7 uczuć”, o godzinie 17, gdyż szczęśliwie mam zawód pozwalający mi czasem na pójście do kina wtedy, gdy wielu innych ludzi wciąż jeszcze siedzi w pracy. Szalenie się cieszę z tego, zwłaszcza w takich momentach jak ten ostatni. W poniedziałek bowiem, o godzinie 15, sala kinowa warszawskiej Luny daleka była od weekendowego amoku multipleksów i mogliśmy sobie wszyscy, siedząc bezpiecznie z dala od siebie, przeżywać to, co na ekranie, i wycierać łzy w rękawy swetrów i koszul bez poczucia, że ktoś dyszy nam popcornem w szyję, podczas gdy nam właśnie serce trochę pęka. Bo nie da się ukryć, że widziałam, jak ludziom serce trochę pękło, i że niektórzy z nich płakali, gdy już zapalono światła. W podobnej ciszy i z pochylonymi głowami wychodzili ostatnio widzowie z „Kleru”, z tym że cisza po filmie „Kler” był ciszą z powodu Onych, a tu była cisza z powodu Nas. I nie dziwię się wcale, żeśmy mieli gardła ściśnięte i nie chciało się nam z nikim gadać. Postulowałabym, żeby na bilecie jak na paczce fajek minister zdrowia ostrzegał: „Oglądanie tej produkcji doprowadzić może do pierwszego od dawna płaczu z powodu tęsknoty za uczuciami, jakie nosiliśmy w sobie, gdy byliśmy dziećmi, a którym od dekad nie pozwalamy na dostęp do siebie. Bo tak nas wszystkich wychowywano”.

Szanowny Panie Marku, mam wrażenie, że ubrawszy Andrzeja Chyrę i Michała Koterskiego w krótkie gacie, każąc Małgorzacie Bogdańskiej i Katarzynie Figurze skakać w gumę i wpinając Gabrieli Muskale idiotyczną spineczkę w łozki, dotarł Pan do naszej wielkiej zbiorowej, polskiej tajemnicy, która brzmi: jesteśmy – wszyscy razem i każdy z osobna – tacy właśnie cholernie nieszczęśliwi, zgryźliwi, sfrustrowani, niechętni innym, pozamykani, nieumiejący się cieszyć swoimi sukcesami, wiecznie rozczarowani sobą i światem, spodziewający się głównie wszystkiego, co złe, podejrzliwi wobec szczęścia oraz straszliwie przez to wszystko wściekli, bo zupełnie nie znamy samych siebie. Nigdy bowiem to, jacy jesteśmy naprawdę, nikogo nie obchodziło. Więc i nas w końcu przestało.

Znamy się, owszem, na wielu rzeczach: na pracy, na sporcie, na samochodach i kosmetykach, na polityce, na medycynie. Nawet na Kościele i na orzeczeniach Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. Na szczepionkach. Na życiu prywatnym celebrytów. Ale na sobie samych się zupełnie nie znamy.

Na początku seansu pokazuje Pan cytat z Wiktora Osiatyńskiego, który powiada, że wielu się rzeczy w szkole uczył, ale nikt go tam nie nauczył, że jest siedem podstawowych uczuć, i że trzeba je umieć wyrażać. Co się z człowiekiem dzieje, gdy tych uczuć nie tylko nie potrafi wyrazić, ale również nie ma pojęcia, że je odczuwa – widziałam wiele razy w swoim życiu. I wszystkie te razy były nieszczęśliwe. A Pan to wszystko podsumował, dając aktorom na powrót stać się dziećmi, które niemal systemowo oduczane są wiary w wagę swoich emocji. Wychodzisz z domu rodzinnego, kończysz szkołę, znasz, człowieku, wszystkie dopływy Nilu, wiesz coś tam o Łokietku, wiesz, co to nibynóżka oraz jak zrobić rozbiór zdania podrzędnie złożonego, ale za cholerę nie znasz siebie.

„Wyszedłem z dzieciństwa jak z domu wariatów” – ten cytat z Korczaka przypomniał Tadeusz Sobolewski pisząc recenzję z Pana filmu. Otóż to.

Wygląda więc na to, że zrobił Pan, Szanowny Panie Marku, film o tym, dlaczego w Polsce osób cierpiących na różne zaburzenia psychiczne jest już około 7,5 miliona. O tym, dlaczego w latach 2008-15 liczba sprzedawanych w naszym kraju opakowań antydepresantów wzrosła o prawie jedną trzecią i z jakiego powodu aż 1,5 miliona Polaków co miesiąc udaje się do apteki po te środki.

Profesor Filip Rybakowski, psychiatra, mówił w wywiadzie o życiu psychicznym rodaków: „Ukryta depresja to ogromny problem społeczny. Mówimy o kilku milionach osób na wsiach, w miasteczkach, w »zwykłych« osiedlach metropolii. O emerytach, wdowach, samotnych matkach, nastolatkach i oczywiście nie tylko. Część z tych osób chodzi regularnie do lekarza, nawet wydawałoby się zbyt często. A to z bólem brzucha, a to głowy, a to kręgosłupa. A to z dusznością, kołataniem w klatce piersiowej czy niestrawnością. Dostają jakiś lek, trzy dni zwolnienia. Latami leczenia są objawowo. Część chodzi za każdym razem do przypadkowych lekarzy, którzy nie znają ich historii”.

Adaś Miauczyński przychodzi w końcu na terapię, bo najwyraźniej jest już pod ścianą, życie mu się sypie, co rano budzi się „w zupełnej rozpacz”, czuje tylko gniew i żal, nic więcej w sobie wykrzesać nie potrafi. W ostatniej scenie filmu psychoterapeutka wspianym głosem Krystyny Czubówny pyta pacjenta Miauczyńskiego o to, co czuje po przejściu terapii. A on jej mówi, że wstyd. „To dobrze” – powiada ona. „Dobrze, że czuje wstyd?” – dziwi się Adaś Miauczyński. „Dobrze, że pan wie, co pan czuje”.

Szanowny Panie Marku – mam nadzieję, że liczba widzów Pana filmu też pójdzie w miliony. Co najmniej w te 7,5 miliona.

Łączę wyrazy szacunku.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

DON CORRADO POZAMIATAŁ

Jezus łamał przepisy. Jego zachowanie było dla wielu kontrowersyjne. Tego samego wymaga od chrześcijan: szaleństwa, ryzyka i pójścia na całość
– mówi kard. Konrad Krajewski.

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

SZWAJCARSKIM GWARDZISTOM W BRAMIE Św. Anny trzeba powiedzieć, że się jedzie z „don Corrado” na dworzec. Zasalutują sprężycie i pozwolą wejść. To samo należy powtórzyć żandarmom 50 m dalej. Pokażą furgonetkę, która już czeka, wypełniona po sam czubek pakunkami. Jest ósma wieczorem. Pięć godzin wcześniej dziesięciu diakonów z rzymskiej diecezji zaczęło przygotowania: 40 kg mięsa na zupę, tyle samo makaronu, 300 kanapek, kartoniki z mlekiem i sokiem owocowym, konserwy z tuńczykiem, dezodoranty, szampony do włosów. My dokładamy jeszcze kilka nowych spiworów.

Jest nas wyjątkowo dużo – razem z papieskim jałmużnikiem piętnastu. Pojedziemy dwiema furgonetkami. Kardynał Krajewski siada za kierownicą ciemnoszarego fiata ducato i prowadzi, jak na prawdziwego Włocha przystało: przejeżdżając skrzyżowania na późnym żółtym i wczesnym czerwonym, regularnie trąbiąc na mniej rozgarniętych kierowców albo do pozdrawiających go ludzi. Mimo korków jesteśmy po pół godzinie na miejscu.

Nie udziela wywiadów. Taką przyjął zasadę pięć lat temu, gdy papież Franciszek zrobił go swoim jałmużnikiem. Tłumaczy, że musiałby dokonywać selekcji, bo trudno przecież spotykać się z każdym proszącym o rozmowę dziennikarzem.

A dlaczego miałby rozmawiać z jedną redakcją, a odmówić drugiej? Zresztą, jak twierdzi, nie jest od gadania, tylko od pracy. Więc zaprasza na dworzec – będzie można i porozmawiać, i pooglądać, i pomóc.

Papież Bergoglio chciał, żeby jałmużnik był jego prawą ręką i robił to, czego sam zrobić nie może – wychodził do ludzi na ulice, na peryferia. Tak więc wszystkie działania watykańskiego jałmużnika to inicjatywa papieża, a nie jego. Ma oczywiście wolną rękę w sprawach praktycznych – gdzie skierować pomoc, co kupić na obiad, co włożyć do paczki. Dziś na przykład każdy dostanie tuńczyka.

Człowiek od pergaminu

Urząd jałmużnika jest wiekowy, jak wszystko w Watykanie. Ustanowił go w XIII wieku Grzegorz X do prowadzenia dobroczynnych dzieł Stolicy Apostolskiej. Z czasem przerodził się w stanowisko urzędnicze, na którym lądowali zaśluszeni papiescy legaci w randze arcybiskupa. Ich głównym zajęciem było podpisywanie błogosławieństw, o jakie wierni proszą przy okazji ważnych w ich życiu wydarzeń.

Pergaminy to do dziś ważna część dochodu Watykanu. Płaci się za nie od 13 do 25 euro, co – po odliczeniu kosztów (złoty



cony papier, druk, kaligrafia) – daje niewielki zysk jednostkowy, ale przy dużym obrocie urastający do 200-250 tys. euro rocznie.

Decyzją papieża cały dochód biura jałmużnika przeznaczony jest na bezpośrednią pomoc ubogim. Wystarczy, by zaspokoić przynajmniej najważniejsze potrzeby. Jeśli do tego dodamy ofiary, jakie papież otrzymuje z całego świata – czy to podczas pielgrzymek, czy od gości watykańskich (w kopertach zostawianych przez uczestników mszy w Domu św. Marty jest czasem 50 euro, a czasem 5 tys.) – łączy się kwota, za którą można zrobić coś więcej. Nie ma biurokracji, nie trzeba czekać na decyzje zarządu i siedem podpi-



MASSIMILIANO MIGLIORATO / CPP

Kard. Konrad Krajewski rozdaje żywność ubogim po modlitwie Anioł Pański na placu św. Piotra, Watykan, 21 lutego 2016 r.

sów. „Dobre konto to puste konto” – powiedział Franciszek do jałmużnika. Żadnych lokat, żadnych procentów. Rozdać ubogim.

Dwa lata temu papieska ręka jałmużnika zamontowała prysznice w kolumnadzie na placu św. Piotra – setka bezdomnych może z nich korzystać codziennie, siedem dni w tygodniu. Jeden z kardynałów chciał, by je zamykać przynajmniej na niedzielę. Don Corrado zaproponował mu, żeby sam przestał w niedzielę korzystać z toalety i łazienki. Poskutkowało.

Prysznice zakładane są też – za pieniądze z Watykanu – w parafiach rzymskich, które podejmują się opieki nad bezdomnymi. Rozbudowywane jest ambulatorium,

gdzie każdy znajdzie podstawową pomoc medyczną. Przy jednym ze szpitali wspólnota Sant'Egidio wybudowała – za ofiarowane przez jałmużnika pieniądze – pralnię dla bezdomnych. Na święta każdy, kto przyszedł po posiłek na dworzec, dostał 50 euro „od papieża”. Pieniądze trafiają też do ubogich rodzin, które nie mają z czego opłacić rachunków. Nie wszystkim się to podoba. Niektórzy mówią, że trzeba rozdawać wędki, a nie ryby.

Watykańskie rarytasy

Tego wieczora „załogę jałmużnika” stanowi czterech misjonarzy oblatów (trzech Polaków i Meksykanin), ksiądz-stażysta z Radia Watykańskiego, siedmiu rekrutów

Gwardii Szwajcarskiej wraz z kapelanem i przedstawiciel „Tygodnika Powszechnego”. Dojeżdżając na miejsce zakładamy żółte, odblaskowe kamizelki z napisem „*Elemosineria Apostolica – Volontariato*”.

Stoły są już ustawione – zajmują część via Marsala, przy północnej ścianie dworca. Mimo zmroku widać z daleka czekający tłum i połyskujące kamizelki wolontariuszy: czerwone Kawalerów Maltańskich, seledynowe wspólnot Sant'Egidio, Pozzo di Giacobe i młodzieży z pobliskich parafii. Posiłki rozdawane są co wieczór, każdego dnia odpowiada za nie inna organizacja. Pomagają też zwykli mieszkańcy – starsi, dystygnowani rzymianie ➔

→ zakasują rękawy marynarek i nalewają zupę z kotła.

Wolontariuszy będzie z setka – tak na oko, bo nie ma list obecności, przychodzi kto chce. Każdy szybko dostaje jakieś zajęcie: można rozdawać pakiety, pilnować porządku w kolejce, odgradzać ją szpalem od ulicy, żeby nikt nie wyskakiwał na jezdnię albo nie wypychał się z boku. Można też z biednymi po prostu rozmawiać.

Z Watykanu wsparcie wyjeżdża trzy razy w tygodniu, za każdym razem na inny dworzec: Termini, Tiburtina lub Ostiense. Gdy bezdomni wiedzą, że będzie don Corrado, przychodzą liczniej, bo spodziewają się czegoś ekstra. Na co dzień jest nieco skromniej.

Wysłannik z mandatem

Kolejka rozciągnęła się na dobre 200 m i jest, o dziwo, zdyscyplinowana. Wyładowanie towaru trwa kilka minut, wyciągamy też z furgonetki agregat prądowłóczy, na który czeka stanowisko do podawania gorącej kawy. Pytam kardynała, czy ma na to wszystko jakieś pozwolenia – od miasta, policji, kolei? Patrzy na mnie dziwnie i radzi porzucić europejskie schematy myślenia. Na Lampedusie przyłączył uchodźcom prąd do kontenerów, nie czekając na pozwolenie. Powiedział wtedy do papieża, że w końcu trafi za to wszystko do więzienia. Franciszek roześmiał się i obiecał, że będzie go odwiedzać.

Tłum gęstnieje, kierowcy trąbią, nie mogą przejechać ulicą, jedni pokrzykują na drugich, ktoś zaczyna śpiewać, żeby sobie i innym umilić stan. Jedni czekają cierpliwie, inni próbują coś wyłudzić poza kolejnością, zmiękczając serca wolontariuszy opowiadaniem smutnej historii. Obowiązuje zasada, by nic nikomu nie wynosić na boku, bo może zabraknąć dla innych. Ale – jak to we Włoszech – co chwilę ktoś tę zasadę łamie z rozbrajającym uśmiechem.

– Dobrze, że jest nas aż tylu – mówią wolontariusze, którzy przychodzą tu regularnie. – Jest bezpiecznie. Czasem trudno zapanować nad kolejką. Wystarczy jedno słowo, by wybuchła kłótnia, ktoś rzuci butelką, wiele nie trzeba.

Nie ma policji, co dziwi, bo w całym Rzymie widać ją na każdym rogu. Ks. Tomas, kapelan szwajcarów, podejrzewa, że jest za to sporo tajniaków. Mundurowi wycufują się świadomie, bo wiedzą, że i tak nic nie mogliby zrobić w takim tłumie.

Krytycy Franciszka są pod wrażeniem

pracy jego jałmużnika.
Mówią: papież popełnia błędy, ale o ubogich dba bardziej niż poprzednicy.

Kiedyś za złe zaparkowany samochód na watykańskich numerach kardynał kazał im wystawić mandat na nazwisko Jorge Bergoglio. Wie, że może sobie pozwolić na takie zagrywki, bo jest osobą znaną. Korzystają z tego biedni, korzystają charytatywne organizacje. Caritas nieraz prosił go, by załatwił w urzędach coś, czego w normalnym trybie załatwić się nie dało.

Papieskie pogotowie ratunkowe

Gdy już po wszystkim opowiadam o dworcowej przygodzie watykańskie Luigiemu Accattolemu, usłyszę, że nawet najwięksi krytycy Franciszka są pod wrażeniem pracy jałmużnika. Mówią: papież popełnia błędy w nauczaniu i sprawowaniu urzędu, ale o ubogich dba bardziej niż którykolwiek z poprzedników.

Accattoli dodaje, że nie chodzi o samą pomoc, ale o przykład dla innych. – Wielu ludzi w Rzymie i na całym świecie rozdaje ubogim jedzenie na ulicy. To nic takiego. Ale dzięki kard. Krajewskiemu dowiadujemy się, że papież nie tylko aprobeje taki sposób pomagania, ale że wręcz uważa go za najlepszy.

Bo jeśli pomoc ma być szybka i skuteczna, to nie można jej udzielać w godzinach urzędowania kancelarii parafialnej albo oddziału Caritasu. I nie ma co czekać, że biedny sam zapuka do naszych drzwi.

Watykanista docenia też kreatywność polskiego kardynała, który ciągle wymyśla nowe formy pomocy. Zaprasza bezdomnych na pizzę albo do cyrku, albo na plażę. W zimie wysła autobusy, w których mogą się ogrzać. – Jest skromny i cichy, ale niezwykle dynamiczny – dodaje.

To fakt. Chwilę wcześniej słyszałem od kardynała, że wspólne rozdawanie jedzenia to za mało, że każdy z nas powinien zrobić coś sam o siebie. „Kupujesz sobie podkoszulek – kup dodatkowe dwa i daj potrzebującym”. Taka uwspółcześniona

wersja ewangelicznego „idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim”.

Sam swoje mieszkanie oddał syryjskiej rodzinie i przeprowadził się do biura. A dziś, gdy przy okazji synodu odwiedziło go kilku dawno niewidzianych znajomych biskupów, postawił ich przy kuchni, by ugotowali obiad dla czwórki bezdomnych, których miał u siebie gościć.

Oczywiście, są i tacy, którzy go krytykują – w Watykanie czy w Caritasie. Że rozdaje pieniądze, które potem idą na alkohol i narkotyki, że się lansuje, a wszystko to pijar, że można te pieniądze przeznaczyć na skuteczną, systemową pomoc. Czyli, krótko mówiąc, na wędki.

Ale to nie rola jałmużnika – bronią go z kolei zwolennicy. Od pomocy systemowej jest cały urząd, specjalnie stworzony przez Franciszka – Dykasteria ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Tam planują, gdzie budować szkoły i gdzie kopać studnie. Jałmużnik jest – jak sam o sobie często mówi – „papieskim pogotowiem ratunkowym”. Nie zajmuje się profilaktyką ani rehabilitacją. Jedzie tam, gdzie pomoc potrzebna jest natychmiast.

Niekończąca się festa

Ilaria ma 20 lat, należy do grupy charytatywnej w jednej z okolicznych parafii. Dziś przyszła pierwszy raz rozdawać zupę. – Do niedawna bałam się bezdomnych, gdy widziałam ich na ulicy – mówi. – Najbardziej odrzucał mnie ten – chwilę szuka odpowiednich słów – wyczuwalny brak higieny. Ale pomyślałam, że mnie też kiedyś może się przydarzyć jakieś nieszczęście. Ja też któregoś dnia mogę być w takiej sytuacji. Bezdomnym można zostać z dnia na dzień. Ludzie tracą pracę, rozwodzą się, przegrywają w kasynie, wpadają w dług. Banki potrafią zabrać wszystko.

Antonio jest od niej dwa lata starszy. Był na Termini już kilka razy. Opowiada o Constantinie, do którego wszyscy tu mówią „professore”, ponieważ zna biegle łacinę i sypie datami z historii. Takich ludzi, którzy w przeszłości – nawet niedalekiej – mieli pracę, dom, rodzinę, a teraz muszą jeść na dworcu, Antonio zna paru. Choć oczywiście dużo więcej jest długoletnich alkoholików, którzy nie przepracowali ani jednego dnia w życiu. Albo ściąganych przez prawo. – Proszę uważać – ostrzega – bo tutaj z panem rozmawiają, ale za chwilę, za rogiem, zabiorą panu portfel.

Radzi też, by nie robić zdjęć, bo niektórzy mogą zareagować agresywnie. Anto-

nio przychodzi pomagać, ale jest realista: – Miejsc, gdzie bezdomni mogą w Rzymie zjeść, są dziesiątki. Z głodu nikt nie umiera. Damy im jeść, pogadamy, pożartujemy, taka codzienna, niekończąca się festa, odskocznia od codziennej monotonii. Wychodzą ze wszystkich zakamarków, zjeżdżają się z całego Rzymu. Na dwie godziny mieszkańcy miasta i pasażerowie na dworcu mogą odetchnąć z ulgą. Ale czy w ten sposób komukolwiek pomożemy? Czy kogoś wyciągniemy z bezdomności? Wątpię. Raczej konserwujemy stan aktualny. I sami sobie poprawiamy samopoczucie...

W jednym Antonio się myli. Przypadki wyciągnięcia z bezdomności, a raczej świadomego z niej wyjścia, które zaczęło się od spotkania pod dworcem z kard. Krajewskim, a potem było przez niego wspomagane, zdarzały się i wcale nie są rzadkie.

Kilka z nich to przypadki polskie, bo wśród bezdomnych wciąż jest sporo naszych rodaków. Gdy tylko któremuś zaświta myśl, by odmienić życie, i gdy ta myśl utrzyma się do wytrzeźwienia, kardynał organizuje powrót do Polski. Kupuje bilet na samolot, załatwia w ambasadzie, niemal od ręki, trzymiesięczny paszport i następnego dnia delikwent – zanim zdąży się rozmyślić – jest w Warszawie. Tam czeka na niego s. Małgorzata Chmielewska. Kardynał Krajewski jest pełen uznania dla jej działalności. Podesłał jej kilku panów i dotąd nie zdarzyło się, by odmówiła przyjęcia, choć wolnych miejsc w prowadzonych przez nią ośrodkach nigdy nie ma.

Ja nic nie muszę

Nie wszyscy stojący w kolejce po darmowy posiłek wyglądają na biednych. Wielu jest schludnie ubranych, na ich twarzach nie ma znaków alkoholowej przeszłości, ich ciała nie przesiąkły tą charakterystyczną, mdłą wonią, która kojarzy nam się z bezdomnością.

Dziękuję się spostrzeżeniem z kard. Krajewskim, ale moje słowa wyraźnie go irytują.

Dowiaduję się, że jestem przykładem najbardziej stereotypowego myślenia o bezdomnych: muszą śmierdieć, chodzą w łachmanach i zawsze są pijani. Po to właśnie organizuje prysznice i pralnie, po to rozdaje ubrania i zakłada ambulatoria, żeby takim stereotypom zaprzeczać. Bezdomni nie śmierdieją dlatego, że chcą. Gdy zapewni im się miejsce, w którym

Kiedys za źle zaparkowany samochód na watykańskich numerach kardynał kazał wystawić mandat na nazwisko Bergoglio.

będą mogli wykąpać się i przebrać, wrócą do naszego świata. Choćby na chwilę.

Siostra Benigla, jedna z kilku nazaretanek, które stawiały się dziś przy dworcu, mówi, że największy problem miała właśnie z męską łazienką. Przy jednym z kościołów kard. Krajewski ufundował pięć kabin dla bezdomnych, czynnych dwa dni w tygodniu. Przełożona kazała jej tam sprzątać. – Ale kiedyś przyjechał do nas z wizytą abp Matteo Zuppi z Bolonii – opowiada. – Znany jest z zaangażowania na rzecz ubogich i imigrantów. Zapytał: i co siostry takiego dobrego robia? Mówimy, że rozdajemy bułki na dworcu. A on na to, żeby uważać, bo możemy się stać automatami do dystrybucji kanapek. Wtedy zrozumiałam, że samo rozdawanie jedzenia to mało. Że trzeba im dać jeszcze coś więcej, coś z siebie.

Gdy sama została przełożoną, nie zrezygnowała ze sprzątkania łazni. Dziś przyszła na dworzec wyjątkowo, żeby zobaczyć, jak sobie radzą jej młodsze siostry.

– Musisz mi jeszcze coś dać – zaczepia s. Benigłę mężczyzna, który zjadł zupę, odebrał worek z prowiantem i szuka okazji do pogawędki. – W takim razie ty też – mówi zakonnica. – Ja? Ja nic nie muszę – obrusza się on. – Ja też nie – odpowiada ona. Bezdomny śmieje się: – Masz rację. Nie musisz.

Od takich przekomarzań i żartów zaczynają się czasem poważne rozmowy. Zakonnice są niemal tak oblegane jak „don Corrado”. Ignają do nich wszyscy, którzy potrzebują się wygadać, poskarżyć na złych ludzi albo na los. W dodatku, jak mówi kardynał, ich obecność wycisza złe emocje, zmniejsza poziom agresji. A dzieje się to ot tak, po prostu: siadają na krawężniku i słuchają.

Ewangelia to nie supermarket

Skończyła się kolejka, skończyły pakiety. Starczyło dla wszystkich, dla niektórych

nawet po dwa, trzy razy. Młodzi Szwajcarzy składają stoły i zwijają kable od generatora. Kapelan mówi, że kardynał chciałby, aby każdy halabardzista przynajmniej raz wziął udział w takiej akcji. – Ale przymusu nie ma – zastrzega, a jego dzisiejsza obecność nie jest żadną formą nadzoru. – Starsi przyjeżdżają tu beze mnie – mówi. – Tyle że dziś zgłosili się sami rekruci, którzy dopiero co przyjechali do Rzymu. Nie znają miasta, nie mówią słowa po włosku. Jestem im po prostu potrzebny.

Młodzi chłopcy, niespełna dwudziestoletni, przed wakacjami skończyli szkołę wojskową i zamiast zostać w państwowej armii, postanowili strzec papieża. – Złożyli aplikacje o przyjęcie do papieskiego wojska – wyjaśnia ks. Tomas. – Po weryfikacji podań i rozmowie z kandydatami przełożeni zdecydowali, kto przenosi się do Watykanu. Będą tu co najmniej dwa lata, czasem trzy. Chyba że awansują, to wtedy i dłużej. Przez pięć lat nie wolno im się ożenić. Po dwóch miesiącach szkoleń z musztry i technik obronnych zmienią granatowe, robocze mundury na galowe, zaprojektowane na wzór wojskowych strojów z fresków Rafaela. Dostaną długie, żółtoniebieskie pończochy, takie same pumpy i bluzy z pufiastymi rękawami – śmieje się ks. Tomas.

Tymczasem kard. Krajewski chodzi między nami ze szczotką i szufelką, zamiatając porozrzucane śmieci. W końcu zwołuje całe towarzystwo na krótką modlitwę i błogosławieństwo.

Wracamy w tym samym składzie, trąbiąc to radośnie, to nerwowo, i z nonszalancją traktując znaki drogowe. W Polsce za taką jazdę kierowca Krajewski uzbierałby niezłą sumę punktów karnych. Ale porzucam europejskie schematy myślenia. Prawo we Włoszech ma nieco inne znaczenie – słyszę. Dlatego takie akcje, jak ta na dworcu – bez pozwoleń, sanepidów, blokując na blisko dwie godziny ulicę przy największym dworcu – są tutaj możliwe. Bo przepisy są potrzebne, choć należy je stosować elastycznie. Mają pomagać człowiekowi, a nie go krępować.

Pan Jezus też łamał przepisy. Jego zachowanie też było dla wielu kontrowersyjne. Oburzało i gorszyło. I tego samego wymaga od chrześcijan: szaleństwa, ryzyka i pójścia na całość.

Bo ewangelie trzeba realizować w całości – słyszę na koniecie. – To nie supermarket, z którego wybieramy to, co dla nas wygodne.

©© EDWARD AUGUSTYN



Mamy ten ogród uprawiać i go strzec

ABP WIKTOR SKWORC, METROPOLITA KATOWICKI:

Nie zwracamy uwagi, czym palimy w piecach, produkujemy niebotyczne ilości śmieci, kupujemy więcej, niż możemy zjeść. Taka postawa powinna być oceniona w kategorii grzechu ciężkiego.

MACIEJ MÜLLER: Zaczął się sezon grzewczy, nie ma dokąd uciec przed smogiem. A gdyby tak proboszcz

z ambony zagrzmiał: człowieku, jeśli palisz najtańszym węglem, plastikiem, łamiesz piąte przykazanie...

ABP WIKTOR SKWORC: Doczekaliśmy się ostatnio rozporządzenia Ministerstwa Energii, które określa jakość i wartość energetyczną węgla dopuszczanego do detalicznej sprzedaży. Ten fakt może pomóc rozwiązać ten problem (choć *vacatio legis* jest długie, aż do czerwca 2020 r.). Sama zmiana prawa to jednak za mało. Na razie w społeczeństwie brakuje powszechnego skojarzenia: używanie niewłaściwego paliwa w piecu truje wszystkich naokoło. W efekcie działanie takie jest sprzeczne z Bożym przykazaniem „Nie zabijaj”. Zgadza się z tezą, że Kościół powinien nie tylko używać w nauczaniu właściwych argumentów, ale – jeśli zachodzi potrzeba – również odpowiednio mocnych słów. Niektórzy biskupi w ostatnich latach roz-



WOJCIECH WÓJCIK / FORUM

Osiedle Nikiszowiec, Katowice 2013 r.

wijali kwestie ekologiczne w listach pasterskich, ale być może niewystarczająco. A trzeba poruszyć sumienia.

Dlaczego? Czy tematyka ekologiczna wydaje się nienaturalna do poruszania w Kościele?

Przeciwnie. Przecież w każdą niedzielę wyznajemy w Credo: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi”. Świat przyrody jest zatem owocem Bożego zamiaru i Bożego słowa. Stworzenie jest dobre! Skoro więc wierzymy w Boga Stworzyciela, to naszym obowiązkiem jest szanowanie tego, co stworzył. Nie tylko natury jako takiej, ale każdej istoty. Tymczasem, przywołując papieża Franciszka, całe stworzenie „protestuje

z powodu zła, jakie wyrządzamy nieodpowiedzialnym wykorzystywaniem i rabunkową eksploatacją dóbr” („Laudato si”, 2).

Usprawiedliwiamy to „czynieniem sobie ziemi poddaną”.

Kto wie, czy Kościół w swym przekazie tego biblijnego nakazu z Księgi Rodzaju nie przeakcentował, zapominając tym samym, że to Pan Bóg podarował człowiekowi ogród Eden, aby go uprawiał i strzegł. Z tego obdarowania wynika przekonanie, że naszą powinnością jest troska o cały świat.

Grzech pierworodny sprawił, że człowiek nie opanował swojej woli używania i posiadania. Ten rodzaj nieopanowania stał się przyczyną grzechów ekologicznych, podsycaną współcześnie reklamą promującą niczym nieograniczoną konsumpcję.

Przyjście Chrystusa i rozpoczęcie dzieła zbawienia nic w człowieku nie zmieniło?

W teologicznym sensie Chrystus wyzwala nas z mocy grzechu i śmierci, daje łaskę wewnętrznej przemiany, a co za tym idzie – również odnowy świata. A zatem wierzący w Chrystusa, odkrywając swoje powołanie i misję, winni w tym świecie działać nieco inaczej.

Do działania motywuje nas osobista relacja z Bogiem, z naszym Stworzycielem. Jak powiada starożytny mędrzec, na „podstawie potęgi i piękna rzeczy stworzonych można przez podobieństwo dojść do kontemplacji Stwórcy” (Mdr 13, 5). Tymczasem tak się skupiliśmy na teraźniejszości, że straciliśmy z oczu perspektywę „dnia ósmego”, czyli dnia zbawienia. Tylko wtedy, kiedy odkryjemy ją na nowo, będziemy w stanie pojąć, iż świata nie możemy używać bez miary. Zrozumienie to prowadzi do ostatecznej przemiany, do zbawienia. Oczekujemy bowiem – jak zapowiada Apokalipsa – daru nowego nieba i nowej ziemi, a nie kosmicznej katastrofy, będącej efektem bezmyślnej eksploatacji świata.

O jakich grzechach ekologicznych mówi Kościół?

Żyjemy w rzeczywistości szybkich przemian, zarówno ludzkości, jak i naszej planety. Chociaż zmiany są naturalnym elementem rozwoju, to coraz częściej budzą niepokój; szczególnie wtedy, gdy degradacji ulega świat i poziom życia wielu ludzi

na świecie. Padamy ofiarą własnego egoizmu i przesadnego komfortu. Nie zwracamy uwagi na jakość paliw, które spalamy w piecach, albo na śmieci produkowane w niebotycznych ilościach; zanieczyszczamy wodę, niszcząc kolejne ekosystemy oceaniczne. Należałoby także wspomnieć o chemizacji rolnictwa, która nie tylko przekłada się na chemizację żywności, ale prowadzi do eksterminacji pszczół. Nie potrafimy się ograniczyć w konsumpcji, powiedzieć sobie: dość.

Kupujemy więc tyle, że nie potrafimy tego zużyć. Dotyczy to także żywności. Jej nadmiar wyrzucamy. Taka postawa – szczególnie w obliczu głodu w innych częściach ziemi – winna być oceniona w kategorii grzechu ciężkiego.

Przykładów, czym się kończy dominacja postępu i produkcji nad człowiekiem, nie trzeba szukać daleko. Na Górnym Śląsku mamy wciąż wiele nierozbrojonych bomb ekologicznych z okresu komunizmu: skutki dawnych zaniedbań trwają. Wokół jednej z hut metali żelaznych powszechnym zjawiskiem była ołowica dzieci.

Jednym z głównych postulatów walki z ociepleniem klimatu jest odejście od energetyki węglowej. Na Śląsku wciąż dziesiątki tysięcy ludzi utrzymują się z wydobycia węgla. Jak pogodzić troskę o klimat ze skutkami społecznymi przejścia na energetykę odnawialną?

Dotykamy problemu społecznego, ekonomicznego i politycznego, który musi być rozwiązywany systemowo, przez lata. Każde państwo dąży do bezpieczeństwa energetycznego. Nasz kraj od lat upatruje go w węglu. Znam opracowania naukowe, według których węgiel spalany w prawidłowy sposób przestaje być szkodliwym dla środowiska źródłem energii. Opinia ta dotyczy przede wszystkim spalania węgla w elektrowniach, a nie w piecach domowych.

Tutaj problem leży często w nieprawidłowym rozpaliu pieca – wielu ludzi rozpala węgiel „od dołu” zamiast „od góry”, w piecu jest w rezultacie zbyt niska temperatura spalania, a z komina niemiłosiernie się kopci. Przydałyby się szkolenia, jak palić w piecu.

Tym zajmują się odpowiednie podmioty, szkolenia organizuje np. straż

→ pożarna. Kościół może natomiast proponować edukację ekologiczną na gruncie szkolnym, parafialnym oraz rodzinnym. Tym sposobem nawet małe dziecko może stać się sumieniem swojej rodziny.

Odeszliśmy od problemu społecznego: górnicy będą tracić pracę. Nie będą wdzięczni Kościołowi za to, że stoi ręka w rękę z ekologami.

Zmiana źródeł pozyskiwania energii nie może być procesem gwałtownym. Na Górnym Śląsku od lat 90. minionego stulecia zamykane są kolejne kopalnie. Zasoby węgla wyczerpały się albo są już tak nisko położone, że ich eksploatacja się nie opłaca. Nie ulega wątpliwości, że pracownicy zwalniani z kopalni albo powiązani z górnictwem muszą być przygotowywani przez państwo do zmiany branży albo do przejścia na emeryturę. Nie możemy zapominać, że górnictwo było przez dziesiątki lat siłą napędową polskiego przemysłu.

Na grudzień zaproszono mnie do partnerskiej diecezji Essen w Zagłębiu Ruhry, na uroczystość zamknięcia ostatniej kopalni. Proces odchodzenia od węgla dokonywał się tam 30 lub nawet więcej lat. Górnicy nie zostali bez środków do życia, wszystko odbywało się z zachowaniem spokoju społecznego. To możliwe.

Wiąże Ksiądz Arcybiskup jakieś nadzieje z grudniową konferencją COP24 w Katowicach?

Węgiel eksploatowany w Polsce nie stanowi zagrożenia ekologicznego w skali globalnej, ale kiedy zsumujemy zuży-

cie węgla w Chinach, Indiach i USA, to sprawa wydaje się poważna. COP24 ma służyć porozumieniu wszystkich krajów świata w sprawie ochrony klimatu. Czy przedstawiciele różnych państw mają świadomość, że zamieszkują jeden wspólny dom? To okaże się właśnie w Katowicach. Dlatego przy każdej okazji apeluję, by wierni otoczyli to wydarzenie modlitwą, aby Duch Święty – Duch jedności – dał uczestnikom COP24 język porozumienia, dzięki któremu nie będą powtarzane puste hasła, ale powstaną deklaracje respektowane przez wszystkich w praktyce. A z tym bywa różnie.

Archidiecezja katowicka będzie towarzyszyła działaniom szczytu klimatycznego m.in. poprzez organizację sympozjów naukowych poświęconych nauczaniu ekologicznemu Kościoła; proponujemy też uczestnikom COP24 opiekę duszpasterską. Przyjedzie przecież do Katowic 30 tys. ludzi różnych wyznań. Rozmawiamy o tym z Kościołami działającymi w Polskiej Radzie Ekumenicznej, a także ze wspólnotami muzułmańską i żydowską. Na niedzielę 9 grudnia planujemy główne nabożeństwo ekumeniczne. Wyznamy też tzw. kościoły stacyjne, w których będą odprawiane nabożeństwa w językach hiszpańskim, angielskim, niemieckim, francuskim i po łacinie. Być może uda się też przy tzw. strefie zero COP24 ustawić „namiot spotkania i modlitwy”.

Czy jeśli na jednej szali leżą ogromne pieniądze i interesy międzynarodowych korporacji, a na drugiej troska

o ekosystemy, jest w ogóle szansa, żeby ta druga przeważała?

Nie wszystkich przekonują argumenty natury teologicznej, ale jeśli cechą ludzką jest racjonalność, to taką szansę widzę. Na tym polega budzenie świadomości: jeśli człowiek zobaczy, że jego działanie jest szkodliwe, to może się z niego wycofa.

Tylko że np. wycinanie dżungli amazońskiej jest szkodliwe przede wszystkim dla kogoś, kto tam mieszka, a nie dla mnie. Albo dla przyszłych pokoleń, a ja żyję teraz.

Papież Franciszek przypomina jasno: prawdziwe podejście ekologiczne zawsze staje się podejściem społecznym, które musi w dyskusję o środowisku włączyć sprawiedliwość, aby uszanować wartość stworzenia, godność najuboższych i los przyszłego pokolenia. Ubolewam nad tym, że kolejne alarmy o groźbie ekologicznej katastrofy są lekceważone; że ciągle zwycięża nasz egoizm.

Ale czy jest czymś charakterystycznym dla człowieka to samoograniczenie się? To raczej rzadka cnota.

Umiarkowanie jest jedną z katechizmowych cnot kardynalnych. Jeśli ktoś ma tę cnotę promować, to właśnie chrześcijaństwo. W skali całej ziemi jest nas jeszcze sporo. Możemy przecież wpływać na losy świata poprzez zjednoczenie się we wspólnym działaniu. Papież zaprasza nas do bardziej ascetycznego stylu życia, do ponownego wyboru dobra, które nie jest tożsame z ob-

Biskupi śląscy o jakości powietrza,

LISTOPAD 2015 R.

GŁÓWNĄ PRZYZYNYĄ ZANIECZYSZCZENIA [powietrza] jest emisja niebezpiecznych substancji chemicznych z indywidualnego ogrzewania budynków. Ten stan (...) jest konsekwencją spalania materiałów opałowych złej jakości, w paleniskach o niskich parametrach energetycznych. (...) Powietrze powinno być oczyszczone z efektów ludzkiej lekkomyślności, szczególnie teraz w okresie grzewczym, kiedy niefrasobliwie spala się

w piecach m.in. śmieci, odpady i przedmioty plastikowe. Nie wolno, ogrzewając mieszkanie lub dom, przyczyniać się do „małych katastrof ekologicznych”. (...) Bardzo liczymy na to, że przepisy państwowe i samorządowe będą uwzględniać sytuację ekonomiczną tych, których nie stać na zakup nowego pieca lub jego modernizację.

Episkopat o ekologii,

PAŹDZIERNIK 2018 R.

NIKT NIE POWINIEN MÓWIĆ, że to nie jego sprawa, bo wszyscy potrzebujemy czystego powie-

trza, aby żyć. Ostatecznie troska o środowisko naturalne, zwłaszcza zaniechanie troski o czystość powietrza, to sprawa sumienia, które powinno być wrażliwe na sprawy ekologii. (...) Niepohamowana chęć zysku przy braku wyobraźni popycha niektórych do czynienia z naszem krajem śmietniską Europy, które próbuje się potem prymitywnie likwidować, podpalając rękami „nieznanych sprawców”. (...)

Warto spojrzeć na samego siebie i zapytać choćby o egoistyczny, konsumpcyjny styl życia, który grozi nam wszystkim, a ma

swoje źródło w zapomnieniu o Bogu. Stworzenie bez Stworzyciela zanika – przypomina Sobór Watykański II (por. „Gaudium et spes”, 36). Pierwszą ofiarą tego zapomnienia jest zawsze sam człowiek, a po nim świat stworzony. Niepohamowane gromadzenie dóbr, wyzysk i niszczenie przyrody, znęcanie się nad zwierzętami, zaśmiecanie lasów, obrzeży dróg, oceanów, powietrza, przestrzeni kosmicznej, nadużywanie wszystkiego tego, co z Bożej ręki otrzymaliśmy – to niepełny katalog grzechów ekologicznych.



ABP WIKTOR SKWORC, od 2011 r. metropolita katowicki, wcześniej był biskupem tarnowskim. Jest członkiem Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski.

sesyjnym konsumpcjonizmem, a także do wolności rozumianej jako niezależność od narzuconych uwarunkowań psychologicznych i społecznych.

W zamyśle Boga środowisko naturalne miało być przyjazne, życzliwe, stanowiąc dla człowieka bezpieczną otoczkę. Dziś świat, w odpowiedzi na nieodpowiedzialną działalność człowieka, staje się dla niego śmiertelnym zagrożeniem. Nie jest to wina wyłącznie rządów czy korporacji. Papież Franciszek zwraca uwagę na „małe grzechy ekologiczne”, które zdarzają się każdemu. Stąd jego apel o „ekologiczne nawrócenie” – uświadomienie sobie grzechów przeciwko Bożemu stworzeniu.

Czy nasze działania proekologiczne nie są motywowane egoistycznie?

Zawsze stoi za nimi interes człowieka: nie róbmy tego, bo nam to zaszkodzi.

Czy nie powinniśmy być ekologiczni dla przyrody jako takiej?

Motywy troski o środowisko jest troska o człowieka i nie ma w tym nic złego. Franciszek wskazuje w encyklice „Laudato si” na troskę o nasz wspólny dom. Myśli o przyszłym pokoleniu oraz o całym stworzeniu dotkniętym zmianami klimatycznymi. Cała przyroda cierpi, nie tylko człowiek. Więc nawet jeśli pierwszą motywacją działań ekologicznych jest człowiek, to ostatecznie występujemy w interesie całego stworzenia.

Wspomniał Ksiądz Arcybiskup o nawróceniu ekologicznym. Skoro mówimy o nawróceniu, to znaczy, że żyjemy w grzechu.

Ponieważ jesteśmy z natury grzeszni, to widzimy konieczność nieustannego nawracania się, wewnętrznej przemiany, zarówno w porządku myślenia, jak i działania. Jeśli jesteśmy na niewłaściwej drodze, to musimy z niej zejść. W omawianej przez nas tematyce widzę potrzebę pogłębienia świadomości ekologicznej i budowania właściwego odniesienia do świata stworzonego, w tym do każdego człowieka. Nasz szacunek do stworzenia wyraża szacunek do Boga, który świat stworzył. Świat jest Jego, my zaś jesteśmy tutaj tylko gośćmi. To prawda, że grzeszymy, gdy lekceważymy i niszczymy Jego dzieło, albo nie dostrzegamy już związku między Stwórcą a stworzeniem. Nie zapominajmy, że wszystko, co Bóg stworzył, było i nadal winno być bardzo dobre.

© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Jak wykorzystać nadmiarową żywność?

FAŁSZYWE KRUPNIOKI

Suchy chleb namoczyć, odcisnąć z wody. Na patelni przesmażyć cebulę, słoninę lub smalec razem z chlebem. Doprawić do smaku solą, pieprzem.

FRANCUSKIE TOSTY

Suchy chleb pokroić na kromki. W misce rozmieścić jajko z odrobiną mleka, posolić i popieprzyć według uznania. Na patelni rozpuścić masło lub olej. Kromki suchego chleba maczać

w jajku i smażyć na patelni z obu stron na złoty kolor. Po usmażeniu francuskie tosty można posypać parmezanem i udekorować sałatą, pomidorem lub dowolnie – według uznania.

RESZTKI MIĘSA

Mrozimy nawet małą ilość mięsa. (...) Odmrożone produkty możemy wykorzystać: do bigosu; do gulaszu (resztki pieczonych mięs pod smażyć z cebulką, pieczarkami, papryką,

ogórkiem konserwowym i z tym, co mamy i lubimy. Można dolać trochę wody i zagęścić mąką); do pasztetu, krokietów, pierogów (gotowane mięso mielimy).

Przepisy pochodzą z podręcznika „W trosce o człowieka. Ekologia integralna. Program formacyjny dla rodzin”, wyd. Wydział Duszpasterstwa Rodzin Archidiecezji Katowickiej 2018



ALEXANDER NEMENOV / REUTERS / FORUM

Władimir Putin oraz patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl, 2017 r.

Władza przed Ewangelią

PIOTR SIKORA

Rosyjska Cerkiew dla polityki gotowa jest poświęcić jedność eucharystyczną. To cios dla prawosławia.

SYNOD ROSYJSKIEJ CERKWI PRAWOSŁAWNEJ 15 października zerwał wspólnotę eucharystyczną z Patriarchatem Konstantynopola. Rosyjskim duchownym prawosławnym nie wolno wspólnie celebrować z duchownymi podległymi Konstantynopolowi, wiernym zaś uczestniczyć w sakramentach przez tamtych sprawowanych. W liturgii nie wymienia się też imienia patriarchy Konstantynopola, Bartłomieja.

W perspektywie prawosławnej, w której Eucharystia jest źródłem, ale też wyrazem jedności pomiędzy chrześcijanami, oznacza to faktyczną schizmę.

Powodem tak radykalnego kroku są działania Patriarchatu Konstantynopola zmierzające do nadania autokefalii – pełnej niezależności – prawosławnej Cerkwi na Ukrainie. Aby dobrze zrozumieć, o co chodzi, warto przyrzeć się temu, jak w prawosławiu rozumiana jest struktura

Kościoła, jaka jest jego historia i powiązanie ze społeczeństwem.

Prawosławie – w odróżnieniu od katolicyzmu – nie posiada instytucji centralnej. Podstawą jego funkcjonowania są tzw. Kościoły autokefaliczne (z greckiego: *auto* – własna, *kefale* – głowa). Każdy Kościół autokefaliczny jest instytucjonalnie niezależny od innych.

Teologiczna wizja, która stoi u podstaw takiej struktury, wygląda następująco: jeden, powszechny Kościół urzeczywistnia się we wspólnotach lokalnych – tworzonych przez ludzi połączonych rzeczywistymi, życiowymi więzami – które gromadzą się na Eucharystii pod przewodnictwem biskupa. Jedność wiary pomiędzy Kościołami nie musi opierać się na podporządkowaniu centrum. Utrzymywana jest poprzez wierność poszczególnych wspólnot odziedziczonej wierze, a sytuacje niejasności, sporów i niezgodnych interpretacji rozwiązywane są poprzez zgromadzenie niektórych lub wszystkich biskupów – czyli synod lub sobór. W teologicznej wizji istotne jest też, skąd pochodzi wiara danej wspólnoty: są Kościoły matki (które wysyłały misjonarzy) i Kościoły córki (które przez tych misjonarzy zostały założone). Kościół córka jest – do pewnego momentu – zależny od wspólnoty matki. Ta ostatnia zaś powinna rozpoznać, kiedy ta pierwsza osiągnie dojrzałość – i uznać wówczas jej niezależność.

Problem pojawia się wówczas, gdy teologiczna wizja zderza się z dalekimi od niej społecznymi i politycznymi uwarunkowaniami. Według eklezjologii prawosławnej autokefalia powinna cechować wspólnotę chrześcijan, którzy są członkami niezależnej wspólnoty społeczno-politycznej – np. tej samej narodowości czy żyjących

w niepodległym państwie. Nie jest to jednak kwestia jednoznacznie określona, dlatego spory o niezależność poszczególnych Kościołów trwają od wieków. Ogłaszanie autokefalii bardzo często było inspirowane przez władze świeckie i motywowane politycznie.

Podobnie jest w przypadku obecnego sporu o autokefalię Cerkwi ukraińskiej. Historycznie wspólnota ta powstała w wyniku działalności misjonarzy z Konstantynopola, zaproszonych przez kijowskiego księcia Włodzimierza. Dlatego metropolia kijowska przez wiele wieków zależna była od Patriarchatu Konstantynopola.

Kijów jednak utracił niezależność polityczną – a po powstaniu Chmielnickiego stał się częścią państwa moskiewskiego. Carowi udało się skłonić sułtana, by wymusił na patriarche Konstantynopola zerwanie się w 1686 r. jurysdykcji nad metropolią kijowską na rzecz Moskwy. Sytuacja politycznie uzasadniona, ale teologicznie dziwna: to jednak Moskwa otrzymała wiarę za pośrednictwem Kijowa, a nie odwrotnie.

Obecny spór o autokefalię Kościoła na Ukrainie również ma istotne komponenty polityczne. Siła ukraińskich dążeń do kościelnej niezależności od Moskwy, pojawiających się od czasu uzyskania przez Ukrainę niepodległości, została radykalnie wzmocniona rosyjską aneksją Krymu i podsycana przez wielkiego wschodniego sąsiada wojną w Donbasie. Dla wielu Ukraińców Rosja stała się wrogiem – chcą więc Kościoła od Moskwy niezależnego. Nawet prezydent Poroszenko przyznał, że kościelna autokefalia jest kwestią bezpieczeństwa narodowego Ukrainy.

Wydaje się prawdopodobne, że Poroszenko ma rację. Rosyjska Cerkiew jest bowiem bardzo blisko powiązana z reżimem Putina i wykorzystywana jako środek „miękkich”, ideologicznych wpływów Moskwy w krajach ościennych. Uzyskanie przez kijowskie prawosławie niezależności byłoby radykalnym wzmocnieniem ukraińskiej niezależności od Moskwy na poziomie społecznej świadomości, a zatem potężnym ciosem dla ideologicznego projektu Kremla.

O ile dążenia Ukraińców do autokefalii można uzasadnić zarówno politycznie, jak i teologicznie, to ostrość sprzeciwu rosyjskiej Cerkwi, która gotowa jest poświęcić eucharystyczną jedność dla kwestii władzy, ujawnia, jak niebezpieczne jest zbyt ścisłe powiązanie religii z polityką. ©P



Ormiańska manifestacja upamiętniająca ofiary ludobójstwa z 1915 r., Stambuł, kwiecień 2018 r.

Ormianie przestają się bać

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU

Jedni znali swoje korzenie, inni dopiero je odkrywają i poznają tragiczne losy własnych rodzin. Po latach w ukryciu żyjący w Turcji Ormianie wracają do religii przodków.

ABDUL GAFURI MIESZKA W DIYARBAKIR. Jest Ormianinem. Dziennikarzom publicznego armeńskiego radia opowiedział, jak trudno żyć w kraju, który sto lat wcześniej dokonał masakry ludności cywilnej pochodzenia ormiańskiego.

Setki tych, którzy – tak jak rodzina Abdula – przeżyli i zostali w Turcji, latami ukrywały prawdziwą tożsamość. By jakoś funkcjonować, albo przechodzili na islam, albo tylko udawali zmianę wiary.

– Były czasy, kiedy musieliśmy być bardziej „muzułmańscy” niż muzułmanie. W domach mówiliśmy po ormiańsku, na zewnątrz nigdy – opowiadał w tamtej rozmowie Abdul Gafuri.

Mężczyzna szacował, że ormiańskich konwertytów na islam mogło być nawet około 5 mln. Odcięci od ojczyzny i współwyznawców czuli się bardziej Turkami

niż Ormianami. Ich potomkowie często nawet nie znali tragicznej rodzinnej historii, bezpieczniej było bowiem ukrywać pochodzenie. Były wśród nich przysposobione przez tureckie rodziny sieroty po tych, którzy zginęli, Ormianki, które poślubiły Turków, ludzie, którzy bali się przyznać, kim są.

Słowo na „s”

Trudno im się dziwić. Wydarzenia, do których doszło w 1915 r. na terenie ówczesnego Imperium Osmańskiego, tak dawniej, jak i dziś są otwartą raną w stosunkach ormiańsko-tureckich. Już samo wypowiedzenie słowa *soykırım* – ludobójstwo, gwarantuje otwarcie ostrej dyskusji. Politycy, zwykli Turcy, a także wielu naukowców stoi na stanowisku, że o żadnej zagładzie nie może być mowy.

– Imperium było słabe. Ormianie wiedzieli o tym i planowali oddzielić Anatolię od reszty kraju. Ich bojówki napadały na Turków. Co mieliśmy robić, dać się zabić?! – pyta retorycznie Aslan, mój znajomy, lokalny polityk spod Izmiru.

To wersja historii, którą tureckie dzieci poznają w szkole. Nie ma w niej mowy o tym, że sułtan (wówczas Abdülhamid II) zachęcał zamieszkujących Anatolię Kurdów, by napadali na ludność ormiańską. Jest za to informacja, że w chwili wybuchu I wojny światowej część Ormian, mimo że przysięgali wierność sułtanowi, odwróciła się od Imperium i zaczęła kolaborować z jego wrogami. Choć Turcy – wierzy Aslan – ostrzegali ormiańskich patriarchów (pełniących wówczas rolę przywódców mniejszości), by ci przywołali wiernych do porządku, nic się nie zmieniło. Zasmucony sułtan zdecydował, że zdrajcy muszą wynieść się z kraju. – Gdy występują przeciwko tobie na twoim własnym terenie, bronisz się, tak czy nie?

Dowody zbrodni

Rzeczywistość, której tureckie dzieci nie poznają ani w szkołach, ani później, na uniwersytetach, wyglądała nieco inaczej i są na to dowody. Zachowały się telegramy ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Talaata Paszy. Mowa w nich o „całkowitej eksterminacji” Ormian ➔

→ zamieszkujących Turcję. „Bez względu na to, że znajdują się wśród nich kobiety, dzieci i chorzy, jakkolwiek tragiczne będą środki tej eksterminacji, bez słuchania głosu sumienia należy położyć kres ich egzystencji” – pisał do urzędników państwowych.

– To żadne dowody, tylko fałszywki spreparowane przez Zachód, by oczernić Turcję – twierdzi mój rozmówca i powołuje się na inne dokumenty. Podobno w ustawie o deportacji nie pada nawet słowo „Ormianie”. Mowa tylko o przesiedleniu wrogów ojczyzny.

– Zachód oczernia Turcję, upierając się przy tym ludobójstwie – uważa Aslan i kilkadziesiąt milionów mieszkańców jego kraju.

Wydarzenia z 1915 r. aż 20 państw uznało za ludobójstwo. Francja wprowadziła nawet kary za zaprzeczanie, iż doszło do masowej eksterminacji ormiańskich cywili. O to, by Turcja wreszcie wzięła na siebie winę, apelują Niemcy, a gdy papież Franciszek dwukrotnie użył słowa „ludobójstwo”, prezydent Recep Tayyip Erdoğan oficjalnie go potępił (tak, potępił!): „Chcę przestrzec papieża, by nie popełniał ponownie takich błędów”.

Czas, by być sobą

Paradoksalnie jednak to właśnie za Erdoğan i AKP sytuacja Ormian się poprawiła. Nie tylko zresztą ich, wiele wspólnot i mniejszości religijnych złało w ostatniej dekadzie wiatr w żagle. Przede wszystkim znacznie zelżał nacisk

na świeckość państwa. Wspólnoty zakładając tzw. derneki (stowarzyszenia), zyskały osobowość prawną i mogą organizować liczne przedsięwzięcia czy zajmować się miejscami kultu. Niekiedy kościoły, które latami niszczały, doczekują się renowacji i znów odprowadza się w nich msze. Na stronach ormiańskiego patriarchatu w Stambule opublikowane zostały listy, które prezydent Erdoğan wysyłał do patriarchy Arama Ateşyana, a nawet ich wspólne zdjęcia. Politycy AKP bywają częstymi gośćmi duchownych.

Odwilił sprawiła, że coraz więcej „ukrytych Ormian” – jak nazywają ich tureckie media – decyduje się na ujawnienie prawdziwej tożsamości. W przypadku niektórych jest to jedynie powrót do rodzimego nazwiska, inni na nowo odkrywają wiarę przodków. – Jeszcze kilka lat temu w Diyarbakır na palcach jednej dłoni można było policzyć osoby przyznające się do korzeni. Dziś ta liczba rośnie. Co tydzień w kościele św. Kyriakosa spotyka się niemal setka ludzi – mówi Abdul Gafuri, który jako jeden z pierwszych przyjął przed kilku laty chrzest. Do innych ormiańskich konwertytów dotarła Sibel Hürtaş, dziennikarka „Al Monitor”. Miran opowiedziała jej historię swojej rodziny, której pradziadkowie – by uniknąć przesiedlenia – zmienili imiona i zaczęli udawać alawitów.

– Znałam swoje korzenie, wiedziałam, że jestem Ormianką, ale właściwie nie wiedziałam, co to znaczy – opowiadała. Gdy zamordowano dziennikarza ormiańsko-tureckiej gazety „Agos”, Miran (wów-

czas nosząca jeszcze tureckie imię Selahattin) bardzo to przeżyła. Najpierw zmieniła dowód, później, w wieku 48 lat, przyjęła chrzest.

Jako alawici przedstawiali się też rodzice 30-letniej Goncy. Ojciec był urzędnikiem i wołał udawać muzułmanina, by nie mieć kłopotów. W końcu jednak, po przeprowadzce do Stambułu, rodzina zaczęła chodzić do kościoła, a Gonca – myśleć o chrzcie.

Nareszcie wolni

Choć powrót do korzeni nie dla wszystkich jest łatwy (Miran ma koleżankę, która po tym, jak dowiedziała się od matki, że jest Ormianką, zerwała kontakty z rodziną i wyjechała z Turcji), Ormianie, zwłaszcza ci żyjący w metropoliach, nie czują się prześladowani.

Dwa lata temu, w przededniu setnej rocznicy pogromu, stacja Al Jazeera zapytała, jak żyje im się w Turcji. Odpowiedzi były zaskakujące. Niektórym ormiańskie pochodzenie nie przeszkadza w tym, by czuć się pełnoprawnym obywatelem Turcji. Inni zwracają uwagę na coraz większą tolerancję otoczenia dla ich religii, jeszcze inni zapewniają, że nie mają żadnych problemów z dostępem do wystaw, koncertów i innych kulturalnych czy religijnych wydarzeń odbywających się w języku ormiańskim. Ci, którzy po latach życia jako muzułmanie zdecydowali się na chrzest, mówią to samo: że pierwszy raz w życiu czują się naprawdę wolni.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

REKLAMA



Patronat honorowy:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Prezydent Miasta Katowice Marcin Krupa

Marszałek Województwa Śląskiego Wojciech Słojka

Wojewoda Śląski Jarosław Wierczok

Rector Uniwersytetu Śląskiego Prof. dr hab. Andrzej Kowalczyk

Organizatorzy:

KATOWICE dla rodziny

KATOWICE Miasto Ogrodów

Współorganizatorzy:

Śląskie. Pozytywna energia

W R I T V

TEATR ŚLĄSKI

PLAC MIŁOŚCI

POLSKIE RADIO

POLSKIE RADIO KATOWICE

KULTURA

teatrni.pl

e-teatr.pl

SZYMON

Hołownia: Co PiS ma wspólnego z chrześcijaństwem



OD MOMENTU EMISJI OBRZYDLIWEGO SPOTU PiS („Bezpieczny samorząd”) sprawa jest jasna: nazywanie tej partii „chrześcijańską” to policzek wymierzony Ewangelii. Stale podnoszone „okoliczności łagodzące”, w postaci

osiągnięć programu 500 plus czy uszczelnienia poboru podatku VAT (tak nazywa się u nas nowa Osoba Trójcy Świętej), nie mają znaczenia w sytuacji, w której tuczeni państwowymi pieniędzmi politycy z kraju, w którym biednie nie jest, cynicznie, by zdobyć 100 czy 200 więcej samorządowych foteli, plują w twarz ludziom o całe piekło biedniejszym od siebie, uciekającym od bomb, głodu, nędzy, beznadziei, szukającym – podobnie jak tysiące Polaków w latach 70. i 80. – odrobiny światła i przyszłości dla swoich dzieci. Gdyby nasz Episkopat miał coś, czego nie ma (refleks), natychmiast powinien powiedzieć, co myśli o takim szczuciu ludzi na ludzi, nie marnując kolejnej szansy na pokazanie wiernym, że nie jest przybudówką partii władzy, co wydawałoby się szczególnie ważne, gdy jej przesłanie nie tyle nie jest ewangeliczne, co jest po prostu szatańskie.

Nie, tego się nie da zbyć machnięciem ręki, że przecież taka jest polityka i wszyscy tak robią. Kościół zwykle zgłasza się pierwszy do potępienia relatywizmu i rozmiękczenia norm. Pisz płomienne doktoraty w obronie rodziny i habilitacje o świętości ciała. Proszę bardzo, oto macie konkretną rodzinę i konkretne ciało. Pieta AD 2018. Matka i jej małe dziecko, siedzące od paru lat za drutami greckiego obozu (a nie, jak chcieliby nasi mędrcy, „na miejscu”), które codziennie płacze, pytając mamę, kiedy wróci do domu. Które nie chodzi do szkoły, rośnie w półwieziennych warunkach, często choruje, w nocy ma koszmary. Każdy normalny człowiek natychmiast widzi siebie na miejscu jego rodzica, niemającego już sił na wymyślanie kolejnych pocieszających kłamstw, na przekonywanie: „będzie dobrze, jutro”, niemającego łez, by opłakiwać warunki, jakie chłonie w siebie jego pociecha w najważniejszym momencie życia. Ulubiona partia wielu polskich księży i biskupów mówi dziś tym dzieciom: „Zarazo, won! Boimy się was! Wyszadzicie nas! Zislamizujecie!”.

Tysiące razy tłumaczy się tym ludziom (jak się okazało, rozumie to nawet Ruch Narodowy), że co innego imigranci, co innego uchodźcy. *Non stop* próbuje się im wyjaśnić, by przestali krzyczeć, że ktoś chce otwierać granice (bo nikt nie chce), i odpowiedzieli, dlaczego powstały z kolan 40-milionowy kraj boi się przyjąć setkę dzieciaków czy tysiąc rodzin w ramach korytarzy humanitarnych. Im głośniejsze zadaje się to proste, konkretne pytanie, tym głośniejsze wykrzykują, że mają znajomego, który twierdzi, że w Paryżu nie da się już

wyść bezpiecznie, w Sztokholmie co weekend są pogromy chrześcijan, a białe kobiety w Berlinie są gwałcone przez arabskie hordy.

Słuchając po raz tysięczny tych służących za podpałkę dla lęku fantazji, zacząłem zwracać uwagę na ich źródła, przywoływane w wypowiedziach moich adwersarzy. Wszystkie to „newsy” z portali, po wejściu na które okazuje się, że to internetowe stronki udające formę serwisu newswowe, a zawierające wyłącznie antyimigracyjną, ksenofobiczną, rasistowską, antyliberalną (i antydemokratyczną) propagandę. Nie trzeba habilitacji z dziennikarstwa, by widzieć, że ich wiarygodność jest zerowa. Pompowanie przymiotników, robienie ze „zdarza się rzadko” – „ma miejsce non stop”. Nigdy nie ma tam żadnych oficjalnych danych i wypowiedzi, a jeśli są, to wyrwane z kontekstu, mające potwierdzić wywaloną wołami i opatrzoną tyśiącem wykrzykników tezę.

Politycy autoryzujący spoty oparte na takich źródłach mają swoich wyborców za nic, skoro myślą, że dadzą się oni nabrać na banalną manipulację z gatunku „przestraszę cię, żeby cię przytulić”. Autorzy takich stronek z „newsami” za nic mają swoich czytelników, ale co innego jest w tej sprawie najbardziej interesujące.

Pozostaje bowiem pytanie, kto te stronki tworzy. Magazyn „Wired” publikował jakiś czas temu reportaż o skromnym młodzieńcu z południa Europy, który przed wyborami prezydenckimi w USA założył stronę „informacyjną”, wrzucał tam wyssane z palca (ale wyglądające jak normalne newsy) materiały o Hillary Clinton, po czym wklejał je jako źródło w toczone na Facebooku i Twitterze dyskusje. Ludzie łkali te brednie, linkowali dalej, a każde wejście na stronę oznaczało pieniądze z reklam. Chłopak wyciągał z tego tysiące euro miesięcznie.

Pał sześć, jeśli za owymi stronami opisującymi rzekome strefy no-go we Francji stoi jakiś dorabiający student. A co, jeśli to kolejny psikus gracza z zagranicy, wrzucającego nam już przecież na bęben antyszczepionkowe materiały, mającego w Polsce swoje boty kreujące i szkalujące polityków, robiącego wszystko, żeby nasi rodacy, z natury skłonni do kłótni w czasach spokoju, zawsze mieli się o co kłócić, zawsze się tym osłabiali (wiadomo, jaka będzie wartość zawodnika, jeśli zadba się o to, by miał regularne piekło w domu)?

Rządzący dziś Polską poseł z Żoliborza myślał, że jest mistrzem w konkurencji „dziel i rządź”, sprawdzała mu się bowiem już w latach 90. Mam wrażenie, że nie dostrzega on jednak, że minęło 30 lat. I że dziś w grze są zawodnicy wagi dużo cięższej niż on i jego wychowankowie. To gracze klasy światowej, mający do jej realizacji nieporównanie większe środki, których działania przynieść mogą o wiele poważniejsze skutki. Efekty (w mojej ocenie – nieuzgodnionego, a współwystępującego) działania tych dwóch rozwalających nas (od wewnątrz i od zewnątrz) sił już widać jak na dłoni: Polacy nienawidzący się jak nigdy wcześniej, podważone wszystkie fundamenty (od Ewangelii naukowców), zamiana mądrej empatii na ksenofobiczną agresję.

Ktoś tu chyba przeliczywał, niestety. Ale na odwrót nie jest chyba za późno. Droga jest jedna i wiedzie przez dostrzeżenie człowieka w każdym, bez wyjątków, człowieku. To podstawa jedności, innej nie ma. Każdy, kto działa wbrew tej zasadzie, nie zbawia Polski, lecz ją wykrwawia i dobjaja. ©

ZAKARPACIE NIEZGODY

Spór między Budapesztem i Kijowem narasta. Zarzewiem konfliktu są prawa Węgrów w regionie, który należał do nich przez prawie tysiąc lat.

TADEUSZ IWAŃSKI Z ZAKARPACIA (UKRAINA)



WCHŁODNY, CHOĆ SŁONECZNY JESIENNY poranek centralne skrzyżowanie ulic Puszkina i Hruszewskiego w Mukaczewie – 80-tysięcznym mieście powiatowym na Zakarpaciu – powoli się zapelnia. Urzędnicy i petenci suną do okazałego secesyjnego ratusza, inni poszukują pierwszej kawy w otwartych od świtu cukierniach.

Zwyczajny początek dnia w tym prowincjonalnym ukraińskim mieście, położonym na pograniczu z Węgrami, nie odzwierciedla politycznej burzy, jaka szaleje między Kijowem i Budapesztem.

Nagranie z Berehowa

Gdy rok temu, we wrześniu 2017 r., Ukraina uchwaliła nową ustawę oświatową – istotnie ograniczającą językowe prawa mniejszości narodowych – Węgry rozpoczęły blokowanie aspiracji Kijowa w strukturach euroatlantyckich. Stosunki między obiema stolicami z letnich stały się wrogie – rodząc najpoważniejszy kryzys dwustronny od rozpadu Związku Sowieckiego.

Wymiana ciosów była celna i obopólna. Kijów wszczął np. postępowanie przeciwko fundacji Egán Ede – finansuje ona

większość aktywności społeczno-gospodarczych węgierskiej mniejszości, która w obwodzie (tj. województwie) zakarpacim stanowi 12 proc. ludności.

Władze ukraińskie ujawniły też nagranie, sporządzone potajemnie w konsulacie węgierskim w Berehowie – to 25-tysięczne miasto, w którym Węgrzy stanowią połowę mieszkańców, jest jednym z głównych ich ośrodków. Na taśmie widać, jak pracownicy konsulatu wręczają węgierskie dokumenty tożsamości swoim rodakom – obywatelom Ukrainy, gdzie posiadanie podwójnego obywatelstwa nie jest dozwolone. Po czym ostrzegają nowych obywateli Węgier, aby ukrywali ten fakt przed ukraińskimi władzami.

Na fali oburzenia w październiku tego roku Kijów wydał węgierskiego dyplomatę z konsulatu w Berehowie – co spotkało się z retorsją ze strony Budapesztu.

Orbán „trolluje” Ukrainę

Na tym wymiana ciosów się nie zakończyła. Wkrótce potem powiązany z ukraińskimi służbami specjalnymi portal „Myrotvorec” wpisał na swoją „listę wrogów państwa” szefa węgierskiego MSZ

Pétera Szijjártó, a następnie rozpoczął swoje „polowanie na czarownice”, publikując dane ponad 300 ukraińskich urzędników, rzekomo posiadających węgierskie obywatelstwo.

Budapeszt nie pozostał dłużny, z wielkim rozgłosem – choć różną skutecznością – uprawiając wymierzony w Kijów polityczny „trolling” na arenie międzynarodowej. Premier Viktor Orbán zarzucał Ukrainie, że jest „państwem upadłym” i niezdolnym do zbliżenia ze wspólnotą euroatlantycką. Niedwuznacznie wyznaczał jej też miejsce w rosyjskiej strefie wpływów oraz krytykował Unię za – jego zdaniem – zbyt surową politykę sankcji wobec Rosji.

Węgry prowokowały również na polu symbolicznym: gabinet Orbána ostentacyjnie zmienił nazwę urzędu – dotychczasowego – „pełnomocnika rządu ds. koordynacji współpracy komitatu Szabolcs-Szatmár-Bereg i Zakarpacia” na „pełnomocnika ds. rozwoju Zakarpacia”, sugerując w ten sposób przynależność tego regionu do Węgier. Budapeszt odmawiał też zmiany pisowni w listach uwierzytelniających (po angielsku i po ukraińsku) miejsca urodzenia nowego ambasadora



TADEUSZ IWANUSKI

Wieś Korolewo w powiecie włocławskim, wrzesień 2018 r.

na Ukrainie, z Beregszász na Berehowo. Oliwy do ognia dolewał minister Sijjártó, który opowiadał, że „polityka Ukrainy sięgnęła dna”, a Kijów stosuje praktyki znane z „najciemniejszych dyktatur” i „chce zmienić skład etniczny Berehowa”.

Emocje, tożsamość, spór

Tak pokrótce wygląda lista ostatnich zgrzytów między Ukrainą i Węgrami – i nic nie wskazuje, aby w najbliższym czasie znalaziono kompromis.

Dlaczego? Bo mało kto będzie go szukał. Konflikt napędzany jest zwłaszcza kwestiami tożsamościowymi i emocjami – po stronie węgierskiej „traumą Trianon” [na skutek traktatu pokojowego z 1920 r., narzuconego Węgrom – przegranemu uczestnikowi I wojny światowej – kraj stracił dwie trzecie terytorium sprzed 1914 r., w tym Zakarpacie – red.]. „Trauma Trianon” skutkuje do dziś – niezależnie od ideologicznej afiliacji rządzących – szczególną troską Budapesztu o Węgrów zamieszkujących w państwach ościennych.

Z kolei po stronie ukraińskiej nieustępliwość napędzana jest agresją Rosji, której skutkiem jest przesunięcie „na prawo”

głównego nurtu tamtejszej sceny politycznej, a także przestrzelone analogie i alergiczne reakcje na krytykę z zewnątrz.

Kompromisowi nie sprzyja też kalendarz wyborczy w 2019 r.: podwójne wybory na Ukrainie (prezydenckie wiosną i parlamentarne jesienią) oraz wybory do Parlamentu Europejskiego na Węgrzech.

Wszystko to sprawia, że obie strony są przekonane o słuszności jedynie własnego stanowiska, a doraźne zyski polityczne przysłaniają im długofalowe ryzyko.

Hamburger dwujęzyczny

– Rzeczywiście, ukraińska ustawa oświatowa stworzyła warunki do realnego ograniczenia praw mniejszości do nauki w języku narodowym w klasach od piątej w górę, oraz do zwiększenia nauki języka ukraińskiego. Jednak sytuacja językowa na tym terenie wymagała interwencji naszego państwa – przekonuje Dmytro Tużański, politolog i ekspert w zakresie stosunków z Węgrami, z którym rozmawiam w Użhorodzie (stolicy obwodu).

Tajemnicą poliszynela jest, że wokół Berehowa czy Wynohradiwa – miast powiatowych na południu obwodu – spora część

mieszkających tam Węgrów nie posługuje się ukraińskim. Mogą sobie na to pozwolić, gdyż żyją w hermetycznej wspólnocie, na prowincji – i nieznaną języka państwowego nie jest aż tak uciążliwa. W tamtejszych miastach i wsiach szyldy i napisy w przestrzeni publicznej są dwujęzyczne. Nawet w menu food trucka w centrum Berehowa zdjęcia hamburgerów i hot dogów podpisane są i po ukraińsku, i po węgiersku.

Co więcej: ustawy oświatowej, która odpaliła ten konflikt, w istocie nie da się wcielić w życie. Przysnaje to nawet Wasyl Brenzowycz (László Brenzovics) – deputowany do ukraińskiej Rady Najwyższej z prezydenckiej frakcji Blok Petra Poroszenki oraz prezes Związku Kulturalnego Zakarpackich Węgrów (KMKSZ), największej i powiązanej z Fideszem partii politycznej zakarpackich Węgrów.

Artykuł siódmy

Z Wasylem Brenzowyczem rozmawiamy w centrum Użhorodu, w nowej siedzibie partii – stara, na nabrzeżu, spłonęła zimą po tym, jak oplaceni prowokatorzy wrzucili tam materiał wybuchowy.



→ – Państwo ukraińskie nie dysponuje taką liczbą nauczycieli, szczególnie w obwodzie zakarpackim, którzy mogliby zastąpić nauczycieli węgierskojęzycznych w nauczaniu większości przedmiotów po ukraińsku – nie ukrywa polityk.

Nieoficjalnie również węgierscy nauczyciele przyznają, że ustawa jako całość jest dobra i potrzebna, ponieważ reformuje sowiecki jeszcze system nauczania. A jedynym problemem jest jej artykuł siódmy, regulujący nauczanie w językach mniejszości. Jego zapisy, ukierunkowane głównie na ograniczenie szkolnictwa rosyjskojęzycznego, rykoszetem uderzają także w prawa językowe mniejszości – nie tylko zresztą węgierskiej, ale też polskiej czy rumuńskiej.

O ile jednak kontrowersje z Polską stały szybko zażegnane, a dialog z Rumunią zmierza do kompromisu, to z Węgrami sytuacja jest odmienna. Budapeszt zażądał natychmiastowego cofnięcia ustawy, a wszelkie rozmowy uznał za bezprzedmiotowe, krytykując tryb uchwalania dokumentu. Niebezzasadnie w tym punkcie, gdyż niekorzystne dla mniejszości poprawki zostały zgłoszone do uzgodnionego zawczasu tekstu w ostatniej chwili, już w sali plenarnej, przez bliską prezydentowi deputowaną Oksanę Biłozir.

– Kampania antywęgierska trwa na Ukrainie od 2015 r., gdy prezydenci analitycy uznali zakarpackich Węgrów za zagrożenie. Na Ukrainie zmieniają faktycznie konstytucję, bez jej formalnej zmiany. Ograniczać prawa mniejszości można tylko w drodze referendum, a nie oddzielnych ustaw – ubolewa Brenzowycz.

Pasaporty węgierskie jak rosyjskie

– Że Węgry pasaporty Ukraińcom rozdają? Eee tam, żadna tajemnica, wszyscy to wiedzą – kpi ukraiński policjant, kontrolujący samochód na granicy obwodów lwowskiego i zakarpackiego.

Wie, co mówi: tzw. pasaportyzacja na Zakarpaciu nie jest czymś nowym. Węgry prowadziły tę akcję od lat, jeśli nie dekad. Obecnie szacuje się, że taki pasaport posiada ok. 100 tys. osób. Szacuje się też, że jedna trzecia z nich nie ma żadnych korzeni węgierskich – zadeklarowali jednak narodowość węgierską, by wejść w posiadanie pasaportu państwa Unii (pozwalającego nawet na bezwizowy wjazd do USA).

Kijów, choć wiedział o problemie, długo nic z tym nie robił.



Dwujęzyczne menu w budce z fast foodem. Berehowo, wrzesień 2018 r.

Sytuacja zmieniła się po aneksji Krymu. Odtąd rozdawnictwo paszportów mieszkańcom regionów granicznych przez państwa sąsiedzkie kojarzy się na Ukrainie jednoznacznie: jako wstęp do roszczeń terytorialnych. A w przypadku Węgier wrażenie to wzmacniałoby przez retorykę Orbána i członków jego rządu: z jednej strony prorosyjską, z drugiej skoncentrowaną na rozszerzaniu praw Węgrów żyjących poza granicami obecnych Węgier.

Jednak rządzący w Kijowie nie zauważają – albo nie chcą zauważać – że to, co rząd w Budapeszcie robi na Zakarpaciu, nie różni się od tego, co robi w południowej Słowacji, w rumuńskim Siedmiogrodzie czy w serbskiej Wojwodinie. Wszędzie tam Węgry prowadzą konsekwentną politykę rozszerzania lub obrony praw swoich mniejszości, w tym przez pasportyzację, nierzadko doprowadzając do gwałtownych kryzysów w relacjach z Bratysławą, Bukaresztą czy Belgradem.

Patrząc z takiej – szerszej – perspektywy, spór ukraińsko-węgierski, przynajmniej

na razie, nie przybiera form zdecydowanie ostrzejszych niż wcześniejsze spory Budapesztu z sąsiadami. W przeszłości zdarzały się „wysyłki” dyplomatów, a nawet ostentacyjne zawrócenie przez słowackich pograniczników prezydenta Węgier László Sólyoma z mostu w Komarnie.

Życie w rytmie sąsiadów

Zakarpacie jest jednym z najbiedniejszych i najbardziej oddalonych od Kijowa ukraińskich regionów. Użhorod od stolicy dzieli ponad 800 km i wysokie pasmo Karpat Wschodnich. Wiedza na jego temat jest na Ukrainie tyle nikła, co stereotypowa.

Gdy we wrześniu szef ukraińskiego MSZ Pawło Klimkin stwierdził publicznie, że „Zakarpacie to przemysł, migracja zarobkowa i trochę turystyki”, wywołał furję elit regionalnych – niezależnie od przynależności partyjnej i etnicznej.

Choć niektórzy miejscowi politycy – jak Wiktora Bałoha, zrobili kariery w stolicy, to zakarpackie elity nigdy nie były w Kijowie tak silne jak te z Donbasu czy znad Dniepru. Kijów zaś wolał oddawać Zakarpacie „w dzierżawę” lokalnym klanom, w zamian za spokój i działkę z przemysłu.

Paszport węgierski to przepustka do Unii, a droga tam jest krótka, choć wyboista. Obwód graniczy z Polską, Słowacją, Węgrami i Rumunią – i pod wieloma względami żyje w rytmie tych właśnie krajów, a nie Ukrainy. Nie chodzi tylko o zegary, których część ustawiona jest na czas środkowoeuropejski [na Ukrainie obowiązuje czas o godzinę do przodu – red.]. Na ulicach i w radiu słychać – prócz ukraińskiego i rosyjskiego – także rumuński, węgierski i słowacki. Po drogach, z przyczyn podatkowych, jeżdżą w większości auta z rejestracjami unijnych państw sąsiednich, mijając banery reklamowe a to Czeskich Dni Kultury, a to darmowej nauki języka słowackiego.

W międzywojennej dzielnicy Użhorodu, wybudowanej jeszcze dla czechosłowackich urzędników samorządowych, restauracje serwują dania kuchni lokalnej – częściej węgierskiej niż ukraińskiej – alkohol zaś przegryza się raczej pogaczami niż sałatem.

– Tu nie ma konfliktu etnicznego, tu jest BerehFest – mówi politolog Tużański. Festiwal we wsi Janoszi (niegdyś: Makkosjánosi, Janosowo, Iwanówka, Iwaniwka; 85 proc. mieszkańców to Węgrzy) zebrał producentów sera i wina, lokalne drużyny piłkarskie oraz artystów. Pod koniec wrze-

śnia, w szczycie konfliktu Budapesztu z Kijowem, kilka tysięcy ludzi – Węgrów, Ukraińców czy Romów – zgodnie konsumowało, kibicując piłkarzom i maratończykom.

Ponoć festiwal odwiedziła żona premiera Orbána, Anikó – i przyjacielsko gawędziła z Hennadijem Moskałem, gubernatorem obwodu [odpowiednik wojewody – red.], nominowanym przez prezydenta Poroszenkę.

Krótki wiek XX

Bo o ile „na górze” trwa burza, to tutaj, na Zakarpaciu, nie widać napięć na tle etnicznym. Choć nieraz już różnorodność regionu próbowano wykorzystać dla rozluźnienia sytuacji. Aktywna była zwłaszcza Rosja: starała się pchnąć nielicznych lokalnych Rusinów do walki o autonomię oraz poróżnić Ukraińców i Węgrów.

Nie udało się – co nie oznacza, że prób zaniechano.

Teraz, od paru miesięcy, w regionie wyuczwalne jest przekonanie, że region – podobnie jak wiele razy w historii – znów może stać się ofiarą wielkiej polityki.

Po 900 latach władzy węgierskiej, w „krótkim” XX stuleciu Zakarpacie kilka razy zmieniało przynależność państwową. Do 1920 r. należało do Królestwa Węgier (części Austro-Węgier). W dwudziestolecie międzywojenne weszło jako część Czechosłowacji. Następnie wiosną 1939 r. proklamowano tu Karpacką Ukrainę (próbę stworzenia państwa ukraińskiego, zdławioną przez wojska węgierskie). W latach 1939-44 znów należało do kolaborujących z Hitlerem Węgier, by po II wojnie światowej zostać częścią Związku Sowieckiego, a po roku 1991 – niepodległej Ukrainy.

W trakcie zawirowań historii, będących udziałem wszystkich mieszkańców tego pogranicza, wytworzyła się specyficzna lokalna tożsamość: oparta prędkiej na solidarności i współpracy, niż na podziałach.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza mniejszość węgierska – w 1991 r. licząca 150 tys. osób, a dziś tylko dwie trzecie z tego (to skutek emigracji i demografii) – nie wyśmiewała haseł separatystycznych. Współpracowała z władzami centralnymi i lokalnymi, nie uchylając się od obowiązku wobec Ukrainy: 11 z 85 żołnierzy z Zakarpacia, którzy polegli w wojnie na wschodzie Ukrainy, było narodowości węgierskiej.

Nawet dziś sytuacja się nie zmieniła: partia węgierska KMKSZ jest kluczowym koalicjantem Bloku Poroszenki w radzie ob-

„Na dole” nie ma sporu etnicznego.

Jest za to np. festiwal wina i serów, na którym – w szczycie konfliktu obu stolic – zgodnie bawiło się kilka tysięcy ludzi: Węgrów, Ukraińców i Romów.

wodowej; bez niej władzę objęliby przeciwnicy prezydenta (Jedynie Centrum Wiktora Bałohy i Batkiwszczyna Julii Tymoszenko).

Mimo że kolejni ukraińscy prezydenci obiecywali (w zamian za głosy) spełnienie głównego postulatu Węgrów – utworzenie okręgu wyborczego, który gwarantowałby Węgrowi fotel deputowanego w Kijowie – ale nigdy nie dotrzymali słowa.

W cieniu wyborów

Zasadniczo zgodna – choć nieco prząsna – koegzystencja Ukraińców i Węgrów na Zakarpaciu kontrastuje więc ostro z zapiekłymi oświadczeniami ministrów i centralnych mediów na Ukrainie. Te przedstawiają Orbána i Węgry jako drugiego Putina i Rosję, mających analogiczne plany wobec Zakarpacia, co Kreml wobec Krymu.

Paradoks ten tłumaczy (anonimowo) wysoki urzędnik w zakarpackim urzędzie gubernatora: – Kijów złożył Węgrów z Zakarpacia na ołtarzu konsolidacji narodu ukraińskiego, a zwłaszcza elektoratu, wobec nowego wroga zewnętrznego: Węgier.

Kalkulacja ta miałaby zakładać, że zaostrożenie konfliktu z Budapesztem – choć pewnie pozbawi urzędującego prezydenta głosów węgierskiej mniejszości w wyborach 31 marca 2019 r. – pozwoli mu zyskać znacznie więcej w oczach patriotycznie nastawionego elektoratu ukraińskiego.

Determinacja w walce o ukraińską integralność terytorialną i ukraiinizowanie systemu oświaty mają przedstawić Poroszenkę jako niezłomnego patriotę, zgodnie z jego wyborczym hasłem, które już dziś widać na billboardach rozwieszonych po całym kraju: „Armia, język, wiara”.

Natomiast władze lokalne nie chcą dopuścić do eskalacji w regionie. Gubernator Hennadij Moskał „amortyzuje” sytuację: otwarcie krytykuje ustawę oświatową i współpracuje nie tylko z zakarpac-

kimi Węgrami, ale nawet z Budapesztem, przyjmując zeń, a nie z Kijowa, niezbędne dostawy chloru do uzdatniania wody i szczepionek na odrę (liczba przypadków tej choroby wzrosła ostatnio gwałtownie w całym kraju).

Sytuacja przypomina grę w złego i dobrego policjanta. Choć jej źródłem mogą być także odmienne taktyki władz lokalnych i centralnych. – Jeśli gubernator Moskał straci Węgrów, to nie utrzyma większości proprezydenckiej w radzie obwodowej. Dlatego musi spełniać ich życzenia. A z kolei Poroszenko, rękami Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i MSZ, roznieca konflikt – twierdzi Jurij Działułyč, analityk polityczny z Mukaczewa, związany z opozycyjnym stronnictwem Wiktora Bałohy.

Na dole i na górze

Co dalej? Lokalne realia pokazują, że Ukraina i Węgry nie są skazane na konflikt. Co więcej: możliwe są też okresowe ocieplenia stosunków dwustronnych „na górze” – o czym świadczą np. pojednawcze oświadczenia po niedawnych spotkaniach Klimkina i Sziijártó w Luksemburgu i zapowiedź kontynuowania rozmów w Warszawie podczas Warsaw Security Forum, pod koniec października.

Ale spór raczej nie zostanie rozwiązany całościowo. Kijów nie wycofa się bowiem z ustawy oświatowej i nie zaakceptuje rozdawania węgierskich paszportów, Budapeszt nie zrezygnuje zaś z polityki wspierania Węgrów za granicą.

Ponadto wcześniejsze konflikty z Rumunią i Słowacją na tle praw mniejszości w pewnym momencie Budapeszt przeciął, gdyż obciążały współpracę dwustronną w ramach Unii lub Grupy Wyszehradzkiej. Natomiast w relacjach z Ukrainą rząd Węgier nie ma takiego interesu. Węgry bowiem tradycyjnie patrzyły na Ukrainę przez pryzmat mniejszości na Zakarpaciu. Kijów z kolei latami lekceważył współpracę z unijnymi sąsiadami, niesłusznie uznając, że jego miejsce jest przy stole z mocarstwami.

Skutki takiej gry może ponieść Zakarpacie – region już dziś niedoinwestowany i pozostawiony samemu sobie. A także mniejszość węgierska, coraz częściej stygmatyzowana jako „piąta kolumna”.

© TADEUSZ IWAŃSKI

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, specjalizuje się w tematyce ukraińskiej.

Czekając na desant

MARCIN ŻYŁA Z NAIROBI

Są w stolicy Kenii dwie dzielnice, które jakby nie do końca należą do tego miasta. W obu snuje się wielkie plany – projektuje się przyszłą Somalię.

ILE ZWYKŁYCH, CODZIENNYCH MARZEŃ – „mieć rodzinę”, „mieć dom, samochód”, a nawet: „być szczęśliwym w życiu” – błędnie przy planach Abdikadira Ibrahima! To nic, że przyjmuje nas w pustej klasie, zastawionej szkolnymi krzesłami; że nie wszystko, co opowiada, układa się w logiczny ciąg myślowy; to nawet nic, że – spostrzegł to chyba szybko – ci, do których mówi, nie do końca wierzą w powodzenie jego projektu. Nosi się elegancko, słowa dobiera uważnie – najwyraźniej dla tego 32-latka istotne jest co innego: ogólny kierunek działania.

Plan Abdikadira: któregoś dnia zostać prezydentem Somalii.

Lekcje nad sklepami

Rozmawiamy w Atlas College of Professional Studies, prywatnej szkole działającej w Eastleigh, somalijskiej dzielnicy Nairobi – szkole, której Abdikadir Ibrahim jest dyrektorem. W sąsiedniej sali trwa właśnie lekcja krawiectwa; uczniowie wycinają kartonowe szablony do wykrojów. To jedne z pierwszych zajęć, więc na razie szkoda materiału. Materiał kosztuje.

Na korytarzu miły przewiew – szkoła mieści się na 7. piętrze wysokiego, zawsze otwartego budynku. Aby do niej dojść, trzeba minąć stoiska z odzieżą, elektroniką i porcelaną do herbaty. Masywne, metalowe drzwi do klas przypominają, że kiedyś mieściły się tu magazyny.

Abdikadir Ibrahim opowiada swoją historię. W wieku dziewięciu lat uciekł razem z rodziną z Somalii. Trafił do powstającego wtedy obozu Dadaab na wschodzie Kenii (dziś to drugi co do wielkości obóz uchodźców na świecie). Jego matka urodziła dwie córki i piętnastu synów. On był czwartym w kolejności – i jedynym, który później ukończył studia.

– Świat nas testował, jak długo wytrzymamy bez państwa – mówi Abdikadir spokojnym głosem. – A najważniejsza

w przetrwaniu Somalijszyków była właśnie edukacja. W naszej szkole można nauczyć się księgowości, szycia, obsługi komputera. Angielski jest językiem obowiązkowym – wylicza.

Czas na wykształconych

Somalijska diaspora w Kenii liczy ponad 2,5 mln ludzi. Uciekali z kraju co najmniej od początku lat 90. XX w., kiedy po upadku długiej dyktatury Mohammeda Siada Barrego i nieudanej interwencji ONZ Somalia na prawie trzy dekady pograżyła się w wojnach i chaosie. Potem nastał czas dominacji asz-Szabab, islamiistycznego ugrupowania, które do dziś kontroluje niemal połowę kraju. Dopiero po 2011 r., kiedy jego bojowników po długiej ulicznej bitwie wypędzono ze stołecznego Mogadyszu, wróciła nadzieja na normalność.

Abdikadir, który od czasu do czasu odwiedza rodzinę w Dadaab, wie, że nadchodzi czas, kiedy jego państwo będzie trzeba zbudować od nowa. I choć spędził w Kenii prawie ćwierć wieku, sam chce startować w walce o wpływy.

– Nasz prezydent i premier mają dziś po dwa paszporty. W kraju najaktywniejsi są Somalijszy z Stanów Zjednoczonych, Europy czy Kenii – narzeka. A następnie zdradza, czemu zamierza stanąć na czele państwa: – Prezydent ma swoje pomysły, ja mam swoje – oświadcza tonem, jakby już teraz był największym rywalem władzy w Mogadyszu. – On mówi o jedności, ja o tym, że trzeba się dzielić. Dzielić z innymi swoimi umiejętnościami. Ponad 60 proc. Somalijszyków to ludzie młodzi. Już czas, żeby do władz wybierano ich na podstawie kryteriów merytorycznych, wykształcenia. Żeby wybierano tych, którzy przeszli ścieżkę taką jak ja.

Pytam więc dalej. Planu gospodarczego? – Somalia ma najdłuższe wybrzeże w Afryce. Gdyby mieszkający nad nim lu-

dzie skupili się na rybołówstwie, toby wystarczało.

Jak zjednoczyć naród? – Podstawą polityki jest integralność, niepodzielność. Nie da się ich osiągnąć bez walki z korupcją. Zbyt wielu naszych polityków było przekupnych.

Zaplecze polityczne? – Założyłem stowarzyszenie jednoczące Somalijszyków mieszkających w Kenii. Liczę na studentów, ludzi wyedukowanych – opowiada Abdikadir.

Widziane z biura

Pięć kilometrów od Atlas College of Professional Studies, w dzielnicy nowoczesnych biurowców, Johan Heffinck, dyrektor komórki ds. Somalii w biurze Unii Europejskiej ds. pomocy humanitarnej (ECHO) w Nairobi, siedzi w gabinecie z zafrasowaną miną.

Ma dużo na głowie: musi koordynować pomoc dla jednego z najuboższych państw świata; robi to z odległości tysiąca kilometrów; współpracuje z organizacjami pozarządowymi z całego świata. A dodatkowym utrudnieniem jest fakt, iż rząd Somalii, któremu pomaga, kontroluje niewielką część terytorium państwa.

Nie tylko on musi działać z oddali. Z Nairobi – trzymilionowej, najważniejszej metropolii wschodniej Afryki, która od kilkunastu lat jest też jedyną w krajach Południa siedzibą ONZ – od lat pomaga się pobliskim państwom, ilekroć dzieje się tam źle: Ugandzie, Demokratycznej Republice Konga, Rwandzie, Burundi czy Sudanowi Południowemu.

– Kiedy w 2011 r. w Somalii trwała największa susza, większość kraju była niedostępna – mówi Heffinck. – W wyniku tamtej suszy zmarło ćwierć miliona ludzi. W dużej mierze dlatego, że wiele miejsc było dla nas dostępnych jedynie z powietrza. Sytuacja powoli się poprawia. Przed rokiem, podczas kolejnej suszy, mogliśmy dotrzeć do większej liczby potrzebujących.

To jednak nie koniec problemów. Gdy zwiększyła się dostępność pomocy humanitarnej, wokół punktów dystrybucji zaczęli gromadzić się ludzie. Dziś najbezpieczniej jest w samym Mogadyszu – dlatego na przedmieściach miasta mieszka kilkaset tysięcy nowych przesiedleńców.

Pora przeprowadzki

Podobnie jak w przypadku Abdikadira Ibrahima, dla Heffincka i innych pracowników unijnej misji w Nairobi zbliża się



AMY TOENING / CORBIS / GETTY IMAGES

Już prawie połowa uchodźców w Afryce mieszka w miastach. Somalijska dzielnica Eastleigh w Nairobi, Kenia, 2013 r.

czas decydujący: Somalia od kilku lat ma prezydenta, parlament (choć jego członkowie są wybrani przez szefów klanów – prawdziwe wybory planowane są za dwa lata) i mocne wsparcie Zachodu. Bezpieczeństwa jeszcze przez kilkanaście miesięcy będą pilnować żołnierze z kontyngentu Unii Afrykańskiej.

– W Somalilandzie [część Somalii, dawna kolonia brytyjska, która w 1991 r. jednostronnie ogłosiła niepodległość – red.] 70 proc. transferu pieniędzy i płatności dokonuje się za pośrednictwem telefonów. Wśród członków rządu jest wiele kobiet – mówi Heffinck o sukcesach młodego państwa. Ale zaraz wraca do problemów: – Poza żywymi zwierzętami Somalia nic nie eksportuje. 60 proc. gospodarki oparte jest na hodowli zwierząt. Nie ma pracy, zwłaszcza dla młodych. Nawet w Somalilandzie, gdzie bezpieczeństwo jest większe.

Tymczasem władze w Mogadiszu stawiają już warunki: od przyszłego roku wszystkie organizacje pozarządowe pracujące w Somalii muszą przenieść swoje biura do Mogadiszu. Dla wielu z nich to duże utrudnienie i gigantyczne koszty. Cena ochrony takiego biura i wyjazdów z konwojami przewyższa ceny częstych

podróży lotniczych pracowników z Nairobi.

Te dwie części Nairobi, miejsca pracy Abdikadira Ibrahima i Johana Heffincka, czekają jakby na desant, przetrzucenie do Somalii. Jedna – chaotyczna, wypełniona ruchem, gwarem, kolorem. Druga – dzielnica instytucji międzynarodowych – uporządkowana, klimatyzowana, z procedurami i dokumentami. Obie równie przyszłej Somalii potrzebne.

Pierwsze spory

Takich miejsc jak to jest na świecie kilka: z osiedli uchodźców w Ugandzie spogląda się tęsknie na Sudan Południowy; z Bangladeszu na Birnę; z Libanu na Syrię. W wielu z tych państw zdążyło już wyrosnąć nowe pokolenie. Co się stanie, gdy ci śniący z oddali o swoich krajach zetkną się z ich realiami?

W Somalii walki i przemoc były na porządku dziennym od trzech dekad. Żyje dziś tu ponad 2 mln tzw. uchodźców wewnętrznych, a ok. 5,5 mln ludzi potrzebuje pomocy. W takim chaosie naród przetrwał w dużej mierze dzięki diasporze. Teraz też to wyedukowani i urodzeni za granicą Somalijscy napędzają zmiany w kraju: biorą udział we władzy,

ich głos jest często brany pod uwagę bardziej niż Somalijszyków na miejscu, przywożą wiedzę, zapewniają pieniądze, uczą o demokracji.

Prezydent Somalii Mohamed Abdullahi Mohamed ma podwójne, somalisko-amerykańskie obywatelstwo. Ministrowie jego rządu mówią po angielsku z brytyjskim i kanadyjskim akcentem. Ale w Mogadiszu coraz częściej powtarza się, że wpływy, pieniądze i dyplomy uniwersyteckie to nie wszystko. Niektórzy Somalijscy narzekają, że powracający z uchodźstwa nie rozumieją sytuacji lokalnej i warunków na miejscu. A członkowie diaspory – że ci z Mogadiszu nie doceniają ich pomocy. Już teraz zaczynają się pierwsze spory: o wizję lokalnego islamu, lokalne sojusze, strategię pojednania podzielonego narodu.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za jakiś czas Johan Heffinck lub jego następcy spotkają się, już w Mogadiszu, z Abdikadirem Ibrahimem. W równikowym słońcu będą musieli uzgodnić ze sobą obie wizje Somalii. ©P

Korespondencja powstała dzięki Polskiej Akcji Humanitarnej, która prowadzi w Somalii projekty pomocowe. Więcej na www.pah.org.pl



Sogjal Rinpocze podczas ceremonii buddyjskiej w hali sportowej Paris-Bercy, 2003 r.

Być jak Budda i gwiazda rocka

ROBERT STEFANICKI

Najpopularniejszy po Dalajlamie nauczyciel buddyzmu tybetańskiego na Zachodzie jest tyranem i seksoholikiem. Dlaczego aż ćwierć wieku zajęło strącenie go z piedestału?

IRLANDZKI OŚRODEK ORGANIZACJI BUDDYJSKIEJ Rigpa, rok 2011. Sogjal Rinpocze siedzi na tronie przed grupą uczniów czekających na jego wykład. Przyzywa asystentkę, 60-latkę, która ofiarnie pomaga umierającym. Sogjal każe jej uklęknąć, ściska ramionami do utraty tchu, kładzie rękę na piersi. Kobieta jest zdezorietowana i przestraszona. Sogjal uderza ją w twarz i patrzy głęboko w oczy. Odwraca głowę do zgromadzonych, mówiąc: „Odwróćcie się, to nie wasza sprawa”. 250 osób posłusznie przekręca swoje siedziska tyłem do nauczyciela.

Słyszał o nim chyba każdy, kto choć trochę interesuje się buddyzmem. Sogjal Lakar Rinpocze jest autorem „Tybetańskiej księgi życia i umierania”, która daje zachodniemu czytelnikowi ożywcze spojrzenie na temat śmierci. Książka rozeszła się w 3 mln egzemplarzy. Tymczasem...

„Kazał mi zdjąć ubranie. Myślałam, że to kolejna próba, więc posłuchałam. Kazał położyć się na łóżku i uprawialiśmy seks. »Popatrz mi w oczy, to moment, gdy łączysz się ze swoim mistrzem«, powiedział. Żadnej gry wstępnej. Bez przerwy. Moja przyjemność go nie interesowała, po trzech minutach skończył. Potem kazał mi przysiąc, że zachowam to w tajemnicy, także przed innymi dziewczynami. Zagroził, że jeśli naruszę samaję [więź z guru], to będzie źle dla mojej karmy i karmy mojej rodziny” – to fragment listu Janine, córki jednego z długoletnich członków Rigpy, przytoczony w tekście brytyjskiej dziennikarki Mary Finnigan. Kilka lat temu Sogjal włączył Janine do haremu młodziutkich wyznawczyń, które nazywał dakiniami – w tantryzmie dakini to niebiańska istota, personifikująca żeńskie aspekty oświecenia.

Miał je na każde skinienie: do sprzątnia, na posyłki i do seksu. Janine wyjawia, że Sogjal wciąż cierpiał na biegunkę i hemoroidy, po każdym wypróżnieniu kazał się podcierać dakiniom. Lubił seks grupowy. Podczas orgii zdejmowano ze ścian thangki, święte malowidła, które zakrywały erotyczne zdjęcia.

Cierpiąca coraz większe psychiczne męki Janine w końcu odeszła. W 2006 r. wysłała ojcu list, w którym opisała, jak była wykorzystywana. Ten zdecydował się go upublicznic podczas zgromadzenia medytacyjnego. Razem z nim z francuskiego oddziału Rigpy odeszło tego dnia 200 członków.

Ale Sogjal był niezatapialny. Dwa lata później na otwarciu „największej świątyni buddyjskiej na Zachodzie” – Lerab Ling na południu Francji – przedstawiał Dalajlamie pierwszą damę Carłę Bruni-Sarkozy i innych dygnitarzy. Rigpa jako organizacja była u szczytu potęgi, miała 100 ośrodków w 40 krajach.

W cudzym blasku

Nie jest łatwo odpowiedzieć jednoznacznie na pytanie o źródło tego sukcesu. Zdaniem Mary Finnigan, Sogjal kupował sobie wyznawców charyzmą, humorem i zdolnościami aktorskimi. Najwyraźniej okazał się zręczniejszym biznesmenem od innych nauczycieli i niewątpliwie wstrzelił się ze swoją ofertą we właściwy czas. Jest żywą historią buddyzmu na Zachodzie.

Urodził się 70 lat temu w Tybecie. Po chińskiej inwazji jego rodzina uciekła do

Indii, razem z tysiącami innych Tybetańczyków. Jego krewni twierdzili, że jest on wcieleniem ważnego lamy – wśród Tybetańczyków to najpewniejsza przepustka do kariery – ale wydaje się, że nikt poważny tego formalnie nie potwierdził. Mimo to Sogjal przykleił sobie do imienia tytuł „Rinpocze” (czyli „Drogocenny”), należny znamienitym lamom i wcieleniom.

Uczył się u wybitnych nauczycieli, jednak nie zdobył szczególnych kwalifikacji. Nie był mnichem, lecz teologiem. Dobrze za to władał angielskim, więc więksi lamowie brali go na tłumacza. Znałe autorytety, w których blasku się grzał, przydawały mu wiarygodności.

Wśród swoich byłby szarakiem. Jego braki w wiedzy i wykształceniu, do tego manieri niegodne nauczyciela, były obiektem kpiny innych lamów. Gwiazda Sogjala mogła więc rozbłysnąć tylko tam, gdzie słuchacze o buddyzmie nie mieli pojęcia. Opowiadał swoim współpracownikom, że jego matka wysłała go na Zachód Europy z jasnym poleceniem, żeby zbił majątek.

W 1973 r. przyjechał do Londynu. To trochę schyłek epoki. Młodzi buntownicy już się zmęczyli narkotykowymi eksperymentami, znudzili psychodelią, pogrzebali najlepszych muzyków i zapragnęli czegoś nowego. Zaczęto sprowadzać z Azji mistrzów duchowych: hinduistycznych guru, rosich zen, lamów tybetańskich. Zwłaszcza ci ostatni, jako ucieleśnienie popkulturowego mitu „antycznej mądrości” Himalajów, gwałtownie zyskiwali na popularności. Najlepiej zakorzeniła się tantryczna odmiana buddyzmu, wadząca. Tantra to magiczna droga na skróty do oświecenia, bez konieczności cierpliwego naprawiania karmy przez wiele pokoleń. W sam raz dla niecierpliwego Zachodu.

Przemoc słowna i dosłowna

Sogjal zaczynał bardzo skromnie, od życia w komunie w wynajętym mieszkaniu. Pierwsze pieniądze zarobił, sprowadzając na wykłady tybetańskich nauczycieli. Szczególnie imponował mu wtedy – głównie podbojami seksualnymi i sybaryckim stylem życia – Czogiam Trungpa, który przetarł drogę dla buddyzmu w Ameryce. Sogjal powiedział swemu współpracownikowi, że chce być jak Trungpa: „Żyć jak gwiazda rocka”.

Już wtedy weszło mu w nawyk upokarzanie innych, publiczne wytykanie najmniejszych błędów. Stosował przemoc słowną i dosłowną. Potrafił uderzyć

mniszkę pięścią w żołądek, bo postawiła stół w niewłaściwym miejscu. Zdarzały się przypadki znokautowania, zranienia, wstrząśnienia mózgu. Jego ulubionym narzędziem do bicia była skrobaczka do pleców.

„Był tyranem. Nie dało się go zadowolić. Wściekał się, krzyczał i bił. Kiedy próbowałam z nim dyskutować, wściekał się jeszcze bardziej. Najlepiej było być cichą i posłuszną” – opowiadała Dierdre, która w 1993 r. w ośrodku Rigpy w Connecticut zapytała Sogjala, jak może pomóc zmarłemu ojcu. Ten zaprosił ją do pokoju i polecił się wymasować. Następnego dnia kazał jej przyjść znów i nakłonił do seksu. Mówił, że „nie ma się czego bać, bo jesteśmy w świątyni”, a seks z nim poprawi karmę jej ojcu. „Nie chciałam stracić okazji, by pomóc mojej rodzinie” – tłumaczyła Dierdre.

Kobieta porzuciła dotychczasowe życie: została służącą, kucharką i nałożnicą Sogjala. Był nienasycony, wciąż zapraszał najładniejsze uczennice do swojego pokoju na „prywatne lekcje”. Niektóre uciekały z krzykiem, ale większość godziła się na „specjalną więź” z mistrzem. Wiele uważało to za zaszczyt i pomoc na drodze do oświecenia. Kto należał do haremu, był wysoko w hierarchii grupy. Nawet kiedy któraś decydowała się odejść, zwykle milczała – tak samo jak ofiary gwałtu, poturbowane psychicznie, pełne wstydu i poczucia winy.

Tu było coś więcej: w buddyzmie tybetańskim ważne jest oddanie dla nauczyciela. Naruszenie więzi powstałej podczas inicjacji to ciężka przewina, z konsekwencjami karmicznymi. Nauczyciel ma zawsze rację – jeśli bije, widocznie czemuś to służy. Wszelkie uczynki guru można zracjonalizować. Przemoc? Wielki XI-wieczny mistrz Marpa bił jogina Milarepę, by oczyścić jego negatywną karmę. Rozwiązłość? Tantryczne zespole nie dwojga osób pozwala ukierunkować energię i przyspieszyć oświecenie. Niekonwencjonalne zachowania? W XV stuleciu lama Drukpa Kunlej zyskał sławę dzięki nauczaniu za pomocą swojego penisa. Nazywał się szaleńcem, upijał w sztok, spółkował z mniszkami i świeckimi, przekonując wszystkich wokół, że poddając się jego woli postępują drogą oświecenia. Został bohaterem ludowym.

W roli mędrca celebryty

Uderza miałość nauk udzielanych przez Sogjala. Z początku był to zestaw mądrości, jaki można by zawrzeć w książce „Bud-

dyzm na weekend”. Potem Sogjal przeniósł się do Paryża, gdzie zaczął się mienić mistrzem tradycji dzogchen – aż faktyczny mistrz, Dudziom Rinpoche, zniesmaczony jego rozrzutnością i romansami, kazał mu poświęcić się praktyce w odosobnieniu. Wtedy Sogjal, okazując nieposłuszeństwo nauczycielowi, zmienił szyld i założył własną grupę. Tak powstała Rigpa.

Szybko zrozumiał, że największe pieniądze są do zarobienia w Ameryce. Założył oddział w Kalifornii. Tam jedna z uczennic zwróciła mu uwagę, że nauki tybetańskie na temat śmierci przynoszą ulgę umierającym. Tak narodził się pomysł „Tybetańskiej księgi życia i umierania”.

Tytuł nieprzypadkowo nawiązuje do dzieła z kanonu buddyjskiego: „Tybetańskiej księgi umarłych”, ezoterycznego dzieła przypisywanego Padmasambhawe – joginowi, który zaszczylił buddyzm w Tybecie.

Sogjal ruszył na tournée z serią wykładów o umieraniu, a w 1992 r. ukazała się książka, która ustawiła go na resztę życia w roli mędrca celebryty. Bernardo Bertolucci zaprosił go do udziału w filmie „Mały Budda”. Do Rigpy popłynął strumień uczniów – oraz pieniędzy, bo podążanie ścieżką wytyczoną przez Sogjala było kosztowne: wierni musieli kupować przedmioty rytualne, podręczniki, ofiary, płacić za kursy i odosobnienia.

Szybko pojawiły się pogłoski, że to nie Sogjal był autorem „Księgi”. Ci, którzy go znali, utrzymywali, że to półanalfabeta, czytający tylko komiksy i spędzający czas na oglądaniu telewizji. Że nie byłby zdolny udźwignąć intelektualnie tak erudycyjnego dzieła. Jako faktycznego autora typowano amerykańskiego mistyka Andrew Harveya – „Księga życia i umierania” ma styl tożsamy z innymi jego książkami (on sam zaprzeczył).

Konferencja dyscyplinująca

W 1994 r. do sądu w Kalifornii wpłynęło oskarżenie od jednej z byłych wyznawczyń Sogjala. Janice Doe (pod takim wystąpiła pseudonimem) zarzucała mu napaść, psychiczne tortury i nadużycie zaufania. Sprawa zakończyła się pozasądową ugodą. Doe najpewniej dostała kilka milionów dolarów.

Wtedy Dalajlama wycofał się z udziału w konferencji organizowanej przez Rigpę. Poradził Sogjalowi, żeby wziął sobie zagonę. Ale dwa lata później na organizowanym przez Dharamsalę (emigracyjną siedzibę

→ rządu tybetańskiego) zjeździe nauczycieli buddyzmu Sogjal perorował o zagrożeniach płynących z nauczania wadzących przez osoby o niedostatecznych kwalifikacjach. Biuro Dalajlamy wyjaśniło, że go nie zapraszało.

Skargi na Sogjale docierały do Dalajlamy jeszcze przed pozwem Janice Doe. Skandale z udziałem nauczycieli buddyzmu na Zachodzie skłoniły go do zwołania w Dharamsali w 1993 r. dyscyplinującej konferencji.

Cytowane tam dane budziły zażenowanie. Na 54 nauczycieli aż 40 miało relacje seksualne z uczennicami lub uczniami, wielu nadużywało alkoholu i władzy, dopuszczało się malwersacji finansowych. Dalajlama skrytykował „pożalowania godne i ambarasujące” postępowanie niektórych nauczycieli, otworzył też uczniom furtkę do opuszczenia tych mistrzów, którzy zachowują się niegodnie i niezgodnie z nauczaną doktryną.

– Dalajlama wiele razy publicznie ostrzegał przed nadużyciami i nieetycznymi zachowaniami, dobitnie apelując o ich piętnowanie i upublicznianie – mówi Adam Kozieł z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. – W tym świetle każdy buddysta, który godzi się na wykorzystywanie – siebie albo innych – bądź tuszowanie takich spraw, po prostu działa wbrew jego naukom i zaleceniom.

Zgniłe jabłka trudno usunąć

Dlaczego jednak Dalajlama, choć z pewnością uważał jego zachowanie za naganne, nie potępił Sogjale aż do ubiegłego roku?

Jest kilka możliwych powodów. I analogii. Podobnie jak u biskupów katolickich, którym długo nie mogło przejść przez gardło potępienie pedofilii u księży, Dalajlama nie chce osłabiać buddyzmu – religii, która stanowi fundament tożsamości tybetańskiej, a utraciła bazę w zajętym przez Chiny Tybecie i rozwija się tylko na emigracji. Ekscesy Sogjale i jemu podobnych są znane tylko wąskim grupkom ich wyznawców – o ile nie wypowie się na ten temat Dalajlama, którego Zachód uwielbia i spija jego słowa.

Dalej: podobnie jak w islamie, w buddyzmie nie ma ścisłej hierarchii innej niż więź między nauczycielem i uczniem. Dalajlama jest przywódcą narodu i największym autorytetem religijnym, ale szkoła gelug, z której się wywodzi, miewa wrzliwe relacje z innymi szkołami buddyzmu. Sogjal należy do ningmapów.

Sogjal Lakar nie był jedyny.

Ruch #MeToo
powoli dosięga także
zgromadzeń buddyjskich
na Zachodzie.

Zgniłe jabłka nie jest łatwo usunąć z kościoła. Tak jak dżihadysty z tzw. Państwa Islamskiego uzurpują sobie prawo do wybijania w Koranie usprawiedliwienia dla zabijania każdego, kto się z nimi nie zgadza, tak pojawiają się nauczyciele buddyzmu, którzy po swojemu interpretują doktrynę. Wyżej postawieni lamowie mogą się na nich irytować, ale nauczyciele na Zachodzie są poza ich zasięgiem – mają własnych, wpatrzonych w nich uczniów, głuchych na krytykę.

Przykładem Amerykanin Michael Roach, który wypromował się na popularnego nauczyciela uproszczonego przez siebie „magicznego” buddyzmu, uznał swoją kochankę za boginię i twierdził, że dokonuje cudów. Założyciel jego macierzystej organizacji, Tybetańczyk Zopa Rinpocze, wysłał Roachowi zjadliwy list sugerujący, żeby dowiódł swoich magicznych zdolności przed publicznością, a biorąc pod uwagę, jak ważny w jego praktyce jest seks, najlepiej za pomocą penisa: „Na przykład Szósty Dalajlama sikał ze szczytu Potali i tuż przed tym, jak moc uderzył w ziemię, wciągał go z powrotem”.

Wiedzieli, nie reagowali

– Sogjal Rinpocze zrobił wiele dla wypromowania magicznej wersji buddyzmu tybetańskiego, uwielbianej na Zachodzie – zauważa Scott Carney, autor książki o Michaelu Roachu pt. „Śmierć na diamentowej górze”. Do jej napisania, jak sam mówi, zainspirowała go jego studentka, która podczas zajęć medytacyjnych popełniła samobójstwo, chcąc w ten sposób przyspieszyć oświecenie. Swoją list pożegnalny napisała na początkowych stronach „Tybetańskiej księgi życia i umierania”...

W 2017 r. Dalajlama publicznie nazwał Sogjale „skompromitowanym”. Był to koniec jego kariery. Kilka dni później Sogjal przeszedł na emeryturę i wyjechał do Tajlandii leczyć raka.

Organizacja Rigpa wynajęła niezależną angielską firmę prawniczą Lewis Silkin, aby zbadała oskarżenia. Wydany we wrze-

śniu tego roku raport potwierdził „poważne nadużycia fizyczne, psychiczne i seksualne”. Młode kobiety były przez Sogjale manipulowane, zastraszane i zmuszane do świadczenia usług seksualnych. Osoby z kierownictwa Rigpy o tym wiedziały i nie reagowały, „narażając innych na niebezpieczeństwo”.

Organizacja wystosowała przeprosiny, obiecała odciąć się od guru i wyrzucić winnych.

Sogjal i inni

Tymczasem Sogjal nie jest jedyny. Globalny już w tej chwili ruch #MeToo – piętnujący przemoc seksualną – powoli dosięga także zgromadzeń buddyjskich na Zachodzie. Oskarżenia o napaść seksualną wysunięto np. pod adresem Sakjonga Miphamy Rinpoczego, który w lipcu odsunął się od kierowania organizacją Szambala, posiadającą 200 ośrodków medytacji na świecie, w tym w Polsce. Dodatkowy smaczek: Sakjong Mipham jest synem Czogijama Trungpy – tego, który zainspirował Sogjale, aby „żyć jak gwiazda rocka” (Trungpa zapił się na śmierć w 1987 r.).

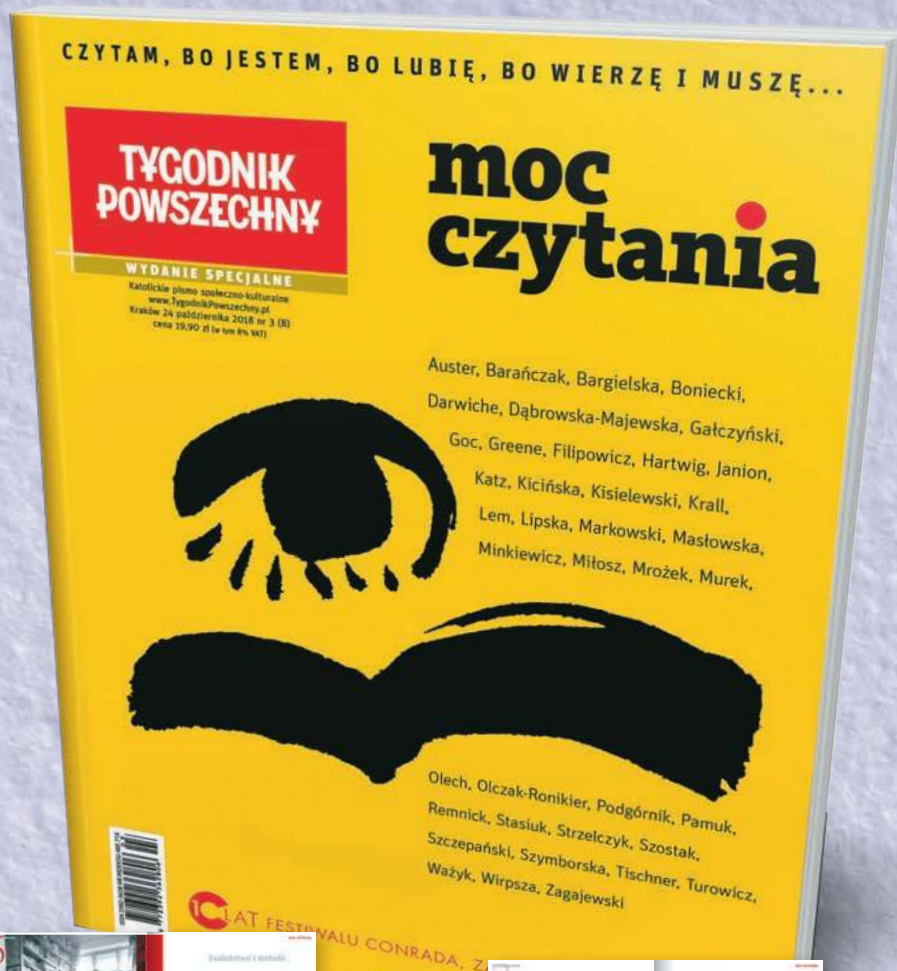
Przypadki te są tym smutniejsze, że trudno buddystów wrzucać do jednego kotła z wyznawcami New Age lub apokaliptycznymi guru w typie Jima Jonesa. Zawodzą ludzie, mieniący się reprezentantami jednej z ważniejszych światowych religii o nieprzerwanej, bo tysiącletniej linii przekazu. Wypaczenia są też w jakiejś mierze pokłosiem chińskiej inwazji. Nowe emigracyjne pokolenie lamów jest w naturalny sposób pod coraz silniejszym wpływem Zachodu. Niektórzy zasługują na najwyższy szacunek, inni dają się złapać na lep popularności, pieniędzy, iluzję szybkiego wprowadzenia na buddyjską ścieżkę tysięcy dusz.

Ich potępienie nie jest więc proste, zwłaszcza że wielu nauczycieli oskarżanych o nadużycia ma równocześnie zasługi dla buddyzmu (wspomniany Michael Roach dokonał cyfryzacji trudno dostępnych tekstów).

– Zwykle patrzymy na Tybet jako na zasobnik niezwyklej wiedzy i oświecenia – mówi Scott Carney, autor książki o Roachu. – Tymczasem historia uczy, że Tybetańczycy mają takie same wady i zalety jak każdy inny naród.

© ROBERT STEFANICKI

Autor jest dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, napisał książkę „Czerwony Tybet”.



Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Maślowska, Miłosz, Mrozek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania”

już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą



Hetman Skoropadski (drugi od prawej) ze swymi oficerami i Niemcami z wojsk okupacyjnych, 1918 r.

HETMAŃSKA UKRAINA

Gdy pod koniec 1918 r. upadło konserwatywno-demokratyczne państwo hetmana Skoropadskiego, wraz z nim upadła niepodległa Ukraina. Struktury państwowej nie udało się już odtworzyć, choć walka o niepodległość trwała jeszcze dwa lata.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

STO LAT TEMU, JESIENIĄ 1918 R., NA KONTROLOWANEJ przez Niemców i Austriaków Ukrainie narastała fala powstań i buntów chłopskich, wywołanych polityką rekwizycyjną i przyzwoleniem okupantów na powrót dawnych właścicieli ziemskich, wypędzonych po rewolucji w 1917 r. Wraz z pogłębiającą się anarchią chwiała się też władza Pawła Skoropadskiego – człowieka, który kilka miesięcy wcześniej objął rządy w Kijowie i obwołał się hetmanem.

Gdy na początku listopada 1918 r. w Niemczech wybuchnie rewolucja, a ukraińscy socjaliści wzniecą powstanie przeciw hetmanowi, stworzone przez Państwo Ukraińskie (Ukraińska Derżawa), potocznie zwane Hetmanatem, rozpadnie się jak domek z kart.

Paweł Skoropadski...

Cofnijmy się o kilka miesięcy.

Na mocy traktatów pokojowych z bolszewicką Rosją oraz z powstałą niedawno Ukrainą, wojska niemieckie i austro-węgierskie zajęły wiosną 1918 r. ziemie ukraińskie. Socjaldemokratyczne władze Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR) wróciły do Kijowa – i próbowały kontynuować budowę zrębów państwa, przerwana przez najazd bolszewicki w styczniu-lutym 1918 r. [o tych początkach państwa ukraińskiego patrz „TP” nr 4 – red.].

Ale, tak jak poprzednio, czyniły to chaotycznie, bez konsekwencji i namysłu, zaś obecność obcych wojsk traktowali nie jako szansę konsolidacji państwa, lecz zło konieczne. Konserwatywne i monarchiczne dowództwo niemieckich wojsk okupacyjnych patrzyło na to z niechęcią – także z powodu lewicowego charakteru władz UNR. Zachęciło to ukraińskie środowiska zachowawcze (głównie ziemian z centralnej i wschodniej części kraju oraz bogatych włościan) do sięgnięcia po władzę.

28 kwietnia 1918 r. generał Paweł Skoropadski dokonał zamachu stanu, ogłaszając się hetmanem Ukrainy. Ukraińska Centralna Rada (powołane rok wcześniej ciało *quasi*-parlamentarne) została rozwiązana, rząd rozpędzony i nawet nazwę UNR zastąpiono nową: Państwo Ukraińskie. Niepodległościowi socjaliści przeszli do zdecydowanej opozycji wobec nowych struktur, choć współpracownicy hetmana szukali z nimi porozumienia.

Paweł (Pawło) Skoropadski miał wtedy 44 lata. Wywodził się z kozackiej arystokracji: był potomkiem (w bocznej linii) Iwana Skoropadskiego, ostatniego

w miarę niezależnego hetmana Ukrainy Lewobrzeżnej z początku XVIII w. Arystokrata, wielki właściciel ziemski, zawodowy wojskowy, zasłużony dla carskiej Rosji podczas I wojny światowej – Skoropadski nie miał jednak żadnego doświadczenia politycznego, był dość prostolinijny i chyba naiwny. Był też, jako wielki pan, przeciwnikiem radykalnej reformy rolnej.

A to właśnie kwestia rolna była kluczowa dla przyszłości Ukrainy – tak ze względu na ambicje biedniejszej części wsi ukraińskiej (zamożni włościanie, których siła wyrosła podczas cząstkowej reformy rolnej z początków XX w., skłaniali się do obrony *status quo*), jak i na to, że hasło wywłaszczenia wielkiej i średniej własności ziemskiej było „taranem” propagandy bolszewickiej na Ukrainie. Niezdecydowane stanowisko w tej sprawie (nie tylko hetmana, ale i polityków Centralnej Rady) obiektywnie działało na rzecz bolszewików.

Wcześniej, wiosną 1917 r., Skoropadski zukrainizował – tj. przeformował według zasad narodowościowych – podległy mu 34. Korpus Armijny i na kilka miesięcy zapewnił względny spokój na Kijowszczyźnie. Budował też Wolne Kozactwo: polspolite ruszenie, które mogło stać się podstawą nowej ukraińskiej armii.

Jednak władze UNR – wierzące w to, że socjalistycznemu państwu (a takie chcieli budować) stała armia nie jest potrzebna (miało ją zastąpić powszechne uzbrojenie ludu) – zdemobilizowały tak korpus, jak i inne jednostki wojskowe Republiki (i to w przededniu najazdu bolszewickiej Rosji!). Zdymisjonowany gen. Skoropadski na kilka miesięcy usunął się w cień.

...i jego państwo

Nie jest jasne, czym miało być Państwo Ukraińskie. Jego krytycy zarzucają Skoropadskiemu, że tworzył dziedziczną monarchię, trwale związaną z Cesarstwem Niemieckim. Ten pogląd – jak też przekonanie o konsekwentnie niepodległościowym stanowisku hetmana – opiera się jednak głównie na jego wspomnieniach, spisanych już po klęsce, na emigracji w Niemczech. W 1918 r. raczej jeszcze nie myślał w ten sposób.

Proklamowane przez niego państwo nie miało w nazwie dookreślenia ustrojowego (jak „republika” czy „królestwo”). Nie wydaje się też, by Skoropadski widział się w roli monarchy. Zdaniem części badaczy postrzegał on swoją rolę jako „naczelnika państwa”, który ma je ustabilizować i za-

pewnić bezpieczeństwo, a potem – przekazać elitom cywilnym. Jeśli tak, jego zamysł byłby podobny do nieco późniejszego zamysłu Piłsudskiego. Tyle tylko, że nad Dnieprem się nie udało. I chyba nie mogło się udać. Ale o tym za chwilę.

Nic nie wskazuje też na to, by Skoropadski był w 1918 r. konsekwentnym niepodległościowcem. Raczej widział przyszłość swego kraju w takim czy innym związku z „białą” Rosją, raczej monarchiczną niż republikańską. Orientował się prędzej na „prorosyjskie” niż „proukraińskie” ugrupowania polityczne, choć – paradoksalnie – nieliczni konsekwentni ukraińscy niepodległościowcy opowiedzieli się po jego stronie, głównie ze względu na jego niechęć do socjalistycznego programu UNR. Może widział siebie w roli, jaką pełnił w XVIII w. jego przodek: udzielnego władcy, podporządkowanego Imperatorowi Wszechrosyjskiemu?

W każdym razie, kilka dni po wybuchu rewolucji w Niemczech i zawieszeniu broni na froncie zachodnim, 14 listopada 1918 r. Skoropadski wydał proklamację o udziale Ukrainy we „Wszechrosyjskiej Federacji”. Ten akt przypieczętował zresztą kres jego władzy: następnego dnia socjaliści wezwali do zbrojnego powstania, a miesiąc później Skoropadski musiał abdykować. Wyjechał do Berlina, korzystając ze wsparcia wciąż obecnej na Ukrainie armii niemieckiej (jej ewakuacja z okupowanej Ukrainy i Białorusi zajęła kilka miesięcy).

Ale na „rosyjskiej” Ukrainie jeszcze latem 1917 r. nikt nie myślał serio o pełnej niepodległości. Ba – mało kto (oprócz paru wizjonerów politycznych) wyobrażał sobie taką możliwość. Ukraińska Centralna Rada, z Wołodymyrem Wynnyczenką i Symonem Petlurą, także stała na pozycjach autonomistycznych, dopóki najazd bolszewicki nie „przymusił” ich do niepodległości. To nie była Galicja Wschodnia, której ukraińska społeczność dojrzała już wtedy do myśli o własnym państwie.

To jednak osobna historia, o której opowiemy na tych łamach za tydzień.

Miedzy starym a nowym ładem

Skoropadski był bardziej przeciwko rewolucji niż za niepodległością. Chciał budować państwo w miarę możliwości podobne do tego sprzed 1917 r. Oraz odwoływał się do struktury i elit tego państwa, do – symbolicznie rzecz nazywając – Małorosji (to określenie Ukrainy jako regionu Imperium Rosyjskiego o wyraźnie odrębnej

→ tożsamości, ale wiernego nadrzędnej idei imperialnej). W innych okolicznościach to mogło się udać – jak w 1991 r. udało się Leonidowi Krawczukowi, budującemu niepodległą Ukrainę z sowieckich struktur i elit (czyli w gruncie rzeczy także z ówczesnej Małorosji, tylko nieco inaczej rozumianej).

Ale w 1918 r. ten projekt nie miał szans. Stary ład walił się w tempie, którego nikt nie przewidywał. Mocarstwa centralne przegrywały wojnę, a wraz z nimi załamywał się europejski ład monarchiczny. Nie było już miejsca na nowe monarchie, na kierowniczą rolę arystokracji, na budowę nowych państw na konserwatywnym fundamencie. Był to czas rewolucji społecznych, czas lewicy – mniej lub bardziej radykalnej. Hetman był przedstawicielem odchodzącej epoki.

Projektowi „białej” Ukrainy (bo UNR miała być „czerwona”, choć nie bolszewicka) brakowało też niezbędnego zaplecza ideowego. W Imperium Rosyjskim refleksja prawicowa (tak konserwatywna, jak i nacjonalistyczna) skupiała się wokół idei „jednej i niepodzielnej” Rosji. W związku z tym ugrupowania dążące do emancypacji narodów Imperium odwoływały się do idei lewicowych, socjalistycznych. Nie było narodowych konserwatyzmów. Na Ukrainie dodatkowym czynnikiem hamującym rozwój refleksji konserwatywnej (ale i liberalnej) był konsekwentnie rewolucyjny, równościowy i wrogi wobec ziemiaństwa charakter twórczości Tarasa Szewczenki – wtedy absolutnego prawodawcy ukraińskiej świadomości narodowej.

Skoropadski miał też mało czasu. Rządził pół roku. Zdołał ledwie – i to nie do końca – skonsolidować aparat państwa, zdeorganizowany przez rewolucję. W dodatku długo miał poczucie, że nie musi się śpieszyć: dopiero pod koniec rządów dokonał dzieł, które go przetrwały: powołał ukraińskie uniwersytety w Kijowie (na bazie starego, rosyjskiego) i Kamieńcu Podolskim, a także Ukraińską Akademię Nauk i parę jeszcze instytucji. Próby odbudowy sił zbrojnych skutecznie hamowali Niemcy.

Hetman nie był też w stanie rozwiązać kwestii rolnej: ani zaakceptować przeprowadzonej faktycznie (drogą rewolucyjną) reformy, ani jej cofnąć. Sytuację na wsi destabilizowała propaganda tak niepodległościowców, jak i bolszewików, apelujących do biednych włościan i parobków.

Skoropadskiego zepchnięto na margines dziejów, jako postać złowrogo-komiczną. **Dopiero dziś to się zmienia.**

Jedni i drudzy pobudzali bunty i powstania prowadzące do anarchizacji życia na prowincji. To z kolei powodowało kontrakcje niemieckich sił okupacyjnych (za interesowanych głównie pozyskiwaniem żywności z ukraińskiej wsi dla głodujących Niemiec) – i nakręcało spiralę nienawiści i przemocy. To za rządów hetmana na prowincji wyrosły formacje lokalnych atamanów (przywódców formacji paramilitarnych, nieuznających niczyjej kontroli politycznej). Niektórzy, jak Matwij Hryhorjew czy Nestor Machno, dysponowali wielotysięcznymi armiami.

Gdy w grudniu 1918 r. Hetmanat upadł, wraz z nim w istocie upadła niepodległa Ukraina. Ukraińskiej Republiki Ludowej jako struktury państwowej nie udało się już odtworzyć, choć walka o jej niepodległość trwała jeszcze przez dwa lata. Pochłonęła ją rozpętana jesienią 1918 r. anarchia, którą udało się stłumić dopiero bolszewikom, a i to nie od razu.

Wysmiany i odrzucony

Na emigracji Skoropadski próbował stworzyć własne stronnictwo, które jednak pozostało na marginesie życia politycznego diaspory. Patronował ukraińskiemu konserwatyzmowi, rozwijanemu dopiero w tym czasie, dystansując się od radykalnego nacjonalizmu. Zmarł pod koniec II wojny światowej z ran odniesionych podczas nalotu.

Potem przyszło zapomnienie. A może coś gorszego.

Już wcześniej, w połowie lat 20., obalony hetman został bezlitośnie wydrwiony przez Michała Bułhakowa na kartach powieści „Biała gwardia” (rosyjski pisarz był wrogiem nie tylko ukraińskiej niepodległości, lecz jakiegokolwiek odrębności Ukrainy od Rosji).

Bułhakow wpisał się w obowiązującą w Sowietach narrację: Skoropadski był tam bezlitośnie krytykowany jako reakcjonista (którym niewątpliwie był), a później także jako slugus Niemiec (którym również niewątpliwie nie był). Sowiecka propaganda stale przypominała o nim,

traktując go jako negatywny symbol ukraińskości (socjalistyczny ruch niepodległościowy przemilczano, był zbyt niewygodny propagandowo). Hetmana odrzucił też ukraiński ruch nacjonalistyczny.

Ostatecznie został wypchnięty na margines dziejów jako postać na poły złowroga, na poły komiczna.

Również po 1991 r. niepodległa Ukraina nie chciała o nim pamiętać. Czy raczej: nie chciała przypomnieć sobie o nim nawet w tak ograniczonym zakresie, jak przypominała sobie o Petlurze – głównym przywódcy walki zbrojnej w latach 1919-20.

Powolny powrót

Dziś Pawło Skoropadski nie ma na Ukrainie ani jednego pomnika. W Kijowie poświęcono mu tylko dwie skromne tablice i ulicę. Dopiero tej jesieni ku jego czci powstał w stolicy mural. Nie poświęcono mu (także na emigracji) żadnej znaczącej powieści, dramatu, nawet filmu (prawda, pierwszy film o Petlurze miał premierę raptem przed miesiącem). Także oficjalne obchody stulecia ukraińskiej niepodległości pomijają Hetmanat, koncentrując się na tradycji narodowo-rewolucyjnej i nacjonalistycznej, a autorzy głównego nurtu atakują hetmana jako „nie dość narodowego”.

Jednak w tym roku coś zaczęło się zmieniać. Opiniotwórczy dziennik kijowski „Deń”, głoszący idee raczej państwowotwórcze niż narodowe, ogłosił „Rok Skoropadskiego” i zamieszcza liczne publikacje poświęcone nie tylko rządowi hetmana, ale też ukraińskiej refleksji konserwatywnej. „Deń” przypomina też dorebek jednego ze współpracowników hetmana, większości Ukraińców właściwie nieznanego: Wiaczesława Łypynskiego, jedyne jak dotąd ukraińskiego myśliciela konserwatywnego (zresztą polskiego ziemianina z Wołynia, a Ukraińca z własnego wyboru).

Można mieć nadzieję, że wraz z pamięcią o Skoropadskim odrodzi się też i rozwinięcie ukraińska myśl konserwatywna – tak istotna dla równowagi życia politycznego i społecznego. © TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor (ur. 1950) jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

Autor książek, m.in. „Historia Ukrainy w XX wieku”, „Trud niepodległości. Ukraina na przełomie tysięcy”, „Cwierćwiecze niepodległej Ukrainy. Wymiary transformacji”.

WOJCIECH

Bonowicz: Cięcia



ŁAZIŁEM PO MIEŚCIE MAŁYM, NIEZAPCHANYM, niezatłoczonym, kiedy przypomniał mi się wiersz Mirona Białoszewskiego „Do NN***”:

nagle
wycinasz się
z pomieszanych form ulicy
wypukłością nóg
twarzy

zbliżasz się – pół
mijam cię – pół

jakże mi szkoda
tej zawsze jednej strony nie widzianej!
odchodzisz – pół
ruch innych
kroi cię
w coraz drobniejsze
kawałki

nic mi z ciebie nie zostało
nagle

Człowiek dany nam połowicznie, w formie pospiesznej, migawkowej – temat, można powiedzieć, zgrany. W iluż to filmach były takie sceny: kamera wyławia z tłumu jedną twarz, by po chwili porzucić ją dla innej, a potem kolejnej i następnej? Na ilu fotografiach zapisano to doznanie: czyjś profil, czyjaś sylwetka lub spojrzenie zatrzymało naszą uwagę, wydobyło się z tłłu, lecz niepewnie, nietrwale, po chwili zapewne znów się w nim rozplynie? Temat podejmowali malarze, pisarze, publicyści płci obojga od czasu, gdy uporczywa tłumność stała się powszechnym doświadczeniem mieszkańców miast: ludzie nie zbierali się już na placach w związku z obwieszczeniem władz czy egzekucją, lecz poruszali się w tłumie na co dzień, w tłumie pracowali, robili zakupy, w tłumie odpoczywali. Każdego dnia droga jednego przecina się z drogami tysięcy innych, obecnych, niekiedy męcząco, uciążliwie, lecz w jakimś sensie przezroczy- stych, pozbawionych twarzy, póki nie zaistnieje coś, co na mo- ment uczyni ich konkretnymi i widzialnymi.

Temat zgrany, ale Białoszewski podejmuje go sugestywnie i po swojemu. Cały wiersz ustawiają słowa „wycinasz się” i „kroi cię”. Jakbyśmy znaleźli się w wielkim zakładzie krawieckim albo stanęli przed olbrzymią szatkwonnicą. Człowiek nie „zja- wia się” tu, lecz „wycina”; jest najdosłowniej wycinkiem całości,

której nie sposób ogarnąć, a tym bardziej przyswoić. Gdyby był „zjawą”, byłby czymś wobec tej całości osobnym, ale jako „wy- cinek” jest jej integralną, na chwilę tylko wyodrębnioną częścią. W „pomieszaniu form” udaje mu się zwrócić uwagę patrzącego „wypukłością nóg / twarzy”. To też ciekawa metafora; patrzymy na świat – na innych – płasko, to znaczy unifikująco, dwuwymiarowo, i tylko w rzadkich chwilach na tym płaskim obrazie pojawia się fałda czy wypukłość. Ustawiając obok siebie te dwie metafory, wycinania i wybrzuszenia, Białoszewski doskonale oddaje sam moment dostrzeżenia drugiego, pełen sprzeczności i w gruncie rzeczy trudny do opisanie. Po czyjej stronie tak na- prawdę jest inicjatywa? Czy to on, ten mijany, „wyciął się”, że- bym go dostrzegł? Czy to raczej ja mam w sobie taką uważność, która wypłtuje wszelkie „wypukłości”?

A potem to przejmujące „pół”: „zbliżasz się – pół”, „odchodzisz – pół”. Mijając się w pośpiechu, ukazujemy sobie wzajemnie tylko jedną stronę. Kobieta z wysoko upiętymi blond włosami ma zaróżowiony prawy policzek, pieprzyk na szyi, czerwoną torebkę. Twarz chłopca jest upstrzona bliznami po trądziku. Kilkundniowy zarost mężczyzny siwieje, owijany dymem z palo- nego gdzieś po drugiej stronie ciała papierosa. Zwróćmy uwagę, że Białoszewski nie wpisuje do wiersza podobnych szczegółów, skupia się na samym doświadczeniu, które jest niespodziewane i niczego tak naprawdę nie pozwala zachować w pamięci. „Wy- cięty” człowiek ukazuje się i jednocześnie chowa, jest obecny tylko na wpół: dostrzegliśmy go, ale już go nie ma, ginie wśród kolejnych „cięć”. Zapamiętanie tych czy innych szczegółów ni- czego by tu – zdaniem poety – nie zmieniło. Bo tym, czego się doświadcza, nie jest epifania pojedynczego istnienia (tak by zapewne opisał tę sytuację Miłosz), lecz strata, niespotkanie i związany z nimi smutek. „Nic mi z ciebie nie zostało” – oto fi- nał. I powtórzone raz jeszcze słówko „nagle” – klucz do świata, w którym wszystko dzieje się (jak to się dziś mówi) na szybko- ści, tymczasowo, po wierzchu.

W takim mieście jak Chojnice ludzie z łatwością wycinają się z tłłu. Dzień jest słoneczny, przechodnie są wyraźni, jaśni, zrobieni z ciepłej materii. Jeśli się chce, można długo cieszyć się zapamiętanym szczegółem. ©

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 209/18, z wniosku Marii Forrester, z udziałem Kay Marii E. Lebiatowski i Cesi Janet Marii Morrison, o stwierdzenie nabycia spadku po:

- Szczepanie Hulak, s. Jana i Marii, żonatym, zm. 25 sierpnia 1999 r. w Australii;
- Marii Paulinie Hulak, c. Juliana i Katarzyny, wdowie, zm. 2 lipca 2017 r. w Australii;

ostatnio stale zamieszkałych: 9 Eastern Road, Rooty Hill NSW 2766, po których pozostał majątek spadkowy w postaci nieruchomości oznaczonych numerami 1054/2, 1018, 1031, o łącznej powierzchni 4,11 ha, położonych w Starym Dzikowie – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie 3 miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

NOWE ŻYCIE MIKROBÓW

Zmienia się sposób, w jaki biolodzy patrzą na mikroorganizmy. Dziś twierdzi się nawet, że stanowią one nierozłączną całość z gospodarzami – i razem z nimi podlegają ewolucji.

ŁUKASZ SAKOWSKI

PROCESY FERMENTACYJNE, W WYNIKU których powstają różnorodne spożywcze produkty alkoholowe, ludzie wykorzystywali już kilka tysięcy lat temu. Robiły to populacje zamieszkujące tak odległe tereny jak Gruzja, Chiny, Irak, Egipt i Meksyk. Oczywiście nie zdawało sobie sprawy z tego, że za zjawisko to odpowiadały mikroorganizmy. Stało się to jasne dopiero w XIX w., dzięki odkry-

ciom poczynionym przez Louisa Pasteura i jego następców. Jednym z nich, a zarazem człowiekiem, który wprowadził myślenie o mikroorganizmach na nową tory, był ukraińsko-rosyjski biolog – Ilja Miecznikow.

Miecznikow zasłynął odkryciem fagocytozy – zjawiska pochłaniania cząstek przez komórki i trawienia ich w swoim wnętrzu, w wakuoli (wodnicze). To od-

krycie znacząco przyczyniło się do zrozumienia działania układu odpornościowego (komórki fagocytują patogeny), a Miecznikowowi przyniosło w 1908 r. Nagrodę Nobla z fizjologii. Miecznikow ważną rolę odegrał również w zmianie postrzegania mikroorganizmów. Przekonywał, że bakterie nie muszą być wyłącznie przyczynami chorób, ale mogą wpływać korzystnie na ludzkie zdrowie. Pro-

Stado mlecznych krów w Nowej Zelandii na jednej z ferm, 2009 r.



pagował w środowisku lekarzy zalecanie pacjentom jedzenia zsiadłego mleka, bogatego w – jak się domyślał – pożyteczne bakterie. Sądził, że drobnoustroje znajdujące się w przewodzie pokarmowym mają wpływ na starzenie się organizmu (dziś wiemy, że to znacznie bardziej zawile zjawisko).

Spadek po przodkach

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Miecznikow został uhonorowany Nagrodą Nobla, inny rosyjski biolog-botanik – Konstanty Mieriezkowski – ogłosił teorię symbiogenezy. Mówiła ona, że niektóre organelle komórkowe u eukariontów (czyli organizmów posiadających jądro komórkowe) powstały ze sfagocytowanych, ale niestrawionych bakterii. Mieriezkowski sformułował tę teorię, gdy dostrzegł podobieństwo pomiędzy namnażaniem się chloroplastów – organelli zawierających chlorofil i przeprowadzających u roślin fotosyntezę – do rozmnażania się sinic – samożywnych, także zdolnych do fotosyntezy mikroorganizmów.

Jeszcze dalej poszedł w latach 20. XX w. Ivan Wallin, który wskazał na mitochondria jako podobnie niezależne jednostki w komórce jak chloroplasty. W drugiej połowie XX w., dzięki nowym mikroskopom elektronowym, udało się zaobserwować, że mitochondria oraz chloropla-

sty mają własne DNA, oddzielne od DNA zgromadzonego w jądrze komórkowym. Mikrobiolożka Lynn Margulis wykazała na tej podstawie, że mitochondria i chloroplasty w komórkach eukariotycznych faktycznie pochodzą od pradawnych mikroorganizmów. Świadczyć o tym miały m.in. niezależny, przypominający bakteryjny podział tych organelli, własne, kolisty DNA oraz podobieństwo rybosomów do rybosomów bakteryjnych. Teoria Margulis z czasem zyskała uznanie i trafiła do podręczników pod nazwą endosymbiozy. Było to spektakularne, ewolucyjne wyjaśnienie powstania mitochondriów i chloroplastów u eukariontów. Naszymi odległymi przodkami są mikroorganizmy, które wchłonęły i weszły w symbiozę z innymi, wyspecjalizowanymi bakteriami. A nasze mitochondria i roślinne chloroplasty – komórkowe centra energetyczne – to potomstwo tych pradawnych wchłoniętych bakterii.

Na początku XXI w. japońskim naukowcom udało się nawet zaobserwować pewien rodzaj endosymbiozy zachodzącej na naszych oczach – protista *Hatena arenicola* wchłania glona *Nefroselmis rotunda* i przestawia się na żywienie produktami fotosyntezy (prowadzonej przez glona).

Ewolucja holobiontu

To właśnie Margulis ukuła także pojęcie holobiontu (od gr. *hólos* – cały, *bíont* – jednostka życia), czyli grupy organizmów żyjących ze sobą i tworzących wspólnie jednostkę ekologiczną.

Dziś naukowcy posługują się także pojęciem hologenom, czyli współdziałających genomów różnych organizmów zasiedlających ciało większego osobnika. Nasz hologenom – poza naszym własnym DNA – tworzą także genomy bakterii i grzybów bytujących w naszym przewodzie pokarmowym oraz na skórze. Pojęcie hologenom zrobiło karierę w biologii, ponieważ przewiduje się, że ściśle koegzystujące ze sobą symbionty mogą wspólnie podlegać doborowi naturalnemu. A to już rzuca nowe światło na mechanizmy ewolucyjne. Na przykład gdy bakteria produkuje białko, które bierze udział w reakcjach prowadzących do powstania substancji wykorzystywanych dalej przez metabolizm gospodarza, to z perspektywy ewolucyjnej można sekwencję tę uznać za swego rodzaju całość. Co więcej, mikroorganizmy mogą być dziedziczone: poprzez jaja, jak u mszyc, czy podczas porodu albo ssania mleka matki – jak u ssaków.

→



→ Wspomniane protisty i glony zaobserwowane przez japońskich naukowców możemy uznać za przykład funkcjonalnego hologenomu. Innym fascynującym przykładem są morskie pierścienice *Riftia pachyptila*, które po osiedleniu się przy kominie hydrotermalnym (szczelinie w powierzchni, z której wydobywa się ciepła woda i różne związki, np. siarki), nie mając nawet otworu gębowego, korzystają z produktów tzw. chemosyntezy (procesu bliskiego fotosyntezie) ich bakterii symbiotycznych. Głównóg *Euprymna scolopes* nawiązuje ścisłą symbiozę z bakteriami *Vibrio fischeri*, które mają właściwość bioluminescencji.

Przykłady można znaleźć także poza światem morskim. Rośliny bobowate współpracują z występującymi w ich korzeniach bakteriami brodawkowatymi, wiążącymi azot atmosferyczny. Jelito termitów jest domem dla rozkładających celulozę i ligninę grzybów oraz pierwotniaków – dzięki temu owady te mogą trawić drewno. Przeżuwacze natomiast mogą odżywiać się niejadalną dla nas trawą, ponieważ w ich układzie pokarmowym roi się od mikroorganizmów produkujących enzymy rozkładające celulozę (co ciekawe, za gaz cieplarniany – metan – wydzielany w ogromnych ilościach przez fermy krów, również odpowiadają mikroorganizmy – archeany metanogenne). Także u ludzi opisano symbiotyczne drobnoustroje wytwarzające witaminy, zwalczające patogeny, wpływające na metabolizm lipidowy czy stymulujące grudki chłonne przewodu pokarmowego.

Takie fizjologiczno-ekologiczne związki mogą przekładać się na wypłaty w ewolucyjnej walucie: dostosowaniu – czyli mogą zwiększać szanse na przeżycie i wydanie na świat potomstwa.

Probiotyki i suplementy diety

Odkrycia na pograniczu biologii ewolucyjnej, fizjologii, mikrobiologii czy immunologii, odnoszące się do symbiotycznych mikroorganizmów i teorii hologenomu, nie mogły zostać niezauważone przez lekarzy i naukowców zajmujących się medycyną. Współcześnie zwykle nie kwestionuje się już poglądu, że mikroorganizmy zasiedlające przewody pokarmowe zwierząt są bardzo ważnym elementem wpływającym na kondycję i zdrowie całego organizmu. Ważna jest natomiast ostrożność, ponieważ podstawowe badania naukowe na ten temat są w toku

Za gaz cieplarniany
– metan – wydzielany
w ogromnych ilościach
przez fermy krów,
także odpowiadają
mikroorganizmy
– archeany metanogenne.

i wiele wątków jest jeszcze niejasnych. Co zatem wiadomo na ten moment?

Mikroorganizmy, które nabywamy już podczas porodu (a być może także wcześniej), mają wpływ na funkcjonowanie noworodka od najwcześniejszych etapów życia. Metabolizują spożywane substancje, a inne syntetyzują *de novo*. Kontaktują się ze ścianą jelit, oddziałując na komórki nabłonkowe i na grudki chłonne rozsiane po przewodzie pokarmowym. W ten sposób wpływają na przemianę materii swojego gospodarza, na jego układ immunologiczny oraz regulację hormonalną. Suma takich drobnoustrojów – zarówno tych korzystnych z naszego punktu widzenia, jak i patogennych – nazywana jest mikrobiomem lub mikrobiotą, a historycznie także mikroflorą.

Wspomnieć należy przede wszystkim o ich „otyłościowym” działaniu, które jest jednym z lepiej udokumentowanych efektów (choć znaczna liczba dowodów pochodzi z eksperymentów na zwierzętach laboratoryjnych, głównie myszach i szczurach, a wiedza ta jest jedynie ekstrapolowana na ludzi). Stwierdzono, że u ludzi (i zwierząt) otyłych występuje więcej bakterii należących do typu *Firmicutes* oraz mniej tych z typu *Bacteroidetes*. Ich obecność sama w sobie nie jest niczym niewłaściwym – naturalnie stanowią znaczny procent typów bakterii zasiedlających nasze jelita. Jednak ich proporcje są inne u osób otyłych i nieotyłych. W badaniu na myszach pokazano też, że to niewłaściwa mikrobiota wpływa negatywnie na regulację masy ciała, a nie na odwrót. Myszom wolnym od zarazków przeszczepiano mikrobiom od myszy nieotyłych i od myszy z wywołaną przez dietę otyłością. Te, które otrzymały mikroorganizmy „otyłościowe”, faktycznie miały większą objętość tkanki tłuszczowej w porównaniu do drugiej grupy, choć obie otrzymywały tę samą paszę (i w takich samych ilościach).

Bakterie *Firmicutes* zwiększają przyswajalność trudniej trawionych przez nas węglowodanów, co przekłada się na liczbę pobranych z pokarmu kalorii.

Wiemy dziś, że jedzenie produktów spożywczych oraz suplementów diety zawierających pewne gatunki bakterii lub grzybów może wpływać pozytywnie na zdrowie. Środki takie nazywane są probiotykami i muszą spełniać określone warunki. Bakterie probiotyczne muszą być zdolne do przeżycia w kwasowych warunkach w żołądku (bądź też być chronione w kapsułce) i w kontakcie z enzymami oraz kwasami żołącowymi obecnymi w jelicie cienkim. Ważna jest też zdolność łączenia się z nabłonkiem jelit, ale najistotniejsze jest korzystne działanie na organizm gospodarza (m.in. zwalczanie patogenów czy synteza związków prozdrowotnych).

Najlepiej udokumentowany probiotyczny wpływ na zdrowie dotyczy aktywności bakterii z rodzaju *Lactobacillus* i *Bifidobacterium* (z typu *Firmicutes*) oraz grzybów *Saccharomyces boulardii*. Ponieważ bakterie mogą się różnić cechami nawet w obrębie gatunku, probiotyki – zwłaszcza w postaci farmaceutycznej – powinny być konkretnego szczepu. W trakcie i po antybiotykoterapii zażywanie probiotyków to już zalecany przez lekarzy standard. Pojawia się też coraz więcej danych (część także na podstawie badań na ludziach) pokazujących, że również bez przejścia antybiotykoterapii uzupełnianie diety o mikroorganizmy może korzystnie wpływać na zdrowie. Złazszcza gdy idzie o zwalczanie patogennych drobnoustrojów, regulowanie mechanizmów odpowiadających za gospodarkę tłuszczową, a może nawet przeciwdziałanie czynnikom przyczyniającym się do powstawania niektórych nowotworów. Jednocześnie trzeba zachować ostrożność, gdyż wiele probiotyków dostępnych na rynku nie przechodzi odpowiednich testów.

Badając mikroby, przemierzaliśmy więc długą drogę, od postrzegania ich po prostu jako źródło chorób, aż do uświadomienia sobie, że od nich zależy i razem z nimi ewoluujemy. W pewnym sensie stanowią one nasz kolejny organ, a odlegli spadkobiercy pradawnych mikroorganizmów – mitochondria – odżywiają niemal każdą komórkę naszego ciała.

© ŁUKASZ SAKOWSKI

Autor jest biologiem, popularyzatorem nauki.



JOHN SIRLIN / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Rakieta SpaceX Falcon 9, wynosząca na orbitę 10 nowych satelitów Iridium, przelatuje nad centrum Phoenix (USA), grudzień 2017 r.

Pożegnanie z flarami

PIOTR STANKIEWICZ

Już wkrótce niebo trochę przygaśnie. Nie ujrzymy na nim charakterystycznych rozbłysków pochodzących od satelitów Iridium.

IRIDIUM TO PRZECHODZĄCA NA EMERYTURĘ flota 66 satelitów telefonii satelitarnej. Spośród tysięcy obiektów okrążających Ziemię wyróżniają się one tym, że mają duże anteny, które działają jak lustro. Kiedy światło słoneczne odbije się od nich w stronę obserwatora na Ziemi, ten widzi na niebie bardzo charakterystyczne błyski, nawet stukrotnie jaśniejsze niż Wenus, czasem widzialne za dnia. Co ciekawe, błyski te można bardzo dokładnie przewidzieć. Czyjni je to bardzo wdzięcznym obiektem obserwacji.

Ale spieszymy się patrzeć na nie, tak szybko gasną. Nie tylko w tym sensie, że każdy błysk trwa zaledwie kilkanaście sekund. Satelity Iridium okrążają Ziemię od lat 90., ale niedługo już ich nie będzie – stara flota odchodzi na emeryturę (co w przypadku satelitów oznacza zejście z orbity i spalenie się w atmosferze) i za-

stąpi ją nowa, która ze względu na inny kształt anten nie będzie już błyszczeć. Obecna jesień to być może ostatni czas na ich obserwację. W światku fascynatów nocnego nieba trwa małe wrzenie, a w mediach społecznościowych popularność zyskuje hasztag #flarewell, którym opatrzone są ostatnie uchwytyce rozbłyski.

Jak je zobaczyć?

Nie trzeba do tego żadnych specjalnych umiejętności ani urządzeń. Wchodzimy na stronę internetową podającą parametry błysków lub korzystamy z odpowiedniej aplikacji heavens-above.com. Ustawiamy lokalizację (konieczne!), po czym klikamy na „Iridium flares” i już mamy listę błysków widocznych z miejsca, w którym jesteśmy.

Ta lista będzie dość długa. Nie warto jednak gonić za pierwszym lepszym Iridium. Najlepiej skupić się na tych rozbłyskach, które będą najjaśniejsze: im bardziej ujemna liczba, tym większa jasność; te z przedziału -6 do -8 powinny wystarczyć. Obserwację można połączyć ze spacerem: dla każdego rozbłysku heavens-above podaje mapkę, którą dokładnie prowadzi ścieżka maksimum jasności. Warto spróbować się na nią wybrać. Dla jasnych rozbłysków to będzie nie dalej niż kilka kilometrów od nas, a całe zjawisko jest wtedy szczególnie spektakularne.

Ostatnia rzecz, o której trzeba pamiętać, to oczywiście pogoda... a potem wystarczy już tylko spojrzeć w niebo. Heavens-above daje poglądową mapkę nieba dla każdego rozbłysku i można się nią wspomóc, żeby zobaczyć nadlatującego satelitę wcześniej,

zanim jeszcze dojdzie do pełni jasności. Ale w praktyce, przy najjaśniejszych rozbłyskach, wystarczy uważnie lustrować niebo, a na pewno się ich nie przegapi. Jasne Iridium jest nie do pomylenia z cokolwiek innym.

Wolny rynek sięga niebios

Błyski Iridium to niebanalna opowieść, w której odwieczne spojrzenie w górę łączy się z technologią, a to, co się dzieje w ludzkim świecie, rzutuje na nocne niebo. Jeszcze wcale nie tak dawno, ledwie przed stuleciem z hakiem, wszystkie bez wyjątku obiekty na niebie, może poza balonami, były naturalne. Nie migały samoloty, nie wędrowały wśród gwiazd sputniki. Sfera niebieska, a szczególnie osławiona sfera tzw. gwiazd stałych, była synonimem zmienności, ponadczasowości. Dla starożytnych stoików niebiosą były też metaforą etyczną, pożądanym stanem duszy mędrca był niewzruszony właśnie jak „wyższe rejony niebios”, te „powyżej Księżyca”.

To się zmieniło w XX wieku. Niedosiężne kiedyś niebo zaludniły samoloty, a potem statki kosmiczne. Poruszające się wśród gwiazd światła nie budzą w nas grozy, stały się częścią naszego nieba. Na własne oczy możemy się przekonać, że nasze działania coraz bardziej penetrują i komercjalizują przestrzeń kosmiczną. A przynajmniej niską orbitę wokółziemską.

Kres błysków Iridium to rozczarowanie dla fascynatów, przyczynek do zadumy. Ale też refleksji dużo bardziej przyjemnej: to przecież konkretne decyzje biznesowe podejmowane tu, na Ziemi, okazują się mieć konsekwencje sięgające niebios. ©



Niebanalnie dla mas

DAWID PODSIADŁO nie tylko wyrasta na jedną z największych gwiazd polskiego popu, ale zajmuje na tej scenie miejsce szczególne.

Nic tego nie zwiastowało. Zaczynał jak wielu młodych wokalistów i wokalistek, których słyszymy w radiu. Najpierw był zwycięski talent-show, później umowa z dużą wytwórnią i grono współpracowników odpowiadających za warstwę muzyczną i tekstową przebojów sygnowanych jego nazwiskiem. Jeśli na tym etapie coś wyróżniało Podsiadłę, były to głos i osobowość. Od początku sprawiał wrażenie miłego, mającego dystans do rosnącej popularności chłopaka. Piosenkarza, który uczciwie mówił o wkładzie producenta Bogdana Kondrackiego i piszącej teksty Karoliny Kozak w kształt śpiewanych przez siebie utworów. Piosenek takich jak „Nieznajomy” czy „Trójkąty i kwadraty”, które zapewniły albumowi „Comfort and Happiness” status diamentowej płyty. Tamten świetnie wyprodukowany, nienagannie wykonany pop-rock nie dawał jednak powodów, by poświęcać mu więcej uwagi. Podobnie było z płytą „Annoyance and Disappointment” (choć wtedy zaczął pisać teksty). Dopiero teraz, nagrywając „Małomiasteczkowego”, Podsiadło objawił się jako pełnoprawny twórca. W rozmowie z „TP” otwarcie opowiada o tekściarskich potknięciach i sukcesach, o rosnącej pewności siebie, ale też o walce z ego – niezbędnej, by przyjmować krytykę i pracować nad warsztatem. Rezultatem tych zmagani jest 9 napisanych po polsku piosenek, w których nie brakuje dwuznaczności, ironii czy nawiązań do popkultury. Utworów osobistych, słodko-gorzkich, mających swoją wagę. Odczuwalną także – jak pokazał tytułowy singiel – przez rzesze słuchaczy. Te odautorskie opowieści wciąż poruszają się po sprawdzonym gruncie współczesnego popu. Cechują je wpadające w ucho refreny, proste rytmy i wyraziste emocje. I świetnie, bo wciąż mało jest w Polsce artystów tworzących trochę bardziej ambitną muzykę dla mas. Podsiadło pomaga w tym Bartek Dziedzic – współtwórca sukcesów m.in. Moniki Brodki („Granda”) i Artura Rojka („Składam się z ciągłych powtórzeń”). Różnica pomiędzy tamtymi płytami a „Małomiasteczkowym” jest taka, że Podsiadły nikt nie próbuje podpiąć pod alternatywę. Takich sygnałów nie wysyła sam artysta, który nie wstydi się ani obecności w głównym nurcie, ani nagrywania muzyki, która ma sprawiać słuchaczowi przyjemność. I sprawia. Także nieufnemu w stosunku do popu dziennikarzowi, który w refrenie „Trofeów” usłyszał echa twórczości Davida Byrne’a. I rzeczywiście zrobiło mu się przyjemnie. © JB

MUSIAŁEM ZDZICZEĆ

DAWID PODSIADŁO, PIOSENKARZ:

Postanowiłem, że będę się komunikował wyłącznie za pośrednictwem muzyki.
Niech to będzie moje jedyne połączenie z odbiorcami.
Z tego powodu usunąłem całą prywatną treść mediów społecznościowych.

JAN BŁASZCZAK: Widziałeś już serial „Rojst”?

DAWID PODSIADŁO: Nie, jeszcze nie.

Pytam, bo pojawia się w nim wiersz Andrzeja Bursy, którego fragment chciałbym przytoczyć: „Czułem jak wyzwalam się / od zbędnego nadmiaru energii / w którą wyposażyla mnie młodość / możliwe / że mógłbym użyć jej inaczej / np. napisać 4 reportaże / o perspektywach rozwoju małych miasteczek / ale / mam w dupie małe miasteczka”. Tobie nie było szkoda młodości energii, by napisać „Małomiasteczkowego” – właśnie ukazuje się Twój album pod tym tytułem. Czy miałeś wrażenie, że to jest temat, który popkultura rzeczywiście ma gdzieś?

W moim przypadku to nastąpiło tak naturalnie, że nie myślałem o tym w tak szerokim kontekście. Gdy w grę wchodzi ambicje i marzenia, czasem trzeba opuścić swoje miasto, bo już nie

wystarcza. Nie daje dość bodźców i możliwości do rozwój. Wyjeżdżasz więc, by poznać nowy świat, nowych ludzi i ich zwyczaje. Ale nie piszę przeciwko nim. Przeciwno ludziom z wielkich miast. Dla mnie Warszawa zawsze miała wiele otwartości i życzliwości.

W „Małomiasteczkowym” chcę powiedzieć o wyobrażeniach ludzi z małych miasteczek na temat wielkomiejskiego świata. Że w nim trzeba się szprycować, gonić na najwyższych obrotach i ściągąć się z innymi. A takie podejście rodzi problemy. U kilku moich znajomych zauważyłem tendencję do zagłuszania tego, że są przyjezdni. Ciągłe udają kogoś innego. To się objawia modą, językiem, stylem życia. Sami ze sobą czują się niekomfortowo, więc uciekają do powierzchownych znajomości, wyuczonej bez troski, jednym słowem: iluzji. I o tym śpiewam.

Chciałbym, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że jest gorszy ze względu na swoje pochodzenie. ➔

→ Bo przecież to nie ma żadnego znaczenia. Mało tego, to może mieć dodatkową wartość: masz świeże spojrzenie i dostrzegasz piękno, którego nie dostrzegą starzy mieszkańcy. Prosty przykład: my przyjeżdżamy do Warszawy i zachwycamy się metrem. A oni mówią: „Ale są tylko dwie linie”.

Pochodzisz z Dąbrowy Górniczej, która, umówmy się, nie jest „miasteczkiem”. Nie spotkałeś się z reakcjami oburzenia na tytuł tej piosenki w rodzinnym Zagłębiu?

Tylko na zasadzie sympatycznego kuksańca w bok. Dostałem kilka wiadomości od osób z Dąbrowy, które napisały: „No spoko, sto tysięcy mieszkańców, a dla Ciebie to małe miasteczko? No nie wiem, Dawid, no nie wiem...”. Ludzie podeszli do tego z humorem. Co zaskakujące, jakieś pojedyncze głosy oburzenia dotarły do mnie ze strony warszawiaków. Parę osób odebrało tę piosenkę jako atak. W jednym przypadku doszło nawet do drobnej interakcji. Poszło o to, że rzekomo krytykuje stolicę, wywyższając prowincję. Być może nieumiejętnie sformułowałem swoją intencję, ale na pewno nie taki był mój zamiar.

To jednak margines, bo przyjęcie piosenki było bardzo ciepłe. W internecie pełno jest komentarzy, które świadczą, że wielu ludzi mocno utożsamia się z tym tekstem. Mam wrażenie, że przydałeś trochę dumy małym miasteczkom i ich mieszkańcom.

Bardzo mnie cieszą wszystkie takie sygnały. Tym bardziej że to historia, która dotyczy mnie samego. Po premierze tej piosenki słuchacze pisali do mnie, że na przykład szef mega ich wkurza, ale dzięki tej piosence czują się silniejsi i łatwiej im sobie z tym poradzić.

Takie historie są zapewne budujące dla twórcy, ale mają też swoją ciemną stronę, o której śpiewasz na najnowszej płycie. W piosence „Trofea”: „nie mogę zmieścić historii waszych żyć” – pokazując, że niełatwo nagle zostać idolem, autorytetem czy wymagowanym przyjacielem całej rzeszy ludzi. Za takim sukcesem idzie odpowiedzialność.

I to uczucie bywa przytłaczające. Tym bardziej że na początku swojej kariery nie

byłem świadomy, jakie konsekwencje może przynieść tak duże zaangażowanie emocjonalne i czasowe w budowanie relacji z fanami. A dla mnie to było naprawdę ważne. Widziałem, że ktoś pojawia się po raz dziesiąty na koncercie w czasie jednej trasy, i maksymalnie to doceniałem. Przecież on wydaje kasę i poświęca dla mnie swój czas. Sporo z tych osób poznałem, kojarzyłem z twarzy, ale po pewnym czasie nie byłem już w stanie spamiętać ich imion. I było mi z tym autentycznie głupio.

Chciałem więc dać tym ludziom coś więcej. Tworzyłem grupy na Facebooku, gdzie podawałem zakulisowe informacje, które mogłyby ich podekscytować. W ten sposób chciałem pokazać, że doceniam zaangażowanie swoich fanów. Tylko że my wciąż mówimy o powierzchownej znajomości. I wiele osób to rozumie. Ale nie wszyscy. I z czasem okazywało się, że tworzy się jakaś toksyczna relacja.

Dlaczego?

Niektórzy chcieli ode mnie więcej, niż mogłem im dać. I wtedy się wycofywałem. Starałem się uświadamiać takim fanom, że nie będę się z nimi dzielił szczegółami prywatnego życia, bo nie jesteśmy przyjaciółmi. I takie wyznania zazwyczaj kończyły się źle. Ktoś nagle się orientował, że przez długi czas żył nieswoim życiem i – może słusznie? – obwiniał mnie za to. Dostawałem więc wiadomości od najwerniejszych fanów, że ich zraniłem. I mnie to również bolało, bo nie rozumiałem jeszcze pewnych mechanizmów.

Dlatego musiałem zdzićzeć. W większym stopniu odciąć się od tego, co się dzieje wokół mnie. Ostatecznie postanowiłem, że będę się komunikował jedynie za pośrednictwem muzyki. Niech to będzie moje jedyne połączenie z odbiorcami, mój jedyne komentarz. Z tego powodu usunąłem całą prywatną treść ze swojego konta na Instagramie. Teraz publikujemy tam tylko oficjalne komunikaty. A przecież byłem mocno zaangażowany w media społecznościowe. Wydawało mi się, że tak trzeba. Okazało się jednak, że każdy ma swoją wyporność, swój limit, i w końcu nie dajesz rady.

Problem, o którym piszesz, nie jest nowy dla gwiazd popkultury. Media społecznościowe tworzą iluzję, że każdy z nas może mieć całe setki przyjaciół.

Tylko że to nieprawda. Na szczęście mam prawdziwych ludzi. Mogę ich dotknąć, są materialni. A znajomi na Instagramie czy Messengerze to jest rozrywka, sport. Nie umiem naprawdę uwierzyć w realność takiej znajomości. Za sprawą technologii mam możliwość skontaktować się z tymi wszystkimi ludźmi. Ale to jest tylko możliwość, a nie potrzeba.

Jest ktoś, kto imponuje Ci sposobem, w jaki prowadzi relacje z fanami?

Tak, bardzo pomogło mi poznanie Korteza. On po prostu robi muzykę. Na koncertach mówi trzy słowa: „dzień dobry”, „dzięki” (to powtarza czasem kilka razy) i na koniec „dzięki” albo ewentualnie „dobranoc”. I idzie do domu. Gdybym ja tylko wiedział, że tak można... Choć teraz to się trochę zagalopowałem, bo Kortez taki po prostu jest, a ja potrzebuję uwagi, potrzebuję pogadać, i tak daleko więc się pewnie nie posunę.

Czy to właśnie ze względu na decyzję o komunikowaniu się z fanami wyłącznie za pośrednictwem piosenek postanowiłeś porzucić język angielski? Dzięki polskim tekstom możesz nawiązać głębszą więź z odbiorcami.

Nie łączyłem tych dwóch spraw. Pomysł na napisanie polskiej płyty wynikał z prostej obserwacji: ludzie znacznie mocniej reagują na piosenki w tym języku. To była też kwestia ambicji. Napisałem kilka tekstów po polsku i widziałem, że one działają. Chciałem się zmierzyć z tym tworzywem na całej płycie. Zwłaszcza że podczas tej kilkunastomiesięcznej przerwy doświadczyłem bardzo wielu rzeczy. Podróżowałem, odpocząłem, miałem możliwość spojrzeć na to, co robię, z trochę innej perspektywy. Poczułem, że mam o czym opowiadać. I mimo że większość piosenek jest o relacjach międzyludzkich – zazwyczaj romantycznych, intymnych – to wieram w nich wiele historii i życiowych doświadczeń. Każdy z tych utworów ma odzwierciedlenie w rzeczywistości. Nawet jeśli obecne w nich emocje bywają podkrecone, spotęgowane.

Czy miałeś kogoś, kto pomagał Ci w pisaniu tekstów?

Na pierwszym albumie polskie teksty pisała dla mnie Karolina Kozak. Jej były „Trójkąty i kwadraty” oraz „Powiedz mi, że nie chcesz”. Przełożyła również z angielskiego tekst „Nieznajomego”. Na dru-

gim albumie trochę mi pomagała, często się z nią konsultowałem. Tym razem pisałem sam, choć producent albumu, Bartek Dziedzic, wpłynął na ostateczny kształt tekstów.

Jak wyglądała Wasza współpraca?

Kiedy przychodziłem z tekstem, który mu nie pasował, to go po prostu wyrzucał. Czasem miałem dwa teksty do jednego utworu, a on odpowiadał, że temat jest ciekawy, ale jego zdaniem ta piosenka jest o czymś innym. Za drugim podejściem też było słabo, ale podobało mu się jakieś zdanie czy zwrotka, którą sugerował zostawić. I tak to trwało. Aby tak dalece zaufać drugiej osobie, musiałem podjąć walkę ze swoim ego. I myślę, że to była dla mnie ważna lekcja. Choć oczywiście były i takie momenty, kiedy byłem absolutnie pewny swojego pomysłu i nie odpuszczałem.

Mógłbyś podać jakiś przykład?

Refren „Małomiasteczkowego”: „znowu jadę do ciebie sam / znowu jadę do ciebie”. Bartek był przekonany, że tam brakuje drugiego zdania. Powiedział, żebym napisał go tak, aby wszyscy wiedzieli, że jadę do mamy. A ja w śmiech, bo przecież to Warszawa jest adresatem utworu. Poza tym byłem pewien, że absolutnie niczego tutaj nie brakowało. Ostatecznie ustąpił, ale nie był do tego przekonany. Uspokajałem go, że już na zbliżającym się Openere przekona się, iż miałem rację. I rzeczywiście, zaśpiewałem to pierwsze zdanie, zrobiliśmy wyciszenie i wypuściliśmy publiczność. Kiedy wszyscy zaintonowali: „znowu jadę do ciebie”, wyszło na moje. Po koncercie zadzwoniłem do Bartka i powiedziałem tylko: „Jedno zdanie wystarczyło”.

Czy czujesz, że po sukcesie poprzednich płyt łatwiej jest Ci przekonywać muzyków i producentów do swoich pomysłów? Czujesz się silniejszy w takich negocjacjach?

Na pewno czuję się pewniejszy sam ze sobą. Z Bartkiem od początku ustaliliśmy jasny podział zadań. On tworzy pomysły na numery, które ja modyfikuję, wymyślając wokale i pisząc teksty. Mam wrażenie, że na poprzednich płytach niepotrzebnie ścigałem się ze wszystkimi w studiu. Czułem, że muszę udowodnić każdemu, że to moja płyta. A teraz na dzień dobry powiedzieliśmy sobie, że to jest nasz album, więc myślimy o nim, a nie o sobie. Poza



JACEK KOŁODZIEJSKI

Na poprzednich płytach **niepotrzebnie się ścigałem** ze wszystkimi w studiu. Czułem, że muszę udowodnić każdemu, że to moja płyta. A teraz powiedzieliśmy sobie, że to jest nasz album.

tym bardzo skoncentrowałem się na tekstach. To było wyzwanie, które totalnie mnie zaangażowało. Bo wymyślić dobre wokale to jest przecież chwila.

Nawet takie jak w „Cantate tutti”?

Przyznam Ci się, że kiedy po raz pierwszy go usłyszałem, przeszło mi przez głowę, że wytwórnia wysłała mi zły plik albo nastąpiło jakieś jego uszkodzenie. Skąd pomysł na śpiewany utwór bez tekstu?

To był ostatni utwór, który zrobiliśmy. Zostało już niewiele czasu do premiery, więc wymyśliliśmy, że dogramy do tego intro. Napisałem nawet tekst do tej piosenki, który pojawi się w książeczce, ale poczułem, że jest angażujący i może za

ciężki jak na początek albumu, więc zacząłem się nim bawić, przeciągając sylaby. Ostatecznie wyszło z tego coś fajnego, bo pracowaliśmy nad tym utworem na totalnym luzie. A że melodia z „Cantate tutti” powraca w połowie płyty, można nawet odnieść wrażenie, że ktoś to wszystko doładnie przemyślał.

To nie pierwszy raz, kiedy sięgasz po język włoski. Wystarczy wspomnieć Twoją trasę koncertową, zatytułowaną „Andante Cantabile”. Skąd to się u Ciebie wzięło?

Wtedy powodem był utwór „Il Mondo” Jimmy’ego Fontany, który graliśmy na koniec każdego koncertu. Ta piosenka pchnęła nas w kierunku włoskiej narracji. Na przykład nakręciliśmy spot, w którym przechadzałem się po eleganckiej sali koncertowej, czemu towarzyszył głos włoskiego lektora. Bardzo nas to bawiło. W tym przypadku tytuł „Cantate tutti” był również wyrazem irytacji tym, że wiele płyt rozpoczyna „intro”. Tak jak każdy serial rozpoczyna „pilot”. Po co taki tytuł, skoro wiadomo, co to jest? Postanowiłem więc znów sięgnąć po włoski, również dlatego, że lubię jego brzmienie. Poza tym kojarzył mi się z książką i filmem „Tamte dni, tamte noce”, który ostatnio bardzo mnie poruszył. Włoski jakoś do brze mi się kojarzy. Mam nadzieję, że kiedyś znajdę czas, żeby się go porządnie nauczyć. Sam tytuł zaś oznacza „Śpiewajcie wszyscy”, co jest pewną ironią, bo tego nie da się przecież zaśpiewać.

À propos nauki. Na płycie zwracasz się do mamy, śpiewając, że jeszcze kiedyś zaczniesz studia. W obliczu zbliżającej się premiery i wielkiej trasy koncertowej trudno sobie wyobrazić, byś zostawił wszystko i zapisał się na uniwersytet.

Wbrew mojej opinii mama uważa, że jestem mądry i wystarczająco wykształcony. Nie dzwoni do mnie więc, żeby powiedzieć: „Fajnie, że nowa trasa, ale myślałeś już o studiach?”. Widzi, że się spełniam, a i jej daje to dużo radości i dumy. Nie ma więc takiego ciśnienia w tej kwestii. To raczej ja mam pewne ambicje związane ze swoim dalszym rozwojem. Jednak jeśli podejmę studia, to tylko za granicą, żeby moja droga edukacji nie była zmaczona życiem zawodowym. Nie chciałbym, żeby muzyka, którą robię, czy moja rozpoznawalność miały na nią jakikolwiek wpływ. ➔

→ Rozmawialiśmy trochę o problemach i trudnościach, z którymi mierzysz się na płycie „Małomiasteczkowy”. Warto jednak zaznaczyć, że w Twoich tekstach jest sporo dystansu i autoironii. Jaką rolę pełni humor w Twojej muzyce?

Przede wszystkim, pisząc tę płytę, nie miałem zamiaru wpadać w moralizatorski czy wręcz oskarżycielski ton. Jasne, mam swoje problemy, ale większość z nich miałbym niezależnie od tego, czym w życiu bym się zajmował. Dlatego wpuszczam w nią trochę humoru, trochę powietrza. Nie mam oporów przed mówieniem o tym, co mi się nie podoba, ale – powiedzmy to sobie jasno – moje życie jest usłane różami. Każdego dnia spełniam się, robiąc to, co kocham. Mam ogromny komfort. Dlatego dbam o to, by nie przesadzić z narzekaniem. Życzyłbym sobie, by odbiorca po przesłuchaniu tej płyty jednak się uśmiechnął i powiedział sobie: „Przyjemne to było. Chciałbym tego posłuchać jeszcze raz”.

A jednak kończysz tę płytę utworem, w którym zwierzasz się z chęci wymierzenia sprawiedliwości pięścią.

Nastrój tej piosenki sugerował mi, że to baśniowa opowieść. Miałem nadzieję, że przy jej słodkości mogę sobie pozwolić na drobną scenę przemocy. Zwłaszcza że wprowadzam ją w świat wyobrażony, fabularny, nawiązaniem do Matyldy z „Leona zawodowca”. No ale zobaczymy, jakie będą reakcje na tę piosenkę. Na pewno nie zachęcam do przemocy, boję się jej i unikam. Śpiewam, że agresja to nie jest dobre rozwiązanie. Każdy jednak zna takie chwile słabości, kiedy wszelkie granice zostają przekroczone i po prostu chciałoby się wymierzyć cios.

Jesteś jednym z najpopularniejszych muzyków w Polsce i nie mam wątpliwości, że ta płyta tylko umocni Twoją pozycję. A co za tym idzie, pojawi się więcej pieniędzy, rozpoznawalności i miłych reakcji, ale też odpowiedzialności, krytyki i wymagań. Masz tego świadomość?

Wiesz co, dzisiaj cieszę się, że to wszystko przeżyłem. Te fajne i te mniej fajne rzeczy. To dzięki nim zrobiłem utwory, w które wierzę. Piosenki, których grania na żywo nie mogę się już doczekać. Jeśli więc ma być tego jeszcze więcej... Świetnie, wchodzę w to! © Rozmawiał JAN BŁASZCZAK



W Zakładach Przemysłu Włókiennego im. Ludwika Waryńskiego LODEX, Łódź, 1969 r.

JAKUB GREŁOWSKI / PAP

Odpominaczki

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Kobiety wychodzą z cienia historii pisanej na ich barkach. Literatura udziela im wysłuchania. Tylko jak oddać głos tym, które niemal całe życie były nieme?

MARTA MADEJSKA NIE OWIJA W BAWEŁNĘ. Choć zna się na osnovach i wątkach jak mało kto z rówieśników, to jej celem nie było pisanie dziejów łódzkiego włókiennictwa. „Aleja Włóknarek” ma być oddaniem głosu „fabrycznym dziewczynom”, znakomitej większości pracowników tkalni.

Były wytrzymałe, miały zwinne palce, a płaciło im się tyle co nic. Madejskiej chodzi o zapomnianą historię ludową, a właściwie o herstorię, bo ta opowieść ma płeć. W Łodzi nie ma alei Włóknarek. Jest za to aleja Włóknarzy, której południowy fragment stał się w 2005 r.

aleją Jana Pawła II. Owszem, od roku rynek Manufaktury, centrum rozrywkowo-handlowego, które powstało na terenie dawnych tkalni Izraela Poznańskiego, nosi imię Włóknarek Łódzkich. Ale cukierkowy plac to nie to samo, co jedna z arterii miasta.

„Dlaczego, gdy patrzę na tabliczki z nazwą alei, mam poczucie, że coś nam odebrano?” – pyta. Owi „my” z jej pytania to wszyscy Łódzianie, których mierzi etykieta „miasta bez historii” i pomysły, żeby promować je za pomocą jednorożców. Madejska idzie do byłych włóknarek, schodzi do archiwów i dowiaduje

się początkowo niewiele. Kobiety uważają, że nie potrafią składować o swojej przeszłości, archiwa przechowują tylko suche fakty.

„Bohaterki tej książki też milczały dziesiątki lat. Nikt nigdy nie zadał im pytania na temat ich wojennej przeszłości. Nikt nigdy do nich nie przyszedł. Ich cierpienie pozostało niewypowiedziane” – tak otwiera swoją książkę „Przemilczane” Joanna Ostrowska. Interesują ją losy wykorzystywanych seksualnie robotnic przymusowych, pracownic burdeli dla żołnierzy Wehrmachtu, personelu obozów koncentracyjnych oraz takich, z których korzystały więźniowie i robotnicy przymusowi. W tym Polacy.

Madejską i Ostrowską łączy pokoleniowy niedosyt tożsamościowej opowieści. Trzydziestokilkuletnie autorki to świadome beneficjentki żmudnej, niespektakularnej, wyszarpywanej przez dekady emancypacji polskich kobiet. Mają poczucie długu zaciągniętego wobec przodków. Nie chcą tego zobowiązania wyłącznie sublimować poprzez literaturę. Próbuje ożywić krzywdę swoich bohaterów i nie pozwolić, by się przedawniła. Nie kryją emocjonalnego stosunku do przypominanych kobiet. Więcej – czynią ze współczucia i oburzenia kompas w dociekaniu prawdy. Jeszcze więcej – rzucają czytelnikom rękawicę. Niech ją podniesie ten, kto nie dostrzega własnej współwiny zapomnienia.

Mniej uczuciową rolę przyjmuje Joanna Kuciel-Frydryszak, bardziej zdystansowana wobec przeszłości. Tym niemniej dedykuje swoją książkę „pamięci zapomnianych kobiet”. W „Służących do wszystkiego” odzyskują prawdziwe imiona. Już nie są skazane na Marysię, bo poprzedniczka też była Marysią, albo na Pelasię, bo według pańskiego obyczaju w Poznaniu każdą służącą tak wołano.

Wszystkie trzy książki są pokłosiem nowego podejścia do źródeł, którego najgłośniejszym przedstawicielem jest Jan Tomasz Gross. Polega ono na przypisaniu relacjom ofiar, niejako *a priori*, wiarygodności i szczerości, bo ich prawda to nie tylko pamięć o zdarzeniach, ale cielesne doświadczenie przeszłości.

Zamienione w słuch

Madejska miała pisać o włóknarkach doktorat, ale zrezygnowała. Nie chciała analizować ich losów za pomocą akademickiej skrzynki z narzędziami. Chciała

śłuchać. Pierwsze pokolenia włóknarek to głównie „zbędne córki”, wiejskie dziewczyny pozbawione posagu, skazane na bezdomność lub cudzą łaskę. Fabryka w jakiejś mierze wyzwalała je od „niewoli u ojca” albo „niewoli u męża i bydła”. Dwie trzecie z nich to analfabетки. Przetwarzały ich przyśpiewki o losie robotnicy i głosy zebrane przed II wojną światową przez inspektorki pracy, a po wojnie przez badaczy z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Łódzkiego.

Włóknarki mówią o przedwczesnej starości, głodzie i pracy do śmierci, ale także o solidarności akordowej (najsilniejsze z nich nie zawyżały normy, aby i słabsze mogły ją wypełnić). Wspominają społeczną presję, żeby rodzić dzieci, choć w biedzie czasem lepiej ich nie mieć. „Moda była na dużo dzieci, ale jak jaka kobieta była mądra, to dawała sobie radę, ale dużo przy tym kobiet umierało. Rzadko chodzono z tym do lekarza, bo to kosztowało drogo. Często kobiety same sobie radziły” – mówi Aniela, rocznik 1895.

Nie są to do końca własne głosy włóknarek, lecz przykrojone do sytuacji, w której ich słuchano, i do osoby, która słuchała. Rozmowy, a raczej strzępy rozmów między inteligentkami a robotnicami toczą się często przy huku maszyn, a wykształconej pani, która do fabryki zagląda na chwilę, wszystkiego nie da się powiedzieć. Trzeba przełamać wstyd. Po latach pamięć zdaje się działać też tak, przynajmniej Madejska, że chwytła się banalnych epizodów, a czasem woli przechować lepsze chwile niż te bolesne. „Bardzo się do fabryki przyzwyczaiłam, czułam się tam lepiej niż w domu. Dziecko nie krzychało, chłop nie marudził, tylko maszynę miałam na głowie. Mąż często mówił, że chyba kochanka w tej pracy mam, bo tak chętnie lecę do fabryki” – mówi Regina, rocznik 1910. Mimo to Madejskiej udało się dotrzeć do poruszających relacji o „haraczach ze wstydu” pobieranych przez majstrów od nowo przyjmowanych prądek. Dla wielu alternatywą jest tylko ulica.

Tu opowieści Madejskiej i Kuciel-Frydryszak się przecinają. W przedwojennej Polsce panowie wracają do domu przez kuchnię. Gwałty są na porządku dziennym, a sąd nie dowierza biednym i niepiśmiennym dziewczynom. Są też niechciane konsekwencje. Włóknarka z dzieckiem może dzięki kobiecie solidarności jakoś poradzić sobie w pracy, dla służącej ciąża oznacza utratę posady.

Wyjątki, których Kuciel-Frydryszak się chwytła, żeby obraz mężczyzn nie był jednostronny, nie przysłaniają problemu. Tak, Stanisław Wyspiański żeni się ze służącą, a Stanisław Alexandrowicz daje nazwisko i utrzymanie nieślubnej córce. Ale wcześniej też musieli wracać przez kuchnię.

Służące rozmawiają o tym między sobą, a dla pracodawców pozostają nieme. Więcej dziś wiemy o urządzanych dla służby konkursach sprawności gotowania na dwupalnikowych kuchenkach niż o uczuciach towarzyszących wydzielaniu jedzenia i wody do mycia. Dlatego Kuciel-Frydryszak przeplata nieliczne relacje pracownic z ich literackimi reprezentacjami u Józefa Hena, Antoniego Słonimskiego, Marii Kuncewiczowej czy Janusza Majewskiego. Próbuje zdjąć z nich warstwę lukru. Rozlicza też „papierowych socjalistów”, którym głoszenie praw ludu nie przeszkadzało trzymać służącą.

Jednocześnie autorka daje się uwieść wspomnieniom o ludzkich panach, którzy nie wypędzili schorowanej służby do przytułku albo zapisali jej rentę. Oczywiście, szczęście ma kobieta, która nie musi odgrywać życiowego dramatu w trzech aktach: służba, przytułek, cmentarz. Czasem staje się domownikiem drugiej kategorii. Wiernym psem, w najlepszym przypadku wiecznym dzieckiem, które bawi się w dom. Ma zdrobnienie zamiast osobowości. U Kossaków jest Kucharcia, u Kazimiery Iłakowiczówny – Grabosia, u Zofii Nałkowskiej – Genia, u Ireny Krzywickiej – Marynia.

Także Ostrowska odtwarza głos ofiar poprzez strzępy relacji i garstkę nazwisk, które udało się zidentyfikować jako ofiary wojennej przemocy seksualnej. Ale istnienie nazistowskich domów publicznych nie było tajemnicą. W Warszawie taki burdel mieścił się przy ul. Koziej 1 i Chmielnej 49, w Krakowie przy Przemyskiej 3, w Poznaniu przy Rybaki 19, w Łodzi przy Jaracza 34. W Warszawie powstał także przybytek dla SS, z najatrakcyjniejszymi Polkami, rekrutowanymi w każdy skuteczny sposób.

Z Marianny prostytutkę zrobiło Gestapo. Uciekała z domu publicznego, piła, potem okazywała skrucę. Odesłano ją do Auschwitz-Birkenau. Jej nazwisko i numer obozowy znajduje się na liście byłych więźniów, ale brakuje jej w „Księdze pamięci”. Marianna mogła trafić do puffu, obozowego burdelu, być rozrywką dla

→ personelu i kapo albo nagrodą dla najwydajniejszych więźniów.

Polscy więźniowie też z nich korzystają. Polskie więźniarki pogardzają kobietami z pufu, podziemie uważa je za kolaborantki. Są wśród nich młode kobiety złamane przez wojnę, chcące przeżyć. Są kuszone „lekką” pracą, lepszym jedzeniem i obietnicą zwolnienia po kilku miesiącach, ale wtedy „zużyte” i zarażone chorobami wenerycznymi trafiają do baraków, z których przyszły.

Została po nich tylko skąpa relacja Marii Kolskiej, która pracowała w puffie w Auschwitz I, a po wojnie przesłuchiwała ją Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie. Inna przesłuchiwana przez komisję kobieta, Anna Bukar, została zmuszona do pracy seksualnej w obozie koncentracyjnym w Płaszowie. Więcej kobiet nie udało się przesłuchać. Ostrowska sugeruje, że śledczy o „tych sprawach” woleli nie wiedzieć, żeby nie musieć nic z tą niewygodną prawdą robić.

Niewypowiedziane

Madejskiej udało się porozmawiać z włóknarkami, które zaskoczyła transformacja. Przykleiła im gębę darmozjadów i leni. Od Balcerowicza usłyszały, że „trzeba zerwać z fałszywą grą, w której ludzie udają, że pracują, a państwo udaje, że płaci”. Okazało się, że przez kilkadziesiąt lat one, ich matki i babki udawały, że śmigają w pocie po hali fabrycznej. Nie zapomniały Hannie Suchockiej, że odebrała im dodatek za pracę w szkodliwych warunkach. Nie zapomniały, że z nimi rząd się nie cackał jak z górnika.

„To trzeba było naprawdę mieć silny charakter i wolę, i jeszcze być jako takim młodszym. Po pięćdziesiątce już nie każdy miał siłę do tego, żeby od nowa (...) Wszystkich, co się dało, wypchnęli na wcześniejsze emerytury. A inni to różnie to bywało. Albo wyjechali, albo zakładali firmy, a jak nie dali sobie rady, to po prostu... wieszali

się” – to słowa Genowefy. Relacje o przełomie Madejska nazywa skrawkami. To nie jest ładnie snująca się i narracyjnie wyglądzona przez etnografki opowieść o ciężkim losie włóknarki. Tu są emocje i żal, który nadal staje ością w gardle. Tej opowieści nie można tak po prostu z człowieka wyciągnąć.

Wyciąganie opowieści jest wyzwaniem zwłaszcza dla Joanny Ostrowskiej. Dysponowała ledwie kilkoma relacjami kobiet. „Trzeba więc podążać za danymi, datami, listami wywózek, statystykami niemieckich lekarzy i subiektywnymi ocenami świadków, a tych, którzy odważyli się mówić o burdelach w Auschwitz, o domach publicznych dla robotników przymusowych, wreszcie dla żołnierzy Wehrmachtu, jest niewiele. Trzeba przełknąć gorzką pigułkę wzgardy, potępienia i rehotu, często nadających ton relacjom świadków, i wyłuskać z nich to, co najcenniejsze – fakt istnienia tych kobiet, zazwyczaj napiętnowanych, niezrozumiałych przez siebie współczesnych i zapomnianych przez historyków. Zapomnianych zresztą z premedytacją, wypartych z heroicznej narracji cierpiących ofiar i ich oprawców, wymazanych z dramatu II wojny światowej, w którym zwyczajnie się nie mieszczą” – tak przedstawia swój warsztat.

Te trudności stają się pułapkami narracji „Przemilczanych”. Permanentne braki pewności co do losów bohaterki Ostrowska zawsze interpretuje na korzyść dramatu. Jeśli nie wiadomo, czy wykorzystywana przez Niemców kobieta była przed wojną prostytutką, autorka sugeruje, że mogła być zmuszona do nierządu dopiero przez okupanta. Jeśli nie wiadomo, co z kobietą działo się po jej aresztowaniu, Ostrowska spekuluje o wywózkach do obozowych burdeli, które były bodaj najdrastyczniejszą formą seksualnego zniewolenia. Mogło tak być, ale nawet gdyby tak nie było, nie powinno to umniejszać w oczach odbiorcy tragedii tych kobiet. Czytając „Przemilczane” można odnieść wrażenie, że Ostrowska albo tak mocno wczuwa się w los udręczonych kobiet, że dopisuje im pogubione kawałki biografii, albo tak słabo wierzy w siłę rażenia opowiadanej historii, że chce ją dodatkowo udrumatyzować.

W przeciwieństwie do bohaterki Ostrowskiej służące nie są odmalowane wyłącznie jako ofiary patriarchy. Kuciel-Frydryszak obficie cytuje doniesie-



JANUSZ FILA / FORUM

nia przedwojennej prasy o dzieciobójczyniach, złodziejkach, morderczyniach pracodawców i o kobiecej pedofilii. Jednocześnie obnaża hipokryzję inteligentek, które płacąc posługaczce grosze, wytykają ze wstrętem jej podarte pończochy. Które tolerując inicjację seksualną synów z Marysią czy Rózią, uważają służące za lubieżnice. Które są zazdrosne o ich młodość, ale gdy mąż wraca do domu przez kuchnię, odwracają wzrok.

Świat przedstawiony w „Służących do wszystkiego” przywołuje na myśl „Opowieść podręcznej” Margaret Atwood. Na co dzień to nie komendanci rządzący państwem przerażają najmocniej, lecz ich żony, które wspierają system zniewolenia kobiet. Jedyną władzą, jaka im pozostała, jest możliwość upodlenia innych kobiet.

Przeżniona rewolucja

Czy „fabryczne dziewczyny” były emancypantkami? Madejska ucieka przed odpowiedzialnością, przyznając się do bezradno-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika”.

Śluchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Zakopane – 100,0 FM

Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl



„Marsz głodowy”,
ul. Piotrkowska, Łódź, 30 lipca 1981 r.

układach nie zmienia się w zasadzie nic – taką puentą kończy swoją książkę Kuciel-Frydryszak.

Choć wnioski są słuszne, że „Służących do wszystkiego” wieje chłodem. Dziennikarka wyciągając na światło dzienne krzywdę posługaczek, nie mówi o nich ani ich własnym głosem, ani głosem autorskim. Jej książka to w dużej mierze echo inteligenckiego pochylenia się nad losem ludu, zbiór anegdot, z których więcej dowiadujemy się o chlebodawcach niż o protagonistach.

Bardziej zbalansowaną opowieść snuje Madejska, konfrontując figurę lekceważonych „budowniczych socjalizmu” z kliszami myślenia o roli jednostki w historii. „Ci, co siedzieli za stołem prezydialnym, kiedyś potężni, najważniejsi, stali się jakby słabi, stali się jakby upokorzeni. A ci, którzy byli na hali produkcyjnej, te kobiety, które strajkowały, stały się silne, mocne, potężne” – wspomina Józef Tejchma, członek delegacji rządowej wysłanej do Łodzi w 1971 r., kiedy stanęły Zakłady Marchlewskiego i Uniontex.

Chwilowe odwrócenie porządku władzy następuje też 30 lipca 1981 r., kiedy ulica Piotrkowską przechodzi „marsz głodowy” robotnic. Matki z dziećmi szły na przodzie kolumny. „Nie chcemy jeść kartek!”, „Rząd rządzi i cuduje, a naród głoduje!”, „Nasze dzieci są głodne” – hasła nie zostawiają pola do negocjacji, ale nikt z kobietami nie chce negocjować.

Czy włóknikiarki były opozycjonistkami? I na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi. „Dziś badacze piszą o istnieniu »płci strajku« – mężczyźni opozycji strajkowali o »godność i politykę«, kobiety zaś o »chleb i kaszankę«. Jakby żywność nie miała żadnego związku ani z godnością, ani z polityką” – pisze Madejska. W czerwcu 1987 r. włóknikiarki →

ści wobec szczytkowych obrazów z życia robotnic. Niektóre walczą w rewolucji 1905 r. o urlopy macierzyńskie i ochronę przed napastowaniem w pracy. Jedna z liderów protestów z lat 30., Michalina Tarkówna-Majkowska, w nowym reżimie zostaje I sekretarz łódzkiego KC. Wanda Gościmińska za przodownictwo pracy odbiera order z rąk Bieruta, a potem trafia do Sejmu, gdzie broni prawa do aborcji. O innych wiadomo tylko, że na ślub wkładają mirtowy wianek, a koleżanki tłuką im pod nogami szkło, by odpędzić nieszczęścia.

Służące upominają się w 1905 r. o wolną niedzielę i prawo do urlopu. W 1918 r. powstaje ich pierwszy związek zawodowy. Wstawi się za nimi też PPS, ale po burzliwej debacie projekt ustawy cywilizującej pracę służby domowej utknie w komisji sejmowej. Wojna nie likwiduje instytucji służby w domach ziemiańskich i inteligenckich. Niektóre Żydówki dzięki temu przeżywają wojnę, a niektóre Polki prze-

chowują dzieci żydowskich chlebodawców albo idą z nimi do getta. Inne biorą na Żydach rewanż za wszystkie krzywdy klasizmu. Same służące są jednak co najwyżej klasą w sobie, nigdy klasą dla siebie.

Po wojnie ich liczba maleje dziesięciokrotnie, ale stosunek do pracownic ani drgnie. Jeśli prosta kobieta stawia warunki pani – nawet tak światłej jak Maria Dąbrowska – to znaczy, że jest roszczeniowa. I cóż z tego, że prawnuczka polskiej służącej, Anny Kaźmierczak z Poznania, którą odprawiono ze służby za ciążę, została kanclerz Niemiec. W klasowych

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Słubicach, pod sygn. I Ns 261/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Barbarze Krystynie Chochół z domu Króla, zm. 28 czerwca 2018 r., ostatnio stale zamieszkałej w Kostrzynie nad Odrą.

Sąd wzywa, aby wszyscy spadkobiercy zgłosili się i udowodnili nabycie spadku w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominęci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

→ z Unionteksu odwiedza Jan Paweł II. Mówi o godności pracy, o „posłannictwie żony i matki”, potępia aborcję. Na pożegnalne wołania włókniarek, by został z nimi, odpowiada: „Ale tutaj nie przyjmują do pracy mężczyzn”. No właśnie. Choć Madejska nie przywołuje głośnej pracy Andrzeja Ledera, to protekcyjny stosunek do włókniarek nosi znamiona przesypywania rewolucji. Kobiety, świadomie lub nie, zmieniały społeczno-polityczną rzeczywistość, ale ich rola nie została włączona do pamięciowego imaginarium.

W przypadku swoich bohaterek Ostrowska nie może mówić nawet o prześnionej rewolucji. Po stygmatyzacji przychodzi milczenie, które odbiera cierpieniu kobiet godność i głos. A kiedy były już gotowe, żeby mówić, nikt nie przyszedł, żeby pytać. Ostrowska przychodzi za późno. W jej książce czuć głód osobistych świadectw i wyznań, a oskarżeni o ten głód jesteśmy wszyscy. Od tych, którzy patrzyli na krzywdę kobiet, przez tych, którzy powinni byli je udokumentować i rozliczyć, po tych, którzy nie pytali, kiedy już można było pytać.

Prawda jednak nie zawsze wyzwala jej powiernice, czasem tylko obnaża blizny, a głośne mówienie każe odtworzać trajektorię bólu. O przymusowych pracownikach seksualnych, o włókniarkach, o służących trzeba pisać, szanując to, że wiemy o nich tak mało.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCAK



Joanna Kuciel-Frydryszak
SŁUŻĄCE DO WSZYSTKIEGO
Marginesy,
Warszawa 2018



Marta Madejska
ALEJA WŁÓKNIAREK
Czarne,
Wołowiec 2018



Joanna Ostrowska
PRZEMILCZANE, SEKSUALNA PRACA PRZYMUSOWA W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ
Marginesy,
Warszawa 2018

Statyści wojny

ANITA PIOTROWSKA

Choć wiadomo, po której stronie bije serce reżysera, jego film trzyma stronę zwykłych mieszkańców Donbasu, wmanewrowanych w tę wojnę i ponoszących największe ofiary.

TERYTORIUM OKUPOWANE, WSCHODNIA Ukraina – plansza z taką informacją pojawia się w kolejnych scenach filmu nie tylko gwoli przypomnienia, gdzie aktualnie jesteśmy. Ukończony na początku tego roku „Donbas” Siergieja Łożnicy, mimo toczącej się wojny i podgrzewającej ją obcej interwencji, podkreśla w ten sposób „domowy” charakter konfliktu i dezorientację wplątanych w ten zwykłych ludzi. Ta informacyjna nadgorliwość ma też artystyczną wykładnię: „Donbas” to film fabularny, który został nakręcony niczym dokument o kręceniu filmu fabularnego. Reżyser dezorientuje w ten sposób również widza, by skłonić go do większej podejrzliwości wobec filmowego obrazu.

Urodzony na obecnej Białorusi, lecz od lat związany z Ukrainą (dziś należałoby rzec po prostu: „twórca europejski”), Łożnica wie wszystko o dwuznacznej naturze kina. Jako mistrz dokumentalnej obserwacji („Austerlitz”, „Dzień zwycięstwa”, „Majdan”) i groteskowych portretów („wiecznej Rosji” („Szczęście ty moje”, „We mgle”, „Łagodna”), tym razem nakręcił film, który celowo rozmywa granice między dokumentem i fabułą. Grają tu obok siebie zawodowi aktorzy i naturszczycy, a każda scena ma swoje źródło w amatorskich materiałach, które reżyser znalazł głównie w serwisie YouTube i potem odtworzył na planie. W „Donbasie” chciałby, żebyśmy uwierzyli w całkowitą autentyczność prezentowanych sytuacji, a jednocześnie w nią zwątpili. Pojawiające się w każdej niemal scenie urządzenia reje-



strujące (kamery, smartfony) sugerują nieprzezroczystość tego, co gotowi byłibyśmy uznać za prawdziwe w stu procentach.

Podczas zebrania w prowincjonalnym ratuszu oskarżona o korupcję kobieta teatralnym gestem wylewa na głowę przewodniczącego wiadro nieczystości. W szpitalu położniczym aparatczyk rzekomo demaskujący gospodarcze nadużycia urzędu dla personelu spektakularną pokazówkę. Młodzi żołnierze samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej, którzy nie wiedzą nawet, o co walczą i kto jest ich dowódcą, ochoczo pozują do zdjęć niemieckiemu dziennikarzowi. W „Donbasie” oglądamy rzeczywistość zapośredniczoną, ustawioną przed obiektywem, będącą w nieustającym performansie. Przybiera on postać nie zawsze zabawną – kiedy np. pojmany przez separatystów ochotnik zostaje wystawiony na widok publiczny i niemal zlinczowany przez gromadzący się na przystanku tłum. Gniew skierowany przeciwko zabijającym donieckie dzieci „faszyście” (nawet jeśli był on, co sam twierdzi, tylko kucharzem) jest tak samo silny, jak potrzeba dania publicznego świadectwa jego ponizienia. Stąd obowiązkowe selfie z odzianym w żółto-niebieską flagę wrogiem. Za chwilę za-



Kadr z filmu „Donbas”

AGAINST GRAVITY

cznie ono żyć swoim życiem i snuć własną opowieść.

Te luźne obrazki ze wschodniej Ukrainy, które stopniowo układają się w zamknięty kolisty kształt, mają różną temperaturę, różną gęstość i nie zawsze czytelną puentę. Łoźnica czasem osobiście stawia kropkę (bądź nawet wykrzyknik), lecz w niektórych scenach pozostawia to zadanie widzowi. I choć wiadomo, po której stronie bije jego serce, to film rozpoczynający się hymnem niepodległej Ukrainy, a pod koniec rozbrzmiewający dźwiękami hymnu Norworsji, trzyma przede wszystkim stronę zwykłych mieszkańców Donbasu, wmanewrowanych w tę wojnę i ponoszących największe ofiary. Ktoś powiedział o nich „statyści wojny”, bo w tym przedstawieniu pełnią rolę marginalną i wymienialną.

Twórca „Blokady” wsłuchuje się więc w cichą melodię ich powszednich skarg. „Jadę zobaczyć, co tam zostało” – wyznaje kobieta wracająca autobusem do zburzonego domu w Doniecku. Kamera odtwarza też codzienne upokorzenia – jak wtedy, gdy babuszka przy wjeździe do strefy okupowanej musi podzielić się z uzbrojonym watażką kawałkiem słoniny, a chwilę potem kierująca poste-

runkiem dojrzała kobieta w mundurze upokarza mężczyzn, starych i młodych, za to, że nie wstąpili w szeregi separatystów. I śmieszno, i straszno wyglądają postsowieckie obyczaje nowej władzy – np. wtedy, gdy chcąc odzyskać skradziony samochód, trzeba go wykupić na komisariacie.

Rumuński operator Oleg Mutu, znany u nas nie tylko z fabuły Łoźnicy, ale i z filmu „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni” Cristiana Mungiu czy „Zjednoczonych stanów miłości” Tomasza Wasilewskiego, doskonale oddaje rozdręgany, rzekomo dokumentalny nerw filmu, jak też zimową aurę ukraińskiej wojny – w sensie klimatycznym i emocjonalnym. W „Donbasie” znajdziemy również bezpośredni polski akcent: kostiumy są dziełem Doroty Roqueplo. Ale ten film, bliski i odległy nam zarazem, ma przede wszystkim zasiewać uniwersalny niepokój. Powstał, by stawiać pytania o naturę tego, co oglądamy w samym „Donbasie”, jak i codziennie na różnych ekranach. I o naszą rolę jako statystów w tej wojnie. ©

DONBAS (Donbass) – reż. Siergiej Łoźnica. Prod. Niemcy/Ukraina/Francja/Holandia/Rumunia 2018. Dystryb. Against Gravity.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [27 X – 2 XI]

1. Ślepnąc od świateł



Serial, reż. Krzysztof Skonieczny, Polska 2018, odc. 1-8, od 27 X, HBO GO, odc. 1, HBO, 27 X, 22.00, 29 X, 22.05, 31 X, 21.45, HBO2, 27 X, 23.00, 30 X, 23.50, HBO3, 28 X, 23.00

Długo oczekiwana adaptacja powieści Jakuba Żulczyka to mroczna wizja dzisiejszej Warszawy. Twórca „Hardkor disko” opowiada o zdeprawowanym świecie za pomocą intensywnych, ekspresjonistycznych obrazów. Główną rolę diler gra debiutujący w kinie raper Kamil Nożyński.

2. Tamte dni, tamte noce



Dramat, reż. Luca Guadagnino, USA/Włochy/Francja/Brazylia 2017, Cinemax, 28 X, 20.00, 29 X, 12.50, 30 X, 20.00, 31 X, 10.50, 2 XI, 22.35

Lato 1983 r., malownicza sceneria północnych Włoch i zmysłowa erotyka podszyta platońskim mitem – James Ivory, tym razem tylko jako scenarzysta, przenosi na ekran prozę André Acimana. Reżyseruje twórcą „Jestem miłością” i „Nienasyconych”, którego „Suspiria” wkrótce trafi do naszych kin.

3. Ferrante Fever – gorączka czytania



Dokumentalny, reż. Giacomo Durzi, Włochy 2017, Canal+ Discovery, 28 X, 21.30, 29 X, 9.10

W przededniu polskiej premiery serialu „Genialna przyjaciółka” zagadkowa postać Eleny Ferrante ciągle wzbudza emocje. Dokument skupia się jednak na innej tajemnicy: w jaki sposób autorce kultowego cyklu powieściowego udało się podbić serca milionów czytelników.

4. Tu się żyje



Dokumentalny, reż. Kinga Dębska, Polska 2018, TVP2, 30 X, 23.00

Przed kilkoma laty polska zakonnica Michaela Rak założyła pierwsze na Litwie stacjonarne hospicjum. Poprzez charyzmatyczną postać film przygląda się miejscu, które zwykle kojarzy się z umieraniem, lecz tutaj staje się symbolem życia na przekór śmierci.

Rozległe pola

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Jednym z najważniejszych zjawisk w polskim teatrze końca XX wieku były przedstawienia litewskiego reżysera Eimuntasa Nekrošiusa. Po latach wrócił do Polski jako reżyser Teatru Narodowego. I znów zaczyna odgrywać pierwsze skrzypce.

NIE WIEM, CZY JEST TO COŚ DLA POLSKIEGO teatru chwalebne. Pewien ideał, czy może pewne marzenie, o teatrze jednocześnie autorskim, nowoczesnym i skupionym na wystawianiu dramatów od ponad 20 już lat ożywiane jest u nas przez gościa z Litwy.

Eimuntas Nekrošius (rocznik 1952) wdarł się do polskiego świata teatralnego jako bodaj największe odkrycie toruńskiego festiwalu Kontakt, stworzonego i kierowanego w latach 90. ubiegłego już stulecia przez Krystynę Meissner. Jego przedstawienia tworzone najpierw we

współpracy z Festiwalem LIFE (1994-97), a od 1998 r. w jego własnym teatrze Meno Fortas (Fort Sztuki) stworzyły prawdziwie bezprecedensowy ciąg wydarzeń, do dziś owianych legendą i wspominanych niemal z metafizycznym drżeniem i czcią.

Najważniejsze wśród nich były przedstawienia szekspirowskie, zwłaszcza „Hamlet” (1997), „Makbet” (1999) i „Otello” (2001), ale nie można też zapominać o wcześniejszych spektaklach, opartych na „małych tragediach” Aleksandra Puszkina (1994) i pokazanych w Toruniu rok później „Trzech siostrach” Antona Cze-

chowa. O skali uznania dla dokonań Nekrošiusa niech świadczy choćby to, że jako jedyny reżyser trzykrotnie otrzymał Grand Prix Kontaktu i jednocześnie jest jedynym zagranicznym twórcą, który otrzymał przyznawaną przez redakcję miesięcznika „Teatr” nagrodę im. Konrada Swinarskiego dla najlepszego reżysera sezonu teatralnego.

To ostatnie wyróżnienie Nekrošius otrzymał dwukrotnie, przy czym szczególne znaczenie ma pierwsza nagroda z roku 1997 (drugi raz wyróżniono go w 2016 r. za warszawskie „Dziady”). Reżyser otrzymał ją bowiem za spektakl zrealizowany poza Polską („Hamlet”), co jest do dziś ewenementem. Demonstracyjnie wskazano na twórczość sceniczną Litwina jako na pewien wzór, nieobecny a pożądany w krajowym życiu teatralnym. Oczywiście nie chodziło tu o zachęcanie polskich reżyserów do naśladowania, ale o nakłonienie ich do równie twórczych poszukiwań, pozostających jednak w obszarze reżyserskiego teatru dramatycznego. Nagroda może być w tym kontekście widziana jako gest niemal stracący, wykonywany w obliczu już zacho-

REKLAMA

Festiwal EUFONIE, czyli co gra w duszy Europie Środkowo-Wschodniej

11 koncertów. 9 dni. Światowej klasy artyści z 10 europejskich krajów. Muzyka symfoniczna przenikająca się z folklem, ambitnym poemem, a nawet eksperymentalną elektroniką. W czasach wszechobecnej globalizacji takie inicjatywy są najbardziej potrzebne, bo zwracają uwagę na oryginalność i indywidualność kultur regionalnych oraz ich ścisły związek z historią. Tożsamości kulturowe są bowiem jedną z ważniejszych kwestii, z którymi zetknijemy się podczas festiwalu EUFONIE.

Słowo eufonia, czyli z greckiego „piękne brzmienie, harmonijnie zestawione dźwięki” idealnie wpasowuje się w tematykę I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej. EUFONIE udowadniają, że nie tylko klasyka mieści się w ramie „pięknych brzmień” i chociaż muzyki klasycznej również nie zabraknie, odważnie z niej wychodzą. Forma festiwalu jest niejednolita - poza koncertami monograficznymi dwóch prawdopodobnie największych żyjących kompozytorów z naszej części Europy - Krzysztofa

Pendereckiego i Arvo Pärta, będziemy mogli uczestniczyć w elektronicznym występie polsko-skandynawskiego tria oraz koncertach improwizowanej muzyki folkowej prosto z Karpat.

W ramach EUFONIE odbędą się dwa koncerty w cyklu „Muzyka z Karpat” - i daleko im będzie do występów, jakie zapewne pojawiłyby się w wyobraźni przeciętnego odbiorcy. Nie obejrzymy tu tradycyjnych strojów ludowych ani zespołowych śpiewów - doświadczymy za to radości, improwizacji i spontaniczności. Polska grupa folkowa VOŁOSI, podczas jej pierwszego koncertu podczas festiwalu, połączy siły ze sławnym węgierskim skrzypkiem, Félixem Lajkó. Polska i Węgry po raz kolejny udowodnią, że są sobie bardzo bliskie - tym razem związane zostaną muzyką ludową obu krajów, opartą na improwizowanej zabawie i wspólnym graniu. Dwa dni później żywiolowi VOŁOSI ponownie pojawią się na deskach Teatru Polskiego, tym razem zestawieni ze świetną Orkiestrą Muzyki Nowej, która wykona cztery kompozycje młodych kompozytorów z krajów Grupy Wyszehradzkiej.

Na naszych oczach odbędzie się nietuzinkowy performance - Karpaty zabrzmia tu nie tylko folkowo, ale też nowoczesnie. Koncerty „karpackie” odbędą się 26 i 28 listopada o 19:30 na Scenie Kameralnej im. Sławomira Mrożka w Teatrze Polskim w Warszawie.

Warto również zaprosić na uroczysty koncert symfoniczny zamykający EUFONIE 1 grudnia. „W kręgu wielkiego romantyzmu” to popis znakomitej Budapest Festival Orchestra pod batutą Ivana Fischera z Zoltánem Fejérvári na fortepianie w programie prezentującym symfoniczne utwory czeskiego mistrza muzycznego romantyzmu Antonína Dvořáka.

Koncert „W kręgu wielkiego romantyzmu” odbędzie się 1 grudnia o 19:30 w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej.

I Międzynarodowy Festiwal Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej EUFONIE to wydarzenie, pokazujące unikatowy dorobek kulturowy Europy Środkowo-Wschodniej. Festiwal udowadnia, że obfituje ona w niezwykłych artystów, których dzieła usłyszeć można będzie od 23 listopada do 1 grudnia w Warszawie.

Mecenasem wydarzenia jest PKN Orlen.

Bilety dostępne są na stronach bilety24.pl oraz eufonie.pl.

eufonie

I Międzynarodowy — Festiwal
Muzyki — Europy
Środkowo — Wschodniej

Festiwal EUFONIE organizowany jest przez Narodowe Centrum Kultury dzięki dofinansowaniu ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

dzących zmian. W tym samym roku 1997 rodzi się jednak to, co nazywa się w Polsce „nowym teatrem”, a co tak często, łatwo i bez sensu opatruje się kwalifikacją „post-dramatyczny”.

Mimo zachwytów krytyków polski teatr nie poszedł więc drogą Nekrośiusa. Choć litewski artysta cieszył się ogromnym powodzeniem i estymą, to polscy reżyserzy zajmujący się inscenizowaniem dramatów nie sięgnęli po tę odmianę teatru dramatycznego, jaką proponował. Teatr Nekrośiusa – ciężki od bagażu symboliki, hieratyczny i hieroglificzny – pozostał przybyszem z krainy niby znanej, a coraz odleglejszej. Dlatego właśnie stał się zarazem ideałem, który istnieje, więc można na niego wskazać, a który na co dzień jest nieobecny. Tym bardziej może w ideał przerastać.

Materia teatralnych metafor

Na czym polegał ów ideał sprzed dwóch dekad, próbował niedawno określić językiem akademickim admirał Nekrośiusa, Artur Duda: „Najważniejsza sprawa dotyczy powiązania teatralnej wyobraźni Nekrośiusa dość ściśle z tekstem. To znaczy, że rekwizyty i elementy scenografii, które pojawiają się na scenie, zostały zwykle odnalezione w metaforach zapisanych w dramacie. (...) Nekrośius z jednej strony wizualizuje metafory, przemienia obiekty poetyckie w realne przedmioty, zmysłowo odczuwane zarówno przez aktorów, jak i widzów, z drugiej strony manipuluje tymi przedmiotami, wprowadzając je w sytuacje sceniczne tak, że nabierają coraz to nowych znaczeń symbolicznych i metaforycznych, budzą coraz to nowsze skojarzenia”.

Zmaterializowane metafory i ich transformacje tworzą oryginalną i czysto teatralną dramaturgię, zazwyczaj daleką od prostej ilustracyjności. Wymagają nieustannej uwagi, zarówno w znaczeniu skupienia, jak i umiejętności dostrzegania szczegółów. Chwila rozproszenia i można bez trudu zagubić się w labiryntach Litwina, który na dodatek w żaden sposób nie ułatwia widzom zadania, operując scenicznym czasem w sposób jednoznacznie przeciwny rytmowi współczesnego życia.

Jeśli ktoś nie zdołał poznać opisywanej tu specyfiki, oglądając legendarne już przedstawienia z ostatniej dekady XX wieku, to miał i ma taką możliwość dzięki zaproszeniu, jakie w swoim jubileuszowym roku wystosował do Nekrośiusa



KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TEATR NARODOWY W WARSZAWIE

Danuta Stenka jako Matka/Mania i Ojciec – Jerzy Radziwiłowicz w „Ślubie” Nekrośiusa.

Teatr Narodowy w Warszawie: by wyreżyserował na jego scenie „Dziady” Adama Mickiewicza. Pobudki tego zaproszenia były oczywiste, ale miało ono też (chyba jednak nieodczytany, a może nawet niezamierzony) element prowokacji: skoro nie ma w Polsce reżysera, który mierzyłby się z „Dziadami” w sposób odmienny niż – powiedzmy w skrócie – Radosław Rychcik i Michał Zadara, to dyrekcja Teatru Narodowego jest zmuszona go znaleźć za granicą.

Był to (tym razem już chyba świadomy) gest sprzeciwu wobec propozycji młodszych reżyserów, zwłaszcza inscenizacji Zadary, uznawanej w kręgach teatralnych koneserów o konserwatywnych gustach za zbyt lekką, nieszanującą autorytetu tek-

stu, bezczelną i powierzchowną. Lekkości, z jaką Zadara potraktował całość „Dziadów”, przeciwstawiono ciężar litewskiego monumentu. 14 godzin przedstawienia całości tekstu u Zadary w moim doświadczeniu widza rzeczywiście trwało o wiele krócej niż cztery godziny inscenizacji Nekrośiusa. Dla jednych była ona nie do wytrzymania, innych zaś wprawiała niemal w uniesienie, które pozwalało im nie dostrzec słabych miejsc warszawskiego przedstawienia, w którym sceny znakomite (zwłaszcza odkrywczó inscenizowana część IV) sąsiadują z dużo słabszymi (sceny więzienne) lub wręcz łopatologicznie sztubackimi. Do takich należy często opisywana, bo wystająca ze skomplikowanej całości jako dość prostacki żart, scena ➔

→ z autografami podpisywanymi na egzemplarzach książek, którymi po wygłoszeniu Wielkiej Improwizacji przywalany jest Konrad (Grzegorz Małecki). Gdyby coś takiego zainscenizował Jan Kłata, zostałby odsądzony od czci i wiary. Ale że zrobił ten „numer” litewski „mistrz”, to natychmiast nobilitowano go na „zabieg artystyczny”...

Przez scenę, przez okna

Informacja, że kolejnym przedstawieniem, jakie Nekrošius zrealizuje w Teatrze Narodowym, będzie „Ślub” Witolda Gombrowicza, wywołała we mnie – nie ukrywam – pewne obawy. Z jednej strony wydawało się to całkiem logiczne, że ze swoją „barokową” wyobraźnią teatralną i doświadczeniem szekspirowskim litewski reżyser miał wiele danych, by z powodzeniem mierzyć się z tym barokowo-szekspirowskim dramatem. Z drugiej jednak wydawało mi się, że jego reżyserska ręka może być za ciężka dla Gombrowiczowskiej frazy i filozofowania. Tym razem jednak Nekrošius stworzył przedstawienie, które w polskiej historii inscenizacji „Ślubu” może mieć znaczenie przełomowe.

Mam szczęście należeć do tego pokolenia widzów, dla których jednym z najsilniejszych doświadczeń teatralno-dramatycznych był „Ślub” w inscenizacji Jerzego Jarockiego ze Starego Teatru (1991). Zdyscyplinowany, może nawet surowy, zapadł w pamięć jako niedościgły przykład scenicznego myślenia rozgrywanego ciałami i głosami wspaniałych aktorów, a stopniowo coraz mocniej wciągającego widzów w swój niepokojący nurt. Pamięć przywołuje przede wszystkim monolog Henryka – Jerzego Radziwiłowicza, który zdawał się walczyć myśłą o sens swojego i naszego bycia w coraz bardziej groteskowo męczącym świecie, tak mocno współbrzmącym z rzeczywistością świeżo rozpoczętej transformacji. Pamiętam to niezwykle wrażenie, że aktor mówi wyłącznie do mnie, że na mnie właśnie patrzy i ze mną tę swoją podróż i walkę odbywa. Ale pamiętam też efekt, jaki wywołała we mnie nagła przerwa w sporze Henryka i Pijaka (Krzysztof Globisz), gdy pierwszy pytał ucodziennionym niespodziewanie tonem: „Co jest za tym oknem?” i w odpowiedzi słyszał: „Tam są rozległe pola”. Precyzyjnie rozgrywany dramat poznania i sensu nagle okazał się tylko fragmentem ogromnej przestrzeni, którą pozostawiono do rozpoznania już nie aktorom, ale nam – widzom.

W scenicznym mechanizmie otwierała się luka należąca do innego porządku, domagająca się innego języka, czekająca w ciemności i nabrzmiałej ciszy na swój dramat.

Inszenizacja Nekrošiusa rozgrywa się na tych właśnie „rozległych polach”, które zza tamtego okna wprowadzone zostają na scenę. Zachowując przy tym precyzję konstrukcji dramatu, nie zmieniając jego przebiegu i okazjonalnie tylko interweniując w materię słowną.

Gdy kurtyna się podnosi, zamiast oczekiwanego wynurzenia się Henryka, Władzia i rodzicielskiego dworu-karczmę, widzimy siedzących nieruchomo na krzesłach Matkę (Danuta Stenka) i Ojca (Jerzy Radziwiłowicz). Między nimi na sznurze napis „Czekamy”. W długiej pantomimicznej scenie będą go zmieniać między innymi na tabliczki „Zamknięte” i „Otwarte”, grając z metaforą restauracji, jaką stał się rodzinny dom w Małoszyczach, ale i z hasłami współczesnych teatralnych ideologii. Bo ten (nie)dwór to zarazem teatr.

Przestrzeń sceny, choć jej pierwszy plan pozostaje niemal pusty, ma wiele poziomów i wymiarów, nasycę się i pulsuje metaforami ściśle i czysto teatralnymi o wielkiej mocy. Pomaga jej w tym pozornie surowa i niezmienna scenografia Mariusa Nekrošiusa, której głównym elementem jest umieszczona w głębi sceny masywna ściana z szeregiem trzyczęściowych okienek, wyciętych mniej więcej w jednej trzeciej wysokości i podświetlonych na pomarańczowo. Pomaga towarzysząca całości muzyka Algirdasa Martinaitisa, zaskakująco melodyjna, jakby zbudowana z wariacji na tematy tak znane, że niemal banalne, a zarazem jakoś łatwo emocjonalne i nostalgiczne.

„Ślub” ery płynnej tożsamości

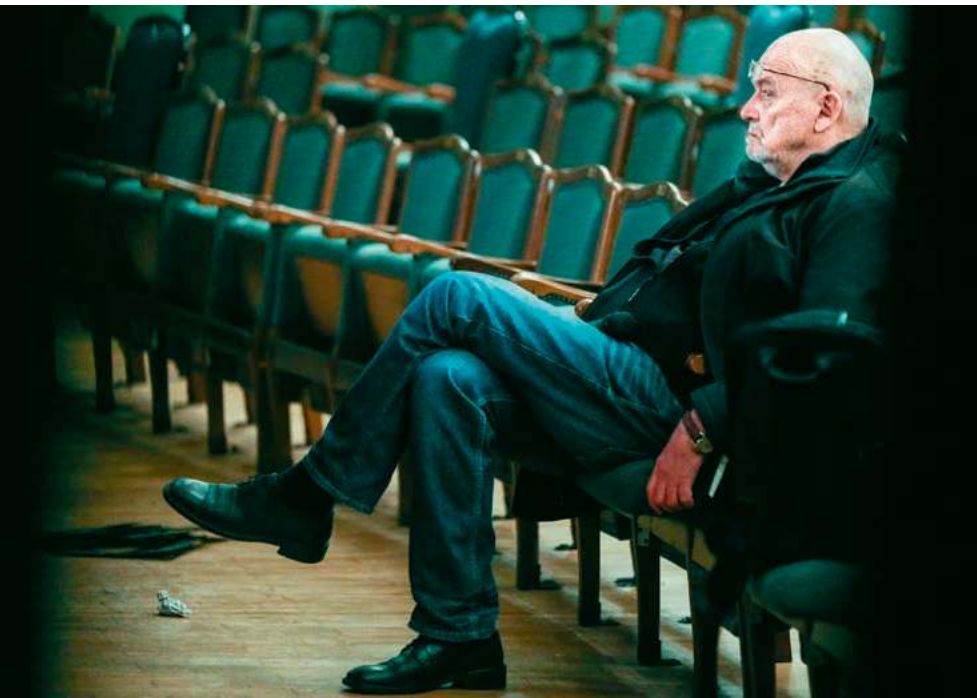
Nekrošius tym razem w mniejszym stopniu materializuje swoją sceniczną metaforę, w większym tworzy razem ze społecznością aktorską prawdziwą symfonię słów, akcji fizycznych i gestów, zbudowaną z wielu stylów, konwencji i języków, często zderzanych ze sobą w sposób zaskakujący, odświeżający i niepokojąco jednoznaczny.

Jego wyobraźnia, wzbogacana wyobraźnią i techniką aktorek i aktorów, otwiera między słowami i akcjami okna, przez które płyną coraz to nowe fale zapachów, tonacji i widoków. Są one zrozumiałe w tym sensie, że trafiają bezpośrednio

POLSKA NA SKRAJU
ANARCHII.

BEZKOMPROMISOWA
KAMPANIA WYBORCZA.

TEN KTO ODKRYJE
PRAWDĘ,
ZDOBEDZIE
WŁADZĘ ABSOLUTNĄ.



VYACHESLAV PROKOFYEV / TASS / FORUM

Eimuntas Nekrošius na próbie „Borysa Godunowa” – przeniesionego z Teatru Narodowego w Wilnie – na festiwalu Stanisławskiego w Moskwie, październik 2015 r.

w pewien rodzaj poznania, którego przeustrzeniem i narzędziem jest teatr. Nekrošius tak komponuje swoje przedstawienie, że jego „sztuczność” jest nie tylko oczywista, ale wręcz podkreślana. Ale jest to sztuczność wywodząca się wprost od słowa „sztuka”, nazywająca coś innego niż tak hołubione przez intelektualnych estetów wartości „artystyczne”. „Ślub” oczywiście je ma, i to w obfitości, ale nie o nie idzie gra, lecz o możliwość poznania sztuką i w sztuce tego, co poza nią rozpaczliwie umyka przez otwierające się między słowami szczeliny.

W takiej pracy czują się narodowi aktorzy, na czele z Danutą Stenką i Jerzym Radziwiłowiczem. Dawno nie widziałem tak znakomicie wykorzystanej aktorskiej sygnatury Radziwiłowicza, dla której charakterystyczny jest pewien sceniczny nadatek, drażniący niekiedy widzów szukających w teatrze „życiowej prawdy”. Jego Ojciec to kreacja, jakiej w polskim teatrze nie było od dawna: precyzyjna, perfekcyjna technicznie, pozbawiona niemal tej „emocjonalnej szczerości”, którą często bierze się za wielką grę aktorską, ale właśnie dlatego przejmująca, przykuwająca uwagę i niedająca spokoju. Równie znakomita rola Stenki, grającej Matkę i Mańkę, stanowi dla wiodącej linii estetycznej kreacji Radziwiłowicza zarazem uzupełnienie i kontrpunkt: aktorka posługuje się

całym bogactwem różnorodnych rejestrów, między którymi przerzuca się z precyzją wirtuozki. Oboje w niezwykle sposób zdają się wpływać na siebie, wytwarzając aktorską jedność w wielości. To prawdziwy popis współczesnego aktorstwa dramatycznego, które czerpiąc z XX-wiecznych reform i rewolucji scenicznych, tworzy ich oryginalną, własną syntezę.

Jak „Ślub” Jarockiego wydawał się podsumowywać doświadczenia XX wieku, tak ta inscenizacja otwiera się na doświadczenia wieku XXI. Bo to jest „Ślub” ery powszechnego uświadomienia sobie nieuniknionego aktorzenia w teatrze życia codziennego i wytwarzania płynnej tożsamości, w której pytanie o to, jak być sobą, jest unieważniane przez świadomość wielości „ja”.

Gdy Gombrowicz pisał „Ślub”, był prokiem nadchodzącej epoki. Dziś powtarzanie jego diagnoz wydaje się wieść do banału. Nekrošius ucieka przed nim, nie ilustrując dramatu jakimś nowoczesnościami, ale wzmacniając jednocześnie jego groteskowość i szekspirowski rozmach. W efekcie to, co przecież wpisane w „Ślub”, a zagłuszone zbyt już oczywistymi opowieściami o międzyludzkim wytwarzaniu siebie nawzajem, zyskuje odświeżającą głębię i zarazem tragizm. Henryk staje się Hamletem naszych czasów.

© DARIUSZ KOŚIŃSKI

W KRĘGACH WŁADZY



**NOWA POWIEŚĆ
REMIGIUSZA MROZA
JUŻ W KSIĘGARNIACH**

FILIA MROČNA STRONA

mrocznastrona.pl

Książka do kupienia w salonach **empik**

JAN

Klata: Poczucia humorów



PODCZAS GDY MY TUTAJ CZOPUJEMY OKNA precudnej urody paramozaiką, na polu międzynarodowym dzieją się rzeczy może mniej fenomenalne estetycznie, ale wielce znaczące. Oto Władimir Putin po raz nie wiadomo który wykazał się wielce nieposwzednim poczuciem humoru. Tym razem objawił swój absolutnie ponadczasowy dowcip w Soczi, rozśmieszając świat do łez pogodną dykteryjką na temat wojny nuklearnej. „Agresor musi wiedzieć, że zostanie zniszczony, a my będziemy ofiarami agresji i jako męczennicy udamy się do raju, podczas gdy oni po prostu zdechną (śmiech, owacje). Bo nawet się nie zdążą wyśpować”. Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

Natomiast drugi biegun świata, czyli Donald Trump, już zobaczył, a właściwie dzięki niemu świat ujrzał jeden z najbardziej niezwykłych obrazów w dziejach relacji władca-mecenas. Tak, tak, nie przesadzam ani o jotę, od czasu piramid i ód Horacego oko nie widziało czegoś takiego. Czegoś, co wisi w Białym Domu. Wypisz-wymaluj martwi amerykańscy prezydenci – ale nie na banknotach, tylko w towarzystwie Donalda Trumpa.

Biesiadujący, beztroosko dowcipkujący, wymieniający się anegdotkami i dykteryjkami z czasów swoich prezydentur. Ronald Reagan pije drinka sex on the beach, Richard Nixon czerwone wino, a Donald Trump dietetyczną colę. Nie do końca wiadomo, co pije Abraham Lincoln, bo siedzi tyłem i już chyba wypił. Bushów oczywiście dwóch, junior i senior, George Dablu chyba nic nie powinien pić, ale pije, gdyż jest to jednak optymistyczna wizja, a nie bolesna rzeczywistość. Nie muszę chyba pisać, że jeśli wizja ma być optymistyczna, to przedstawia jedynie prezydentów republikańskich. Obecny gospodarz Białego Domu patrzy na nas (w przyszłość?), jednocześnie zerkiem spozierając na Lincolna, a może za jego plecy – przecież tam może czaić się niebezpieczeństwo.

Eschatologiczna impreza u Donalda w Białym Domu maluje się doprawdy niesamowicie, trzeba specyficznej wyobraźni, żeby coś takiego sobie w ogóle wyobrazić, a co dopiero namalować, nie mówiąc już o tym, żeby to sobie powiesić. No, ale Donald Trump posiada akurat na swoim punkcie bezkres wyobraźni. Kto, jak nie on? Prezydent Trump tak sobie upodobał biesiadne dzieło, że aż z rozpędu zadzwonił do malarza. Prezydent zwierzył się telefonicznie, że oglądał w życiu już bardzo dużo obrazów, że obrazy mu się generalnie nie podobają, ale ten akurat mu się bardzo spodobał, sam sobie się na nim spodobał jak nigdy, w związku z czym go zawiesi w Białym Domu i będzie na siebie patrzył. Więc tak to teraz wygląda. Piękna wizja. Barwna przeszłość spotyka świetlaną przyszłość przy drinkach.

Być może warto dodać, że artysta o imieniu Andy, a nazwisku Thomas wyrobił sobie markę malując dotąd znaczne ilości kowbojów. ©

Lektor: Poza fotografią



■ Wojciech Nowicki
TUŻ OBOK
Czarne i Muzeum Etnograficzne im. Seweryna Udzieli,
Wołowiec-Kraków 2018,
ss. 206

NIEPOSTRZEŻENIE NARODZIŁ NAM się klasyk pisania o fotografii, mistrz analizy obrazu i tego, co za nim się kryje. A przy tym świetny prozaik. Kolejną swoją książkę Wojciech Nowicki, bo o nim mowa, poświęcił przechowywanej w krakowskim Muzeum Etnograficznym Tece Schultza. Tekę zawiera fotografie wielu autorów wykonane na terenach Polski w latach I wojny światowej i stanowi

pozostałość prac Komisji Krajoznawczej przy Cesarskim Niemieckim Generalnym Gubernatorstwie Warszawskim. Komisję powołano w roku 1915, a pochodzący z Kurlandii doktor Arved Schultz do niej należał.

Trochę psuję tę historię, Nowicki opowiada ją w odwrotnym porządku. Najpierw ogląda zdjęcia (jest ich ponad 1200), zastanawiając

się po prostu, co na nich jest, a czego (i dlaczego) nie ma – nie ma wojny jako takiej, a dokumentacja jej śladów stanowi margines zbioru. Zastanawia się też nad opisami poszczególnych fotografii. Dochodzi do wniosku, że ma do czynienia z archiwum pełnym „fałszywych tropów, pułapek zastawionych na naiwnych poszukiwaczy”, w którym od czasu do czasu pojawiają się uliczki budzące radość, że dotarło się do celu, wszystkie jednak kończą się ślepo. Zdjęcia budzą niepokój, a „najprostsze, z pozoru niewinne pytania, na przykład o to, po co to wszystko powstało i jaki był zamiar patrzących, pozostają bez odpowiedzi”. Odpowiedź przynosi praca francuskiego badacza, która objaśnia cele pracy warszawskiej komisji. Przede wszystkim miała ona „podnieść żelazną kurtynę skrywającą dotąd Wschód przed geografami”

i nakreślić geograficzno-etnograficzno-antropologiczny portret ziem należących wcześniej do cesarstwa rosyjskiego. To jednak etap wstępny – perspektywę odległą czy wręcz punkt docelowy stanowiła kolonizacja i eksploracja tych ziem, wedle modelu sprawdzonego wcześniej w Afryce. Owe fotografie nie są więc rezultatem niewinnej pasji krajoznawczej. Wyprawa z aparatem do krainy polskich chłopów, Żydów i Cyganów, krainy pustych, ciągnących się po horyzont dróg i ludowych strojów jest w istocie wyprawą zdobywców, a naukowa oraz artystyczna pasja zaprzęgnięta zostaje do celów ściśle politycznych i podszyta jest poczuciem wyższości, także rasowej. Tekę Schultza okazuje się kolejnym rozdziałem „prywatnej encyklopedii przemocy”, która jakby bez udziału autora książki spisuje mu się gdzieś w tle... ©®

PAWEŁ

Bravo:

Owoc tak podły



„TUTEJSI MIESZKAŃCY, SKORO TYLKO MIESIĄC zwany przez kroniki przodków październikiem roztoczy nad miastem wilgotny całun, zakładają maski. W wieczory, które skromny dobrobyt pozwala im spędzać z dala od warsztatów i kramów, krążą jak

duchy po lesie wyrosłym na miejscu dawnych murów. Zburzono je jeszcze za poprzedniej dynastii, bowiem dawno żaden wróg z zewnątrz nie czyha na złoto tutejszych świątyń, a zagłady idącej od środka nic już nie zdoła powstrzymać. Dlatego zresztą ów mądry cesarz z poprzedniego stulecia uznał, że jedyne, czym może się zasłużyć dla swojej byłej stolicy, to pierścień drzew, dostojna rama dla ostatnich pokoleń w ich czekaniu na nieubłagany koniec. Czy maski, jakie przywdziewają, mają uchronić ich podczas przechadzki przed melancholią wejrzenia sąsiada, czy też zapobiec rozmowom, w ich krańcowym położeniu wszak zupełnie zbędnym? – tego przybysz nie rozecna, bowiem nikt z tych pół-ludzi pół-widm nie jest skory do zwierzeń”.

Ten urywek relacji z drugiego tomu „Miastr niewidzialnych” Itala Calvino, wygrzebany z ostatniej partii jego pośmiertnych papierów – jestem tego pewien – dotyczy Krakowa. Nie trzeba do tego erudycji i hermeneutycznych sztuczek – starczy mi wywrzeć z okna redakcji: Planty każdego dnia zamieniają się przecież w park potępięńczych widziadeł w dziwnych niby-kagańcach zapinanych rzepem na karku, bliższych akcesoriom sadowym niż posępnym maskom z wielkim dziobem, chroniących dawnych weneccjan w okresie dżumy.

Jedyne, co mogłoby rozweselić coroczny rytuał początku pory kaszlu, łzawiących od smogu spojówek, zgrabiących palców i czubków nosa zbyt lodowatych, żeby móc je przytknąć do policzka miłej osoby, to wielkie ruszty z pieczonymi kasztanami, rozstawione na rogach ulic. Opala się je węglem drzewnym, a to jeszcze przez niecały rok będzie w Krakowie zupełnie legalne. Ocieplenie klimatu wkrótce sprawi, że drzewa kasztanowe, niegdyś czujące się dobrze tylko za Alpami, przestaną być u nas „samotnymi gośćmi z Południa”, zawleczonymi przez pielgrzymów, jak ów wielki okaz rosnący przed klasztorem u Hessego w „Narcyzie i złotoustym”. No dobrze, ale zanim zaczną solidnie owocować, minie parę dekad, my tymczasem jednak moglibyśmy skorzystać z dobrodziejstw globalizacji i importować gotowe już kasztany, wraz ze zwyczajem ich ulicznego pieczenia, który wymyśliły ludy o wiele mniej narażone na ziąb.

W mojej prywatnej księdze dobrego jedzenia, w podkategorii rzeczy cennych nie z racji smaku, lecz sączą-

cych przyjemność z powodu sytuacji ich spożywania, pieczone uliczne kasztany są na pierwszym miejscu. Bo smak, cóż, no nie czarujemy się, słodkawe toto, nijakie i mączyste, wszak już Pliniusz pisał (a Rzymianie jedli tego na potęgę): „kastany nazywamy także orzechami, acz stosowniej byłoby policzyć je do rodzaju żołądzi (...) Rzecz dziwna, że natura ukryła z taką troskliwością owoc tak podły”. Ukryła – bowiem okrywa bardziej niż nasze parkowe kasztany przypomina jeża, jest pokryta mnóstwem cieniutkich kolców. Kobiety harujące w błocie i skwarze przy zbiorze ryżu doczekały się godnej apoteozy w kinowym arcydziele – ale żaden neorealista nigdy nie nakręcił historii podobnych najmitów zjeżdżających jesienią, żeby przez tydzień kaleczyć sobie ręce do krwi zbieraniem kasztanów z wielkich plantacji w dzikszych, górzystych okolicach, np. w Toskanii.

Ale i później, kiedy już obrane, gładkie i wilgotne owoce trafiają do miast, nasze palce też nie są całkiem bezpieczne. Bo dobry kasztan, godny miana jesiennego przysmaku, musi parzyć. Język i podniebienie w tej całej przygodzie nie pełnią aż takiej roli jak palce, rozgrzane nagle aż do granicy między przyjemnością a bólem, poharatane ostrymi odłamkami zapieczonej skorupki, którą trzeba pracowicie odłamać. To z opuszków płyną bodźce, za które warto zapłacić – na ulicach Rzymu nawet skandaliczną cenę pięciu euro za małą papierową tutkę. Na chwilę mija tęsknota za rękawiczkami, wzmagają się krącenia, szczególnie gdy dzielimy się z drugą osobą, o dłoniach bardziej wrażliwych na gorąco niż nasze.

Podając jej świeżo wyłuskana, słodka, ciepła kulka, na moment rozumiemy, dokąd prowadzi ten życiowy spacer. Nie bacząc na kolce i skorupy bliźniego, przebijamy się raz po raz, by wydobyć zeń „owoc tak podły”, człowieka w całej zwyczajności. Ale nie o smak „nie z tej ziemi” tu chodzi, tylko o to, by się przy tym pokuć i poparzyć. ©P

Z braku ulicznych rusztów możemy upiec kasztany w domu, kładąc je z naciętą skorupką w brytfance z odrobiną wody na dnie. Albo zabawić się w deser zwany Mont Blanc. Nacinamy 750 g kasztanów, w garnku zalewamy je wodą, tak by je przykryła, i gotujemy pół godziny. Wylączamy ogień, zostawiamy w wodzie, wyciągamy po jednym i obieramy w grubych rękawiczkach. Przekładamy do innego garnka, zalewamy 0,5 litra mleka, dodajemy 100 g cukru, rozciętą łaskę wanilii, gotujemy na wolnym ogniu ok. 20 minut. Odcedzamy, przeciskamy je przez praskę do ziemniaków do miski. Dodajemy 3 łyżki gorzkiego kakao i 50 ml rumu, mieszmamy drewnianą łyżką, wyjdzie nam dość sucha masa. Odkładamy pod przykryciem do lodówki na godzinę, żeby mocniej stężała. W tym czasie ubijamy śmietankę i przekładamy ją do rękawa

cukierniczego. Masę kasztanową przeciskamy przez praskę do ziemniaków o drobnych oczkach, tak żeby na talerzyku powstała górką z brązowych „robaczek”. Dekorujemy na wierzchu fantazyjnymi kleksami bitej śmietany, można posypać wiórkami czekoladowymi.





PSI UMYSŁ

JOLANTA ANTAS, JĘZYKOZNAWCZYNI:

Odkąd moi znajomi mają berneńczyka, nie mogą się kłócić, bo trzęsie się z przerażenia. Pies jest niebywałym radarem emocjonalnym, choć polska fleksja jest dla niego za trudna.

JOLANTA ANTAS NA WYWIAD PRZYCHODZI Z FRASZKĄ – BISKOP-towym golden retrieverem. Siedzimy na ławce na krakowskich Plantach, pies kładzie się na ziemi. Antas mówi, że swoje kolejne trzy psy wychowywała w ten sposób, by mogła z nimi bywać w restauracjach, na uczelni, w sklepie, na poczcie. Wystarczy, że ręką da sygnał „zostań” i wskaże miejsce.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czy w miejscach publicznych wyniknęły kiedyś problemy z powodu obecności Fraszkę?

JOLANTA ANTAS: Wyniknęły. Polskę mogę porównać z Holandią, gdzie mieszka część mojej rodziny. Wchodząc tam z Fraszką do centrum handlowego, jedynym problemem było, że pies nie lubi ruchomych schodów, więc kłopot rozwiązywały windy. Wszędzie była mile widziana. Natomiast z Galerii Krakowskiej zostałyśmy wyrzucone. O tyle byłam tym zdumiona, że znajduje się tam sklep dla zwierząt. Chciałam kupić obrozę, którą wypadałoby przymierzyć.

Jeszcze zostałam wyproszona z butiku. Gdy mnie i Fraszkę zobaczyła sprzedawczyni, powiedziała: „O, pies”. Ja: „No, pies”. Ona: „A nie nasika?”. Ja: „To niemożliwe”. Jednak ta pani nie uwierzyła.

Kiedyś wyrzucili nas z poczty. Ale z banku nie dałam się już wyrzucić. Udało się im wyrzucić starszą panią z małym pieskiem na rękach, aż się popłakała. Ja powiedziałam, że nie wyjdę i żeby dzwonili na ochronę. Wyglądałam się: „Mój pies urodził sześć szceniaków, każdy jest wart półtora tysiąca. W banku mój pies ma 12 tysięcy i przyszedł go zapytać, czy mogę od niego pożyczyć te pieniądze. Pies musi być tu obecny”.

Złapali żart?

Złapali. Kiedy indziej, w innym banku, kazali mi zostawić Fraszkę na zewnątrz. Mówię: „To champion wart straszne pieniądze, jest najwartościowszą rzeczą, jaką posiadam. Gdy przywiążę mojego psa na zewnątrz, to mi go na pewno ukradną”. Po namyśle strażnicy zaproponowali: „A jakby go pani tu, w przed-

sionku zostawiła, my skierujemy kamery na niego”. Zgodziłam się, załatwiłam sprawę, schodzę na dół, zabieram psa, wybiega strażnik i mówi: „Patrzyliśmy cały czas na kamery, nikt do psa nie podszedł”.

No bo w banku działa argument finansowy.

A w innych miejscach działa argument, że pies umie się zachować. Ludzie chcą, by psy im wszędzie towarzyszyły, tyle że muszą być odpowiedzialni za to, by nie stwarzały problemów. W aptece użyłam argumentu, że sanepid nie może zabraniać wchodzenia psu, ponieważ – po pierwsze – nie da rady dostać się do miejsc, w których przechowywane są leki, a po drugie na łapkach przynosi mniej zarazków niż ludzie.

Za każdym razem walczę o to, by pies mógł ze mną wszędzie chodzić.

Wczoraj byłam w sklepie odzieżowym i zobaczyłam, że obok działów damskiego, męskiego, dziecięcego jest też specjalna kolekcja dla mopsów.

Tendencja do antropomorfizacji to wielki błąd – pies inaczej odczuwa świat i trzeba się nauczyć jego myślenia. To wzbogaca – człowiek ma szansę poznać inny punkt widzenia, a na tym opiera się teoria rozwoju umysłu, która zakłada, że jego ważną składową jest zdolność do odgadywania stanów mentalnych innych osobników, czyli zdolność „postawienia siebie na czyimś miejscu”. Ta umiejętność przyjmowania innej perspektywy – dana zresztą tylko tym najinteligentniejszym gatunkom – stanowi podwaliny dla zdolności empatycznych i manipulacyjnych; zdolności do pomagania innym, ale także ich oszukiwania.

Jana Sterbak usiłowała uchwycić obraz świata oczami psa, przyczepiając swojej terierce kamerę do specjalnego paska. Kamerą nagrała wycieczkę psa po Wenecji. W rezultacie powstał szalony ciąg nieustannie zmieniających się widoków skrzywionego świata.

Ta kamera niewiele chyba dała, bo pies nie jest wzrokowcem, tylko węchowcem, i jest niezwykle wrażliwy na ruch. Pies z trzech metrów postrzega sylwetkę swojego opiekuna już lekko zamazaną, ale zauważy ruch motyla na 20 metrów i na ludzkich twarzach najmniejszy grymas mimiczny. Ale węch jest najsilniejszym jego narzędziem poznawczym. Pies, kiedy węszy, rozkłada wszystkie zapachy na czynniki pierwsze. Dlatego wykorzystywany jest do szukania narkotyków, ludzi itp. Kiedy na spacerze przystaje i węszy siusiu innego psa, to w tych zapachach identyfikuje nie tylko wiek, płć innego psa, ale także, w jakim był nastroju i czy coś mu dolega. Psy wykrywają komórki raka i potrafią jednoznacznie odnaleźć zapach swego opiekuna spośród więcej niż setki innych zapachów ludzi. Pies czuje i myśli zapachami. Widzi nie rzeczy, ale działania i akcje.

Jak długo człowiek uczy się myślenia psa?

Każdy pies jest inny. Zawsze brałam inną rasę – byłam ciekawa, jakie są różnice. Psy mają osobowości, ale też preferencje genetyczne związane z rasą. Moja pierwszy suka była wyżłem niemieckim, czyli psem myśliwskim. Najważniejsze dla niej były spacer, na których mogła polować. Na imię miała Fana Mzuri. W języku suahili znaczy to: „jaka piękna!”.

Pisze Pani o tym w książce „Rozmowy z psem, czyli komunikacja międzygatunkowa”.

Drugi mój pies to była Chmurka – seter angielski, też myśliwski. Lubiła robić stojkę, czaić się, wykazywała się niebywałą cierpliwością. Natomiast golden retriever, którym jest Fraszka, jest psem zadaniowym – ona wyczuwa, czego ja chcę, i to robi. I nasza harmonia polega na tym, że wyczuwamy się nawzajem. Ze wszystkich psów, jakie miałam, Fraszka jest najmądrzejsza. To pies-filozof – stateczny, myślący, spokojny, łagodny.

Z tego powodu sporo rodzin z dziećmi decyduje się na golden retrievera.

Ale ludzie te psy marnują. Kupuje się goldena, sądząc, że on się sam uczy, bo jest z natury do tego zdolny.

Przecież jest.

Taki pies nauczy się sam wszystkich błędów właściciela: podpatrzy je i wykorzysta. Jeżeli zauważy, że przy posiłku zostanie kawałek jedzenia, to zawsze będzie zebrał. Im bardziej inteligentny jest pies, tym łatwiej go zepsuć.

Proszę opowiedzieć o mądrości Fraszki.

Po pierwsze, przynosi różne użyteczne przedmioty, na przykład papierosy, zapalniczkę, telefon. To jest wygodne, gdy idzie się do wanny i człowiek zapomni ich ze sobą zabrać. Odnajduje też portfel i klucze, wraca i przynosi rzeczy, które wypadły mi z kieszeni, bo ich upadek słyszy lepiej ode mnie, mimo że idzie przodem. Nauczyłam ją też sprawdzać, czy czegoś nie zostawiłam, przysiadając gdzieś na chwilę. Jest w tym niezawodna.

I co Pani wtedy mówi?

Na przykład: „Szukaj papierosy”, ale nie „Szukaj papierosów”, bo polska fleksja jest dla psa za trudna. A gdy opuszczam miejsce, w którym przebywałam, ławkę czy restaurację, to mówię: „sprawdź”. Teraz już nie muszę wydawać tej komendy, bo Fraszka robi to sama: kontroluje, czy przypadkiem czegoś nie zostawiłam.

Kiedyś wychodzę z restauracji, w rękę trzymam pustą paczkę papierosów i rozglądam się za koszem. Podchodzi kelner i pyta, czego szukam. „Kosza, bo chciałam wyrzucić pustą paczkę”. „To pani da” – wziął i gdzieś poszedł. Wychodzę z restauracji, a pies za mną. I nagle sobie przypomniałam, że do tej paczki włożyłam bilet tramwajowy, który teraz coraz trudniej kupić. Wróciłam, wchodzę do sali, ale nie widzę kelnera. Myślę sobie: „A, szkoda czasu, kupię nowy bilet”. Wychodzę, oglądam się za psem... Widzę, że Fraszka idzie do mnie i co trzyma w pysku?

Jak ona to zrobiła?

Musiała pomyśleć: „Skoro wróciła się i zagląda do innej sali, niż siedziała, to czegoś jej brakuje”.

Kiedy indziej w sypialni zakładałam spodnie, przygotowuję się do wyjścia z nią na spacer. Na łóżku kładę papierosy i zapalniczkę. Mówię do Fraszki leżącej w przedpokoju: „Ty to mądra jesteś, po prostu czekasz gotowa na spacer, a ja muszę pamiętać o zapalniczkach, o papierosach, o smyczy, o wszystkim”. Zabieram papierosy i zapalniczkę, a drugą zapalniczkę zostawiam na łóżku. Zakładam buty, patrzę, idzie mój pies i niesie w pysku drugą zapalniczkę.



→ Trzecia przygoda. Wróciliśmy z długiego spaceru. Usiadłam przy komputerze, miałam do wykonania żmudną robotę, a strasznie mi się nie chciało. Zaczynam, nic nie wychodzi, wściekam się. Nagle mój pies, skulony i na ugiętych nogach, trąca mnie pod łokieć, choć nigdy dotąd tego nie robił. Mówię: „Nie zwracaj mi głowy, widzisz, że mam robotę”. Pies wycofał się, ale za chwileczkę znowu idzie do mnie, a ja jestem coraz bardziej zła. Patrzę na zegarek – przecież pół godziny temu byliśmy na spacerze. Gdy po raz trzeci Fraszka ponowiła próbę, uznałam, że ma rozwolnienie. Wszystko rzuciłam, bo jak pies ma rozwolnienie, trzeba pędem na trawę. Otwieram drzwi, a mój piesek robi jeden krok, potem drugi, to listek skubnie, tu sobie trawkę powącha. Ponaglam: „Zrób, co masz zrobić, bo muszę wrócić do tej okropnej roboty”. I nagle mnie tknęło: kto tu kogo wprowadza na spacer? Roześmiałam się i mówię: „Chodź piesku, obejdzimy sobie podwórko”. Wracamy do domu, siadam do komputera, wszystko idzie jak z płatka. Nie widzę psa, przyczaiłam się, by zobaczyć, co robi. A on na swoim legowisku, cztery łapy do góry, zrelaksowany.

Bo Panią uspokoił?

Każdy pies jest lekarstwem na wyrównanie stanów emocjonalnych. Trzeba cały czas trzymać w sobie ten stan spokoju.

Pies przejmuję ludzki niepokój?

Odkąd moi znajomi mają berneńczyka, nie mogą się kłócić. Jak tylko zaczynają podnosić głos, pies chowa się i trzęsie z przerażenia. Pies jest niebywałym radarem emocjonalnym. Właśnie psucie psa polega na tym, że człowiek go wystawia na cykle – naprzemienne stany euforii i depresji. Podstawowym błędem jest krzyczeć na psa, on tego kompletnie nie rozumie. Do psa trzeba podchodzić spokojnie...

Istnieje metoda wzmocnienia pozytywnego, której jestem wielkim zwolennikiem. Chodzi o to, by psa nie łamać, lecz obserwować, czego chce, co jest mu potrzebne do samorozwoju. Pies ma swój rozum.

Jakby mówiła Pani o wychowaniu dziecka.

Bo są punkty styczne. Największą nagrodą dla psa za pozytywne zachowanie jest zadowolenie opiekuna. Jeśli okaże mu radość, pies robi dla niego wszystko. Nie raz widziałam, jak Fraszka skakała ze szczęścia, bo ja zachwyciłam się, że przyniosła głupią piłeczkę.

Pies potrafi być też bardzo smutny. W mojej rodzinie był labrador, który po śmierci opiekuna nie chciał jeść i spacerować. Miał objawy depresji.

Depresję też można pomylić. To szczególna skłonność polonistów nakierowanych na literackość. Miałam przyjaciela, właśnie profesora polonistyki, który z moim poprzednim psem czasem chodził na spacer. Kiedyś mówi: „Słuchaj, martwię się o Chmurkę, bo ona była dzisiaj jakaś nostalgiczna, musiała dopaść ją melancholia”. Podbiegam do psa, dotykam nosa i mówię: „Jaka nostalgia? Jaka melancholia? Pies jest zatruty!”.

Czyli znowu pułapka antropomorfizacji.

Oczywiście, psy popadają w depresję szczególnie wtedy, kiedy są krzywdzone lub odchodzi ktoś dla nich ważny, jak to się stało w pani rodzinie.

W ogóle uważam, że psy wykazują się większą empatią niż ludzie.

Aż tak?

Po śmierci Chmurki sama pogrzeżyłam się w głębokiej depresji. Moi przyjaciele mówili: „Jola jest martwa”. Nawet nie chciało mi się myć... I pamiętam z tego czasu właśnie psy. Pies mojej znajomej, dla którego ona była stuprocentowym przewodnikiem, nagle na spacerze nie słuchał jej, tylko mnie. A gdy przyszedłam w odwiedziny do mojej przyjaciółki, jej golden retriever wszystko inne rzucił, by być blisko mnie. Łapać, dotykać – szalał cały czas.

Zrozumiałam, że to jest empatia – te psy chciały mnie pocieszyć. Swoją obecnością powiedzieć: „Jestem tylko dla ciebie, nie jesteś sama”.

Psy są wyczułone na zmiany ludzkiego zapachu wywołanego emocjonalnym napięciem. Zauważają też napinające się mięśnie i zmiany w wydawanych przez człowieka odgłosach, w tym przyspieszony oddech. Te same fizjologiczne zmiany brane są pod uwagę przy badaniu za pomocą wykrywacza kłamstw.

Kiedyś miałam problem z jelitami. Przyjaciółka chciała mnie zawieźć do szpitala, a ja odmówiłam, powiedziałam, że psa samego nie zostawię. Lekarze zgodzili się podawać mi kroplówki w domu. Przez parę dni nie mogłam wychodzić na zewnątrz i proszę sobie wyobrazić, że mój pies zapał się jak osioł, z nikim innym nie chciał wychodzić na spacer. Doprowadził mnie do tego, że z kroplówką na szyi schodziłam na podwórko, by Chmurka mogła się załatwić. Ludzie się tak nie poświęcają.

TP

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK POŚWIĘCONY FESTIWALOWI

Ars Cameralis Silesiae Superioris,

a w nim m.in. rozmowę z organizatorami wydarzenia, Markiem Zielińskim i Bartłomiejem Majzlem, a także tekst przybliżający tegoroczne hasło „Cień słońca”. Zapraszamy do lektury oraz na Festiwal!

Organizator:

 **Śląskie.**

**XXVII FESTIWAL
ARS CAMERALIS**

Ars Cameralis jest
Instytucją Samorządu
Województwa Śląskiego

A pies się poświęci. Choć ludzie też potrafią poświęcić się dla psów.

A jak zachowuje się Fraszka w czasie wykładów?

Gdy była szczeniakiem, prosiłam studentów i oni mi w tym pomogli, by na nią nie reagowali, nie trzymali z nią kontaktu wzrokowego, nie wykonywali przywołujących gestów. Tłumaczyłam: „Jeśli będziecie ignorowali psa, to on się popatrzy, znudzi i położy się spać. Jeśli ktoś ma ochotę, to po wykładzie można go pogłaskać. Niech się nauczy, że nie ma szwendania się po sali”. I studenci elegancko stosowali się do mojej instrukcji, więc błyskawicznie Fraszka nauczyła się, że na wykładach nic ciekawego się nie dzieje, że to nuda, którą trzeba przeczekać. Dopiero po wykładzie zaczynało się robić interesująco, bo szliśmy na długi spacer.

I żaden z Pani trzech psów nigdy nie przeszkodził Pani w wykładzie?

Raz, Chmurka. Miałam wtedy wykłady w Auditorium Maximum, stamtąd było blisko do parku Jordana, gdzie ona kochała dla sportu ganiać za wiewiórkami. Więc kończę wykład, zostały mi do powiedzenia jeszcze trzy, cztery zdania, i nagle słyszę, jak mój zazwyczaj posłuszny pies robi: „hau, hau”. Mówię: „Piesku, przeszkadzasz mi prowadzić wykład, uspokój się”. A studentów pytam: „Przepraszam, czy ja przypadkiem nie przedłużyłam dzisiaj wykładu?”. Pokazują na zegarki, że o minutę. Pies po prostu wiedział. I dał mi znać: koniec, teraz park Jordana.

Fraszka przed momentem wstała z ziemi i długo się pani przysłuchiwała.

Czy to znaczy, że mamy kończyć rozmowę, bo pora na jej spacer?

Sprawdzała moje gesty. Chciała wybać, czy już idziemy, czy ma nadal czekać, a może jest czas do wejścia w relację, by razem się pobawić.

Istnieje zasada, że to opiekun kończy zabawę. Chodzi o to, by pies nauczył się, że nie zawsze jest uwaga nakierowana na niego. Kiedy mój jeszcze Fraszka pokazywała gestem „koniec zabawy” i widziałam jej rozczarowaną minę, to odwracałam głowę, by na to nie patrzeć. I jednocześnie wiedziałam, że musi się tego nauczyć, by nie wyrosła na psa przeszkadzającego. Ale ważne jest to, by psu dać siebie.

Co to znaczy?

Chodzi o czas i uwagę. To dawanie siebie może w ciągu dnia trwać trzy minuty, ale ma być stuprocentową wyłącznością.

Mówi Pani, jakby praktykowała zen.

Od moich psów nauczyłam się, jak ważna jest chwila – tu i teraz. Że trzeba być w niej zanurzonym – jak w zen. Czasem pytam moich studentów: „Szliście na uczelnię i coście widzieli, kogo zeńście spotkali?”. Oni mówią, że nic ciekawego się nie działo. A pies powoduje, że na spacerze człowiek zaczyna widzieć świat.

I jaki jest ten świat?

Od moich psów
**nauczyłam się,
jak ważna jest chwila**
– tu i teraz. Że trzeba być
w niej zanurzonym
– jak w zen.

W nieustannej zmianie. Po wyjściu z domu widzę drzewo. I zawsze zastanawiam się, czy dzisiaj będą jego liście już całe czerwone, czy wciąż jeszcze tej czerwieni nabierają. Znajomi narzekają: „Nie mogę doczekać się urlopu, czasu, kiedy sobie pod zielonym drzewkiem usiądę”. A ja codziennie, w czasie spaceru z Fraszką, mam dwie godziny urlopu. W tym sensie pies się przysługuje pracy naukowej.

W jaki jeszcze sposób pies przysługuje się pracy naukowej?

Każdy spacer z psem to ćwiczenie koncentracji uwagi: uwagi na „tu i teraz” oraz „robienia jednej rzeczy naraz”: idziesz, widzisz, obserwujesz, zauważasz. Wyłączasz natłok myśli. Umysł wycisza się i odpoczywa. Teraz, kiedy odpoczął i „odżywił się” – bo umysł odżywia się uwolnionym oddechem, a taki jest możliwy tylko w zrelaksowanym ciele – można prosić go o koncentrację i twórcze myślenie. Bo na spacerze po prostu odpoczywał. A o ten odpoczynek umysłu zadbał pies!

W „Nieznosnej lekkości bytu” Kundery ważna jest postać psa Karenina, jedyne tam bohatera, który potrafi obdarzyć człowieka bezkresnym zaufaniem i bezwarunkową miłością. Kundera zwraca uwagę na idylliczny charakter relacji człowiek–pies, a uczucie między nimi określa mianem lepszego niż to, które łączy, ale też jednocześnie dzieli dwójkę bliskich sobie ludzi. Jeden z rozdziałów książki nosi znamieny tytuł: „Uśmiech Karenina”.

Gdy jeszcze miałam setera angielskiego, to czytałam artykuł, w którym było napisane: „Zobaczysz, że któregoś dnia twój pies się do ciebie uśmiechnie”. Trochę w to nie wierzyłam. Aż kiedyś zobaczyłam, że mój pies się do mnie uśmiecha.

Jak to wygląda?

Fraszka trochę otwiera usta, trochę zębki pokazuje, trochę robią się jej większe oczy. Widać, że oczekuje na coś fajnego. W książce Fleischera poświęconej etologii psa przeczytałam, że uśmiechają się wyłącznie psy, które przebywają w stadzie ludzkim. Te żyjące na dziko nie uśmiechają się. Wygląda więc na to, że to jest jedyny sygnał niewerbalny, który człowiek przekazał psu. Mówiąc krótko: pies nauczył się od człowieka uśmiechu. Kiedy czasem psy próbują się na siebie rzucać, to mówię z uśmiechem: „O, dzień dobry piesku”.

I?

Zdarza się agresję wyciszyć. Choć nie zawsze, jak nie zawsze uśmiech działa na agresywnych ludzi.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

JOLANTA ANTAS (ur. 1954) jest kierowniczką Katedry Teorii Komunikacji na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Członkini Komisji Kultury Żywego Słowa Rady Języka Polskiego. W latach PRL działaczka opozycji demokratycznej. Autorka m.in. książek: „O mechanizmach negocjacji”, „O kłamstwie i kłamaniu. Studium semantyczno-pragmatyczne”, „Semantyczność ciała. Gesty jako znaki myślenia”, „Rozmowy z psem, czyli komunikacja międzygatunkowa”.



Marianna Janczarska, córka Ewy Błaszczyk, która w jej imieniu odebrała wyróżnienie, i abp Wojciech Polak, prymas Polski, z Medalami Św. Jerzego.

Przywrócić nadzieję, zakończyć podziały

Ewa Błaszczyk, założycielka Fundacji Akogo? i kliniki Budzik,
oraz **abp Wojciech Polak**, prymas Polski,
otrzymali 15 października 2018 r. Medale Św. Jerzego – nagrodę „Tygodnika”
za „zmagania ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym”.



Z listu EWY BŁASZCZYK, który odczytała **MARIANNA JANCZARSKA**: „Nie ma takich trudności i cierpień, z których nie mogłoby wynikać dobro. Taki jest sens naszej działalności i tego się zawsze trzymamy”.

Abp **WOJCIECH POLAK** po wręczeniu Medalu: „Chrześcijaństwo nie jest ideologią, nie może stać się zakładnikiem politycznych korzyści, traci bowiem wtedy ożywczą siłę”.



PODCZAS GALI W KRAKOWSKIM MUZEUM SZTUKI i Techniki Japońskiej Manggha laureatów przyznawanej po raz 25. nagrody ogłosił Piotr Murcharski, redaktor naczelny „TP”.

Kapituła Medalu wyróżniła Ewę Błaszczuk – której fundacja zajmuje się systemowym rozwiązywaniem problemów osób w śpiączce – „za przywracanie nadziei, której nie dawała nawet medycyna; za upór i cierpliwość w tworzeniu systemowej opieki dla ludzi w śpiączce”. Medal w imieniu Ewy Błaszczuk odebrała córka, Marianna Janczarska.

Abp Wojciech Polak, prymas Polski, otrzymał Medal „za walkę ze smakiem podziałów, które oddaliły od siebie Polaków. Za to, że jest siłą spokoju naszego Kościoła. Za to, że jednoczy wspólnotę swoim opanowaniem i pokorą – w naszych czasach cechami unikalnymi”.

– Ewa Błaszczuk wyręczyła nasze państwo w walce o tych, którzy sami nie mogą upomnieć się o swoje prawa. Dała rodzicom nadzieję, której wcześniej odmawiali im lekarze – mówiła w laudacji Anna Goc, dziennikarka „Tygodnika”. – Nam wszystkim pokazała nieopisany dotąd świat: dzieci, które nie budzą się i nie umierają. Takich, dla których nigdzie nie było miejsca.

– Dziękujemy jej za trudne do połączenia cierpliwość i upór. Za wizję. I forsowanie jej mimo wszystko. Za to, że się nie zatrzymuje – także wtedy, gdy po wybudzeniu okazuje się, że potrzebna jest żmudna, długa rehabilitacja – wyliczała Goc. – Dziękujemy, że od lat odpowiada na najtrudniejsze pytania: jak zająć się czymś, wobec czego medycyna nie daje jasnych odpowiedzi? Jak być z ludźmi w śpiączce tam, gdzie są, skoro nie zawsze się da ich sprowadzić z powrotem?

O Prymasie mówił ks. Adam Boniecki.

– Tegoroczno laureata trudno opisywać językiem bojowym. Nie prowokuje starć, jest człowiekiem pokoju – mówił redaktor senior „TP”. – Człowiek pokoju nie znaczy jednak człowiek lękliwy. Ksiądz prymas wie, że jego głos ma większe znaczenie niż głos każdego innego biskupa. Jest następcą wielkich prymasów – Hłonda, ↳



Podczas gali Medalu zaproszeni goście smsami wspierali fundację Akogo?. Poniżej na scenie Marianna Janczarska, abp Wojciech Polak, Anna Goc i ks. Adam Boniecki



→ Wyszyńskiego – którzy z tym tytułem związali wielki autorytet moralny. Reprezentuje Kościół w Polsce. Jest opoką trwałości. Kolejni przewodniczący Konferencji Episkopatu się zmieniają, prymas trwa.

Ks. Boniecki podkreślał, że prymas odważnie wchodzi na podminowane tereny. Wyliczał: „Ostrzega przed wmanewrowaniem Kościoła, biskupów i księży w dołączną politykę”; „Zabierając głos w sprawie reformy sądownictwa przypomniał, że przy okazji każdej reformy trzeba patrzeć na jej dalekosiężne skutki”; „Ku oburzeniu »prawdziwych katolików« wziął udział w obchodach 500-lecia Reformacji”; „W sprawie uchodźców mówił wyraż-

nie, że »chrześcijanin nie może zamknąć się przed uchodźcą«”.

Po wręczeniu Medali głos zabrali laureaci. List od Ewy Błaszczyk odczytała córka: „Nasza fundacja robi wszystko, żeby coraz więcej osób miało szansę na wybudzenie się ze śpiączki, szansę na drugie życie. To bardzo ważne dla chorych przebywających w stanie największego zaburzenia świadomości, przebywających na krawędzi życia i śmierci, ale nie mniej ważne dla ich bliskich. Choruje cała rodzina. Jednak nie ma takich trudności i cierpień, z których nie mogłoby wynikać dobro. Taki jest właśnie sens naszej działalności i tego się zawsze trzymamy”.

– Decydując się na przyjęcie Medalu mam poczucie, że nie jest to dla mnie wyróżnienie, ale swoisty dodatek motywacyjny – mówił abp Polak. – Jestem świadomy, że nigdy dosyć naszych zmagania z tym współczesnym smakiem nienawiści, strachów, podziałów, konfliktów, barykad.

I dodawał: – Chrześcijanie nie mogą być niewolnikami egoizmu indywidualnego, grupowego czy narodowego, bo chrześcijaństwo nie jest ideologią, nie może stać się zakładnikiem politycznych korzyści, traci bowiem wtedy ożywczą siłę.

© P EB

ZDJĘCIA: BEATA ZAWRZEL DLA „TP”

Galę Medalu zakończył występ zespołu Trebunie-Tutki z towarzyszeniem cymbalisty Mirosława Rajta.



GŁÓWNY MECENAS



GŁÓWNY PARTNER



Fundację Ewy Błaszczyk Akogo? można wesprzeć wysyłając SMS o treści: BUDZIMY pod numer 75 250 (opłata 6,15 zł z VAT)



PARTNERZY UROCZYSTOŚCI





MANTA

Polska firma rodzinna

REKLAMA

TELEWIZORY Z FABRYKI W POLSCE



STANISŁAW

Mancewicz:

O miłości inaczej



Z ZACIEKAWIENIEM CZYTAMY CIEKAWOSTKI. Każdego rodzaju. Ile w ciągu swego życia zjadamy kilogramów much? Ile wypijamy czystego spirytusu? Ile schabowych dziennie może zjeść stu najbogatszych Polaków? Są to pytania bardzo ciekawe. Brnąc jednak

przez te osobliwe, acz precyzyjne wiadomości, zauważyliśmy, że brak niestety równie szczegółowych danych na temat miłości. Ile oto miewamy miłości? Kogo kochamy najczęściej? Gdzie miłość się podziewa, gdy znika? Jaka miłość jest najsolidniejsza? By się tego wszystkiego dowiedzieć, postanowiliśmy uruchomić naprędce nasze polowe laboratorium, a pod powiększający okular włożyć owo zjawisko, to znaczy ludzką miłość.

Pierwsze wyniki były banalne: z badań naszych wynikało, że zdolność do zakochania jest w życiu stała i zaprojektowana. Stawiamy w tym miejscu tezę, z której się rozliczamy, że mianowicie możliwość zakochania statystycznego osobnika nie jest nieograniczona, dokładnie tak, jak zamknięta jest liczba oddechów każdego z nas, od owego pierwszego po ostatnie westchnienie, po którym jest już tylko wieczna wilgoć zatrzaśniętej trumny bądź nieznośna ciasnota urny.

Myli się w tym miejscu każdy, kto myśli, że oto będziemy teraz snuć jakieś romansowe dyrdymałki, że z nadejściem jesieni mamy zamiar popaść w rozdzierające egzaltacje, że oto ogólne, internetowe zaróżowienie rzuciło się nam na zgrzybiały mózg. Zważmy, że w laboratoriach nie ma miejsca na czułości czy romanse, bowiem – co wie każdy – panuje w nich kamienny chłód, którego fundamentem jest także założenie mroźnego mniemania. W laboratorium, naszym zwłaszcza, nie ma miejsca na fotele, leżanki czy przytulne przewijaki. Jest tu ogromna liczba przeróżnych a przykrych stelaży, narzędzi oraz żrących preparatów.

Powziąwszy zatem zamiar badań nad miłością, bezgratowo, ale korzystając z pomocy oddanych nam laborantów, umieściliśmy w pasującym uchwycie szarpiącą się nieco miłość i watką umoczoną w eterze pozbawiliśmy ją *vis vitalis*. Pierwej odcieśliśmy piłą spalinową warstwy dawno przebadane, a to sadło i skrzydła, zupełnie nas nieinteresujące (zaniepokoionych ekologów i obrońców praw uspokajamy, bowiem te fragmenty, jak i wszystkie trocinki, oddaliśmy natychmiast *pro bono* portalom randkowym i czołowym mediom polskim do recyklingowania w formie poradników). Następnie za pomocą precyzyjnych nożyków, wiertelek, pilniczków oraz cząpek poszliśmy w głąb i dotarliśmy do fragmentu, który nas ciekawi badawczo. Jest to element miłości, jakby zegareczek, sterujący afektami do partii politycznych i ich przywódców. Tak jak zwykła miłość ludzka jest materialem nieco galaretowatym, poddającym się warunkom i piłom, i póki się jej skrzydełek nie urwie, fruwającym swobodnie, tak ów mechanizm miłowania politycznego mieszka – jak żeśmy zobaczyli i palpacyjnie skonstatowali – w ciężkiej a twardej kulce. Stał przy niej to plastelina, a krzemień to kisiel.

Oto obiekt naszego zainteresowania, wydobyty z masy nieistotnej, pozbawiony nieciekawych elementów Erosa i Wenera, poddany został odkażeniu i preparowaniu, bowiem miłość do partii politycznej pełna jest tak strasznych jądów, wobec których kolonię węgliką można śmiało traktować jako inteligentne serum pod oczy. Wyjaławianie kulki musiało się odbyć w autoklawie, preparowanie zaś pod ciśnieniem podobnym do tego na Merkurym, w atmosferze tak zasiarczonej, że woda Zuber wydaje się przy niej naparem z fiołków. Wszystkie tu opisane tak szczegółowo czynności są oczywiste dla każdego pracującego z toksynami i zjadliwymi bakteriami.

Badania dogłębne wykazały, co następuje: oto miłość do polityków bądź partii nie podlega absolutnie żadnym wahaniom. Jest to najstalsza i najtwardsza z miłości zbadanych, nie da się jej porównać z miłością do byle blondyna czy blondynki, nie ulega żadnej erozji, wyczerpaniu ani znudzeniu, jest mechanizmem bardzo silnie otepiającym; motywuje ona także do życia tak mocno, jak miłość zwykła czasem do nieżycia. Miłość ta tężeje z wiekiem, wprost proporcjonalnie do zanikania miłości zwykłej. Jest to miłość dojrzewająca i niewiedząca.

Wszystkie te spostrzeżenia pozwalają nam zakończyć zdaniem oczekiwanym: Polska jest krajem miłości. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



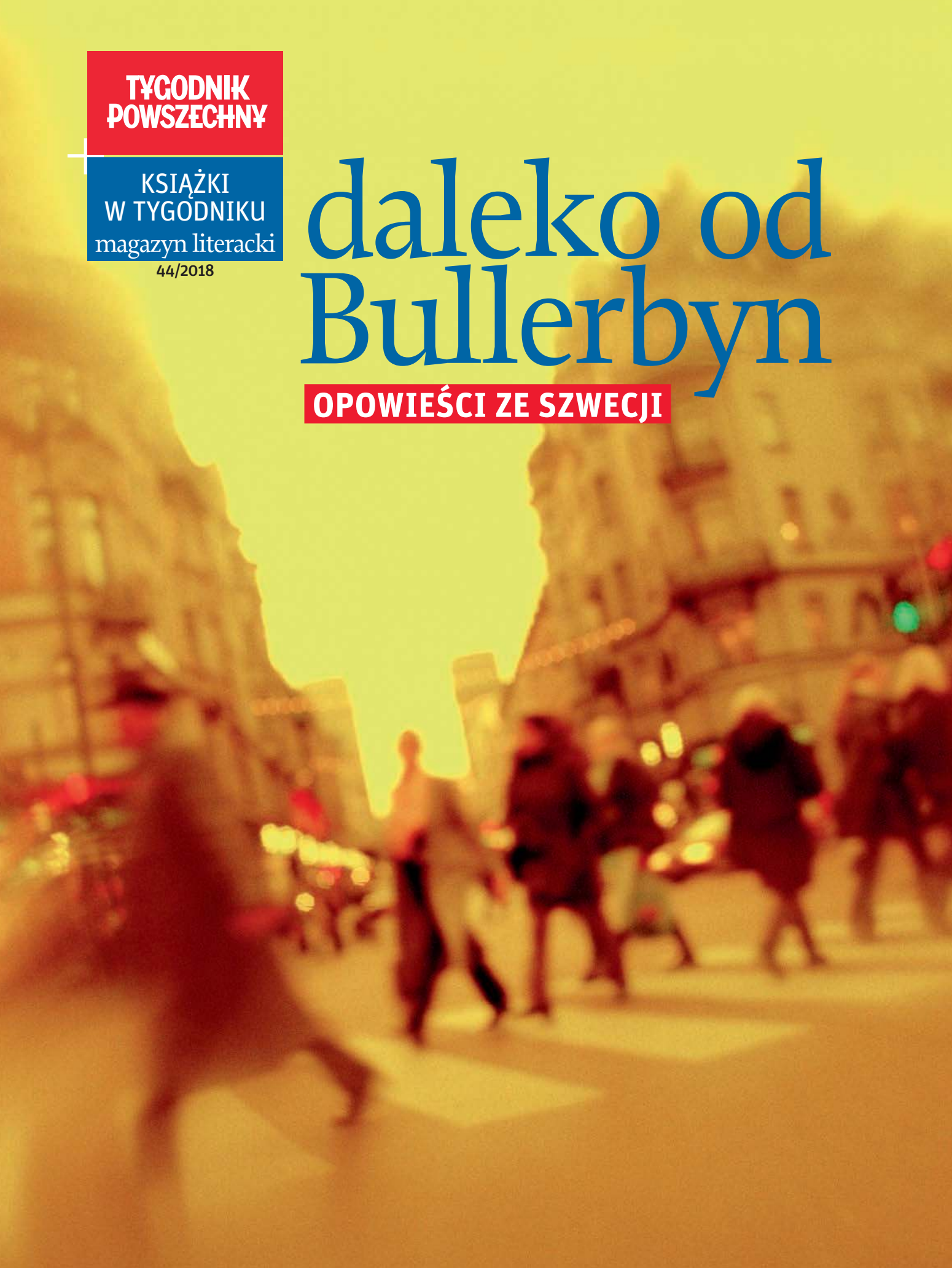
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

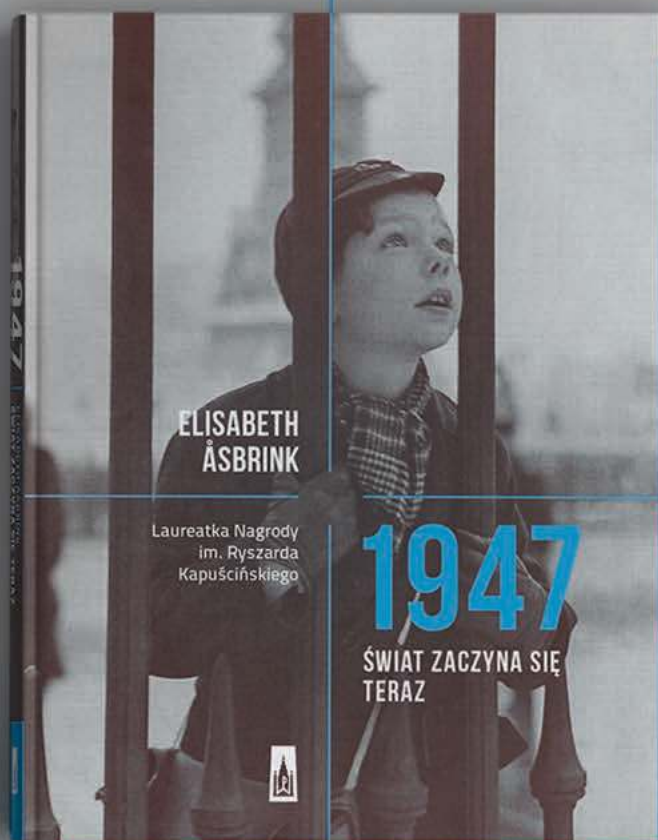
**KSIĄŻKI
W TYGODNIKU**
magazyn literacki

44/2018

daleko od Bullerbyn

OPOWIEŚCI ZE SZWECJI





W

ażna, inteligentna
otwierająca oczy na wiele spraw
opowieść o pozornie nieistotnym
roku 1947, w którym to zasiane
zostały najważniejsze ziarna
naszej współczesności.

Katarzyna Tubylewicz

S

trzały w Kopenhadze" to
pasjonująca kronika być może śmierci,
być może tylko kryzysu szwedzkiego
socjaldemokratycznego marzenia.
Przeżywamy ją w towarzystwie Larsa
Vilksa – wymykającego się ocenie
artysty. Irytującego, bo stawiającego
przed Szwedami lustro. Gęsty, uczciwy
reportaż o – nie tylko szwedzkich –
prawdziwych problemach
i irracjonalnych lękach.

Ewa Wanat



WP
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

w numerze

■ DALEKO OD BULLERBYN Opowieści ze Szwecji

- 4. Katarzyna Tubylewicz **Daleko od Bullerbyn**
- 8. Rozmowa z Elisabeth Åsbrink
- 12. Barbara Gawryluk **Szwedzi to potrafią**
- 15. Justyna Czechowska o nowych opowieściach ze Szwecji
- 18. Rozmowa z Alainem Mabanckou

■ RECENZJE

- 20. Michał Sowiński o nowej książce Gonçalo M. Tavaresa
- 21. Katarzyna Trzeciak o dzienniku Maksa Blechera
- 22. Aleksandra Wojtaszek o reportażu Małgorzaty Rejmer
- 24. Jan Balbierz o powieści „Niespokojni” Linn Ullmann
- 26. Monika Ochędowska o nowej książce Olgi Drendy
- 28. Tomasz Fiałkowski o wspomnieniach Jerzego W. Borejszy
- 30. Michał Cichy o chodzeniu i eseju Rebecki Solnit

■ RUBRYKI

- 32. Książki w pigułce
- 33. Joanna Olech Półka z ulubionymi
- 36. Stanisław Bajtlik Czas na czas
- 38. Ks. Adam Boniecki o „Kazaniu na Aeropagu” Wojtyły
- 40. Inga Iwasiów Głód wsi
- 41. Piotr Śliwiński Co z nią zrobić
- 40. Bartosz Minkiewicz

Redaktor prowadzący: Michał Sowiński
 Redakcja: Tomasz Fiałkowski, Jerzy Franczak,
 Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
 Michał Paweł Markowski, Piotr Mucharski
 Projekt graficzny: Marek Trojanowski
 Fotoedycja: Grażyna Makara
 Skład: Andrzej Leśniak

OKŁADKA: Marek Zalejski / Ulice Sztokholmu
 FOT. HENNETH HELLMAN / ETSABILD AB / EAST NEWS

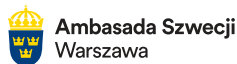
ZDJĘCIA AUTORÓW:
 TYMOTEUSZ LEKLER / AUTOGRAF, GRAŻYNA MAKARA x5,
 KRZYSZTOF MYSTKOWSKI / KFP / REPORTER,
 MICHAŁ NIEDZIELSKI, MICHAŁ SOWIŃSKI, ARCHIWUM PRYWATNE x3

WSPÓŁWYDAWCA



„Książki w Tygodniku” wydajemy przy wsparciu Fundacji TP, dzięki darowiznom przekazanych Fundacji za pomocą modułu FaniPay na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

PARTNER WYDANIA



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW

SWEDISH
ARTS COUNCIL

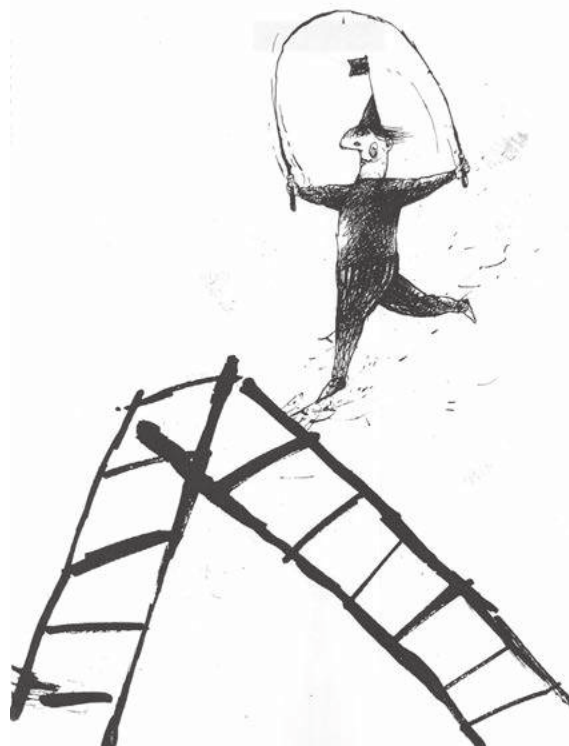
Opowieści ze Szwecji

SKĄD BIORĄ SIĘ DOBRE OPOWIEŚCI? Patrząc na najnowszy magazyn „Książki w Tygodniku”, odpowiedź wydaje się prosta – ze Szwecji. Ale mówiąc serio – to nie przypadek, że literatura niespełna 10-milionowego kraju podbiła serca i umysły czytelników na całym świecie. I nie chodzi wyłącznie o mroczne, dotyczące trudnych problemów społecznych kryminały – to jedynie najnowsza odsłona tej trwającej od wielu dekad fascynacji (bo przecież mody przemijają znacznie szybciej). Jak zauważyła w swoim tekście Katarzyna Tubylewicz, Szwedzi kochają dobre historie – dlatego umiejętność ich tworzenia podnieśli do rangi sztuki. Ale to nie wszystko – Szwedzi kochają nawet bardziej czytanie. I potrafią swoją pasją skutecznie zarażać innych. Efektem są nie tylko niezwykle, czytane w każdym zakątku globu książki, ale też bogate życie literackie i najwyższy poziom czytelnictwa na świecie.

DLACZEGO ZATEM JESTEŚMY DALEKO OD BULLERBYN? Bo Szwedzi wiedzą, że mitologia dzieciństwa jest ważna (o tym, jak świetne książki dla dzieci tworzą, pisze Barbara Gawryluk) – jednak do pewnego momentu. Świat pełen napięć i poruszających dramatów wydaje się ważniejszą, ale też ciekawszą pożywką dla nowych opowieści, co doskonale widać w przeglądzie nowości Justyny Czechowskiej. Do tego dochodzi obsesja – bardzo zdrowa, powinniśmy brać z nich przykład – ciągłej rewizji, i to zarówno przeszłości, jak i teraźniejszości, o czym w dosadnych słowach mówi w wywiadzie Elisabeth Åsbrink.

POZOSTAJE TYLKO ZAPROSIĆ na solidną porcję opowieści ze Szwecji.

© © MICHAŁ SOWIŃSKI



Daleko od Bullerbyn

KATARZYNA TUBYLEWICZ

Kiedy zapytasz szwedzkiego pisarza,
krytyka, wydawcę lub agenta,
co jest najważniejsze w dobrej książce,
odpowiedzą zgodnie: ciekawa historia.



Szwedzi kochają dobre historie. Dlatego wielką siłą ich literatury jest powieść. W Polsce podobne pytanie prowadzi do radykalnie innej odpowiedzi: w literaturze najważniejszy jest język. Z tego powodu naszą siłą jest przede wszystkim poezja. Jednak szwedzka powieść jest nie tylko dobrze napisana i ma wciągającą fabułę, jest także znana na świecie. Zwłaszcza jeśli to kryminał, chociaż byłoby dużym uproszczeniem stwierdzenie, że międzynarodowi czytelnicy zachwycają się jedynie północnymi klimatami *noir*. Kryminały podzięły raczej jak lokomotywa, która pociągnęła za sobą zainteresowanie tym, co piszą Szwedzi. W latach 2002-15 na liczne języki przetłumaczono przeszło 9 tys. tytułów literatury pięknej. Książki Astrid Lindgren sprzedały się w 143 mln egzemplarzy na całym świecie, Henninga Mankella w 25 mln, a Stiega Larssona w przeszło 60 mln. To bardzo dużo jak na mały, północny kraj.

Mam przed oczami obrazy z plaż na Sytylii, w Grecji i w Vietnamie z turystami pochłoniętymi lekturą Mankella, Läckberga, Lapidusa i Keplera. Wszystkie te nazwiska znają także polscy czytelnicy i to nawet ci, którzy udają, że nigdy nie sięgają po litera-

turę popularną, bo jako alibi mogą zawsze powiedzieć, że dla szwedzkich autorów intryga kryminalna jest jedynie pretekstem dla wnikliwej diagnozy społecznej.

Warto jednak podkreślić, że w Polsce wychodzi też imponująco dużo przekładów literatury najwyższych lotów. Zresztą nie od dziś i nie tylko u nas. Świat czytał i cenił Szwedów, na długo zanim „Millenium” Larssona pobiło wszelkie rekordy sprzedaży, utrzymując się na topie amerykańskich list bestsellerów przez 202 tygodnie. Czytał ich, zanim Niemcy odkryli Mankella i zaczęli pisać o fenomenie Schweden-Krimis, zanim w najważniejszych księgarniach w Paryżu pojawiły się półki z napisem „Polars suédois”. Do międzynarodowego kanonu należą tacy autorzy jak August Strindberg, Selma Lagerlöf, niezrównana Astrid Lindgren, Tomas Tranströmer, P.O. Enquist czy Kerstin Ekman. Członek Akademii Szwedzkiej, Kjell Espmark, twierdzi wręcz, że złoty okres szwedzkiej literatury trwa od lat 40. XX w., kiedy to zaczęła być doceniana we Francji i w Niemczech.

Zwierciadło współczesności

Nie przepadam za literackimi hierarchiami i w szwedzkim stylu uważam,

że najważniejsze jest, by po prostu czytać. Niemniej ubolewam, że ambitne przekłady ze szwedzkiego łatwo umykają świadomości polskich czytelników. Szkoda, bo współczesna literatura szwedzka jest jednocześnie oryginalna i uniwersalna, a wynika to z zaangażowania społecznego, a także świadomości klasowej i genderowej.

Idealnym przykładem tej pisarskiej wrażliwości jest ceniona w Polsce twórczość Majgull Axelsson. Szwedzcy pisarze w ogóle mają ambicję opisywania teraźniejszości – jest w tej literaturze coś ze Stendhałowskiego „zwierciadła, które obnosi się po gościńcu”. Kolejną, chyba nieoczekiwaną w kraju słynącym z powściągliwości emocjonalnej, cechą współczesnej literatury jest odwaga w opisywaniu uczuć. Nie ma tu wiele z polskiej ironii i dystansu, wyraźnie obecny jest za to element konfesyjny i powalająca czasem odwaga w odsłanianiu prywatności autora, który nie skrywa się za żadnym *alter ego*. Jest to szczególnie widoczne w literaturze tworzonej przez kobiety: w ostatnich powieściach Agnety Pleijel, a także w twórczości takich autorek jak Ebba Witt-Brattström, Lena Andersson czy dopiero przekładanej na polski Therese Bohman.

→



→ Poza tym w literaturze szwedzkiej obecne są tematy, które literatura polska często omija szerokim łukiem. Jakże? Przyjrzyjmy się kilku najnowszym przekładom ze szwedzkiego.

Tożsamość i nierówności

W ostatnim czasie najczęściej pojawiającymi się w mediach tematami związanymi ze Szwecją są wielokulturowość i integracja imigrantów. Często przedstawiane w kontekście problemów dyskutowanych dziś nie tylko przez Szwecję, ale całą Europę. Tym bardziej warto pamiętać, że wśród najważniejszych i najczęściej nagradzanych szwedzkich autorów średniego pokolenia jest kilku, których talent Szwecja dostała niejako w prezencie dzięki swojej otwartości.

Pisarze ci mistrzowsko diagnozują nowe społeczne podziały i nierówności. W ich książkach obecny jest duch współczesnego pozytywizmu oraz pragnienie, by literatura miała wpływ na rzeczywistość polityczną. Myślę, że to oni najlepiej dziś opowiadają o nowej Szwecji – tej prawdziwej, zróżnicowanej i... dalekiej od Bulberbyn.

Dobrym na to przykładem jest świetna dystopijna powieść Johanna Anyuru, „Utoną we łzach swoich matek” w przekładzie Dominiki Góreckiej. Autor to wychowany na imigranckich przedmieściach syn szwedzkiej matki i uchodźcy z Ugandy. Parę lat temu przeszedł na islam. Światowy rozgłos zyskał sobie powieścią o ojcu. W kolejnej, nagrodzonej Augustpriset (najważniejszą szwedzką nagrodą literacką) powieści sięgnął po najbardziej aktualne i niepokojące tematy współczesności: rasizm, terroryzm i islam. Jeden z wychwalających powieść recenzentów napisał, że Anyuru udało się coś, z czym ogromny problem mają dziennikarze: wyraził z jednej strony odrazę do zamachów terrorystycznych dokonywanych w imię islamu, z drugiej zaś do islamofobii.

Temat stosunku do inności, w tym do muzułmanów, jest kluczowy dla zrozumienia bogatej twórczości Jonasa Hassena Khemiriego, syna Szwedki i Tunezyjczyka, który debiutował w roku 2003 głośną, nieprzełożoną jeszcze na polski powieścią „Oko czerwone”. Napisał ją językiem nacechowanym obcością z imigranckim przedmieściem. Khemiri to szwedzko-tunezyjski kuzyn Masłowskiej, wirtuoz języka, który również pisze dramaty. W Polsce, w przekładzie Elżbiety Frątczak-No-

wotny, ukazała się niedawno jego powieść „Wszystko, czego nie pamiętam” (także nagrodzona Augustpriset). To piękna i melancholijna historia o przyjaźni, polityce, zdradzie i przemocy, a także o tych mieszkańcach Szwecji, którzy nie mają nic wspólnego z wyidealizowanymi marzeniami o kraju powszechnego dobrobytu. Khemiri pisze o bezrobotnych i zmarginalizowanych, o ludziach bez pozwolenia na pobyt i bez przyszłości, a także o zagubieniu i poszukiwaniu tożsamości w coraz bardziej mozaikowym świecie.

Odwaga kobiet

Szwecja kojarzy nam się zawsze z równouprawnieniem i feminizmem. Ostatni szwedzki rząd (piszę ten tekst po wyborach 9 września) chwalił się nawet tym, że jako pierwszy na świecie prowadzi feministyczną politykę zagraniczną. Jednocześnie najciekawsze szwedzkie książki, które da się zaliczyć do nurtu literatury feministycznej, nie mają w sobie nic z ideologicznej jednoznaczności. Jest w nich za to głęboka genderowa świadomość i zupełnie nowe spojrzenie na ograne przez literaturę tematy. Jest uparta walka o własną podmiotowość i dużo odwagi. Jest zaskoczenie i przewrotność.

Powieść Leny Andersson „Bez opamiętania”, która ukazała się w Polsce w tłumaczeniu Anny Marciniakówny, wzbudziła zachwyt krytyków, otrzymała wiele nagród i sprzedadała się w niemal pół milionie egzemplarzy (do sukcesu komercyjnego mógł przyczynić się fakt, że autorka nie ukrywała specjalnie autobiografizmu). Na wiele sposobów jest to książka paradoksalna. Napisana precyzyjnym, oszczędnym językiem, z którego Andersson słynie jako felietonistka dziennika „Dagens Nyheter”, ma w sobie coś z traktatu filozoficznego. Jednocześnie opowiada banalną historię o nieodwzajemnionej miłości młodej kobiety do starszego, narcystycznego mężczyzny. O miłości, która zamienia się w obsesję. Recenzenci zwracali uwagę na wyjątkowość skonstruowanej przez Andersson postaci odrzuconej kobiety, która pozostaje silna i nigdy nie szuka winy w sobie.

Literaturoznawczyni i jedna z najbardziej znanych szwedzkich feministek Ebba Witt-Brattström uważa, że „Bez opamiętania” jest wybitnym literacko wkładem w walkę pomiędzy feminizmem a radykalizmem seksualnym. W książce Andersson seks widziany jest jako spotka-

MICHEL SETBON / GETTY IMAGES



Sztokholm, 2017

nie dwóch podmiotów w pełni odpowiedzialnych za swoją wzajemną relację.

Ta sama Ebba Witt-Brattström wielokrotnie wywoływała burzę w szwedzkim świecie literackim. Do dziś dyskutowana jest jej feministyczna analiza pederastycznych wątków w czwartym tomie „Mojej walki” Karla Ove Knausgård. Od dawna jest też ostrą krytyczką feudalnych stosunków panujących w przynajmniej jednej z Nagród Nobla Akademii Szwedzkiej. W tym roku ukazała się w Polsce jej pierwsza książka nienaukowa – „Miłosna wojna stulecia” w przekładzie Justyny Czechowskiej. To fascynująca powieść rozpisana na dwa głosy, męski i żeński, którą dałoby się też uznać za poemat albo dramat. Witt-Brattström tworzy przejmujący obraz rozpadu małżeństwa: pokazuje relację zamienioną w odwieczny pojedynek płci i eksploruje nienawiść, która kiedyś była miłością. Temat pozornie banalny, jednak książka chwytą za gardło, a jej przekaz jest tym mocniejszy, że autorka nie ukrywa, iż to także intymny zapis rozpadu jej 30-letniego małżeństwa z Horacem Engdah-



lem, znanym szwedzkim intelektualistą i członkiem Akademii Szwedzkiej.

Pozbawiony chęci upiększeń i sentymentalizmu, chwilami wręcz nagi autobiografizm jest także wielką siłą dwutomowego cyklu powieści Agnety Pleijel „Wróżba. Wspomnienia dziewczynki” i „Zapach mężczyzny”. Obie ukazały się w Polsce w przekładzie Justyny Czechowskiej.

Pleijel opowiada o byciu dzieckiem i młodą kobietą w Szwecji znacznie bardziej konserwatywnej niż ta dzisiejsza. Jej cykl powieściowy to kobieca wersja *Bildungsroman*: portret dorastania, odkrywanie ciała i seksualności, poszukiwanie dla siebie miejsca w patriarchalnym świecie intelektualistów, pierwszych związków i macierzyństwa. Pleijel poruszająco opowiada o samotności młodej, inteligentnej kobiety niemieszczącej się w obowiązujących wzorcach. Co ciekawe, owe wzorce nie są tylko patriarchalnymi kliszami, bo obowiązujący w latach 60. model kobiety wyzwolonej także okazuje się niełatwy w realizacji.

■ Szwedzki reportaż to obiektywny i bolesny opis rzeczywistości złożonej, skomplikowanej i niemającej wiele wspólnego z mitem o kraju idealnie sprawiedliwym.

Reporterskim okiem

Od kilkunastu lat coraz lepiej widać, że obok fikcji najbardziej popularnym na świecie staje się również szwedzki reportaż. W Polsce najlepiej znaną autorką tego gatunku jest Elisabeth Åsbrink, której historyczny reportaż o szwedzkiej fascynacji nazizmem „W Lesie Wiedeńskim wciąż szumią drzewa” (w przekładzie Ireny Kowadło-Przedmojskiej) otrzymał Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego. Åsbrink jest autorką, która nieustannie

mierzy się z tym, co ciemne w szwedzkiej przeszłości, oraz tym, co kryje się za wypolerowaną fasadą teraźniejszości. Fascynującym reportażem jest jej „Czuły punkt. Teatr, naziści i zbrodnia” (w przekładzie Ireny Kowadło-Przedmojskiej), poruszający temat neonazizmu w Szwecji. Z kolei „1947. Świat zaczyna się teraz” (w tłumaczeniu Natalii Kołaczek) to książka opowiadająca o międzynarodowych wydarzeniach, które uformowały naszą współczesność, ale i w niej autorka odkrywa niechętnie przypominane karty szwedzkiej historii. Podobne wątki można znaleźć w wstrząsającym reportażu Gellerta Tamasa „Mężczyzna z laserem. Historia szwedzkiej nienawiści” (przekład Elżbieta Frączak-Nowotny), a także w przełożonym przeze mnie i nagrodzonym Wielką Nagrodą Dziennikarską reportażu Niklasa Orreniusa „Strzały w Kopenhadze”. To jedna z najlepszych książek na temat zagrożenia ekstremizmem, jaką kiedykolwiek czytałam, a także fascynujący traktat na temat wolności słowa. Orrenius w niezwykle obiektywny sposób opisuje szwedzkie środowiska islamistyczne oraz skrajnie prawicowe, snując jednocześnie opowieść o losach conceptualnego artysty Larsa Vilksa, który po tym, jak narysował proroka Mahometa jako psa, stał się postacią „radioaktywną”, człowiekiem, którego obecności wszyscy się boją.

Dokonując wielkiego uogólnienia, można powiedzieć, że największą siłą szwedzkiego reportażu jest to samo, co zachwyciło świat w szwedzkich kryminałach i innych powieściach – skrajnie obiektywny i nieuciekający od najtrudniejszych tematów opis Szwecji złożonej, skomplikowanej i niemającej wiele wspólnego z mitem o kraju idealnie sprawiedliwym, egalitarnym oraz równouprawnionym.

Najwyraźniej świat chce czytać o tym, jak Szwecja mierzy się z samą sobą – bez względu na formę gatunkową – bo nie może uwierzyć, że Bullerbyn było tylko mitem. Ale akurat to nie jest już problem Szwedów. ©

KATARZYNA TUBYLEWICZ (ur. 1974) jest pisarką, publicystką, kulturoznawczynią i tłumaczką literatury szwedzkiej. Autorka zbioru reportaży o Szwecji „Moralisci” (2017) oraz powieści „Własne miejsca” (2005), „Rówieśniczki” (2014) i „Ostatnia powieść Marcela” (2016), a także antologii „Szwecja czyta. Polska czyta” (2015, razem z Agatą Didusko-Zyglewską). Mieszka w Sztokholmie.

Przebyliśmy długą drogę

ELISABETH ÅSBRINK

Rolą dziennikarzy i historyków nie jest wskazywanie winnych czy ferowanie wyroków, tylko mówienie prawdy o przeszłości. To niezbędne, aby trzeźwo oceniać teraźniejszość.

MICHAŁ SOWIŃSKI: W Szwecji ukazała się właśnie Pani nowa książka – tym razem o... szwedzkich wartościach.

ELISABETH ÅSBRINK: Od dłuższego czasu na naszej scenie politycznej obecna jest partia narodowo-populistyczna – Szwedzcy Demokraci – która swoją popularność zbudowała, mówiąc dużo właśnie o szwedzkich wartościach. Zrobiła się z tego dyskusja – jedni im przyklaskiwali, inni odpowiadali, że nie ma czegoś takiego, że prawdziwe wartości mogą być jedynie uniwersalne. Postanowiłam zabrać głos.

I istnieją szwedzkie wartości?

Oczywiście, że tak. Napisałam książkę o szwedzkiej kulturze, a także o tym, jak Szwedzi postrzegają samych siebie. Jestem potomkiem imigrantów i zawsze patrzyłam na swój kraj nieco z boku, więc bez problemu potrafię dostrzec pewne cechy, które są unikalne w skali świata.

Jak dostrzec rzeczy unikalnie szwedzkie?

Oczywiście przez język. Badając pojedyncze słowa i całe wyrażenia można łatwo prześledzić historię danej kultury – skąd się wzięły określone wartości, ale też sposób patrzenia na świat.

Konkretny przykład?

Weźmy choćby *folkhem*, czyli dosłownie „dom ludzi”, słowo, które miało ogromne znaczenie w szwedzkiej historii i kojarzy się z Perem Hanssonem, który był premierem w czasie wojny. Używano go także później. Przez wiele powojennych dekad było synonimem tzw. szwedzkiej drogi, czyli ideologicznego kompromisu między socjalizmem a kapitalizmem. Ale to nie socjaldemokraci je wymyślili, oni przecież w tamtych czasach używali języka Marksa

i interesowała ich międzynarodowa perspektywa. A mimo to przejęli je od nacjonalistów.

Dlaczego?

Bo widzieli, jak w latach 30. Hitler dochodził do władzy, między innymi przez bezradność niemieckich socjaldemokratów. Żeby uniknąć tego błędu, postanowiono przechwycić politycznie niebezpieczne pojęcia – szczególnie te, w których pojawia się *folk* – i wypełnić je socjaldemokratyczną treścią. Ówczesni politycy lewicy zdawali sobie sprawę, że większość ludzi ma potrzebę uczestniczenia w swego rodzaju mistycznej fikcji, jaką jest naród. Próbowali więc ją spełnić w ramach modelu demokratycznego. Historia tego pojęcia pokazuje „unikalnie szwedzką” wartość.

To bardzo pozytywny przykład.

Niestety, nie wszystkie takie są. Weźmy inny – Zlatan Ibrahimović, ikona szwedzkiego sportu. A jednak przez lata dziennikarze pisali o nim, że jest nieszwedzki...

...chyba nie ze względu na pochodzenie?

ELISABETH ÅSBRINK (ur. 1965) jest szwedzką pisarką, dziennikarką i dramatopisarką. W 2011 r. za reportaż „W Lesie Wiedeńskim wciąż szumią drzewa”, przeł. Irena Kowald-Przedmojska, otrzymała Nagrodę im. Kapuścińskiego. W Polsce ukazały się także dwie inne jej książki: „Czuły punkt. Teatr, naziści i zbrodnia”, przeł. Irena Kowald-Przedmojska (2014), oraz „1947. Świat zaczyna się teraz”, przeł. Natalia Kołaczek (2017). 25 października będzie gościć w Krakowie na Festiwalu Conrada i Międzynarodowych Targów Książki.

Skąd! Nieszwedzka była jego samolubna i egocentryczna postawa, także na boisku. Oskarżano go o niesportowe i niedrużynowe zachowania, granie na siebie i gwiazdowanie. Niedawno jednak Ibrahimović stał się twarzą nowej kampanii Volvo, w której reprezentuje wcielenie szwedzkich wartości. Problem polega na tym, że przez te lata to nie on się zmienił, tylko szwedzkie społeczeństwo. Duch zbiorowości podupadł, zastąpił go kult rywalizacji i indywidualności. W ten sposób właśnie próbuję opisać współczesną Szwecję, przez słowa takie jak *folkhem* i „Ibrahimović”.

Żyjemy w czasach narastającego w Europie nacjonalizmu. Ten projekt – analiza ważnych dla debaty publicznej pojęć – ma być rodzajem szczepionki?

Myslenie w kategoriach narodowych nie zawsze musi mieć negatywne konsekwencje, a rzeczywistość jest zazwyczaj bardziej skomplikowana, niż się nam wydaje. Pojęcia i wartości, których na co dzień używamy, też są w ciągłym ruchu. Z upływem czasu zmieniają znaczenie, a komentatorzy często zapominają, że nigdy nie było „roku zerowego”, punktu odniesienia, gdy wszystko działało idealnie. Jeśli zrozumiemy, że istotą każdej kultury – a języka w szczególności – jest zmiana, łatwiej będzie rozmawiać choćby o kryzysie migracyjnym.

Pojęcie „narodu” wciąż może być przydatne?

Tak, jeśli powiemy sobie jasno – istnieje coś takiego jak „szwedzkość”, ale podlega ona nieustannej zmianie.

Maciej Zaremba Bielawski twierdzi, że nie ma dwóch krajów bardziej różnych od siebie niż Polska i Szwecja. Jednak ➔



⇒ czytając Pani reportaż „W Lesie Wiedeńskim wciąż szumią drzewa” nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że historia o nierozliczonym do dziś flircie z nazizmem brzmi niepokojąco znajomo.

Problem leży w fantazjach, które tworzymy na swój temat. Na przykład Duńczycy uwielbiają myśleć o sobie jako o ludziach wolnych. Szwedzi z kolei uważają się za bezwarunkowo dobrych i empatycznych.

A nie zawsze tak było. W tym przypadku można nawet podać konkretną datę radykalnej zmiany – październik 1943 r. Wcześniej priorytetem Szwecji była izolacja i unikanie wojny. Było to możliwe jedynie dzięki pobłażaniu Hitlerowi. Pozwalano mu na tak wiele, że oficjalnie deklarowana neutralność była czystą fikcją. W pierwszych latach wojny wielu szwedzkich Żydów zostało zesłanych do obozów śmierci. Jednak próba deportacji 500 norweskich Żydów jesienią 1943 r. okazała się punktem zwrotnym. To przełamało obojętność, otwarto wtedy granice i udzielono azylu tysiącom Żydów z Danii, potem, aż do zakończenia wojny, podjęto jeszcze wiele innych działań. Z pewnością częścią motywacji było poczucie winy za wcześniejszą bierność.

Mówiąc o podobieństwie, miałem na myśli trudności z przepracowaniem ciemnych kart historii. Jak wygląda w Szwecji pamięć o wydarzeniach sprzed października 1943 r.?

Moja książka wzbudziła szeroką debatę. Wiele osób stwierdziło, że kraj, który opisuję w „Lesie Wiedeńskim”, nie jest ich krajem, że nie potrafią się z nim utożsamić. Wiele osób wściekło się, bo zburzyłam wyidealizowaną wizję, w którą łatwo i przyjemnie było wierzyć. Napisałam przecież, że założyciel IKEA Ingvar Kamprad był członkiem nazistowskiej partii, co stało się międzynarodową sensacją.

Niektórzy zarzucali mi wtedy, że niszczę wspaniałego człowieka, który zrobił dla Szwecji o wiele więcej, niż ja kiedykolwiek zdołam w swoim życiu. I zapewne mają rację, co niczego nie zmienia w kwestii dokumentów, które znalazłam w archiwach. Najczęstszą reakcją był jednak szok i niedowierzanie, bo mało kto słyszał o tej części szwedzkiej historii. Z drugiej strony – nie sposób w pełni przyjąć do wiadomości i przepracować w zdrowy sposób

■ Dobry człowiek, zły człowiek – to mnie nie interesuje. Ważne było dla mnie to, że założyciel IKEA nigdy nie zmierzył się ze swoją przeszłością.

wszystkie tragiczne wydarzenia z czasów wojny. Skoro filozofowie tacy jak Primo Levi ostrzegają: „Nie próbuj zrozumieć”, to co dopiero mają powiedzieć zwykli ludzie? Tu nie ma prostych rozwiązań.

To smutny paradoks, widoczny także w Polsce. Jeśli było się ofiarą obcej agresji, dużo trudniej rozliczyć się z własną przeszłością, nawet jeśli mówimy o nieporównywalnie mniejszej skali zbrodni.

Tu powinni wkroczyć dziennikarze, historycy i pisarze. Ich zadaniem jest jednak mówienie prawdy o przeszłości, a nie wskazywanie winnych czy ferowanie wyroków, co niektórzy myślą. Bez odpowiedniej wiedzy o przeszłości nie jesteśmy w stanie trzeźwo ocenić teraźniejszości. Weźmy choćby częste porównania dzisiejszej sytuacji do lat 30. XX w. A przecież to zestawienie jest kompletnie nietrafione! Co gorsza, jeśli w nie uwierzemy, nie dostrzeżemy nowych, bardzo poważnych zagrożeń, wzmocni ono jedynie poczucie beznadziei.

Stąd ta powszechna depresja?

Tak jest wygodniej. Ludzie otulają się nią niczym ciepłym kocem i zamiast zmierzyć się z tym, co trudne i nowe, wolą pograć się w dobrze znanych fantazjach. A dzisiejszy świat w niczym nie przypomina lat 30. Mamy zabezpieczone prawa

■ Jeśli zrozumiemy, że istotą każdej kultury, a języka w szczególności, jest zmiana, łatwiej będzie rozmawiać na trudne tematy.

człowieka, w tym prawa mniejszości, żyjemy w społeczeństwach, które z zasady sprzeciwiają się autorytaryzmowi i ekonomicznie też jesteśmy w zupełnie innym miejscu. Nie można o tym zapominać.

Pisze Pani o skomplikowanych rozdziałach szwedzkiej historii, a jednocześnie unika Pani jednoznacznego oceniania innych. Ma Pani jakąś roboczą definicję tego, co dobre i złe?

Możemy mówić o dobrych lub złych czynach – mówienie w tych kategoriach o ludziach nie ma sensu. Primo Levi, przywołam go znowu, powiedział, że tylko cierpienie może zrodzić się bez żadnego wysiłku. Wystarczy, że ludzie odwrócą wzrok, przestaną słuchać i odmówią działania. Aby narodziło się zło, wystarczy nic nie robić.

Pytam między innymi o przypadek Ingvara Kamprada i jemu podobnych, którzy przecież nikogo nie zabili, bezpośrednio nie przyczynili się też do czyjekolwiek śmierci. W pewnym sensie byli nawet dobrymi ludźmi...

No właśnie! Dobry człowiek, zły człowiek – to mnie nie interesuje. Ważne było dla mnie to, że Kamprad nigdy nie zmierzył się ze swoją przeszłością. Jeśli miałabym go o coś oskarżyć, to o brak refleksji. Dać się uwieść za młodu przez nazizm to jedno, ale do końca życia nie przyznać się do błędu i nie przeprosić – to zupełnie inna sprawa.

Zastanawiająca jest jego przyjaźń z drugim bohaterem książki, Otto Ullmannem, który był przecież Żydem.

Bo tak działa ludzka psychika – nawet jeśli ślepo wierzymy w ideologię, która mówi, że wszyscy Żydzi są podli i trzeba ich zabić, to wciąż jesteśmy w stanie zrobić wyjątek dla kogoś, kogo lubimy. Dobrze to świadczy o nas jako ludziach, ale jednocześnie stanowi wentyl bezpieczeństwa, który umożliwia działanie każdej ideologii.

Umierają ostatni świadkowie tragedii z połowy XX wieku. Obecny kryzys demokracji jest z tym związany?

Myślałam o tym, bo przecież cały wojenny porządek miał na celu nie dopuścić do kolejnej katastrofy. Ale nie wydaje mi się, żeby odchodzenie naocznych świadków miało kluczowe znaczenie dla dzisiejszych kryzysów. Ci, którzy prze-

szli piekło, najczęściej nie potrafili o tym opowiedzieć. Kiedyś robiły to ich dzieci, a teraz wnuki, czyli my, którzy wciąż tu jesteśmy. Tego typu traumy nie znikają w ciągu dwóch czy trzech pokoleń.

Jednak nie da się nie zauważyć, że porządek świata, który wykuwał się zaraz po wojnie, co opisuje Pani w książce „1947”, powoli znika. „Znika” to chyba jeszcze za mocne słowo, ale z pewnością jest zagrożony.

Jeśli za jakieś pół wieku ktoś będzie chciał napisać podobną książkę, to jaki rok powinien wpisać w tytuł? Może obserwujemy właśnie początek zupełnie nowego świata, tylko jeszcze o tym nie wiemy?

To bardzo możliwe. Myślę, że ten tytuł powinien mieć w sobie datę 2016. Wtedy Trump doszedł do władzy, a Wielka Brytania postanowiła opuścić Unię Europejską – oba te wydarzenia można uznać za symboliczny koniec pewnej epoki. Z drugiej strony trudno wciąż jednoznacznie przesądzać, być może to tylko chwilowe

wychylenie i jeszcze wszystko wróci do normy?

Da się w ogóle wyczuć narodzin nowej epoki? Czy bohaterowie „1947” dostrzegali powagę czasów, w których żyli?

Chyba tak, ale wtedy było łatwiej, bo wszędzie w powietrzu była nadzieja na lepszą przyszłość. I to nie tylko wśród tych, którzy jeszcze niedawno byli ofiarami – ich oprawcy też chcieli zacząć od nowa. Każdy marzył o tym, żeby przeszłość odciąć grubą kreską. Ta powszechna niecierpliwość i chęć działania jest też źródłem współczesnych problemów z pamięcią. Wtedy nikt nie chciał się bawić w rozliczanie wczoraj, ważne było tylko to, co przyniesie jutro.

Ale już wtedy nie wszystko układało się różowo.

W 1947 r. Christian Dior kończył prace nad projektem „New Look” – jego kreacja wymagała ponownego założenia gorsetów. W tym samym czasie tysiące kobiet pracujących przez całą wojnę w lon-

dyńskim metrze z dnia na dzień straciło pracę, bo trzeba było zatrudnić wracających z wojny mężczyzn. Tak więc z jednej strony mamy powstające ONZ i dyskusję nad powszechnymi prawami człowieka, z drugiej powrót porządku opresyjnego wobec kobiet. Progres i regres zazwyczaj idą w parze.

A dziś? Oczywiście dzieje się wiele złego, ale pod prawie każdym względem żyjemy w najlepszej z epok w dziejach ludzkości.

Też tak uważam, dlatego tak bardzo niepokoi mnie powszechny, a przez to niebezpieczny pesymizm. Z tego rodzaju wszelkiej maści populizmu. Nie możemy zapomnieć, jak wiele udało nam się osiągnąć, bo demokracji nie niszczą ekstremiści, tylko demokraci pogrążeni w depresji.

Jak z niej wyjść?

Tylko poprzez wiedzę – trzeba przypominać, jak długą i krętą drogę przebyliśmy, żeby znaleźć się tu, gdzie teraz jesteśmy. ©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

REKLAMA

Wydawnictwo Zakamarki
11 lat = 220 szwedzkich książek dla dzieci i młodzieży

Szwedzi to potrafią

BARBARA GAWRYLUK

**Każdą dyskusję o szwedzkich książkach dla dzieci zaczyna pytanie:
„Na czym polega fenomen ich popularności?”.
Niełatwo odpowiedzieć,
bo powodów sukcesu jest wiele.**

Kilkanaście lat temu nie potrafiłam przekonać polskich wydawców do nowych szwedzkich tytułów, teraz każde wydawnictwo chciałoby mieć „swojego” Szweda. Czy jest coś, co łączy najpopularniejszych bohaterów szwedzkich książek dla najmłodszych czytelników?

Jeśli zaczniemy od Pippi Långstrump, kanonicznej postaci stworzonej przez Astrid Lindgren, to jej następczyni i następców znajdziemy w wielu współczesnych tytułach. Pippi liczy już sobie przecież 73 lata. Co ciekawe, w połowie lat 40. XX w. była wręcz za odważna i zbyt samodzielna dla wielu wydawców – zdarzały się próby cenzurowania tekstu lub odmowy jego publikacji. Szalone pomysły rudowłosej dziewczynki, jej niezależność i odwaga imponują dzieciom do dziś, a przecież mają teraz wielu podobnych, ale bardziej współczesnych bohaterów do naśladowania.

Szwedzi w Polsce

W Polsce szwedzka literatura dziecięca przeżywa dobry czas już od ponad 10 lat. Wcześniej przebijały się do nas właściwie tylko kolejne powieści Astrid Lindgren, do dziś wydawane przez Naszą Księgarnię, znaliśmy jeszcze Filonka Bezogonka Gösty Knutssona i detektywa Turęgo Sventona stworzonego przez Åkego Holmberga. Mocnym uderzeniem było powstanie poznańskiego wydawnictwa Zakamarki, specjalizującego się w tej literaturze. W wydawnictwie ukazały się m.in. książki Astrid Lindgren dla młodszych dzieci, których wcześniej nie mieliśmy po polsku. Pojawili się także nowi, „seryjni” bohaterowie, którzy od razu zdobyli serca małych Polaków: Mama

Mu, postać stworzona przez małżeństwo Wieslanderów i Svena Nordqvista – odważna, niezależna, niepoddająca się stereotypom krowa, która chce się bawić tak samo wesoło jak dzieci; Nusia z książek Pii Lindenbaum, której odwaga i pomysłowość są głęboko schowane i objawiają się dopiero w towarzystwie wilków, owieczek czy łosi, oraz Karusia z serii o Piaskowym Wilku Åsy Lind z ilustracjami Kristiny Digman, czyli dziewczynka, dla której najwierniejszym kompanem staje się wymyślony Piaskowy Wilk spotkany na plaży. W tych opowieściach odnajdują się wszystkie trochę samotne dzieci obdarzone bogatą wyobraźnią.

W następnych latach do tego grona dołączają Lasse i Maja, bohaterowie serii Martina Widmarka i Heleny Willis „Biuro Detektywistyczne Lassego i Mai”, co rozpoczyna w Polsce modę na kryminalne serie dla dzieci. Lasse i Maja są sprytniejsi niż dorośli, mają dużo swobody, a o ich rodzicach wiemy niewiele. Czasem narażają się na niebezpieczeństwa, a zagadki, które rozwiązują, wcale nie są proste. To właśnie spodobało się młodym czytelnikom serii, którą Martin Widmark wymyślił, kiedy pracował jako nauczyciel i był świadkiem słabnącego zainteresowania czytaniem wśród uczniów. Od jego książek nie mogli się jednak oderwać i domagali się kolejnych części – w ten sposób, również po polsku, mamy już 25 tomów. Polscy rodzice często podkreślają: „to pierwsza samodzielnie przeczytana książka mojego dziecka”, wskazując na „Tajemnicę diamentów” czy „Tajemnicę hotelu”.

Równocześnie z serią Martina Widmarka pojawiły się w Polsce książki Ulfa Starka „Jak tata pokazał mi wszechświat”



(ilustracje Eva Eriksson), „Jak mama została Indianką” (ilustracje Mati Lepp), „Czy umiesz gwizdać, Joanno?” (ilustracje Anna Höglund) oraz kolejne książki Pii Lindenbaum: „Igor i lalki”, „Filip i mama, która zapomniała” czy „Zlatanka i ukochany wujek”. Książki poruszające tzw. trudne tematy, rozbrajające stereotypy, dyskutujące o rodzicielskich rolach i prawach najmłodszych to specjalność szwedzkiej literatury dla dzieci.

Poważne tematy

Świetnym tego przykładem może być „Chusta babci” Åsy Lind (ilustracje Joanna Hellgren) – dyskretna i oszczędna opowieść o międzypokoleniowej więzi, o chorobie i o pożegnaniu z babcią. Dzięki takim książkom dziecko ma szansę znaleźć rozwiązanie, odpowiedź, poczuć, że nie jest samo ze swoim problemem. W książkach o „trudnych sprawach” spe-



TOR JARILD / EAST NEWS

Park Rozrywki „Świat Astrid Lindgren”, Vimmerby, 2004 r.

cializuje się gdańskie wydawnictwo Ene-DueRabe. Są wśród nich i szwedzkie tytuły dla najmłodszych, przede wszystkim wzruszające książki Ulfa Nilssona „Żegnaj, panie Muffinie!” (ilustracje Anna-Clara Tidholm), symboliczna powiastka o śmierci i pożegnaniu z bliskim, oraz „Kret sam na scenie” (ilustracje Eva Eriksson), mówiąca o pokonywaniu lęku. Ulf Nilsson ma wyjątkowy dar komunikowania się z najmłodszymi czytelnikami, do opowiadania „trudnych” historii używa humoru, ciepła, dobroci. Jest też autorem zabawnej serii o komisarzu Gordonie, ropusze, która prowadzi leśne śledztwa. A przy okazji to opowieść o przyjaźni, solidarności i pokonywaniu strachu, bo drugą główną bohaterką jest mała myszka Paddy, która zostaje asystentką Gordona. Tę serię ilustrowaną przez Gitte Spee wydało Wydawnictwo Literackie, co jest dowodem, że szwedzkie książki dla dzieci

stały się pożądanym gatunkiem także wśród najważniejszych polskich oficyn.

Nie mogę zatem nie wspomnieć o Dwóch Siostrach, wydawnictwie, które wypuściło napisaną przez Fridę Nilsson serię o mieszkającej „dalej niż na odludziu” Hedwidze, rezolutnej siedmioletce rozpoczynającej szkolną przygodę. Dla jej polskiego rówieśnika ciekawe są nie tylko zwiariowane przygody Hedwigi, ale też odkrywanie różnic między szwedzkim a polskim systemem edukacji, a także poznawanie szwedzkiego stylu życia blisko natury. Nie przypadkiem, kiedy prezentuję tę książkę na spotkaniach z dziećmi, wybieram do czytania rozdziały o bieganiu na nartach, samodzielnych wyprawach do lasu albo wiecznej zabawie na szkolnym podwórku przy każdej pogodzie. Widzę wtedy zatroskane twarze dorosłych i zachwycone buzie małych słuchaczy.

A co, jeśli nasz czytelnik dopiero wyrasta z pieluch? Dla nich są kartonowe, obrazkowe książeczki z minimalną ilością tekstu. Tu także Szwedzi są specjalistami. Zakamarki od początku pamiętają o najmłodszych. Ela i Olek Catariny Kruusval czy Maks Barbro Lindgren i Evy Eriksson to przyjaciele na start. Hitem okazało się „Jest tam kto?” Anny-Clary Tidholm – interaktywne w prosty sposób. Potem przychodzi czas na serię o Bolusiu stworzoną przez Barbro Lindgren (ilustracje Olof Landström), a w końcu na cykl autorskich książek Gunilli Bergström o Albercie Albertsonie, ale to już lektura dla przedszkolaków. Krótkie, z życia wzięte historyjki rozgrywane się w domu, przedszkolu, na podwórku czy placu zabaw, których głównym bohaterem jest kilkuletni Albert wychowywany przez samotnego ojca, w Szwecji należą do kanonu dziecięcych lektur. W Polsce kolejne tomy ukazują się od niedawna w Zakamarkach, ale sam Albert, który w Szwecji nazywa się Alfons Åberg, liczy sobie już 46 lat. Okazuje się, że jego przygody się nie starzeją.

Młodszy koledzy Pippi

Gdybym jednak miała szukać we współczesnych szwedzkich książkach dla dzieci kontynuacji przygód Pippi, to wybrałabym postać Tsatsikiego, którego od wielu lat uwielbiają szwedzkie dzieci. W Polsce jednak cykl o jego przygodach spotyka się z niejednoznacznym przyjęciem. Może jestem nieobiektywna, bo seria ukazuje się w moim tłumaczeniu, ale Tsatsikiego pokochałam od pierwszego wejrzenia. Stworzona przez Moni Nilsson seria o Tsatsikim, synu gitarzystki rockowej i mieszkającego gdzieś na greckiej wyspie poławiacza ośmiornic, w kilku tomach porusza wszystkie najważniejsze sprawy współczesnych dzieci: od kłopotów z rodzicami, kolegami, nauką i pierwszą miłością poprzez odważne próby usamodzielniania się i dorastania, aż po problemy dorosłego świata: rasizm, przemoc, nałogi, rozpad rodziny, pogoń za sukcesem.

Dużo? Tak, ale całość napisana jest z lekkością i zwiariowanym humorem. Pojawiają się kontrowersje, ale Nilsson im się nie dziwi. „Są kraje, w których niektóre sceny ocenzurowano – opowiadała mi w radiowym wywiadzie. – I ja to rozumiem, chociaż kiedy wejdziesz w świat Tsatsikiego, to my, dorośli, odnajdujemy przecież siebie z tych czasów, o których niestety zapomnieliśmy. Kto z nas nie ➔

→ bawił się w dom albo w lekarza? Kto nie zakochał się na śmierć? Kto nie wołał do rodziców: »Nienawidzę was?«.

Jako tłumaczka tej serii muszę zaznaczyć, że znajduję się w doskonałym gronie ludzi specjalizujących się w przekładach szwedzkiej literatury dla dzieci. Astrid Lindgren odczytywaliśmy dzięki Irenie Szuch-Wyszomirskiej, Teresie Chłapowskiej, Annie Węgleńskiej, współczesne wymienione powyżej książki tłumaczą m.in. Katarzyna Skalska, Agnieszka Stróżyk, Hanna Dymel-Trzebiatowska, Katarzyna Ottosson, Marta Dybuła, Marta Wallin, Michał Wroniek-Piotrowski. Dzięki nim te książki tak dobrze się czyta, sztuka translacji i redakcja książek są na najwyższym poziomie.

Popularność szwedzkiej literatury dla dzieci idzie w parze z wielkim ożywieniem tego gatunku w Polsce. Ostatnie dziesięciolecie to u nas wysyp ciekawych, mądrych, atrakcyjnych i fantastycznie ilustrowanych książek dla dzieci. Uczestniczyłam przed laty w wielu międzynarodowych konferencjach, spotkaniach, panelach dyskusyjnych, na których pytaliśmy szwedzkich autorów: jak wy to robicie?

Książki dla dzieci poruszające trudne tematy, rozbijające stereotypy, dyskutujące o rodzicielskich rolach i prawach najmłodszych to szwedzka specjalność.

Z zaangażowaniem opowiadali o poważnym traktowaniu młodego czytelnika, o pilnowaniu najwyższej jakości wydawanych książek, o bliskiej współpracy autorów i ilustratorów. Efekty widzimy gołym okiem.

Z kolei rok temu zaproszono mnie na spotkanie ze szwedzkimi wydawcami. Opowiadałam o najważniejszych kierunkach w polskiej literaturze dla dzieci, o najlepszych, najpiękniejszych i najciekawszych tytułach, a także o akcjach, które organizujemy w Polsce dla popularyzacji czytelnictwa wśród dzieci. Na koniec usłyszałam od kilku obecnych na sali

szwedzkich autorów, że to aż dziwne, że szwedzkie książki są w Polsce tak popularne, bo przecież mamy tyle swoich doskonałych tytułów.

Prawie wszyscy najpopularniejsi szwedzcy twórcy książek dla dzieci już w Polsce byli, niektórzy wielokrotnie. Cenią polskich czytelników, uwielbiają spotkania i warsztaty z dziećmi, rozmowy z rodzicami i nauczycielami. Z zaangażowaniem biorą także udział w debatach, przyjeżdżają na targi i festiwale. Są każdego roku na Rabka Festival i na Festiwalu Literatury dla Dzieci w Krakowie, Warszawie, Poznaniu czy w Gdańsku. Na Targach Książki w Krakowie i na Festiwalu Conrada w tym roku będzie ich mocna reprezentacja: przyjeżdżają Åsa Lind, Maria Nilsson Thore i Martin Widmark. Możemy zatem liczyć na niebanalne rozmowy, świetną zabawę z dziećmi i kolejne tytuły na półkach. © BARBARA GAWRYLUK

BARBARA GAWRYLUK (ur. 1957) jest autorką książek dla dzieci, dziennikarką i tłumaczką szwedzkiej literatury dziecięcej. Przez lata pracowała w Radiu Kraków, gdzie prowadziła programy o kulturze.

REKLAMA

WYDAWNICTWO MARGINESY POLECA SZWEDZKICH AUTORÓW*

FASCYNUJĄCE HISTORIE...



Wazowie
Historia burzliwa
i brutalna
Herman Lindqvist

MROCZNE THRILLERY...

**Osiemnaście stopni
poniżej zera**
Stefan Ahnhem



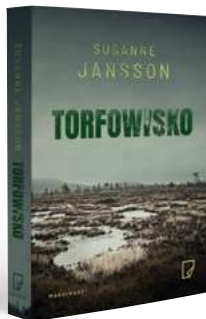
ZDROWY STYL ŻYCIA



Zielnik
Jedzenie i domowe
kuracje z łona
natury
Lisen Sundgren



Ekspedycja
Historia mojej
miłości
Bea Uusma



Torfowisko
Susanne Jansson



**Zielone Boże
Narodzenie**
Karoline Jönsson

*Wydawnictwo Marginesy jest częścią szwedzkiej grupy Bonnier Books

To się czyta!

JUSTYNA CZECHOWSKA



Johannes Anyuru

UTONĄ WE ŁZACH SWOICH MATEK

przeł. Dominika Górecka,

Prószyński i S-ka, Warszawa 2018

Futurystyczna powieść Anyuru jest przerażająca jako ostrzeżenie i urzekająca jako promień nadziei.

Pewnego zimowego wieczoru trójka młodych ludzi – zaprzysiężonych bojowników upadającego Państwa Islamskiego – strzelaniną przerywa promocję komiksu kontrowersyjnego artysty, który swoimi rysunkami naraził się wyznawcom islamu. Publiczność biorą jako zakładników, a jedna z atakujących filmuje zajście.

Dwa lata później pewien pisarz odwiedza pacjentkę w klinice psychiatrycznej. Dziewczyna przeczytała jego wcześniejsze książki i teraz daje mu plik notatek, w których opowiada niezwykłą historię, twierdząc, że przybyła z przyszłości.

Nie pamięta, jak naprawdę ma na imię ani skąd pochodzi. Jej akcent raczej ukrywa i komplikuje kwestię pochodzenia. Tym bardziej że dla jej tożsamości nie miejsce urodzenia jest najważniejsze, lecz fakt, że jest muzułmanką.

W Szwecji zmieniło się wszystko. Partia nacjonalistyczna doszła do władzy. Już nie wystarczy szwedzki paszport – wszyscy obywatele muszą podpisać specjalny kontrakt. Nieposłusznicy nazywani są wrogami Szwecji i osadzani w obozie na dawnych przedmieściach Göteborga. Obóz do złudzenia przypomina te z okresu II wojny światowej: muzułmanie są strzyżeni, wykonuje się na nich eksperymenty medyczne, pozbawia wszelkich dóbr, zmusza do jedzenia wieprzowiny, a jeśli ktoś mimo wszystko chce praktykować swoją religię, to Koran dostępny jest jedynie w edycji specjalnie zredagowanej

przez rządzących i oprawiony w okładkę w kolorach szwedzkiej flagi. W obozie muzułmanie (często od pokoleń zamieszkali w Szwecji) uczą się szwedzkich zachowań i wartości, ojcowie zmieniają dzieciom pieluchy, kobiety idą do pracy. Tych najbardziej nieposłusznych pali się i zakopuje na dawnym osiedlowym boisku.

Johannes Anyuru mówił, że pisząc tę książkę niczego nie zmyślił. Obóz w Królikarnii jest jedynie realizacją marzeń o narodowym, etnicznie czystym państwie, które roją sobie nacjonalistyczne ugrupowania. Pomysły redagowania Koranu i karmienia muzułmańskich dzieci szynką już się w Szwecji i Danii pojawiły. Teatralna przemoc w imię islamu (ale też innych religii czy idei) sama prosi się o refleksję. Choć być może od dawna jest już za późno. Powieść Anyuru jest przerażająca jako ostrzeżenie i urzekająca jako promień nadziei. „Jesteśmy wierszem miłosnym” powtarza w książce kilka osób. Ta teologiczna myśl zapożyczona z Koranu oznacza, że wszyscy jesteśmy stworzeni w miłości, wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni. Pięknych, mądrych i zachęcających do głębszego namysłu sentencji jest w tej powieści więcej. Wszak Anyuru – mistrz formy, wielokrotnie nagradzany i ceniony zarówno przez krytyków, jak i szeroką publiczność – zadebiutował w 2003 r. jako poeta.



Agnes Lidbeck

ODNALEŹ SIĘ

przeł. Inga Sawicka,

Prószyński i S-ka, Warszawa 2018

Cóż trudniej przedstawić w literaturze niż samo życie – to, które tracimy żyjąc i planując?

Czytamy w motcie otwierającym pierwszą część książki: „Zdarzenie staje się istotne dopiero w momencie, gdy ma jakieś konsekwencje”. Takie uwagi-wskazówki będą towarzyszyć czytelnikowi przez całą opowieść o zwykłej kobiecie, prowadzącej typowe życie żony i matki dwójki dzieci. Praca biurowa Anny też niczym się nie wyróżnia, podobnie jak powtarzające się urlopy. Brak jakiejkolwiek niezwykłości, a jednak opisane wszystko jest jak nigdy przedtem. Bo cóż trudniej przedstawić w literaturze niż samo życie – to, które tracimy żyjąc i planując?

Bohaterka przypomina nasze koleżanki z pracy, sąsiadki i kuzynki. Jest jedną z nas, jest nami, co nie bez przerażenia odkryłam podczas lektury. Działa, mówi i myśli automatycznie, odruchowo, trochę jak z poradnika psychologicznego, kolorowej gazety czy innej instrukcji obsługi życia. To książka napisana z ogromną dozą ironii, dystansu i wielką złością na kobietę, która przeżywa życie bez krzty refleksji. Zupełne przeciwieństwo silnych, mądrych, walczących kobiet, które w szwedzkiej literaturze pojawiły się tłumnie już kilka dekad temu.

„Odnaleźć się” to powolna książka-perła o zwykłym życiu. Porównuję ją do czarującej „Mam na imię Lucy” Elizabeth Strout. Na pozór nieciekawe życie Anny, poddane zakorzenionym w patriarchalnym społeczeństwie wzorcom, budzi w czytelniku i czytelniczce gwałtowną pogardę, złość i obrzydzenie. Szczegóły tej historii na długo pozostają w pamięci. Kilka razy po lekturze, znalazłszy się w sytuacjach, w których wcześniej była Anna, przyłapałam się na szczególnej analizie tego, co właśnie robię – picia porannej kawy, ścielenia łóżka, zakupów.

Jeszcze na porodówce Anna pcha korytarzem wózek z noworodkiem, mijając innych ojców i myśli tylko o tym, jak oni ją ostrzegają, czy kiedykolwiek będzie atrakcyjna dla jakiegoś mężczyzny. Gdy Anna wychodzi do apteki po morfinę dla umierającego kochanka, siada, czeka na swoją kolej i rozmyśla. Ludzie, którzy przychodzą po zwykły lek, od niechcenia przeglądają apteczne półki z kosmetykami. →

→ Inaczej ktoś, kto przyszedł po lek ostateczny – wtedy jest bardzo skupiony na swoim zadaniu, siedzi i czeka. Annie zdaje się, że wszyscy wokół to widzą. Spróbujcie intensywnie myśleć o każdym kroku przedsięwziętym w ciągu jednego dnia. Tak się nie da. A jednak!

Debiut Agnes Lidbeck słusznie został nazwany przez szwedzkich krytyków „sensacyjnym”. W historii literatury trudno znaleźć mu równy.



Ebba Witt-Brattström
MIŁOSNA WOJNA STULECIA
przeł. Justyna Czechowska,
Lokator, Kraków 2018

**Ta książka opowiada o rozstaniu.
Jest brutalna, miażdżąca, naga,
żałosna. I nieskończenie smutna.**

Kiedy w 1974 r. szwedzko-fińska pisarka Märta Tikkanen wydała powieść „Mężczyzn nie da się zgwałcić”, wywołała burzę w skandynawskim świecie kultury. Cztery lata później miało się okazać, że było to jedynie preludium, bo oto autorka powróciła na łono literatury autobiograficznym poematem „Saga o miłości stulecia”. Opisała w nim szczegółowo życie z przemocowym mężem-alkoholikiem, uznanym pisarzem i malarzem Henrikiem Tikkanenem. „Saga” stała się klasykiem, wielokrotnie ją wznawiano, a prawa do jej przekładu sprzedano do ponad 20 krajów.

Kiedy w 2016 r. szwedzka literaturoznawczyni, feministka, profesor kilku uniwersytetów, a prywatnie przyjaciółka Märty Tikkanen Ebba Witt-Brattström usiadła do pisania pierwszej w swojej karierze książki literackiej, „Saga”, obok „Tańca śmierci” Augusta Strindberga, będzie jej największą inspiracją. Bo jak inaczej można opisać rozpad 30-letniego małżeństwa intelektualistów, jeśli nie przywołując klasyków? „Miłosna wojna stulecia” jest poniekąd zapisem rozstania autorki z Horace’em Engdahlem, członkiem Akademii Szwedzkiej, instytucji, która od jesieni zeszłego roku przeżywa poważne

problemy wywołane ruchem #MeToo. Nie trzeba jednak znać pierwowzorów Jego i Jej (w Szwecji uchodzili za pierwszą parę intelektualnej elity), żeby rozpoznać w tym poszarpanym, potwornym dialogu uczucia towarzyszące rozpadowi. Nagle wszystko rozsypuje się na najdrobniejsze kawałki, staje się czarne i białe, wysokie i niskie, wielkie i małe. Byli kochankowie, niegdyś partnerzy w życiu i pracy, teraz krzyczą do siebie, poniżają się, gardzą osiągnięciami drugiego. Kiedy on mówi: „Nie jesteśmy równouprawnioną parą. Nie konkuruję z paniami”, wiadomo, że chodzi o prawdziwą wojnę. Nie trzeba też wiedzieć wiele o walkach i zwycięstwach szwedzkich feministek, by domyślić się, jak bardzo na polu prywatnym tę wojnę przegrała każda z nich.

Ta książka jest brutalna, miażdżąca, naga, żalosna. I nieskończenie smutna. Eva Rysová wyreżyserowała na jej podstawie spektakl dla krakowskiego teatru Łaźnia Nowa. W interpretacji Dominiki Bednarczyk i Radosława Krzyżowskiego tekst ten jawi się dodatkowo jako nieznośnie śmieszny. „Mówisz językiem władzy, mój miły. W wojnie miłości nie ma zwycięzców, są tylko pokonani”, twierdzi ona. Ale nie dajmy się zwieść – te słowa nie powinny być dla kogokolwiek pocieszeniem. Dlatego wśród książek, które w ostatnich latach przełożyłam, „Miłosną wojnę stulecia” zaliczam do „bomb atomowych”.



Golnaz Hashemzadeh Bonde
WSZYSTKO, CO MAMY
przeł. Bratumiła Pettersson,
Muza, Warszawa 2018

Powieść Bonde to urzekająca i jednocześnie przerażająca historia o zmaganiach z czasem, z których bohaterka ostatecznie wychodzi zwycięsko.

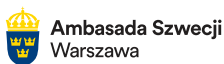
Wiosną tego roku opublikowałam w Lokatorze przekład „Cyklu białego” Atheny Farrokhzad. Autorka urodziła się w Iranie, ale już jako dwulatka musiała ucie-

kać z kraju wraz z rodzicami zaangażowanymi w rewolucję przeciwko ajatollahowi Chomeiniemu. W swym poemacie szwedzkojęzyczna autorka opowiada o opresji, wojnie, przemocy, poczuciu winy i długu wobec rodziców. Nic więc dziwnego, że fragment utworu stanowi motto powieści „Wszystko, co mamy”. Być może Golnaz Hashemzadeh Bonde, autorka o niemalże identycznej biografii i doświadczeniu co Farrokhzad, próbuje rozwinąć historię zaszyfowaną w „Cyklu białym”?

50-letnia Nahid dowiaduje się, że zostało jej kilka miesięcy życia. Odczuwa żal, że przetrzymała więcej bólu i nieszczęścia, niż jedno ludzkie życie jest w stanie pomieścić, a wszystko zakończy się z powodu raka. Kiedy dowie się, że jej córka spodziewa się dziecka, chce zdążyć tylko z jednym: pragnie opowiedzieć swoją pełną wściekłości historię. Nahid po raz pierwszy czuje, że ma prawo być zła, zawiedziona i zazdrosna. W młodości próbowała walczyć o wolność dla siebie i bliskich. Potem w jej poszukiwaniu musiała uciekać z Iranu, a na emigracji nie mogła w pełni z niej skorzystać.

Ale zanim Nahid zgorzkniała, była młoda, piękna i zdolna. W wieczór, gdy świętuje wraz z rodziną dostanie się na studia medyczne, spotyka Masooda. Opowie jej o swojej wierze w wolność i o tym, w jaki sposób można obalić stare struktury. Walka o wolność stanie się dla nich dziecinny snem, deszczem gwiazd, spełnieniem nastoletnich marzeń. Wiedzą, że rozrzucanie ulotek po mieście jest potwornie niebezpieczne, a jednak podniecające i radosne. Czują się nieśmiertelni. Do momentu, gdy podczas demonstracji ginie 14-letnia siostra Nahid, a potem jej przyjaciele.

„Wszystko, co mamy” jest jedną z pierwszych powieści na temat rewolucji w Iranie, jakie wyszły po polsku. Powieść Hashemzadeh Bonde jest powolną, urzekającą, a jednocześnie przerażającą historią o zmaganiach z czasem, z których bohaterka ostatecznie wyjdzie zwycięsko – zdąży spojrzeć na wnuczkę. „Jej oczy są jasnoniebieskie. Niebieskie jak morze, jak jeziora. Niebieskie jak archipelag, jak niebo nad mostami, przez które przejeżdżałyśmy, tam i z powrotem, i tak w kółko. Takie piękno. Trzymam ją na piersi, przy sercu. Myślę sobie, że uderzenia mojego serca pulsują w jej ciele, że dają jej siłę”. © JUSTYNA CZECHOWSKA



SWEDISH
ARTSCOUNCIL

SI. Swedish
Institute

SZWECJA GOŚCIEM HONOROWYM MIĘDZYNARODOWYCH TARGÓW KSIĄŻKI W KRAKOWIE

25-28 października 2018

Stoisko D33
Sala Budapeszt A i B

Spotkania z autorami
warsztaty dla dzieci i dorosłych
debaty
lekcje języka szwedzkiego
spektakle, wystawy

Elisabeth Åsbrink
Martin Widmark
Niklas Orrenius
Katarzyna Tubylewicz
Mons Kallentoft
Åsa Lind
Herman Lindqvist
Pascal Engman
i inni



Więcej informacji:
www.szwecja-targiksiazki.pl

Partner Techniczny: Ericsson





BOGNA KOZIUBAS / ARCHIWUM LITERACKI SOPO

Język nie ma narodowości

ALAIN MABANCKOU:

Literatura afrykańska, jak zresztą każda inna, jest wolna, autonomiczna i żywi się indywidualnymi doświadczeniami swoich twórców. Dlatego nie obchodzi mnie, że nie wpasowuje się w cudze fantazje i oczekiwania.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Niedawno ukazała się Pana nowa powieść „Les Cigognes sont immortelles” (Bociany są nieśmiertelne). Czego oczekuje się we Francji od Alaina Mabanckou?

ALAIN MABANCKOU: Francuska publiczność dobrze mnie zna, osłuchiwała się już z rytmem mojej prozy. Myślę, że są tacy, którzy towarzyszą mi od początku, nawet wtedy, gdy moje książki odnosiły mniejsze sukcesy. Nie ukrywam, że napawa mnie to dumą, choć tak naprawdę najbardziej zależy mi na czytelnikach, którzy jeszcze mnie nie znają. Chciałbym, żeby oni także wniknęli do mojego literackiego uniwersum. Chcę zdobywać nowe lądy.

A co z tymi, którzy są rozczarowani, bo oczekiwali, że postkolonialny pisarz z Konga powinien pisać inaczej?

Nie obchodzi mnie oczekiwania innych, odrzucam też wszystkie z góry narzucane schematy. Na dobre i na złe – zawsze piszę po swojemu. Ale czytelnicy rzadko podchodzą w ten sposób do książki. Mówi pan raczej o krytykach, którzy mają swoją wizję literatury, do której próbują nastroić wrażliwość innych. Wycho-

dzą z założenia, że skoro jestem pisarzem afrykańskim, to powinienem tworzyć, jak na afrykańskiego pisarza przystało.

Czyli jak?

Nie mam pojęcia! Wiem na pewno, jak nie powinien tworzyć pisarz afrykański – tak, żeby nie być wyłącznie pożywką dla cudzych założeń i oczekiwań. Choć w zasadzie tak nie powinien tworzyć żaden pisarz. Literatura afrykańska, jak każda inna, jest wolna, autonomiczna i żywi się indywidualnymi doświadczeniami swoich twórców. Wielu jednak poszukuje w niej potwierdzenia dla swoich podsytych stereotypami i uprzedzeniami fantazji, pragnie „afrykańskiego kolorytu”: safari, polowań czy antropofagii. Z mojej strony czeka ich wyłącznie rozczarowanie, bo od początku odmawiam wejścia w rolę dyżurnego Afrykańczyka.

A samo określenie „literatura afrykańska” nie jest w swoim uproszczeniu krzywdzące?

Oczywiście ma pewne pejoratywne znaczenie – może kojarzyć się z wykluczeniem czy marginalizacją. Dla mnie jednak najważniejszy jest kontekst złożonej

ALAIN MABANCKOU (ur. 1966) jest pisarzem, poetą, wykładowcą literatury frankofońskiej i afroamerykańskiej na uniwersytecie w Los Angeles. Pochodzi z Konga. W wieku 22 lat wyjechał do Francji, gdzie skończył studia. Debiutował w 1998 r. powieścią „Bleu Blanc Rouge”. W Polsce ukazało się sześć jego powieści, m.in. „African Psycho” (2009), „Black Bazar” (2010) i „Papryczka” (2016) – wszystkie w tłumaczeniu Jacka Giszczaka.

historii kontynentu afrykańskiego. Do niego się odwołuję, gdy określam siebie „pisarzem afrykańskim”. Wiadomo, że to uproszczenie, ale w Afryce raczej nikomu ono nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie – istnieje kontynentalna tożsamość, która może być powodem do dumy.

Powieściopisarza z Portugalii, poetki z Bośni i eseisty z Norwegii raczej nie umieszczono by pod wspólnym szyldem „pisarzy Europy”.

W Europie literatury są bardzo silnie unarodowione, w Afryce działa to inaczej. Ale gdyby spotkali się autorzy z Konga, Kamerunu i Gabonu, to raczej też nie dyskutowaliby o swojej afrykańskości.

W oczywisty sposób jesteśmy ofiarami kolonialnej wyobraźni, w ramach której reszta świata uważa Afrykę za jednolitą kulturowo i politycznie masę, podczas gdy jest to olbrzymi i różnorodny kontynent. Z drugiej strony sam się przyznaję do tego stereotypu, bo dla ułatwienia życia zdarza mi się w Europie albo Ameryce używać tej generalizacji. Jak widać – nie ma tu prostego rozwiązania. Chociaż... Może już najwyższy czas przestać mówić o „pisarzach afrykańskich”? Chciałbym, żebyśmy kiedyś mogli niuansować, a nie zacierać swoje pochodzenie.

Istnieje inna, niebezpiecznie szeroka kategoria – pisarze frankofońscy. Jaka jest różnica między pisarzem francuskim a francuskojęzycznym?

We Francji od zawsze panowała obsesja tworzenia hierarchii. Dlatego większość tamtejszego świata literackiego dalej wierzy – choć zazwyczaj się do tego nie przyznaje – że literatura powstająca we Francji jest automatycznie lepsza niż ta tworzona w jej byłych koloniach.

Ciekawe, że w anglojęzycznym świecie literackim nie jest to tak widoczne.

Wynika to wprost z różnych modeli kolonizacyjnych stosowanych w przeszłości. Francuska kolonizacja była bardziej brutalna i dotyczyła także sfery uczuć i pojęć. Chciano kształtować umysły lokalnej ludności według pewnej miary – razem z francuskimi wpływami politycznymi miał się także rozszerzać francuski geniusz. Dla Anglików najważniejszy był handel, więc kulturze zostawiali dużą autonomię. Dlatego dziś każdy, kto pisze po angielsku, traktowany jest w podobny sposób, a ewentualne różnice nie wynikają z napięcia między dawną opozycją centrum-peryferia. Na przykład angielskość literatury Zadie Smith, z którą przed chwilą rozmawiałem, nigdy nie była podważana ze względu na jej imigranckie korzenie. A we Francji byłoby to możliwe. Niebezpieczeństwo takiego zaślepienia polega na tym, że dziś głównym motorem francuszczyzny są ludzie urodzeni poza Francją.

Sam bywa Pan nazywany „chuliganem” języka francuskiego.

Każdy, kto pochodzi spoza centrum, wnosi do języka coś nowego. To, że francuski ma status języka światowego, jest zasługą milionów ludzi, którzy podobnie jak ja żyją poza Francją. A jeśli do tego są jeszcze pisarzami, to wprowadzają do języka własne, oryginalne wynalazki.

Które go wzbogacają.

To akurat oczywiste, ważniejsze jest to, że podtrzymują go przy życiu. Gwarantują, że literatura nie ulegnie skostnieniu.

Każdą wielką kulturę tworzą sploty energii pochodzącej z najróżniejszych miejsc. Spróbujmy wyobrazić sobie język angielski bez choćby Salmana Rushdiego czy innych pisarzy z Indii. Nie da się! Francuscy akademicy, którzy zazdrośnie strzegą granic królestwa swego języka, żyją w przekonaniu, że pisarze z innych krajów chcą im ten francuski ukrąść albo zniszczyć. A przecież język nie działa w ten sposób! Nie zużywa się, nie może go nigdy zabraknąć – wręcz przeciwnie, każde użycie zwiększa jego potencjał. Język, wbrew temu, co myśli wielu Francuzów, nie ma narodowości.

Minęło dziesięć lat od premiery głośnej książki „Black Bazar”.

Czy Francja od tamtego czasu zmieniła się na tyle, że miałby Pan ochotę coś w niej przepisać?

Niestety nie, bo problemy czarnoskórych imigrantów we Francji są od dekady te same. Zarówno teraz, jak i dziesięć lat temu mało kto zdaje sobie sprawę, jak wygląda ich życie. „Black Bazar” pozostaje aktualną powieścią o tym hermetycznym świecie, który ma swoje kody, zwyczaje i hierarchie. Zmieniła się za to moja perspektywa – zobaczyłem, jak w innych częściach świata żyją biedni czarnoskórzy, choćby w USA. A to zupełnie inna opowieść. W Stanach, gdzie od dłuższego czasu mieszkam, kluczową kwestią pozostaje wciąż rasizm, podczas gdy we Francji problemy imigrantów mają przede wszystkim podłoże klasowe.

Amerykański pisarz Colson Whitehead postawił kontrowersyjną tezę, że za czasów Obamy próbowano rozwiązać problem rasizmu poprzez usunięcie ze słownika słowa „rasa”. Eksperyment spektakularnie nie wypalił.

Trudno obarczać Obamę winą za narastającą w ostatnich latach falę rasizmu. Faktycznie, za jego prezydentury kwestie rasowe zeszły na drugi plan. Rasizm w Stanach istniał jednak od zawsze. Prezydentura czarnoskórego polityka u wielu jedynie osłabiła pewność siebie. Dlatego zgadzam się z Whiteheadem jedynie częściowo. Słusznie zdiagnozował problem, ale winy na pewno nie ponosi Obama, który dla mnie jest symbolem przecięcia rasowych różnic. Trump i rasizm mają to samo źródło – strach. To banalna diagnoza, ale za to boleśnie prawdziwa.

Nie kończmy polityką. Zawsze chciałem zapytać, skąd w Pana powieściach tyle postaci „podwójnych” – sobowtórów, naśladowców czy duchów opiekuńczych.

To część kultury, w której wyrosłem. Ludzie z Afryki patrząc na rzeczywistość, widzą ją podwójnie. Pod warstwą widzialną dostrzegają tę drugą, nazwijmy ją duchową. Lubię ten dualizm, wykorzystuję go do najróżniejszych literackich gier.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI
Tłumaczyła PALOMA KORYCIŃSKA

Rozmowa odbyła się podczas tegorocznej edycji festiwalu Literacki Sopot.

REKLAMA

KSIAŻKI DOBRZE PRZETŁUMACZONE



EBBA WITT-BRATTSTRÖM

Miłosna wojna stulecia

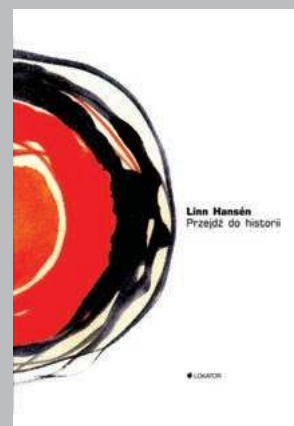
tłumaczenie Justyna Czechowska



IDA LINDE

Na północ jedzie się by umrzeć

tłumaczenie Justyna Czechowska



LINN HANSÉN

Przejdź do historii

tłumaczenie Justyna Czechowska

Nagroda im. Wisławy Szymborskiej 2018 za tom poetycki oraz jego tłumaczenie na język polski.

DOBRZE SIĘ CZYTA

WYDAWNICTWO LOKATOR

www.lokatormedia.pl



Szaleństwa metody



MICHAŁ SOWIŃSKI

Gdyby założyć istnienie biblioteki totalnej w stylu Borgesa, to książka Tavaresa byłaby szczątkami, które udało się wynieść z jej pożaru.

Problem z książką Gonçalo M. Tavaresa zaczyna się już od tytułu. Enigmatyczny, złożony z dwóch słów – „Encyklopedia. Notatki” – kieruje nasze skojarzenia w dwie zupełnie różne strony. Z jednej oświeceniowy z ducha projekt pełnej systematyzacji wiedzy o świecie, z drugiej luźne szkice, niepowiązane ze sobą wyimki, które bez swojego autora tracą nie tylko spoiwo, ale też sens. I właśnie na tych dwóch skrajnych biegunach rozpoczyna się dzieło Tavaresa, który, podobnie jak jego modernistyczni mistrzowie, porywa się na projekt totalny. I podobnie jak oni ponosi spektakularną klęskę. Ale nie o zwycięstwo tu chodziło, tylko, jak pisał Beckett, aby „chybić jeszcze raz. Chybić lepiej”.

Wydawca książki sugeruje, że jest ona „paszportem, który pozwala przekroczyć granice literackiej ojczyzny” autora. Blurby na okładkach potrafią dotkliwie kłamać, jednak nie w tym wypadku. „Encyklopedia. Notatki” to faktycznie klucz do uniwersum, które dla uproszczenia zbiorczo nazywa się „Tavares”. A nawet cały ich pęk – do tego w różnych kształtach i rozmiarach. Pytanie tylko, gdzie szukać pasujących do nich zamków.

Urodzony w Angoli portugalski pisarz, syn matematyczki i inżyniera, jest zjawiskiem osobnym – nie tylko w literaturze luzońskiej, ale i światowej. Początkowo nie myślał o pisaniu, bardziej pociągały go nauki abstrakcyjne – chciał zostać matematykiem. Potem, gdy jego marzenia nabrały większej substancjalności, zastanawiał się nad architekturą. Chyba coś z tych planów w nim zostało, bo do dziś jego teksty przypominają skomplikowane, przestrzenne gmachy, w których łatwo się zgubić.

Jako pisarz zadebiutował późno, bo w wieku 31 lat. Aczkolwiek „debiutować” nie jest tu dobrym czasownikiem. Sam autor mówi raczej

o „upublicznianiu” swoich tekstów. Przez lata napychał szufladę biurka kolejnymi manuskryptami, aby w pewnym momencie – starannie wybranym – wkroczyć do świata literackiego. I to z impetem, bo w ciągu kilku lat po debiucie wydał kilkanaście książek, a obecnie ma ich na koncie już ponad 30. W podobnym tempie przyrasta liczba przyznanych mu nagród i języków, na które jest tłumaczony. W Polsce ukazały się do tej pory trzy jego powieści: „Panowie z dzielnicy” (2007), „Jeruzalem” (2010) oraz „Przypadki Lenza Buchmanna” (2015).

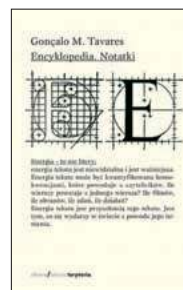
Już nawet na podstawie tego pobieżnego portretu widać, że porównanie do innego portugalskiego pisarza, Fernanda Pessoa (o które także pokusił się wydawca), nie wynika wyłącznie z geograficznej koincydencji. Dla Tavaresa, podobnie jak dla innych modernistycznych pisarzy totalnych, literatura nie jest dodatkiem do egzystencji, ale jej esencją. A sama czynność pisania naturalną konsekwencją pozostałych życiowych czynności. Jednak jak zawsze, gdy stykamy się z szaleństwem, niezbędna okazuje się metoda.

W tym przypadku jest nią właśnie „Encyklopedia. Notatki”. A raczej próbuje nią być. Gdyby założyć istnienie biblioteki totalnej w stylu Borgesa, to

■ „Encyklopedia. Notatki” to klucz do uniwersum, które dla uproszczenia zbiorczo nazywa się „Tavares”. A nawet cały ich pęk – do tego w różnych kształtach i rozmiarach.

książka Tavaresa byłaby szczątkami, które udało się wynieść z jej pożaru. Składa się z pięciu rozdziałów – każdy napisany w innym stylu i dotyczący innego, pozornie niepowiązanego z pozostałymi zagadnienia, m.in., strachu i muzyki.

Z jednej strony maniackalna potrzeba porządku (układy alfabetyczne, ramki i struktura leksykonu), z drugiej często osuwający się w poezję styl aforyzmu, który jedynie symuluje szeroką i uporządkowaną perspektywę poznawczą. Akapity pożyczone od Nietzschego albo Ciorana jakby wciąż od nowa powracają do tych samych problemów, drążąc je za każdym razem z innej strony. Ta zrodzona z obsesji instrukcja obsługi świata i literatury nie daje się w łatwy i doraźny sposób spożytkować. Pozwala natomiast prześledzić krzyżujące się ścieżki, którymi wędruje wyobraźnia autora. Na dokładną mapę jednak nie mamy co liczyć – zostaje nam jedynie rozedrgana i gęsta konstelacja pojęć. Książkę kończy krótki leksykon kluczowych dla literatury haseł. Obok słów „abstrakcja” czy „rzeczywistość” pojawia się w nim także „krwotok” i „stalaktyt”, a całość zamyka „zdanie”, które „nie może być jak szklanka zawierająca słodką wodę do wypicia; zdanie jest jak szklanka, która próbuje powstrzymać powódź. I nie daje rady”. Jeśli szukaliśmy definicji pisania, możemy odetchnąć z ulgą – lepszej już nie znajdziemy. ©P



Gonçalo M. Tavares
**ENCYKLOPEDIA.
NOTATKI**
przeł. Wojciech
Charchalis,
słowo/obraz terytoria,
Gdańsk 2018



KATARZYNA TRZECIAK

Rozmyte kontury

Blecher chciał zostać lekarzem, ale w 1928 r. usłyszał diagnozę – gruźlica kręgosłupa. Wtedy zrozumiał, że zwiąże się z medycyną na zawsze, jednak w innej niż planował roli.

W przypadku pisarza, który ponad dekadę z niespełna 30-letniego życia spędził na chorowaniu, trudno nie pomyśleć o związku sztuki i cierpienia. Tym bardziej, że zaczął pisać już po zdiagnozowaniu u niego gruźlicy kręgosłupa. Choroby, która szybko rozprzestrzeniła się na wszystkie jego teksty. Max Blecher mógł więc przypuszczać, że kiedyś posłuży jako kanoniczny przykład dla potwornego skądinąd przekonania, że sztuka rodzi się z bólu, a opanowane chorobą ciało wysyła metafizyczne impulsy. Mógł przeczuwać, że mitologia choroby – traktowanej tu jako źródło duchowego uwznioślenia – wchłonie opowieść o jego unieruchomionym w gipsie ciele. Nawet gorzej, sprowadzi je wyłącznie do roli więzienia dla twórczej duszy.

Rumuński pisarz usłyszał diagnozę w 1928 r. w Paryżu, gdzie miał kształcić się na lekarza. Wtedy pewnie zrozumiał, że na zawsze zwiąże się z medycyną, ale w innej niż planował roli. Gruźlica kręgosłupa jest chorobą, która wyniszcza szkielet podtrzymujący ciało. Odbiera więc choremu uprzywilejowaną, wyprostowaną postawę. Aby spowolnić chorobę, pacjenta należy umieścić w gipsie – swoistej protezie albo też ramie, która jednocześnie powstrzymuje rozpad i uświadamia materialną kruchość ciała.

„Zabliźnione serca” Blechera to opis rzeczywistości właśnie z perspektywy zagipsowanego szkieletu, którym stał się bohater powieści, podporządkowany niszczącej materii ciała. Gips nadaje jego postawie kontur, bez którego uległby on deformacji. O jego istnieniu decyduje więc nie jakaś szczególna, wyłącznie ludzka dyspozycja duszy czy świadomości, lecz konkretna forma narzucona materii. Dlatego w otaczającym Emanuela świecie to właśnie forma zostaje wydobyta na pierwszy plan

– rzeczy i ludzie mają kontury, cienkie niczym rysunkowe nitki, których przewracanie natychmiast spowoduje zlanie się rzeczywistości w jednolitą masę.

Manipulując konturami rzeczywistości, odsłaniamy jej surrealistyczne wymiary. To ulubione zajęcie narratora „Zdarzeń w bliskiej nierzeczywistości”, pierwszej powieści rumuńskiego autora, gdzie kształty i hierarchie poszczególnych elementów świata są w ciągłym ruchu. Gdy zanika spoistość i osobność, przestają obowiązywać reguły wzajemnych połączeń, a język otwiera się na nieskończone i nieskrępowane eksperymenty. U Blechera słowa jedynie na chwilę, niczym strumień wody, oblewają kontury rzeczy. Wszak żadne kontury nie są nigdy trwałe.

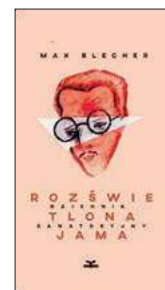
Można byłoby sądzić, że pisarski świat Blechera wciąż osuwa się w ciemność, bo to w końcu ona najlepiej rozmywa granice rzeczy i napędza surrealistyczną wyobraźnię. Ale w ostatniej, wydanej pośmiertnie książce „Rozświetlona jama. Dziennik sanatoryjny” to jasność doprowadza rzeczywistość do rozpadu.

■ Wydaje się, że pisarski świat Blechera wciąż osuwa się w ciemność. Jednak w dzienniku pisarz zmagają się raczej z jaskrawym światłem świadomości, które wyostreza kontury ludzi i rzeczy tak bardzo, że aż znikają.

W dzienniku pisany przez całą chorobę pisarz zmagają się z jaskrawym światłem świadomości, które wyostreza kontury tak bardzo, że aż znikają. W natężeniu świadomości, w skupieniu uwagi nie można niczego dostrzec, nie można też odróżnić wrażeń z jednolicie rozświetlonej przestrzeni. Dlatego w chwilach największego fizycznego bólu Blecher odsuwa wszystkie inne myśli, podporządkowując całą uwagę cierpieniu. Traci wtedy swoją osobność, przez co ból staje się mniej dotkliwy.

Maksymalna koncentracja świadomości i podporządkowanie języka „Rozświetlonej jamy” cierpiącemu ciału wydobywa jednak paradoksalność samego zapisu. Zniesiona zostaje opozycja rozumu i nieświadomości, tutaj ukryta w pozycjach ciała – zdrowie to pion, silna, wyraźna sylwetka, z kolei choroba to deformacja, bezwład. Kruche ciało Blechera wsadzone w sztywny gips wymyka się tej dychotomii – dlatego może stworzyć zupełnie inną opowieść o samym sobie.

Trzy lata przed diagnozą Blechera, w 1925 r., Virginia Woolf oskarżała literaturę o pomijanie tematu fizycznego bólu. Występując przeciwko romanizowaniu i odcieleśnianiu choroby upomniała się o język wulgarności, który oddawałby okrucieństwo materii, skazującej chorych na „dezercję z armii wyprostowanych”. Max Blecher odpowiedział z całą mocą na ten apel. ©



• Max Blecher
**ROZŚWIETLONA JAMA.
DZIENNIK SANATORYJNY**
przeł. Joanna
Kornaś-Warwas,
Książkowe Klimaty,
Wrocław 2018

Błoto i miód



ALEKSANDRA WOJTASZEK

W najnowszej książce o Albanii Rejmer opisuje „raj stworzony w najśluszniej socjalistycznym kraju na świecie”, który dla obywateli okazał się piekłem na ziemi.

Autorka powieści „Toksymia” i głośnego reportażu „Bukareszt. Kurz i krew” tym razem oddaje głos ofiarom reżimu Envera Hodży – rządzącego Albanią przez prawie 40 lat dyktatora, pieszczotliwie nazywanego „wujaszkiem Enverem”. Był twórcą obalonego sześć lat po jego śmierci totalitarnego systemu, w ramach którego uwięziono, internowano i zamordowano dziesiątki tysięcy Albańczyków. Narastająca przez lata paranoja wodza doprowadziła do zupełnej izolacji niespełna dwumilionowego kraju, zrywającego kolejno stosunki z Jugosławią, Związkiem Radzieckim i Chinami, ponieważ uznano je za niewystarczająco wierność ideałom marksizmu-leninizmu. Czystki wśród partyjnych elit były dokonywane z przerażającą regularnością, ale do obozów, w których poprzez tortury i katorżniczą pracę reedukowano rzekomych wrogów narodu, trafić można było także za niefortunny dowcip (czyli „propagandę i agitację”), zbyt mały entuzjazm wobec albańskiego postępu lub tęskne spojrzenie w stronę granicy. W relacjach ofiar reżimu komunistyczna Albania przypomina Benthamowski panoptikon, w którym każdy obywatel miał poczucie nieustającej obserwacji: najlepszy przyjaciel lub ukochana żona mogli okazać się donosicielami, a Sigurimi, owiana złą sławą policja polityczna, miała sposób, by złamać każdego.

Rejmer zaopatruje czytelnika w podstawowe informacje dotyczące historii albańskiego komunizmu, a następnie wrzuca go w sam środek poplątanych biografii i złamanych życiorysów, niegających się ran i bolesnych wspomnień. Poza nielicznymi komentarzami i fragmentami stylizowanymi na balladę czy bajkę, książka stanowi polifoniczny reportaż bliski „powieści głosów”, jak nazwała uprawiany przez siebie gatunek Swietłana Aleksijewicz. W przeciwień-

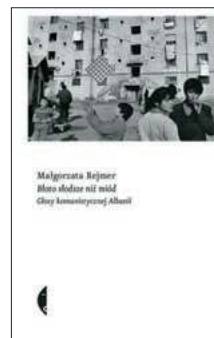
stwie jednak do białoruskiej noblistki, Rejmer nie stroni od własnego idiomu i barwnego języka, który dominuje w przytaczanych mikrohistoriach. Sama autorka jest przy tym w książce prawie nieobecna – objawia nam się wyłącznie jako zaangażowana słuchaczka, niekiedy zadająca dociekliwe pytania, czasem tylko płacząca razem z bohaterami. Ironia, która początkowo towarzyszy opisom absurdów życia w państwie rządzonym przez Hodżę, z kolejnymi rozdziałami ustępuje miejsca empatii dla ofiar reżimu.

Opowieść o przeszłości i oddanie głosu ofiarom terroru stają się jednocześnie istotnym pytaniem o teraźniejszość i możliwość wspólnej egzystencji w kraju, w którym rozliczenie i *katharsis* nigdy się nie dokonały – „nikt nie został ukarany i nikt nie prosi o wybaczenie”. W 2017 r., gdy otwarte zostały kartoteki Sigurimi, wybitny albański pisarz Ismail Kadare wyraził nadzieję, że pomoże to wykorzystać zło nadal zatruwające albańskie społeczeństwo: „Jak wycięcie ropnia, bolesny, ale nieunikniony zabieg chirurgiczny”. Rejmer pokazuje, jak nowa albańska demokracja i niechęć do obrachunków z przeszłością zrównały ofiary i katów. Symbolicznym tego wyrazem jest scena przy szachownicy,

gdzie z jednej strony siedzi mężczyzna niegdyś prześladowany przez system, z drugiej były pracownik służby bezpieczeństwa – i żaden z nich nie wie o przeszłości drugiego.

Ta przejmująca litania cierpienia na długo pozostaje w pamięci. Często jednak pojawiają się fragmenty zaburzające tę narrację – utrzymane w zgoła odmiennym tonie, kierują naszą uwagę i empatię na inne tory. Jeden z bohaterów mówi: „komunizm jako filozofia wydaje mi się dużo bardziej szlachetny niż kapitalizm”, co w kontekście prezentowanych świadectw brzmi jak szyderstwo. Jednak tego typu niedające się łatwo przyporządkować fragmenty pozwalają dostrzec wielowymiarowość albańskiej rzeczywistości. Przeziara z nich przedkomunistyczna przeszłość spustoszonego przez II wojnę światową, zacoфанego kraju, odradzającego się „z ruin i błota”. Na tym tle można zrozumieć rozczarowanie teraźniejszością, która nieuchronnie wywołuje nostalgię za tym, co minione. Dlatego gdy jeden z bohaterów mówi: „życie było lepsze wtedy niż teraz. Z tym całym strachem, z tą nędzą – było lepiej”, jego słowa mają szczególną wagę. „Błoto słodsze niż miód” to książka ważna z wielu powodów, wśród których przybliżenie polskim czytelnikom historii tego nieznanego zakątka Europy jest tylko jednym z wielu. I zdecydowanie nie najważniejszym. ©

■ Wciąż nie dokonano rozliczenia z przeszłością, jak więc możliwe jest wspólne życie dawnych ofiar i katów? Ogrom wyrządzonego zła, niczym jątrząca się rana, wciąż zatruwa albańskie społeczeństwo.

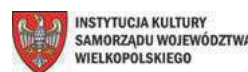


• Małgorzata Rejmer
BŁOTO SŁODSZE NIŻ MIÓD. GŁOSY KOMUNISTYCZNEJ ALBANII
Czarne, Wołowiec 2018



POEZJA NA KAŻDY CZAS

Nasze książki znajdziesz na stronie
www.wbp.poznan.pl w zakładce Sklep,
w Wydawnictwie WBPIK przy ul. Prusa 3
w Poznaniu oraz w dobrych księgarniach



Book's not dead – podcast literacki „Tygodnika Powszechnego”

Zapraszamy do wysłuchania rozmów z pisarkami i pisarzami w podcaście literackim „Tygodnika Powszechnego” Book's not dead, stworzonym przez **MICHAŁA SOWIŃSKIEGO** i **KATARZYNĘ TRZECIAK** przy wsparciu Piotra Żyły. W każdym odcinku aktorki i aktorzy krakowskich teatrów czytają fragmenty książek zaproszonych gości, m.in. Jacka Dukaja, Adama Hochschilda, Magdaleny Grzebałkowskiej, Agnety Pleijel, Siri Hustvedt, Ryszarda Koziołka, Piotra Pazińskiego, Michaela Cunninghama.

Można ich wysłuchać pod adresem soundcloud.com/booksnotdead.



Porozmawiaj z nami o książkach w grupie dyskusyjnej Book's not dead – już ponad 3650 osób obserwuje w niej i dyskutuje ostatnie doniesienia wokół książek, ich autorek oraz autorów, wydawców, księgarzy itd. Grupę pod adresem powszech.net/bnd moderuje **MONIKA OCHĘDOWSKA**.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Bezimienni



JAN BALBIERZ

Powieść córki Ingmara Bergmana i Liv Ullmann to historia o zachłannej i niespełnionej miłości dziewczynki do rodziców, którzy akurat w tej roli wypadają słabo.

Wszystko zaczęło się na wyspie. Latem 1965 r. reżyser – ma wtedy lat 48 i jest już światową sławą – przyjeżdża tu z ekipą filmową i dwiema aktorkami. Jedna z nich grała w jego filmach już wielokrotnie, drugą spotkał jedynie przelotnie. Ma 27 lat i pochodzi z sąsiedniego kraju. Zafascynowany ich fizycznym podobieństwem, kręci kameralny film o dwóch kobietach, których twarze w kluczowym ujęciu stopią się w jedno. Kiedy ekipa kończy plan zdjęciowy, reżyser i nowo poznana aktorka są już parą. Żyją ze sobą niespełna pięć lat; w sierpniu 1966 r., na dwa miesiące przed premierą filmu, rodzi im się córka.

Linn Ullmann, jedna z najciekawszych współczesnych pisarek norweskich, córka Liv Ullmann i Ingmara Bergmana, w „Niespokojnych” powraca do historii swoich rodziców. Opowieść narastała w niej przez prawie dekadę. Z powodu blokady pisarskiej, wynikającej z pisania o rzeczach najbardziej intymnych – o trudnych relacjach rodzinnych i umieraniu – projekt nieustannie był odsuwany w czasie. Trudności ustąpiły dopiero, gdy wpadła na pomysł, by wszystkie postaci książki uczynić anonimowymi.

Pierwotne plany były zupełnie inne – chciała napisać książkę wspólnie z ojcem. Kiedy w maju 2006 r., po długim okresie wstępnej krzątaniny, planów i przygotowań, wreszcie zaczyna się pierwsza wspólna sesja robocza, okazuje się, że nic z tego nie wyjdzie. Z zapisanych rozmów nic prawie nie słychać; przede wszystkim jednak ojciec traci pamięć. Jego język ulatnia się dzień po dniu, rzeczywistość rozmywa się i traci kontur, nazwy i imiona wyparowują. Kiedy fanatyk punktualności przychodzi na seans filmowy do przydomowego kina na wyspie Fårö 17 minut za późno,

córka zaczyna rozumieć, że musi przygotować się na jego odejście. W powieści śledzimy jego zapadanie się w bezpamięć: zaczyna się od przekręcania słów, a kończy na tym, że nie rozpoznaje już własnej córki i skarży się, że jego dom nachodzą jacyś obcy. Kiedy staje się jasne, że projekt nigdy nie zostanie zrealizowany, narratorka postanawia, że napisze „inną książkę, o tym ostatnim lecie, o nim i o mnie, o ojcu i córce, o ojcach i córkach, o starym mężczyźnie, o miejscu, wydaje mi się, że bardziej niż mężczyzny żał mi było miejsca – przedmiotów, kamieni, cieni pod zgarbionymi sosnami”.

Nagranych rozmów pozostało sześć. Stanowią szkielet, na którym osnuta jest powieściowa narracja. Tok wspomnień ujęty został w konstrukcję opartą na sześcioczęściowej formie ulubionego cyklu muzycznego ojca, suity na wiolonczelę Jana Sebastiana Bacha. Rzecz zaczyna się od preludium, przedostatni rozdział to przepełniona żalem, miłosna sarabanda, ostatni zaś zatytułowany jest „Giga”.

Powieść Ullmann jest też narracją o zachłannej i niespełnionej miłości dziewczynki do rodziców. W subiektywnej, zniekształconej, często karykaturalnej perspektywie dziecka patrzącego na świat dorosłych matka

jawi się jako osoba chaotyczna i nieprzewidywalna, chodząca encyklopedia błędów wychowawczych. Dzieckiem zajmuje się z doskoku, w formie gwałtownych i szybko ustających ataków (atak zdrowego odżywiania się, atak korekcji pleców, atak „czy ty aby nie jesteś anorektyczką”). Gada dużo i niespójnie, podgrzewa na obiad jedzenie z puszek i popija wino w nadmiernych ilościach.

Ojciec, syn pastora, reprezentuje protestancką moralność pracy w wersji XXL. Nawet starzenie się to dla niego „ciężka, trudna, niewdzięczna praca, z bardzo długimi dniami”. Ogarnięty manią kontroli, porządkuje kilometrowe rzędy kaset VHS ułożonych w kolejności alfabetycznej, które wyznaczają jedyne dostępne ścieżki w ogromnym domu. Do tego zmagą się z lękiem przed przeciągami i wszystkim, co mogłoby powodować przeziębienia, z trudem powstrzymuje gniew i złość na niedoskonałość świata i ludzi.

Oboje najczęściej nieobecni, pochłonięci karierą albo nowymi romansami, całkowicie niezdadni do pełnienia roli rodzicielskich.

„Niespokojni” to portret trójki wrażliwych, uzdolnionych ponad przeciętność ludzi, którzy nie są w stanie stać się rodziną. Nawet na umieszczonym na okładce wyblakłym zdjęciu ojciec i córka patrzą w różne strony. ©

■ Bergman, syn pastora, reprezentuje protestancką moralność pracy w wersji XXL. Nawet starzenie się to dla niego „ciężka, trudna, niewdzięczna praca”.



• Linn Ullmann
NIESPOKOJNI
przeł. Iwona
Zimnicka,
W.A.B.,
Warszawa 2018

WROCŁAWSKA NAGRODA POETYCKA SILESIOUS



CAŁOROCZNE
SPOTKANIA
Z POETKAMI
I POETAMI
W RAMACH
SALONÓW
SILESIOUSA



WŚRÓD NAGRODZONYCH M.IN.

TADEUSZ RÓŻEWICZ

STANISŁAW BARAŃCZAK

PIOTR SOMMER

URSZULA KOZIOŁ

MARCIN ŚWIETLICKI

KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA

DAREK FOKS

JACEK PODSIADŁO

JULIAN KORNHAUSER

ANDRZEJ SOSNOWSKI

BOHDAN ZADURA



MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL
POEZJI
SILESIOUS



LEKCJE
POETYCKIE DLA
MŁODZIEŻY

POEZJA
W PRZESTRZENI
MIEJSKIEJ



WWW.SILESIOUS.WROCLAW.PL | WWW.FACEBOOK.COM/WROCLAWSKANAGRODAPOETYCKASILESIOUS

ORGANIZATORZY:



Strefa
Kultury
Wrocław



Wrocławski
Dom Literatury

Wrocław miasto spotkań

DARCYŃCA:



FUNDACJA
ORLEN

DAR SERCA

Orły, łabędzie i krasnale



MONIKA OCHĘDOWSKA

Olga Drenda znów rusza w Polskę – tym razem w poszukiwaniu najoryginalniejszych wykwitów rzemiosła i wyobraźni, skrywanych w zaciszu ogródków działkowych.

Est takie zdjęcie z cyklu „Elementarz” śląskiego fotografa Michała Łuczaka, które przedstawia skrawek spłowiałego, jesiennego trawnika obwiedzonego nieforemną falbaną starych opon. Wyzywająca przypadkowość tej kompozycji, a także jej brutalizm, wynikający z połączenia dwóch wykluczających się porządków, z miejsca demaskuje w każdym patrzącym pragmatycznego estety. Zdjęcie Łuczaka portretuje wydobyte na wierzch i spożytkowane w sposób przypadkowy przemysłowe resztki. Jednocześnie doskonale obrazuje potrzebę zagospodarowania każdego naddatku przestrzeni oraz zgrzebną konkretyzację zasady *zero waste*. Bo nawet najpospolitsza rzecz zasługuje na drugą szansę i możliwość przetworzenia. Wszystko może się stać „wyróbem”.

Jeszcze niedawno podobnych efektów spontanicznej twórczości prowincjonalnej było w naszym krajobrazie znacznie więcej. Dobrze znamy ją z książek Filipa Springera czy z wydanego kilka lat temu zbioru tekstów „Hawaikum”. PRL oraz początek lat 90. sprzyjały domowym „wyrobom” i półprzemysłowym podróbkom (często mającym imitować towary zagraniczne), a także nieustannemu przetwarzaniu jednych przedmiotów w inne, bardziej przydatne w danym momencie. Sprzyjały temu zarówno niedobory, jak i edukacja odebrana na szkolnych zajęciach praktyczno-technicznych. Jednak pragmatyczne uzasadnienie to za mało – kluczowa była potrzeba upiększenia otaczającego świata.

Zadziwia i jednocześnie rozczula trwałość osiedlowych prowizorek, o których pisze Drenda. To twórczość z pogranicza warsztatu fachowca rzemieślnika i ludowego artysty, tworzona nie bez wysiłku i ryzyka – np. gdy trzeba było coś sobie załatwić albo wynieść z zakładu pracy. Celem było doświadczenie czysto estetyczne – radość obserwowania, jak

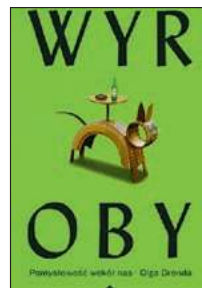
pieczołowicie kompletowane elementy zaczynają składać się w całość. Błaznane krasnale, muchomory z emaliowanych talerzy pomalowanych w kropki, wycięte ze starych opon łabędzie, betonowe żyrafy, nieforemne Koziołki Matołki zezujące ze ścian działkowych altanek, brzydkie Myszki Miki w kolorze palonej sjeny. Durnostojki, gównidełka. Wszystko to pieczołowicie dokumentował 40 lat temu w swoich notatnikach fotograficznych Władysław Hasior. A Olga Drenda rusza w Polskę powiatową śladem jego „Sztuki plebejskiej”, choć wedle własnego, wytyczonego już w poprzedniej książce scenariusza.

Interesuje ją zarówno peryferyjność Polski jako państwa, które za żelazną kurtyną cieszyło się bohaterami „Gwiezdných wojen” własnej roboty (wartymi dziś zresztą krocie na licytacjach kolekcjonerów), jak i peryferyjność małych światów, przestrzeni osobnych, jakimi są m.in. wciąż uprawiane „Rodosy” – robotnicze ogródki działkowe. Przestrzeń ogródków i altanek jest idealnym miejscem narodzin wszelkich „wyrobów”. Baśniowa furtka z orłem i krasnałem, przez którą wchodzimy do słowiańskiego raju, zawiesza zasady miejskiego *decorum*, konieczność zachowania mieszczańskiego stylu i powagi.

■ Baśniowa furtka z orłem i krasnałem, przez którą wchodzimy do słowiańskiego raju, zawiesza zasady miejskiego *decorum*, konieczność zachowania mieszczańskiego stylu i powagi.

To na działce w pełni wybrzmiewa nasze zamięłowanie do barokowego przepychu i cukierkowości. Rodosy są królestwem brzydkiej Miki, odręcznych Minionków, metaloplastyki i gumowych łabędzi. Te ostatnie, co ciekawe, nie są zresztą wcale wschodnioeuropejskim wyrobem, przyfrunęły aż z Australii. Wycinane ze starych opon fordów i holdenów zaczęły, wspólnie z misiami koala, zamieszkiwać trawniki na przedmieściach Melbourne w okresie *prosperity* lat 50. i 60. Tajemnicą pozostaje, w jaki sposób dekadę później dotarły do Polski.

W jednym z rozdziałów autorka, wynurzając się na moment z poradników Adama Słodowego, zachęca nas do małego eksperymentu myślowego. Chce, abyśmy zastanowili się, co zostanie zapamiętane z naszych dzisiejszych wnętrz. Reprodukowane masowo i dostępne w każdym markecie budowlanym portrety Audrey Hepburn i Marilyn Monroe? Instagramowe zdjęcia dłoni sięgającej po kubek z kawą albo najnowszy bestseller? Stojaki na kwiaty w stylu internetowo-prowansalskim, stylizowane na rękodzieło? A może domowe drukarki 3D budowane ze starych napędów CD, na których powstają sztuczne serca? Jedno jest pewne – za kilkanaście stuleci nieznana nam jeszcze cywilizacja, przeglądając okruchy naszej ikonosfery, nie będzie miała wątpliwości, że władczynią całego globu musiała być Emma Wang Hansen (na pewno Państwu znana – proszę sprawdzić w wyszukiwarce). © ©



• Olga Drenda
**WYRBY.
POMYSŁOWOŚĆ
WOKÓŁ NAS**
Karakter,
Kraków 2018

STOISKO
B69

Targi
Książki
w Krakowie

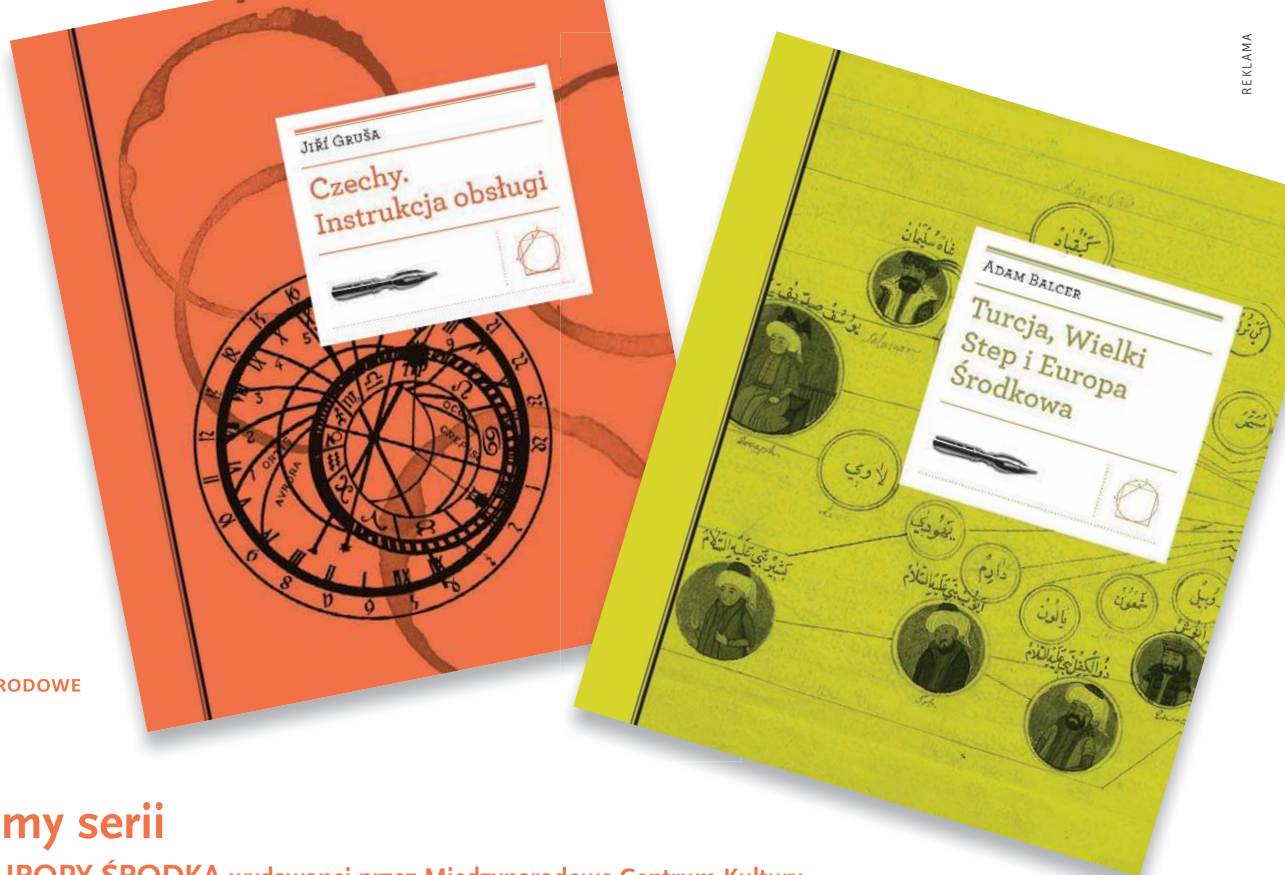


MIĘDZYNARODOWE
CENTRUM
KULTURY

NOWE tomy serii

BIBLIOTEKA EUROPY ŚRODKA wydawanej przez Międzynarodowe Centrum Kultury

Więcej na → www.mck.krakow.pl/ksiegarnia lub → www.facebook.com/mckkrakow



REKLAMA

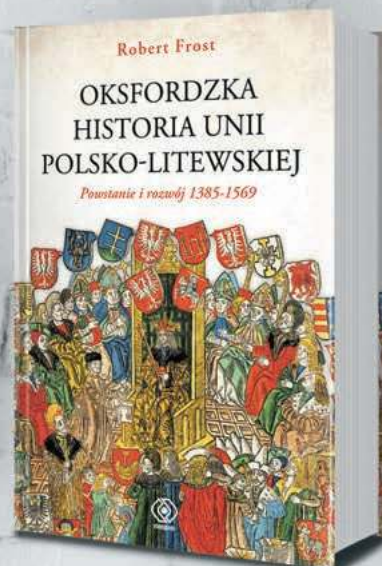
REKLAMA



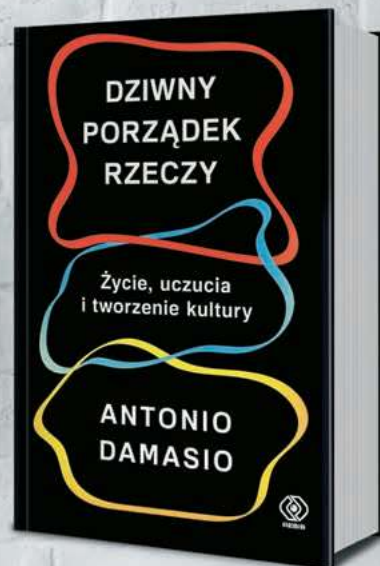
Dom Wydawniczy REBIS zaprasza na Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie
Stoisko D17/D33



CZY HISTORIA POLSKI
W XX WIEKU MOĞŁA
POTOCZYĆ SIĘ INACZEJ?



HISTORIA JEDNEGO Z NAJDŁUŻYJ
TRWAJĄCYCH ZWIĄZKÓW POLITYCZNYCH
W HISTORII EUROPY



WYBITNY NAUKowiec PRZEDSTAWIA
NOWY SPOŚÓB ROZUMIENIA
MIEJSCA CZŁOWIEKA W ŚWIECIE.



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS

Świadectwo ostańca



TOMASZ FIAŁKOWSKI

„Polityka historyczna” jest dla autora przeciwieństwem pojęcia „prawdy historycznej”, a świadomość niebezpieczeństwa zafałszowywania obrazu przeszłości znajduje się cały czas w tle jego wspomnień.

Zacząłem osiemdziesiąty trzeci rok życia. Strefa wdów, strefa wymierania. Niewiele moich rówolatków jest zdrowych i gotowych do kontaktów, do wymiany myśli. Niezbyt wielu zaś młodszych o dwa, trzy pokolenia pojmuje dokładniej świat moich myśli, odczuć i wspomnień. A więc na wszelki wypadek je spisałem”. Przebija z tych słów autoironiczny dystans, dalej jeszcze wzmocniony: „Zasłużę może na klepsydre w wejściu do Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk na Rynku Starego Miasta w Warszawie. Nie stworzyłem żadnego przełomowego dzieła... Miałem chyba sporo dobrych pomysłów i dobre pióro. Niespełniony pisarz, który został historykiem”...

Powściągliwość chwalebna, ale domagająca się korekty. Dobre pióro? Oczywiście, wiedzą o tym starsi czytelnicy „TP”, na którego łamach ukazywały się w latach 80. eseje włączone potem do tomu „Piękny wiek XIX”. Ale dorobek? Prof. Jerzy W. Borejsza należy przecież do najważniejszych postaci w gronie współczesnych badaczy dziejów dwóch ostatnich stuleci!

Znawca naszej XIX-wiecznej emigracji, biograf Armanda Lévy’ego, sekretarza Mickiewicza, oraz powstańca styczniowego i komunarda Walerego Wróblewskiego, autor serii książek o XX-wiecznych faszyzmach, ze szczególnym uwzględnieniem włoskiego, i o antysławizmie Hitlera, trafiał przy tym swoimi pracami we właściwy czas. Rozprawa habilitacyjna o Léwym – czołowym europejskim masonie, mającym w dodatku żydowskie pochodzenie – ukazała się niedługo po Marcu ’68 (nb. filosemityzm Mickiewicza stanowił tabu już wcześniej – z francuskiego pamfletu na masonerie przechowywanego w Bibliotece Jagiellońskiej któryś z profesorów literatury polskiej wyrwał strony o sekretarzu wieszczu...). Studia nad faszyzmami

europejskimi odsłaniały wspólne cechy totalitaryzmów z prawa i z lewa, a dziś czyta się je jako proroczą przestrożę przed powrotem reżimów autorytarnych. Książka o Wróblewskim zaś może być antidotum na „politykę historyczną” polegającą na rugowaniu pamięci o polskiej lewicy.

„Polityka historyczna” jest dla autora przeciwieństwem pojęcia „prawdy historycznej” i to właśnie świadomość niebezpieczeństwa zafałszowywania, a przynajmniej znacznego upraszczania obrazu przeszłości znajduje się cały czas w tle jego wspomnieniowego świadectwa. Zawodną pamięć wspiera zawsze dokumentami, zresztą jego prywatne archiwum musi być imponujące. A pozycja, z jakiej spisuje swoje wspomnienia, jest wyjątkowa.

Potomek dwóch rozgałęzionych niegdyś żydowskich rodzin, niemal w całości wymordowanych podczas Zagłady. Syn Jerzego Borejszy – najpierw anarchisty, potem przekonanego komunisty, uczestnika wojny hiszpańskiej, w 1945 r. architekta imperium wydawniczego Czytelnika i zwolennika pozyskania dla nowej władzy intelektualistów rozmaitych przekonań,

odsuniętego na boczny tor w ramach „zaostrożania kursu” i przedwcześnie zmarłego dwa lata po tajemniczym wypadku samochodowym. W latach 50. student historii w Kazaniu i w Moskwie, potem wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, przeniesiony w 1975 r. do Instytutu Historii PAN, gdzie jest profesorem. Z racji swoich zainteresowań posiadający liczne grono przyjaciół w wielu krajach, zwłaszcza we Włoszech, Francji i Niemczech.

Czegóż więc nie ma w tym okazałym tomie! Portrety bliskich i nieznane fakty z czasu pobytu Borejszy-seniora w wojennej Moskwie, jego przyjaźń z odsuniętą na margines religijną poetką Marią Szkapką, a poprzez nią – spotkanie z Mariną Cwietajewą niedługo przed jej samobójstwem czy z wielką i niepokorną pianistką Marią Judiną (skądiną ulubienicą Stalina). Życie codzienne studentów-obcokrajowców w Związku Radzieckim (włącznie ze studium wojskowym!) i cała galeria kolegów, w tym przyjaciół z Chin, z którym kontakt, przerwany na wiele lat przez rewolucję kulturalną, udało się potem odnowić. Stopniowe odchodzenie od wiary w komunizm. Mistrzowie z Polski (Henryk Wereszycki, Aleksander Gieysztor, Stefan Kieniewicz) i z zagranicy (badacz włoskiego faszystu Renzo De Felice). Opowieść o pozyskaniu dla Polski archiwum wielkiego francuskiego polonofila Paula Cazina

■ We wspomnieniach Borejszy pojawia się nawet Marina Cwietajewa niedługo przed popełnieniem samobójstwa oraz niepokorna pianistka Maria Judina (skądiną ulubienicą Stalina).



• Jerzy W. Borejsza
**OSTANIEC CZYLI
OSTATNI ŚWIADEK**
Wielka Litera,
Warszawa 2018

z rąk jego niezbyt zrównoważonych córek („zagubione rzekomo dzienniki Cezara znalazłem w zwałach brudnej bielizny damskiej na dnie ogromnej szafy”). Smutne dzieje polskich Białorusinów i mazurskich autochtonów. Anegdoty o gościach Stacji Naukowej PAN w Paryżu, którą autor poznał w latach 60. i którą kierował w latach 90.

Oto pewna koleżanka – rzecz dzieje się za PRL-u – po trzymiesięcznym pobycie popadła w niezrozumiałą prostrację. Okazało się, że nie wypełniła zadania zleconego przez oficera, który wydawał jej w Warszawie paszport: miała opisać mosty wokół Paryża. „Posłaliśmy ją do księgarni. We Francji mostów nie chroniła tajemnica państwa”...

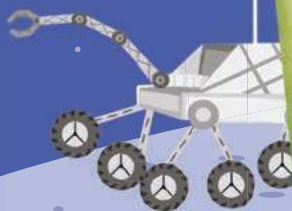
Wylawiam te wątki właściwie na chybił trafił, bo książka, obficie zilustrowana, jest niesłychanie gęsta, roi się od postaci pierwszo-, drugo- i trzecioplanowych, a niektóre tematy mogłyby zostać potraktowane znacznie szerzej. „Może uda mi się przygotować jeszcze wersję bardziej kompletną” – pisze prof. Borejsza. Czekam niecierpliwie! ©©

REKLAMA

MAGAZYN DLA DZIECI
ŚWERSZCZYK

historia szczęśliwego dzieciństwa

- Najznakomitsi polscy autorzy i ilustratorzy
- 73 lata tradycji w nowoczesnej odsłonie



nowa era
Twoje mocne strony

Wejdź na www.swierszczyk.pl i zamów prenumeratę

REKLAMA

To nie jest
historia o słowach.
To dzieje słów, które
historię zbudowały.

W
WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

wydawnictwodolnoslaskie.pl



Powszechna historia chodu



MICHAŁ CICHY

Chodzenie uspokaja, wprawia umysł w skupienie, wzmacnia spostrzegawczość i dobrze usposabia do myślenia, a w książce Solnit ma także wymiar polityczny.

Pierwsi byli poeci. 26 kwietnia 1336 r. Petrarka wszedł na prowansalską górę Mont Ventoux (1912 m n.p.m.) po prostu dla radości wspinaczki i dla nagrody, jaką był widok ze szczytu. Musiały minąć setki lat, zanim następny poeta, William Wordsworth, u schyłku XVIII w. uczyni z chodzenia „główne zajęcie swego życia, a wręcz sztukę”, i stanie się „symbolicznym ojcem założycielem całego rodu piechurów, wędrujących dla samego wędrowania i dla przyjemności przebywania na łonie natury i podziwiania pejzaży”. Pierwszym Polakiem, który stanął na szczycie Mont Blanc, w 1818 r., był też poeta, Antoni Malczewski.

Oczywiście – ludzie chodzili wcześniej. Amerykańska eseistka Rebecca Solnit w swojej obszernej (432 strony, 434 przypisy) książce cofa się aż o 3,7 mln lat, tyle bowiem łączy sobie odciski stóp dwunożnych przodków człowieka, odkryte w Laetoli w Tanzanii. Dwunożność odróżnia nas od naszych najbliższych małych krewnych i stoi u zarania kultury – uwolniła bowiem ręce, które mogły zająć się chwytaniem i budową coraz subtelniejszych narzędzi.

Kiedy już ludzie stali się ludźmi, chodzili na co dzień i od święta. Pielgrzymowali na piechotę do świętych miejsc. W Hiszpanii i w Ameryce Łacińskiej istniał obyczaj *paseo* lub *corso*, czyli przechadzki po głównym miejskim placu, w trakcie której młodzi ludzie płci obojga mogli się poznawać. „W niektórych zakątkach Meksyku (...) *corso* miały charakter tak sformalizowany, że każdej z płci przechadzać się było wolno tylko w jednym kierunku”.

Jedynie uprzywilejowanych stać było na konie i powozy. W czasie wolnym, na który też było stać wyłącznie wybranych, uprzywilejowani promenowali po prywatnych ogrodach i parkach. W plener wyszło dopiero pierwsze pokolenie romantyków, ale już wkrótce

chodzenie stało się przyjemnością łączącą różne klasy. W 1857 r. powstał w Anglii Klub Alpejski. W 1892 r. założono amerykański Sierra Club. Trzy lata później w Wiedniu zorganizowali się Naturfreunde (Przyjaciele Natury). Na całym świecie upowszechnił się skauting. Dzięki tym organizacjom wiele prywatnych terenów stało się ogólnie dostępnych, a przyroda stała się przedmiotem ochrony.

„Lubię włóczyć się – pisze Solnit w moim ulubionym zdaniu tej książki – właśnie dlatego, że jest powolna, i podejrzewam, że umysł, na podobieństwo naszych nóg, działa w tempie pięciu kilometrów na godzinę”. Chodzenie uspokaja, wprawia umysł w skupienie, wzmacnia spostrzegawczość i dobrze usposabia do myślenia.

Pierwszym filozofem, który uczynił z chodzenia ulubiony sposób istnienia, był Jean-Jacques Rousseau, autor „Marzeń samotnego wędrowca” opublikowanych pośmiertnie w 1782 r. Jego XIX- i XX-wieczni dziedzice, Charles Baudelaire i Walter Benjamin, uczynili z *flâneura*, czyli miejskiego spacerowicza, bohatera epoki, a z Paryża – jej idealną scenę. „Posiąść tłum – oto jego namiętność i powołanie – pisał Baudelaire. – Wielka rozkosz dla prawdziwego *flâneura* i rozmyślanego obserwatora:

■ Dwunożność odróżnia nas od naszych najbliższych małych krewnych i stoi u zarania kultury – uwolniła bowiem ręce, które mogły zająć się chwytaniem i budową coraz subtelniejszych narzędzi.

zamieszkać w mnogości, falowaniu, ruchu, tym, co umyka, co jest nieskończone. Być poza domem, a przecież czuć się wszędzie u siebie”.

Paryż, skomponowany jako gwiazdzista sieć placów i bulwarów przez barona Haussmanna w czasie wielkiej przebudowy w latach 60. XIX w., idealnie nadawał się do przemierzania na piechotę. Walter Benjamin fascynował się paryskimi sklepowymi pasażami, które były przodkami domów towarowych i galerii handlowych. „Pasaże – pisał Benjamin – (...) cieszyły się nieślabnącą popularnością. Był sobie pieszy, który wtapiał się w tłum, i *flâneur*, który domagał się przestrzeni dla siebie, i nie był gotów porzucić próżniaczego życia *džentelmena*”.

Solnit patrzy na chodzenie także w perspektywie politycznej, interesując ją demonstracje, marsze protestacyjne i miejskie rewolty. Jako feministka spogląda z uwagą również na mniej znane wydarzenia z kobiecej historii, jak choćby pochod przekupek z paryskich Hal na Wersal 5 października 1789 r., „marsz chlebowy”, który zmusił króla i królową do powrotu do Paryża i był jednym z decydujących wydarzeń rewolucji francuskiej. Albo ruch Matek z Plaza de Mayo (1977), wytrwale domagających się od argentyńskiej junty wiadomości o losach swych porwanych dzieci.

„Odkrywanie świata – podsumowuje Solnit – to jeden z najlepszych sposobów odkrywania umysłu, a w wędrowce przemierzyć można je oba”. ©



• Rebecca Solnit
ZEW WŁÓCZĘGI.
OPowieści WĘDROWNE
przeł. Anna
Dzierzgowska
i Sławomir Królak,
Karakter,
Kraków 2018

100 LAT
ODRODZONEJ
ADWOKATURY
POLSKIEJ



Książki w pigułce

Sceny z życia prywatnego

Zaczyna się niepozornie, *Small talkiem* nad sushi. Jörgen Hofmeester, gorliwy choć przeciętny pracownik, nijaki mąż, pedantyczny kucharz, a ostatecznie – bezna-
dziejny mieszcuch, wydaje przyjęcie dla kończącej szkołę córki Tirzy. Nieoczekiwanie pojawia się na nim także nie-
obecna od kilku lat matka dziewczyny. Kameralna, mo-
mentami komiczna opowieść o nieudanym małżeństwie, ro-
zegrana w dusznych dekora-
cjach, szybko przeradza się
w dramat współczesnego czło-

wieka bez właściwości. Grun-
berg w sposób niezwykle sub-
telny i precyzyjny, z balzakov-
ską wręcz przenikliwością,
kreśli portrety bohaterów. Naj-
drobniejsze słowa, gesty i na-
wyki obnażają tu hipokryzję
holenderskiej klasy średniej,
którą reprezentuje spolegliwy,
sztuczny i naiwny pan domu –
nie bez przyczyny parający się
przez całe zawodowe życie
przekładem fikcji. Wielbiciele
„Rzezi” Romana Polańskiego
zobaczą w tej powieści świet-
ny materiał na film.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA



■ **Arnon Grunberg**
TIRZA przeł. Małgorzata
Diederer-Woźniak,
Pauza, Warszawa 2018

Zapach psiej sierści

W trosce o równowagę
psychiczną doradzam
lekturę „na krzyż” – namięt-
nym psiarzom książkę „O ko-
tach”, nieustępliwym kocia-
rkom tę, w której dominuje
rozkoszny psi sztynek. Czytel-
ników równie jak ich kudłaci
pupile przekornych, którzy
mimo ostrzeżeń sięgną po
zbiór opowiadań z ilustracjami
Oli Niepsuj, uprasza się
o uzbrojenie w rekwizyty uła-
twiające radzenie sobie z nad-
miarem wzruszeń. I absolutne
unikanie lektury „Psów”
w drodze na spotkanie bizne-

sowe, randkę czy w każdych
innych okolicznościach wy-
magających powściągnięcia
emocji. Jest to bowiem książ-
ka, która emocjami bezpardo-
nowo targa. Obok wyraźnie
osobistych historii (Cichy, Sta-
siuk, Varga) w zbiorze znalazło
się miejsce na eksperyment
formalny (Murek) oraz nowel-
kę o dmuchanym towarzyszu
samotnego urlopu (Pustko-
wiak). Najlepszą przygodę za-
pewniają jednak te prostsze,
bo pozbawione kocich uników
i sztuczek opowieści.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA



■ **O PSACH**
Ilustracje Oli Niepsuj,
Czarne, Wołowiec 2018

Wywrotowe medium

Monografia Marcina Bor-
chardta, reżysera doku-
mentu o Beksieńskich, opowia-
da o filmach, które stały się
medium dla najróżniejszych
odmian transgresji. Trudność
projektu objawia się już we
wstępnej definicji pojęcia,
które od lat bywa nadużywa-
ne. Jednak gra jest warta
świeczki, bo w określonych
warunkach społecznych i kul-
turowych transgresja może
być jedyną odpowiedzią na
przytłaczającą rzeczywistość.
Dobrym tego przykładem jest
Nowy Jork przełomu lat 70.

i 80., gdzie w odpowiedzi na
reaganowską obyczajowość
powstały klasyczne już trans-
gresyjne obrazy – i to właśnie
na nich Borchardt koncen-
tuje swoją uwagę. Wcześniej jed-
nak autor prowadzi nas przez
historię kina, traktując ją jako
najlepsze zwierciadło społecz-
nych przemian. Już pierwsze
pokazy filmowe naruszały
tabu – cielesności, seksualno-
ści – i luzowały skostniałą mo-
ralność modernizującego się
Zachodu. Wszak kino zawsze
było przekraczaniem granic.

© KATARZYNA TRZECIAK



■ **Marcin Borchardt**
ANIOŁY NIE ZNAJĄ WSTYDU.
TRANSGRESJA
W KINIE NOWEGO JORKU
Części Proste, Gdańsk 2018

Kronika małych zwycięstw

Już za czasów Szekspira, gdy
jafekty wiodły ku tragediom,
emocje porównywano do po-
rywistych szkwałów. Aby
mieszkać na maleńkiej wyspie
Barroey pośród zimnego, roz-
szalałego morza, nie wolno
bać się ani sztormów, ani zim-
skuwających lodem wszystko,
co płynne. Ani też upalnych
tygodni lata, gdy ziemia za-
mienia się w słoną pustynię.
Nominowana do Międzynaro-
dowego Bookera powieść Ja-
cobsen to kameralna i mi-
gawkowa, podzielona na
kilkadziesiąt krótkich histo-

rii, przypowieść o rodzinie.
Rodzinie, do której, mimo od-
bytych podróży i na przekór
zdrowemu rozsądkowi, przy-
cumowani jesteśmy jak za-
kleszczona w planetę, obnażo-
na wyspa. Co prawda każdy
dobijający do jej brzegu gość
wzbudza tęsknotę za lądem
i wskrzesza drzemiące głębo-
ko uczucie pustki, ale są takie
osobliwe momenty wspólnego
stawiania czoła żywiołom,
które tę tęsknotę i pustkę zaę-
gniają. „Niewidzialni” poma-
gają je dostrzec i docenić.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA



■ **Roy Jacobsen**
NIEWIDZIALNI
przeł. Iwona Zimnicka
Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 2018

Półka z ulubionymi



JOANNA OLECH

Mała Aurelka nie poddaje się uświęconej tradycji baśni, czym rzuca wyzwanie farmazonom o mdłych i bezwolnych księżniczках.



WIEK: 4+

Johanna Thydell
OKROPNY RYSUNEK

przeł. Katarzyna Skalska,
ilustracje Emma Adbåge, Zakamarki,
Poznań 2018

Książka, która ma już swoje miejsce na mojej pięciogwiazdkowej półce ulubionych. Genialnie narysowana, prosta historia Starszego Brata i małej Inki. Rodzeństwo siedzi przy kuchennym stole usłanym kredkami i pisakami. Starszy Brat zazdrośnie zasłania arkusz papieru, na którym rysuje „to, co naprawdę lubi”. Jego o trzy lata młodsza siostra chciałaby robić wszystko to, co brat, ale jej bazgroły nie dorównują temu, co wychodzi spod ołówka chłopca. W złości dziewczynka tnie arkusz zmarnowanego papieru. A wtedy staje się coś przedziwnego...

Ta bezpretensjonalna historia zawiera w sobie mnóstwo emocji dobrze znanych każdemu, kto ma szczęście dzielić dom z rodzeństwem. Jest tu zazdrość, frustracja, podziw i... czułość. Ilustratorka w prostym, konturowym rysunku oddała wszystkie subtelności uczuć, które malują się na twarzach rodzeństwa, a także komiczne gesty i wiele mówiącą mowę ciała. Mnóstwo znaczących detali buduje klimat małej domowej wojny, zakończonej rozejmem i pojednaniem. Piękna książka!

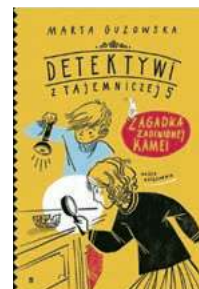


WIEK: 5+

Roksana Jędrzejewska-Wróbel
MALEŃKIE KRÓLESTWO KRÓLEWNY AURELKI

Ilustracje Jona Jung, Bajka,
Warszawa 2018

Tycki manifest feministyczny, przewrotna baśń, w której pobrzmiewa echo Korczakowego „Króla Maciusia I”. Oto mała Aurelka otrzymuje w prezencie mikroskopijne królestwo i za pomocą magicznego sprayu zostaje pomniejszona do jego rozmiarów. Odtąd może sprawować władzę absolutną. Początkowo dziewczynka bawi się nieograniczoną mocą, ale jej kapryśne rozkazy prowadzą do anarchii – nic w królestwie nie działa jak należy. Dworzanie zbijają baki, obiad nie chce się sam ugotować... Aurelka szybko pojmie, na czym polega odpowiedzialne królowanie. Przywrócony naprędce baśniowy porządek krępuje jednak malutką władczynię. Dwór oczekuje, że Aurelka posłusznie podda się dworskiej etykietce – ubrana w najpiękniejszą suknię, ze szczytu wieży wypatrywać będzie królewicza, który następnie pokona smoka i pojmie ją za żonę. Sęk w tym, że Aurelka ani myśli wychodzić za mąż. Woli pić herbatę w domku Baby Jagi, kopać grządki pod własny ogródek i gawędzić z Wilkiem. Smok także nie kwapi się do zjadania kogokolwiek – jest pocziwy i kieszenie ma pełne krówek. A i Książę nie pali się do żeniactwa. Odwaga i determinacja Aurelki uwolni królestwo od dyktatu konwenansów. Mała dziewczynka zakwestionuje tradycję uświęcony porządek baśni i rzuci wyzwanie farmazonom o mdłych i bezwolnych księżniczkach.



WIEK: 9+

Marta Guzowska
**DETEKTYWI Z TAJEMNICZEJ 5:
ZAGADKA ZAGINIONEJ KAMEI.
ZAGADKA GROBU WAMPIRA**

Ilustracje Agata Raczyńska,
Nasza Księgarnia, Warszawa 2018

Pierwsze dwa tomy przyjaznej i niedrogiej serii detektywistycznej. Marta Guzowska, autorka kryminałów dla dorosłych, jest z zawodu archeologką i w fabule sprytnie przemycza małe kęsy wiedzy historycznej. Dziecięcy bohaterowie, Piotrek i Anka, mieszkają po sąsiedzku w bloku przy ulicy Tajemniczej 5. Mają dociekliwą, wścibską naturę. Towarzyszy im czteroletnia Jagoda, siostra Piotrka, i domowy pupil, biały szczur Sherlock. Jagódka zadaje tuzin pytań na minutę, co daje pretekst do objaśniania trudnych terminów. Każdy tomik to jedna zagadka, w której pojawia się troje potencjalnych sprawców. Drogą dedukcji młodzi detektywi eliminują kolejno podejrzanych, aby na koniec ubiec policję i rozwiązać intrygę.

Tom pierwszy to typowa „tajemnica zamkniętego pokoju” – oto ginie babcina →

→ cenna broszka, będąca repliką zrabowanego podczas II wojny klejnotu księżnej Izabeli Czartoryskiej. Rabunek o tyle zagadkowy, że domniemani złodzieje robią wrażenie pocziwych i niewinnych. Tom drugi mówi o kradzieży czaszki „wampira” z terenu wykopalisk archeologicznych. I tu trójka detektywów typuje podejrzanych, tropi ślady, z latarką i lupą podąża krok w krok za rabusiem. W tekście raz po raz pojawiają się pytania opatrzone trzema odpowiedziami – do wyboru. Tylko jedna z nich jest prawdziwa. Czytelnik musi trochę pogłówkować, zanim autorka podsunie mu (nieoczywiste) rozwiązanie. Obie książeczki są pierwszorzędnie zilustrowane przez Agatę Raczyńską. Schematy, mapki i przekroje pomagają odtworzyć przebieg wydarzeń, a bohaterowie są komicznie scharakteryzowani celną, lapidarną kreską. Smaczne, lekkostrawne danie książkowe, także dla czytelników opornych, których odstręczają grube tomy.



WIEK: 12+

Marta Kisiel

DOŻYWCIE. SZAŁAWIŁA

Ilustracje Elwira Pawlikowska,
Uroboros – Grupa Wydawnicza Foksal,
Warszawa 2017

Młoda wrocławianka Marta Kisiel, trzykrotnie nominowana do Nagrody Janusza A. Zajdla, w tym roku uhonorowana za opowiadanie „Szaławiła”, siedziała dotąd w niszy *fantasy*, ciesząc się uznaniem fanów i z książki na książkę rozwijając ta-



Marta Kisiel

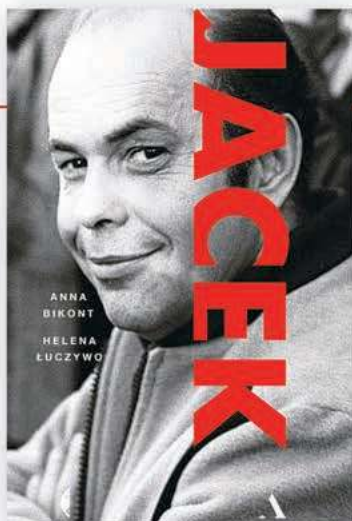
MAŁE LICHO

I TAJEMNICA NIEBOŻĄTKA

Ilustracje Paulina Wyrta, Wilga
– Grupa Wydawnicza Foksal,
Warszawa 2018

lent. Jej powieści mają nieoczywistego adresata – w warstwie fabularnej baśniowe, jednocześnie odwołują się do romantycznej tradycji i ujmują niedziecięcym zgoła poczuciem humoru. Wydawcy też zdają się mieć z tym kłopot, bo publikują jej książki w dziw-

REKLAMA



KSIAŻKA W KSIĘGARNIACH OD 31 PAŹDZIERNIKA



SPOTKANIE Z KATARZYNĄ SURMIAK-DOMAŃSKĄ

Rozmowę poprowadzi
ANITA PIOTROWSKA

**26 października
(piątek)
godz. 19:00**

De Revolutionibus
Books & Café,
ul. Bracka 14, Kraków

PRZEDPREMIEROWE SPOTKANIE WOKÓŁ BIOGRAFII JACKA KURONIA „Jacek”

Rozmowę z **ANNA BIKONT**, **RÓŻĄ THUN** oraz **SEWERYNEM BLUMSZTAJNEM** poprowadzi **JACEK ŻAKOWSKI**.

26 października (piątek) godz. 17:00

Arteteka Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie,
ul. Rajska 12 (wejście od ul. Szujskiego)



Wydawnictwo
Agora

nym standardzie, ni to dla młodzieży, ni to dla dorosłych.

Wydane właśnie „Małe Licho” (bardzo dobre!) zaliczam wręcz do kategorii lektur dziecięcych (9+). Kłopot w tym, że jakkolwiek pierwsze wydanie „Dożywocia” dzieli od premiery „Licha” i „Szaławili” kilka lat, to są one segmentami jednej opowieści, osadzonej w podobnej scenerii i z udziałem tych samych (bardzo szczególnych) bohaterów. Najlepiej zacząć od „Dożywocia” – to tu autorka powołała do życia zwariowany mikroświat, w którym egzystują zgodnie ludzie, widma i anioły.

Konrad Romańczuk, młody wielkomiejski japiszon, otrzymuje w spadku po nieznanym krewnym dom na prowincji w dożywotnie użytkowanie. Sceda okazuje się być ceglanym neogotyckim koszmakiem, zagraconym i opatrzonym wieżyczką. Konrad jest pisarzem i kawalerem z odzysku, świeżo po rozstaniu z zaborczą

narzeczoną. Postanawia wytrwać na pustkowiu pół roku i skupić się na literackiej robocie. Nie dane mu będzie jednak zaznać spokoju, bo oto dom, zwany Lichotką, nie jest wcale bezludny. Jest tu Licho – malutki anioł stróż w wełnianych bamboszkach, wiecznie kichający, bo uczulony na pierze. W wannie panoszą się utopce, a w sypialni – na poły zdematerializowane widmo zakochanego samobójcy. I wreszcie jest Krakers, pradawny stwór o wielu mackach, rezydent piwnicy. Konrad szybko dowiaduje się, że to nie on jest dożywotnim posiadaczem domu, ale raczej dom, wraz z lokatorami, posiada jego. Młody mieszcuch traktuje niechcianych sublokatorów jak dopust boży i rozmyśla o rychłej sprzedaży gotyckiego disneylandu, w miarę upływu czasu zadzierzgnie jednak silne więzi z widmowymi przyjaciółmi, ekscentrycznymi, niezawodnymi i lojalnymi...

Autorka galopuje od grepsu do grepsu, śmiało szermuje imiesłowami i ma w po-

gardzie zdania krótsze niż 12 wyrazów. Jeśli jednak przetrzebimy przymiotniki i zignorujemy pierwsze sześć słów każdego zdania, pozostała szóстка złoży się w dowcipną, pomyslową fabułę. Pomiedzy „Dożywociem” a dołączonym teraz do jego wznowienia opowiadaniem „Szaławila” Marta Kisiel dorosła, okrzepła jako pisarka, powściągnęła literackie ADHD. Nagrodzone opowiadanie, będące kontynuacją losów Lichotki, jest zatem znacznie lepsze formalnie, a równie pomyslowe. Natomiast świeżo wydane „Małe Licho” łączy fabularną nicią „Dożywocie” z „Szaławilą”.

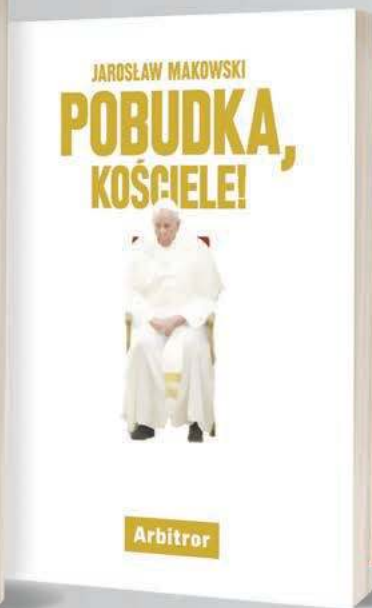
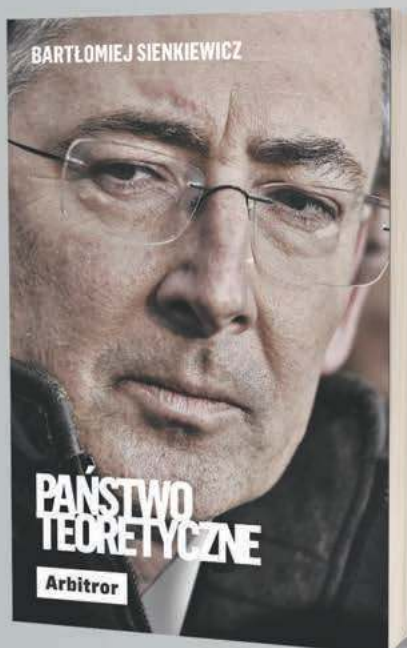
Z tej trylogii można by skroić świetny scenariusz filmowy dla młodej publiczności, w rodzaju czechosłowackiego „Rumburaka”. Jeśli autorka-petarda kontynuować będzie pisanie powieści dla młodych dorosłych, publiczność będzie miała z niej mnóstwo pożytku.

© JOANNA OLECH

REKLAMA

#ArbitrorMyśli

MYŚLI OPARTE NA FAKTACH.



www. Arbitror .pl

Czas na czas



STANISŁAW BAJTLIK

**Dobra, ciekawa i popularna książka o czasie.
Wydawcy twierdzą, że każdy wzór matematyczny
zmniejsza liczbę czytelników – tu jest tylko jeden: $E=mc^2$.**

Czas to jedno z najpowszechniej używanych pojęć fizycznych. Ale czym on jest? „Gdy nikt mnie nie pyta, wiem, co to jest, a gdy zapyta, nie wiem” – pisał św. Augustyn. Podstawową własnością czasu jest to, że nieustannie upływa. Gdy ktoś mnie pyta, czy możliwe są podróże w czasie, odpowiadam: tak, nawet obowiązkowe, tyle że w jednym kierunku. W przestrzeni możemy się poruszać w dowolnym kierunku i powracać do punktu wyjścia – nie ma natomiast powrotu do przeszłości i nie da się przeskoczyć do dowolnej chwili w przyszłości.

Tę (jedno)kierunkowość fizycy nazywają „strzałką czasu” i są bezradni, próbując wywieść ją z podstawowych zasad fizyki. Pojęcia przeszłości, teraźniejszości i przyszłości też wcale nie są proste i oczywiste. Heraklit powiedział, że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki. Ale Sekstus Empiryk zauważył, że nie jest to możliwe nawet jeden raz, bowiem każdy proces fizyczny jest rozciągnięty w czasie. Stąd paradoks: skoro początek zdarzenia miał miejsce w przeszłości, której już nie ma, a koniec to przyszłość, której jeszcze nie ma, to żadne zdarzenie nie jest możliwe...

Czas jest problemem nie tylko dla fizyków i filozofów. Konstrukcje czasu gramatycznego bywają bardzo skomplikowane. Czas jest subiektywny: kwadrans spędzony z miłą osobą wydaje się szybko płynąć, na nudnym kazaniu wlecze się niemiłosiernie. Dzieci wcześnie zaczynają rozumieć, czy coś jest daleko, czy blisko, wysoko czy nisko, ale zdolność wyobrażenia sobie, co to znaczy „za godzinę”, „przedwczoraj”, „w przyszłym miesiącu”, przychodzi później.

Umawiamy się, że czas jest tym, co mierzą „zegary”. Dla fizyków zegarem jest dowolny proces fizyczny dający się powtórzyć: obrót Ziemi wokół własnej osi albo wokół Słońca, spalająca się

świeca, wahadło, próbka radioaktywnego izotopu, którego atomy się rozpadają, odmawiane w standardowym tempie zdrowaśki. Ale i tu zaczynają się problemy. Kiedy w 1925 r. powstało Polskie Radio, zaczęło w południe nadawać sygnał czasu („z dokładnością do pół sekundy”) i hejnał z wieży mariackiej. Jedna z gazet wysłała reportera do krakowskiego obserwatorium astronomicznego, by zapytał, skąd taka dokładność. Tadeusz Banachiewicz odpowiedział: „Co rano przechodzę obok sklepu ze szwajcarskimi zegarkami, reguluję własny i wiem, kiedy podać sygnał”. Reporter pobiegł do owego sklepu, by zapytać, jak tam ustawia się zegary. W odpowiedzi usłyszał: „W południe włączamy radio i sprawdzamy, kiedy prof. Banachiewicz podaje sygnał”...

Anegdota opowiedziana przez Marka Abramowicza zawiera głęboką prawdę: nie ma innego sposobu mierzenia czasu niż porównywanie wskazań różnych zegarów. Oficjalny światowy czas jest czasem, którego nie wskazuje żaden zegar! To uśredniony czas z kilkuset zegarów różnych typów (głównie atomowych) w kilkudziesięciu laboratoriach na całym świecie.

Czas to pieniądz. Jego mierzenie potrzebne było do określania terminu zabiegów rolniczych i świąt czy pory codziennych modlitw, długo jednak wystarczała niewielka dokładność. W 1707 r. flotyła brytyjskiego admirała Shovella poszła na dno w pobliżu wysp Scilly – powodem były niedostatki nawigacji, do której potrzeba dokładnych zegarów, działających w trudnych

warunkach na morzu. Katastrofa przyspieszyła prace nad technikami pomiaru czasu. Dziś dokładny czas (do miliardowych części sekundy na rok) jest niezbędny w laboratoriach, systemie GPS, sieciach komputerowych, systemach telekomunikacyjnych czy infrastrukturze światowego systemu finansowego.

Rewolucyjne zmiany przyniosły szczególna i ogólna teoria względności oraz mechanika kwantowa. Okazało się, że czas jest względny. Że długość przedziału czasowego pomiędzy dwoma zdarzeniami jest zależna od obserwatora. Że w pewnych sytuacjach nawet kolejność zdarzeń okazuje się względna. Czas okazał się powiązany z przestrzenią: razem tworzą czterowymiarową czasoprzestrzeń, a podział tego tworzy jest nieoczywisty. Nie są to tylko myślowe igraszki fizyków, ale zjawiska obserwowane w laboratoriach.

Książka Richarda A. Mullera jest dobra i ciekawa. Wedle wydawców każdy wzór matematyczny zmniejsza liczbę czytelników o połowę – tu jest tylko jeden, $E=mc^2$, ale to przecież jeden z symboli współczesności, jak znaczek Mercedesa czy twarz Marilyn Monroe z obrazów Warhola. Muller, amerykański fizyk z Berkeley, przedstawia współczesne rozumienie (i nierozumienie) czasu w historycznym i filozoficznym kontekście. Nie jest to podręcznik, ale piękna opowieść o tym, co nas wszystkich unosi od narodzin ku nieuchronnemu końcowi. ©

■ Oficjalny światowy czas jest czasem, którego nie wskazuje żaden zegar!



• Richard A. Muller
TERAZ. FIZYKA CZASU
przeł. Tomasz Krzysztוף,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2018,
seria „Na ścieżkach nauki”



Nowa książka autorki bestsellerów BÓG NIGDY NIE MRUGA I KOCHAJ

Odkryj swoją prawdę, wytrwale za nią podążaj i nie wahaj się nią dzielić – oto przesłanie nowej książki Reginy Brett. *Mów własnym głosem* to 50 porywających lekcji o tym, jaką siłę mają słowa – nie milczenie; o tym, że nawet jeśli trudno zmierzyć się z prawdą, to tylko w ten sposób staniemy się wolni. Jak ćwiczyć się w odwadze? Jak stawiać czoła codzienności wbrew naszym obawom i lękom? I wreszcie – jak przekazywać swoją historię, by była inspiracją i nadzieją? Przeczytaj.

*Dla Polek i Polaków. Sprawiacie, że
czuję się w waszym kraju jak w domu.*

Regina Brett

insignis

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

REKLAMA

NAJBARDZIEJ WYCZEKIWANA BIOGRAFIA ROKU!

NAJLEPSZA KSIĄŻKA 2017 „NEW YORK TIMESA”

Arcydzieło. Jedna z najważniejszych książek na temat kolonializmu, jakie powstały w naszych czasach.

WILLIAM DALRYMPLE, „THE GUARDIAN”

WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

PARTNER:

CONRAD FESTIVAL

PATRONI MEDIALNI:



Jabłko Adama

KS. ADAM BONIECKI KUSI DO LEKTURY

Zapomniany tekst arcybiskupa Wojtyły

W nieznanach katechezach sprzed półwiecza znajdziemy już wątki, które zachwycaly nas w nauczaniu Jana Pawła II.

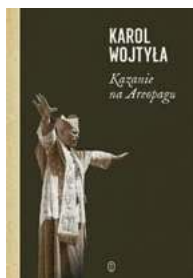
Rzeczy codziennego użytku, którymi się posługiwałem, proszę rozdać wedle uznania. Notatki osobiste spalić. Proszę, ażeby nad tymi sprawami czuwał ks. Stanisław, któremu dziękuję za tyloletnią wyrozumiałość współpracę i pomoc” – napisał Jan Paweł II w testamencie z 6 marca 1979 r. Tak więc właściwa osoba, ks. kardynał Stanisław Dziwisz, informuje, że skrypt książki, którą czytelnik trzyma w ręku, został właśnie niedawno, zrzędzeniem Opatrzności Bożej, odnaleziony i może być opublikowany w 40. rocznicę wyboru arcybiskupa krakowskiego na stolicę św. Piotra.

Gdzie, w jakich okolicznościach i przez kogo skrypt został odnaleziony, ks. Stanisław nie wspomina. Więcej możemy się dowiedzieć z zamieszczonego na końcu książki komentarza dr Marii Burghardt, której powierzono odczytanie rękopisu i sporządzenie przypisów. Jako doktor nauk humanistycznych i literaturoznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka pracy doktorskiej o Karolu Wojtyśle oraz absolwentka Wydziału Literatury i Filozofii na Libera Università Maria Santissima Assunta w Rzymie, a także rzymskiego podyplomowego studium obejmującego m.in. ochronę dzieł sztuki, potrafiła dobrze przygotować do wydania tekst zmarłego papieża.

Dzieli się z nami informacjami, że nie wiemy, kiedy i do kogo miały być wygłaszane katechezy. Że zachowały się w formie rękopisu na 39 luźnych kartach o wymiarze 28 na 22 cm, dwustronnie zapisanych czarnym atramentem, piśmem starannym, lecz ze skreśleniami. Że zostały przepisane na maszynie przez osobę trze-

cią, a maszynopis znajdował się w tej samej teczce co rękopis, uzupełniono w nim odnośniki biblijne (w rękopisie są puste nawiasy) i odnośniki do cytatów z dokumentów soborowych; należy się domyślać, że autor prawdopodobnie teksty te cytował z pamięci. Kilka błędów i brak śladów jakiegokolwiek ingerencji każą sądzić, że autor maszynopisu nie miał już w ręku. Dr Burghardt wyjaśnia, skąd wiadomo, że tekst powstał w/lub po 1965 r., że był pisany w Rzymie na papierze ze znakiem wodnym Fine Poste Effe, na jakim żaden inny zachowany dokument Karola Wojtyły pisany nie był, że autor mógł myśleć o przekładzie na język włoski.

Odnaleziony po latach rękopis zawiera 13 katechez osnutych wokół przemówienia św. Pawła na Areopagu, w którym apostoł wyraża uznanie dla religijności ateńskich mężów i skupia się na jednej z licznych ateńskich świętości, ołtarzu z napisem „Niezanemu Bogu”. Katechezy a raczej medytacje czy wręcz teologiczne minitraktaty nie są dla nieobytego ze stylem Karola Wojtyły z lat przedpapieskich lekturą łatwą. Na szczęście przychodzi mu z pomocą zamieszczony po katechezach tekst, który jest znakomitym wprowadzeniem w ich lekturę:



• Karol Wojtyła
**KAZANIE NA
AREOPAGU**
Wydawnictwo
Literackie,
Kraków 2018

„Wielka katecheza Karola Wojtyły” pióra krakowskiego teologa ks. dr. hab. Roberta J. Woźniaka.

Chwaląc w „Tygodniku” wydaną w 2007 r. książkę ks. Woźniaka „Przyszłość, teologia, społeczeństwo” Jacek Prusak SJ napisał: „W Polsce mamy wiele książek teologicznych, ale nielicznych teologów”. A ja doradzam lekturę eseju ks. Woźniaka przed sięgnięciem po same katechezy. To niebawem cenna pomoc. Dzięki niej będziemy wiedzieli, że warto zwrócić uwagę na obecność w medytacjach Wojtyły myśli wywodzących się z dopiero co zakończonego Vaticanum Secundum i warto szukać zapowiedzi tego, co potem będzie nas zachwycać w pierwszej encyklice Jana Pawła II „Redemptor hominis”.

W tych medytacjach o religii i religiach, o Bogu i człowieku, zauważa ks. Woźniak, Karol Wojtyła jest wolny od bagatelizowania różnic między religiami, lecz wie, że coś je wzajemnie łączy. Pisze Wojtyła: „Także religie pozachrześcijańskie zawierają elementy prawdziwego boskiego światła”. Więcej: „ruch ku Bogu zakorzeniony jest w samej naturze człowieka jako istoty, która jest powołana i zdolna do przekroczenia świata w relacji do Boga”. W XI katechezie najpierw przypomina, że na ziemskim globie tych, którzy słyszeli o Chrystusie, jest nie więcej niż 30 proc., i wskazuje na aktualność ateńskiego ołtarza z napisem „Niezanemu Bogu”, by wreszcie przytoczyć soborowy dokument „Lumen gentium”, który mówi o przyporządkowaniu do Bożego planu także tych, „którzy – te słowa Wojtyła w tekście podkreśla – bez własnej winy nie znając Ewangelii i Kościoła szczerym sercem jednak szukają Boga i wolę Jego przez nakaz sumienia po-

znaną starają się pod wpływem łaski pełnić czynem". Ks. Woźniak pomaga zdać sobie sprawę, że temat „Nieznanego Boga” stopniowo prowadzi słuchacza/czytelnika do wielkich prawd o Bogu, który kocha i który jest komunią Trzech Osób Boskich.

Nie chcę tu nieudolnie streszczać tego, co znakomicie napisał krakowski teolog. Dodam tylko, że dzięki sugerowanej

przez niego hermeneutyce tekstów arcybiskupa Wojtyły odkrywamy w nich motywy, które znajdują się w nauczaniu Jana Pawła II, zwłaszcza w najważniejszej według ks. Woźniaka encyklice „Fides et ratio”.

Na koniec jeszcze jeden cytat z ks. Woźniaka: „Oto proroczy, teologiczny rdzeń prezentowanych tekstów: wiara Autora,

że Bóg posyła Kościół do takiego świata, jakim on jest, i że pierwsze jego zadanie nie polega na demaskacji błędów, ale na poszukiwaniu wspólnych płaszczyzn, które umożliwiają wspólny dialog. Nawet gdyby takowych miało być zdecydowanie niewiele”. Katechezy z połowy lat 60. zeszłego wieku, a wciąż jeszcze dziwnie aktualne...

©P

REKLAMA

Seria Biografie

PREMIERA 24 PAŹDZIERNIKA

MAŁGORZATA CZYŃSKA BEREZOWSKA NAGOŚĆ DLA WSZYSTKICH

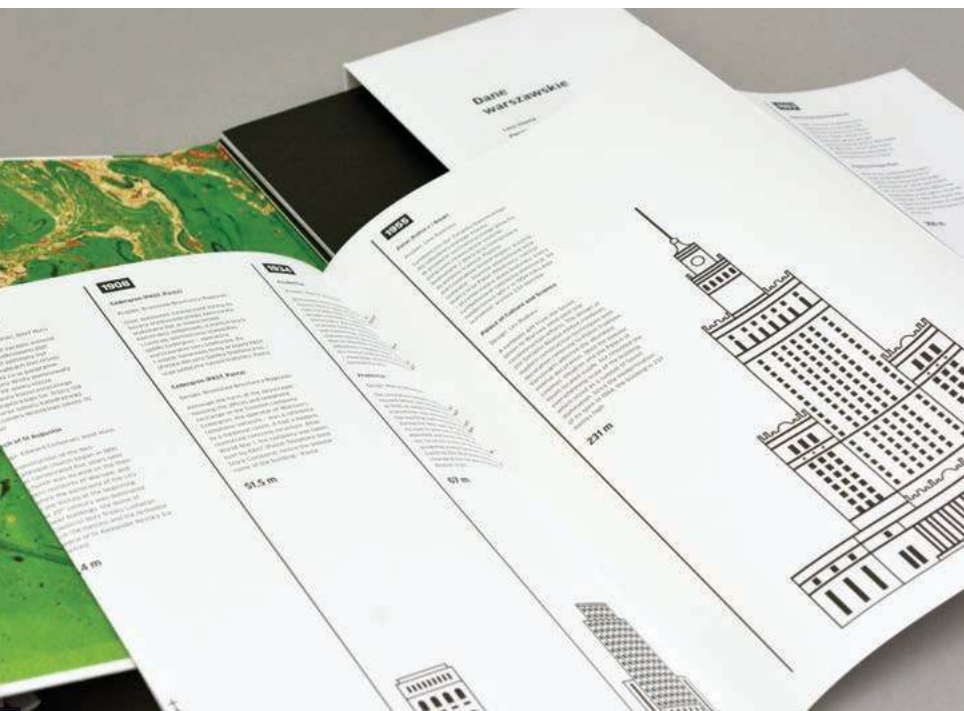
Małgorzata Czyńska opisuje kobietę, której los to materiał na porywający serial. Pytanie tylko, czy znalazłby się reżyser odważny na tyle, by pokazać nam Maję bez cenzury.

CzasKultury

CZARNE.COM.PL



REKLAMA



Dane warszawskie

Warsaw data

nowa publikacja
Muzeum Warszawy



MUZEUM
WARSZAWY

muzeumwarszawy.pl
facebook.com/muzeum.warszawy
instagram.com/muzeumwarszawy



Głód wsi

Głód narracji dopadł nas w środku kulturowych wykopalsk. Mąka rozsypana, a my chcemy placka. Nie kanapek z fragmentami, domysłami, ułamkami, pragniemy czegoś pożywnego, dobrze przyprawionego. Tym czymś zdaje się chłopskie jadlo. Swojska, wypiekana w pocie czoła pajda chleba posmarowana smalcem z zabijanej z miłością świnki. Ma różne wersje – literacką, akademicką, coachinową. Jest w czym wybierać, ale ponieważ narracja ma być sprawcza, nie sięgniemy po lekkostrawne smarowidło eko.

Najświeższa ze sprawczych narracji stanowi, iż wywodzi się bardziej ze wsi niż z miasta, czym próbuje się obejść zużyte linie genealogiczne, robotnicze i inteligenckie. Przesiadka. Zmiana diety. Z robotnikami nam nie wyszło, mieli być przodującą siłą w narodzie, a wszyscy wiemy, co się stało. W dodatku praca dziś to temat niemodny, niewygodny, zwłaszcza wytwarzanie czegokolwiek siłą mięśni. Przemysł niszczy środowisko, udział wielkich zakładów w niedawnych przemianach ustrojowych wymaga ponownego przemyślenia. Tyleż im zawdzięczamy, ile zostaliśmy ograbieni. O inteligencji przez grzeczność nie wspomnę, a mieszczaństwa to my nigdy, słyszę w środowisku akademickim, nie wytworzyliśmy. Ciekawe, swoją drogą, kto mieszkał w miastach? Porządnego mieszczaństwa, nie do słyszałam dopowiedzenia. Aha.

Pisanie o nieporządnym, wielkomiejskim, a nawet małowielkomiejskim tłumie, siadującym w modnych kawowych sieciówkach i niezatrudnionym na stałe, przestało być atrakcyjne. Teraz się pisze o włościańskiej, folwarcznej, pańszczyźnianej egzystencji i jej przetrwalnikach. Gdybyż o egzystencji! Pisze się o wsi jako esencji i zasadzie. Odfiltrowuje całą resztę, by pokazać nam nie tylko miejsca naszego pochodzenia, lecz i tkwiące w nas miazmaty. Jesteśmy uwikłani w naszą wiejskość i jeśli jej nie zrozumiemy, nie dowiemy się niczego, ani dobrego, ani

Uznaję potrzebę weryfikacji naszej tożsamościowej mitologii. Czy jednak historia włościańska w tym pomoże?

złego, o sobie. Podzielam tę opinię, lecz obawiam się, że dowiedziawszy się tego, nadal nie będziemy wiedzieć niczego konkretnego (niekonkretnego również).

Niepotrzebnie wpadam w felietonową, cieniutką ironijkę, zaprzeczenie chłopskiej powagi. Przecież sama mam przodków wywodzących się z wiejskiej biedoty. Część mojej rodziny była gnębiona, przesiedlana, ma-

miona ziemią, a potem jej pozbawiana. Zapłaciliśmy wysoką cenę, do której należały przedwczesne zgony, depresje, dramaty osobiste. Inni natomiast wieś porzucili w podskokach. Wiem, te rodzinne doświadczenia doskonale wpisują się w bogatą, poważną, a czasem też zachwycającą intelektualnie i artystycznie wizję chłopstwa. Nie przeczą jej, lecz ją wspomagają. Pokazują jednocześnie pokłady wyparcia, dokonanego przez tych, którzy łkali gładko historię Polski szlacheckiej – potomków zginających karki i tych, którzy do zginania skłaniali batem. Uznaję potrzebę zweryfikowania naszej tożsamościowej mitologii. Nie jestem jednak pewna, czy historia włościańska pomoże nam się otrząsnąć z poczucia narracyjnego impasu.

Czytając prozy odtwarzające kolejność siewu i zbioru, karmienia inwentarza i przerabiania go na żywność, rytm źródłowej mowy i odwiecznych zasad, nie znajduję w nich lekarstwa na palącego w przełyku kaca po liberalno-kapitalistycznych zachwytach technologiami, bo te paradoksalnie pasują do nostalgicznych smaczków. Opowiadać trzeba, nie przenosimy jednak wszyscy narratorów na rolę. Kontemplując obrządek mogą nie zauważyć pozostających w miastach współobywateli.

Formułuję ten apel przesycona prozą postwiejską (bo przecież wiejska już była) i kolejnymi diagnozami społecznymi, w których porównuje się spory hipermarket z dostawami mleka w latach 70. Też czuję wilczy głód (pożywnej narracji), ale łatwo o ból brzucha, nawet po swojskim jadle opartym na dobrych recepturach.

©

MOJE STORY
BARTOSZ MINKIEWICZ




ZIEMIE NICZYJE PIOTR ŚLIWIŃSKI

Co z nią zrobić

Literatura polska dziś – co z nią zrobić? To pytanie zadali organizatorzy rocznicowej konferencji na Uniwersytecie Warszawskim. Dobre pytanie, pozornie tylko łatwe do zbycia prostym: „czytać” lub „dać żyć swoim życiem”.

Bo że polska literatura to po części zbieg, a po części wygnaniec z obszaru tradycyjnych misji, nie ulega kwestii. Znamienne, że co ważniejsze dyskusje o wiele częściej zaczynają się od filmu, a nawet od elitarnego z definicji teatru niż od książek. Żeby wymienić tylko spektakle Demirskiego i Strzępki, „Pokot”, „Wołyń” czy ostatnio „Kler”. Wyjątkiem – zresztą nie literackim – są „Sąsiedzi” sprzed nieomal 20 lat. Gross założył i odpalił ładunek wybuchowy, który rozerwał na strzępy naszą duszę sielską anielską, nagle zbrzydził pejzaże małych ojczyzn, krainy łagodności – pielegnowane w prozie lat 90. – nasycił grozą, wybudził sumienie i potwory. Tak właśnie: na pomoc w walce przeciwko prawdzie nie do zniesienia dla narodu bohaterskich ofiar wezwano potworki nacjonalizmu.

Co z nią zrobić, skoro nie jest czytana tak, jak byśmy chcieli – namiennie, powszechnie, impulsywnie?

Upolitycznić – brzmi jedna z odpowiedzi. To już ponad dekadę temu Igor Stokfiszewski wezwał na łamach „TP” do uprawiania politycznej poezji. Z czasem inni, zwłaszcza młodzi krytycy o wyraźnie marksofskim zapleczu, powtórzyli ten apel wielokrotnie. I chociaż nie udało się im przestawić całego piarstwa na tor zaangażowania, a nawet większości, to nie da się zaprzeczyć, że pewien skutek został osiągnięty.

Studenci, których na zajęciach rozpoczynających semestr zachęcam do wymienia tytułów, które uważają za istotne dla siebie, wyliczają aktualne zagadnienia społeczne, dopasowując do nich książki. Na pierwszych miejscach stoją nierówności ekonomiczne, mniejszości seksualne, niepełnosprawność, sytuacja kobiet, wyzwolenie zwierząt; gatunki, idiomy, style, poszukiwa-

Co zrobić z literaturą, skoro jej potencjał bycia spektaklem ogranicza się do minimum, np. do afer na Facebooku?

nia formalne, awangardowość i konwencjonalność, doświadczenia i ekspresje jednostkowe, języki pamięci liczą się dużo mniej. Poetyka i psychologia ustępują pola socjologii. Ciekawe są relacje zachodzące wewnątrz społeczeństwa, a nie relacje społeczeństwo – władza czy społeczeństwo – historia. Jakby kwestie ogólne zostały rozstrzygnięte, jakby żaden dziejowy dramat nie mógł się już wy-

darzyć, jakby dawne wielkie tematy rozpadły się na mnóstwo mniejszych i nigdy już nie miały się scalać. Wydaje mi się to tyleż optymistyczne, bo świadczy o usilnym poszukiwaniu jakiejś sceny rzeczywistego działania, co dużo bardziej niepokojące. Stara wyobraźnia podpowiada mi, że diabeł nie umarł, lecz szepce nam do ucha: jesteście mocni, wyjątkowi, wybrani, wiedzeni przez prawdę, która doskonale obywateli się bez wolności.

Co z nią zrobić, skoro ona sama niewiele może, bo jej możliwości bycia spektaklem ograniczone są do minimum, np. do wywołania jakiejś afery na Facebooku? Skoro krytyka skazana jest na udawanie, że jest tym, czym była, podczas gdy faktycznie nie ma dla niej miejsca? Bo wszak przenosiny do internetu to nie translokacja, jak się o tym mówi, lecz koniec zjawiska.

Przesada? Zastanawia reakcja po odnalezieniu przez mojego znakomitego kolegę z pracy, prof. Wiesława Wydrę, nieznanej całości „Rozmowy Mistrza Polikarpa ze Śmiercią”. Wiadomość wspaniała dla badaczy literatury dawnej, historyków, archiwistów, archeologów polszczyzny, ale czym miałyby być na Facebooku? Tymczasem tzw. wydarzenie, utworzone przez poznańską polonistykę, odsłoniło 260 tysięcy osób, a 9 tysięcy zareagowało komentarzem lub przynajmniej „lajkiem”. Wychodzi na to, że Polacy czekali na „Rozmowę...”, że – nie czytając za wiele – literaturę cenią nade wszystko!

Na pytanie, co z nią zrobić, kielznając ironię, odpowiedzmy: uwierzyć (jej, w nią albo przecuciu, że niczym nie da się zastąpić rozmowy).

©



„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

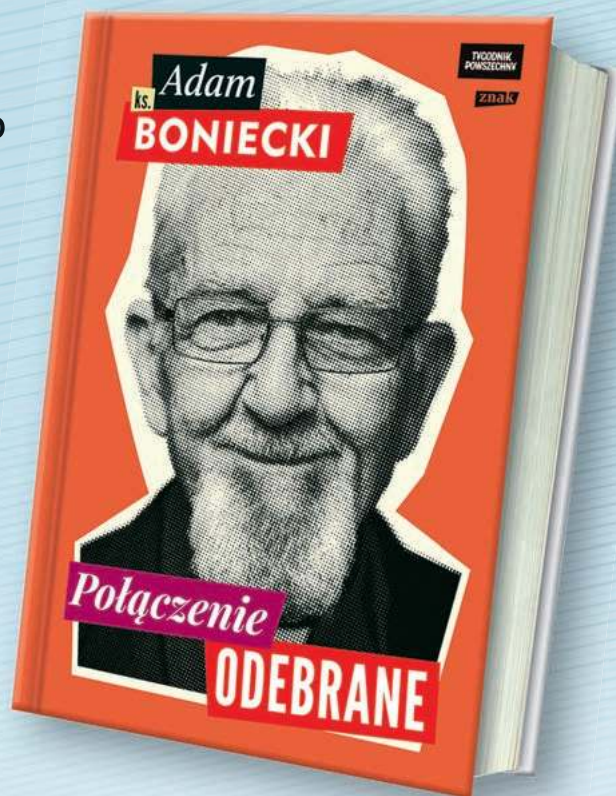
Książka ks. Adama Bonieckiego
„Połączenie odebrane”[■]

W PREZENCIE

– dla każdego, kto wykupi
do 30 listopada 2018
DOWOLNĄ[■] prenumeratę
„Tygodnika Powszechnego”!

■ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

■ Aby skorzystać z oferty, należy do 30 listopada 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.



ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł [■]	

Oferta POKOLENIA 3³

Niższa cena za roczną prenumeratę ekonomiczną
dla osób, które w dniu zakupu są w wieku
poniżej 25 albo powyżej 65 lat.

(Uwaga! zastrzegamy sobie prawo do weryfikacji prawa do ulgi.)

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin